



500

6029 m

# NA OKOŁO ZIEMI

1888 — 1889.

WRAŻENIA I POGLĄDY.

NAPISAL

KAROL HR. LANCKOROŃSKI.

Z RYCINAMI W TEKSCIE I DWIEMA GEOGRAFICZNYMI TABLICAMI.



CZYTELNIA NAUKOWA

we LWOWIE

W KRAKOWIE.

GEBETHNER I SPÓŁKA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego we Lwowie. Zarządca WL. J. Weber.

1893.

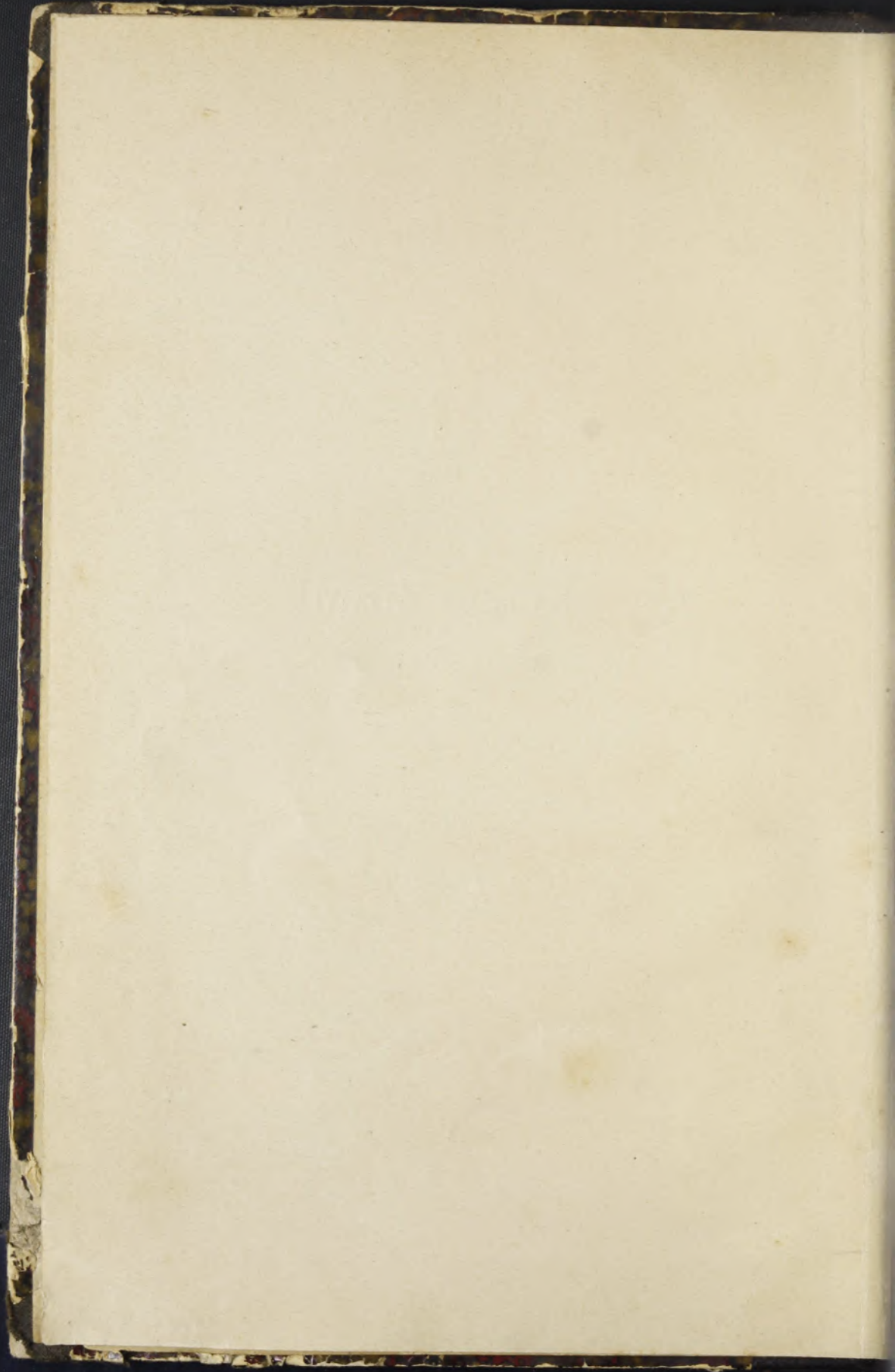
Księgarnia Polska  
we Lwowie  
14 pl. Halicki 14.

4/20/25  
Lump

30

NA OKOŁO ZIEMI

1888—1889.



# NA OKOŁO ZIEMI

1888 — 1889.

WRAŻENIA I POGLĄDY.

NAPISAŁ

KAROL HR. LANCKOROŃSKI.

---

Z RYCINAMI W TEKSCIE I DWIEMA GEOGRAFICZNYMI TABLICAMI.



W KRAKOWIE.

GEBETHNER I SPÓŁKA.

Z drukarni Władysława Łozińskiego we Lwowie. Zarządca Wł. J. Weber.

1893.

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001013261342



II.91.634

1948 K 387 / 7



Notatki, które się złożyły na niniejszą książkę, przeznaczone pierwotnie dla szczupłego koła przyjaciół, powstały w ciągu podróży, zamierzonej początkowo do Indyi wschodnich, a następnie rozciągniętej na Japonię i północną Amerykę.

Odbyłem ją z wyjątkiem nieznaczących zbroczeń utartymi szlakami, którymi dziś okrążyć można ziemię wygodniej i bezpieczniej, aniżeli przed pięćdziesięciu laty przebywało się drogę z Warszawy do Paryża. Ktoby więc spodziewał się w tej książce nadzwyczajnych wypadków, niechaj jej lepiej nie czyta. Nie zawiera ona nawet opisów przygód myśliwskich, nie mówiąc już o napadach zbójceckich lub o niebezpieczeństwach na morzu.

Jeżeli pomimo to zdecydowałem się wystąpić przed publiczność z tymi skromnymi, dorywczymi obrazkami, to skłoniła mnie do tego myśl, że gdy każdy z nas innym wzrokiem patrzy na świat zewnętrzny i inaczej go pojmuje, skreślenie tych spostrzeżeń, wyniesionych z dalekich krajów, przyczynić się może do uzupełnienia naszych wiadomości.

Mój towarzysz w pierwszych miesiącach podróży, Ludwik Hans Fischer, przywiózł z Ceylonu i z Indyi tekę, w której znajdują się mniej lub więcej wykończone akwarele, a także i lekkie tylko szkice. Tego rodzaju teką malarską są właśnie te podane tu obrazy o różnym stopniu wykończenia. Stosownie do czasu i usposobienia są one częstokroć tylko pobieżnymi zarysami, które sam czytelnik wypełnić sobie zechce światłem i cieniem. Jak

widoki przez różnych malarzy zdejmowane i różne fotografie interesujących okolic znajdują swoich zwolenników, tak może i te zapiski w pewnej mierze na uwagę liczyć będą mogły.

Oprócz kilku mało znaczących sprostowań prawie nie w nich nie zmieniłem, chcąc podzielić się ile możności jak najwierniej z czytelnikiem doznaniem wrażeniami i wywołać w nim uczucie, jak gdyby sam znajdował się w okolicach i sytuacjach, w których się znajdował autor. Oddaję więc do druku ten dziennik, jak go napisałem przed kilku laty, pomimo zmian, jakie zaszły od tego czasu na naszym planecie, a wskutek których kilka z moich konkluzji może się wydać bądźto mylnymi, bądźto zbyt cennymi. Nie miałem zamiaru pisać geografii, albo statystyki zwiedzonych krajów, lecz chciałem czytającym pokazać świat tak, jak go widziałem zewnętrznem i wewnętrznem okiem.

Może więcej, aniżeli kto inny, podniosłem tu analogie dalekich okolic i obcych stosunków z takimi, z którymi jesteśmy oswojeni i od dawna obznajomieni. Co może opisywanym krajom ubyłoby egzotycznego uroku wskutek tych porównań, które działają podobnie, jak tłumaczenia z Sanskrytu i japońskiego na języki europejskie, to może dla niektórych zastąpi satysfakcyę znalezienia niespodziewanego związku między objawami dalekimi od siebie czasem i przestrzenią, na który nie byli przygotowani.

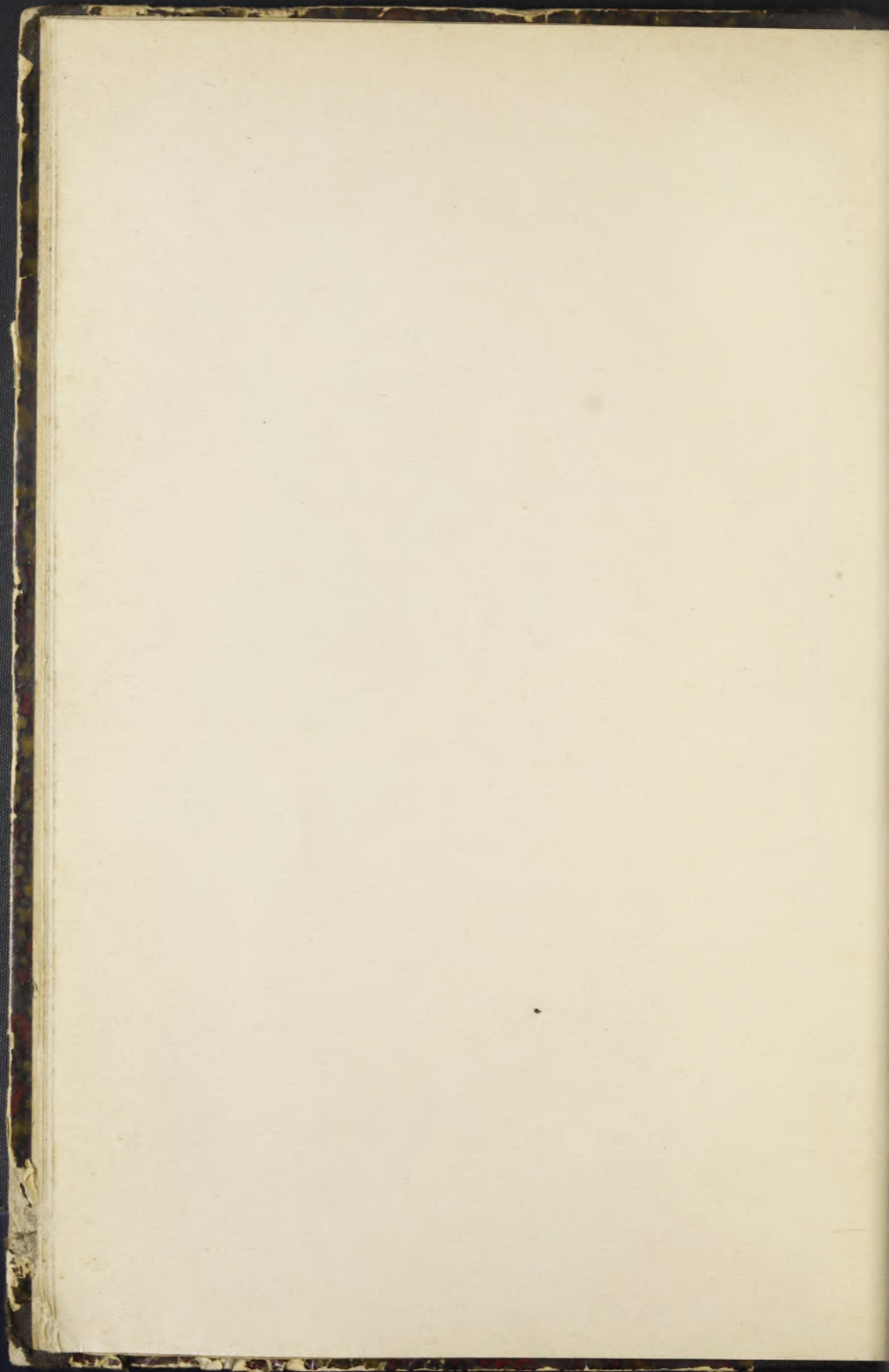
Nie, jak taka podróż, nie poucza nas lepiej o prawdzie, że wszystko na świecie wzajemnie wspiera się i podtrzymuje, i że te same przyczyny wywołują zawsze i wszędzie te same skutki. Świat jest wielką księgą, w której jeden rozdział objaśnia drugi. Co wiemy o przeszłości własnego lub pokrewnych narodów, to pozwala nam nieraz prawdziwiej osądzić spostrzeżenia, zrobione dzisiaj w obcych częściach ziemi, jak przeciwnie to, co tam żyje, czyni nam często naszą przeszłość zrozumialszą, aniżeli całe zbiory zapyłonych dokumentów, i może nam

ułatwić przedmiotowe osądzenie naszych dzisiejszych stosunków.

Tym, którzy, być może, uczynią mi zarzut zbyt częstych porównań, szczególnie z okolicami Włoch i tamtejszemi dziełami sztuki, odpowiedziałbym, że i Włochy są miarą i to niepoślednią, i że nie moja to wina, że na tym planecie jest więcej rzeczy do siebie podobnych, niż to zazwyczaj uznawać jesteśmy skłonni. Komu niektóre ustępy wydadzą się za rozwlekłe, może je spokojnie opuścić, tak, jak w ogóle książce tej przynajmniej tę zaletę przyznać wypadnie, że można ją czytać, gdzie się otworzy, bez konieczności wracania do kart poprzednich. Ziemia jest okrągłą, a więc gdziekolwiek bądź podróż na około niej można i zaczynać i kończyć.

W Rozdole, w grudniu 1892 r.



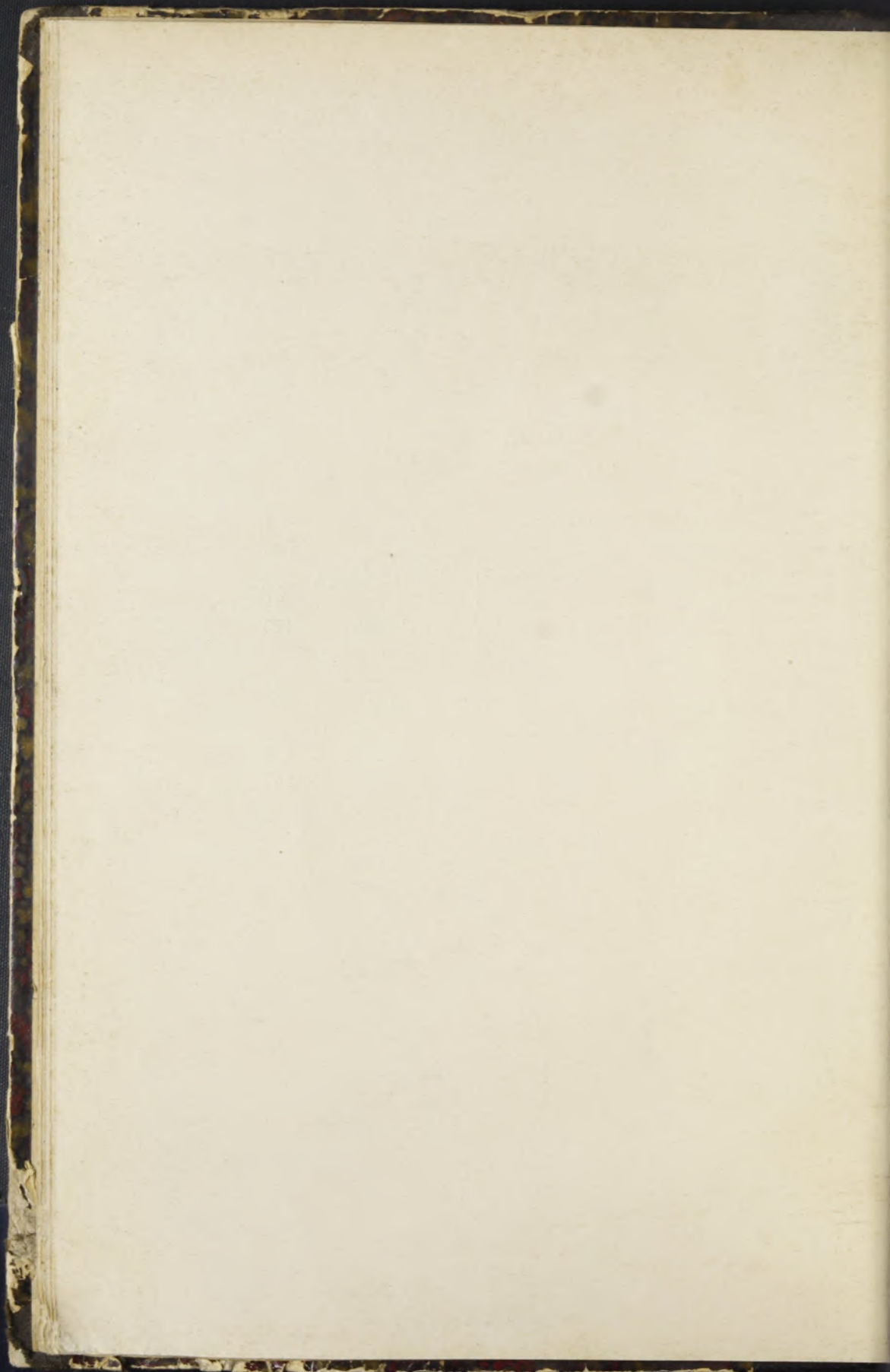


## TREŚĆ.

---

	str.
I. Z Marsylii do Colombo. — Ceylon . . . . .	1
II. Południowe Indye, Rajputana, Panjab . . . . .	33
III. Indyjskie północno-zachodnie i środkowe prowincye, Bengal . . . . .	81
IV. Sikkim i Bhotan. — Z Calcutty do Colombo . . . . .	123
V. Z Colombo do Hongkong. — Kawałek Chin. — Z Hongkong do Yokohamy . . . . .	159
VI. Japonia. — Z Yokohamy do San Francisco . . . . .	203
VII. Przez północną Amerykę. — Z New-York do Southampton . . . . .	275
Spis geograficzny . . . . .	337

---





Wybrzeże w Colombo.

### I. Z MARSYLII DO COLOMBO. — CEYLON.

16 grudnia 1888 r. do 4 stycznia 1889 r. na pokładzie parowca *Ava*. — Dnia 16 grudnia 1888 r. o godzinie 4 po południu, stał w porcie marsylskim okręt *Ava*, należący do *Messageries maritimes*, gotów do odjazdu ku Ceylonowi, Chinom i Japonii. Wielki okręt przepełniony był gośćmi, którzy odjeżdżającym raz jeszcze dłoń uściskać pragnęli, a osada jego pozostała liczną, nawet gdy już sami tylko podróżni pozostali. Ostatecznie o godzinie 5 ruszył w podróż ów gmach pływający, który artystę malarza Ludwika Jana Fischera i mnie w trzech tygodniach zawieść miał do Colombo. Na pomoście portowym stał tłum ludu, głowa przy głowie, i krzyczał: hurra! i powiewał chustkami, a dwukrotnie przepłynęliśmy jeszcze obok podobnych tłumów, zalegających cypie tamy portowej i w miarę możliwości jeszcze gwarniejszych i żywiej gestykulujących. Kobiety przodowały w tem wszystkim, widocznie były to żony i kochanki marynarzy.

Odjazd.

Marsylia nie zdała mi się jeszcze nigdy tak wspaniałą, jak w chwili tego odjazdu. Skończona jest już na zewnątrz budowa nowej katedry, wzniesionej w mieszanym bizantyńsko-romańskim stylu, podobnie jak katedry w Genui i Sienie. Zbyt wiotka może i kopułę mająca za małą, jest przecież potężną budową, a szczęśliwą była myśl, że spiętrzone ją tuż nad brzegiem

Marsylia.

morza. Mgła i cień wieczorny układają się nad masą domów, ale wspaniale i daleko sięgając świetlanym połyskiem, jak mało która starożytna lub chrześcijańska świątynia, wznosi się w górę ze swej skały jakby z tronu *Notre Dame de la Garde*, rozgłosny cel pobożnych pielgrzymek. Na pokładzie naszym — a jesteśmy już na pełnem morzu — stoi i klęczy jaki tuzin czarnych postaci, zwróconych ku onemu kościołowi, i nuci piękną, średniowieczną pieśń, poświęconą Maryi: *Ave stella maris!* Są to misyonarze, płynący do Korei. Wrażenie w chwili zapadłej już nocy jest porwyające! Iluż z nich będzie mogło pieśń tę znowu zanucić w chwili powrotu?

*17 grudnia.* — O godzinie 9 rano opłynęliśmy północną kończynę Korsyki; zdała widać wybrzeże liguryjskie, przepływamy tuż obok Caprai. Wkrótce Elba rozciągnie się przed nami, na prawo zaś i na lewo leżą inne wysepki Toskańskiego archipelagu, jedna z nich całkiem płaska, inne o zarysach ostrych i nierównych.

Osada okrętu.

Morze jest jak zwierciadło; z szybkością czternaśtu węzłów na godzinę pędzimy w kierunku południowo-wschodnim. Okręt nasz jest wielki, lecz bardzo wąski. Na przodzie znajduje się istny zwierzyńiec: w przegrodach stoją zamknięte woły, owce, kaczki, kury, wysmukła koza obok pantarki. W klatce skomli przez cały dzień mała, brunatna suczka jamniczka, i gardzi cukrem i sucharami, za które znowu bardzo wdzięcznym okazuje się piękny czarny pudel, uwiązany na łańcuchu. Jeszcze liczniejszych przedstawicieli niżeli gatunki zwierząt ma na naszej *Avie* gatunek: »człowiek«. Jako palaczy mamy czarnych jak murzyni Arabów z okolic Adenu; Chińczycy z prawdziwymi i fałszywymi warkoczami pełnią służbę kuchcików; wśród podróżnych znajdują się Japończycy, którzy po odbyciu studyów w Paryżu albo Heidelbergu, po europejsku ubrani, jako



elegancy *dandies* powracają do ojczyzny; dalej jest brunatna dziewczyna, Hinduska, z nosem i uszami, obwieszona złotymi i srebrnymi pierścieniami, a towarzyszy jako pokojowa francuskiej rodzinie urzędniczej, płynącej do Pondichéry. Główną rozrywką na pokładzie jest gra *bull, jeu du palet*, polegająca na tem, że się krążkami z kauczuku rzuca o tablicę, podzieloną na małe czworoboczne pola.

*18 grudnia.* — O godzinie 1 po południu przepłynęliśmy obok wyspy Stromboli. W lutym zeszłego roku, w czasie podróży mej z Tripolis do Neapolu, widziałem ostatnim razem ten dumny wulkan, wprost z morza wznoszący się w górę. Z kolei okazały się na południowym zachodzie inne wyspy Liparyjskie, a wkrótce na południowym wschodzie wynurzyło się przed naszymi oczyma górzyste wybrzeże Kalabrii. Około godziny 4 rozciągało się ono już wyraźnie przed nami, a zarazem i Sycylia z olbrzymem swym, Etną. Już widać wąską drogę wodną, którą między niemi przepłyniemy. Oto Scylla i Charybda przed nami, płyniemy zaś bliżej ku Reggio, niż ku Messynie, ku wielkiej mej radości, zawsze bowiem nad sycylijskie brzegi przenosiłem wybrzeże lądu stałego Italii. Czy też urzeczywistnię kiedy w życiu mój zamiar dojechania z Reggio wetrynym do Neapolu? Cieszę się nadzieją Indyi, rad objechałbym świat cały, lecz serce moje należy przecież do tego pasa ziemi między morzem Adryatyckiem a Tyrreńskim. Z Robertem Browning mogę powiedzieć:

Morze Tyrreńskie.

Open my heart and you will see  
Engraved inside Italy!

*19 i 20 grudnia.* — Już od 18 wieczór scirocco, a więc wiatr przeciwny i nie dozwala więcej niż dzieścić węzłów płynąć na godzinę. Dnia 20 rano miano widzieć Kreteę, po południu mijamy małą wysepkę Gozzo. Na okręcie jestem już jak w domu i przekonywam się

raz jeszcze, że nigdzie nie jest się tak panem swego czasu, jak między niebem a wodą. Słusznie powiada Hübner, że kajuta okrętowa jest jedynym ustroniem, w którym na pewno nikt nam w niczem nie przeszkodzi.

Aleksandrya.

21 *grudnia*. — Po południu wynurza się przed nami płaskie wybrzeże Egiptu; o godzinie 5 przybijamy do Aleksandryi. Fischer i ja używamy sześciogodzinnego przystanku na przechadzkę po mieście, w którym prawie od lat trzynastu noga moja nie postąpiła. Po zombardowaniu odbudowano je piękniejsze. Oglądamy Sarę Bernhardt na dwóch aktach *Damy Kameliowej*, którą nie dawniej jak przed dwoma tygodniami widziałem w wiedeńskim „Theater an der Wien”, a o północy każemy się znów zawieść na pokład, przez pełen okrętów, cichy i olbrzymi port aleksandryjski.

Kanał Sueski.

22 do 24 *grudnia*. — Niewiele byłoby do zapisanania o całodziennym żegludze wzdłuż egipskich wybrzeży, jak również o nocnym przystanku w Port-Saïd, który niczem innym nie jest, jak wielkim bazarem, pełnym kramów i *tingel-tanłów*, albo też o powolnej podróży przez kanał Sueski z owymi nasypami z wilgotnej ziemi po prawej i lewej ręce, z gromadami flamingów w oddali i pędzącymi po brzegu brunatnymi wyrostkami, którym się rzuca pieniądze. Dnia 24 rano znaleźliśmy się znowu na otwartym morzu, w zatoce Sueskiej, północno-zachodniej odnodze Czerwonego morza. Woda ciemno-błękitna; na prawo i lewo, dość blisko, żółte piaski, z których tona wznoszą się zupełnie nagie, pięknie zarysowane, czerwone i brunatne góry.

Sinai.

Półwysep Sinajski, trzon górski w kształcie języka, wrzynający się w morze, oddziela zatokę Sueską od zatoki Akaba. Wielce ciekawi byliśmy ujżenia góry Sinai, lecz gdy sprzeczne były twierdzenia, który szczyt jest właściwy, musiałem się pocieszyć nadzieją, że sam kiedyś zwiedzę ten półwysep i wstąpię na właściwy jego wierzchołek. Obchodziliśmy wesołą wilię z zaimprovizowanym

drzewkiem, a dzieci jadące z nami otrzymały w darze japońskie zabawki, zakupione w Port-Saïd. Muzykę zastąpili nam misyonarze, między którymi znajdowali się dzielni śpiewacy.

*25 i 26 grudnia.* — Upały, dla których tak się wszyscy lękają podróży przez Czerwone morze, dają nam się czuć bardzo mało, jednak noce są parniejsze od dni. Wypłynęliśmy już dawno z zatoki Sueskiej i płyniemy bliżej afrykańskiego niż wschodniego brzegu. Wspaniały był dnia 25 zachód słońca po za wysokie góry, łańcuch Bereniki w Nubii. Czujemy, że się zbliżamy do strefy zwrotnikowej, a spostrzegamy to po jaśniejszym blasku gwiazd, z których kilka jaśniejących czerwonym blaskiem na widnokręgu, brałem za światło latarni morskich. Wenus odbija się w morzu tak silnie, jak na północy księżyc w pierwszej kwadrze. Dni są już widocznie dłuższe, o godzinie 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> jeszcze całkiem jasno. W bezmroczu gaśnie dzień w pełni światłości i oto noc.

Rankiem 26 minęliśmy zwrotnik i znaleźliśmy się na wysokości Djedda, portu Mekki, oddalonej stąd tylko o kilka mil w głąb kraju. Parowce Lloyda zatrzymują się w Djedda: my niestety mijaliśmy ją w takiej oddali, że nawet nie widzieliśmy wybrzeży. Jakże blisko obok siebie leżą te tak ważne miejscowości — najważniejsze dla rodu ludzkiego obok owych indyjskich, wśród których życie Buddy upłynęło — Nazaret, Jeruzalem, Sinai, Mekka. Sinai leży w pośrodku, Palestyna zwrócona ku Europie, tej przed wszystkiemi chrześcijańskiej części świata; Mekka tylko wąskim pasmem morza oddzielona od Afryki, która w właściwym słowa tego znaczeniu stała się mahometańską częścią świata.

Po południu przekroczyliśmy wysokość Suakimu i zbliżamy się do wysokości Massauah. Około zachodu słońca niebo schmurzone, morze stalowo-modre, można by myśleć, że się jest między Bergen a Drontheim.

Podróż przez  
Czerwone  
morze.

Święte  
miejsca.

Ostatecznie jednostajniej jest na naszym planecie, niż to sobie wyobrażamy, my sami tylko zawsześmy inni, chociaż na pozór jedni i ci sami. Więcej niespodzianek, niż podróż naokoło świata, zgotowałyby nam nasze serce, bylebyśmy je tylko tak badać mogli, jak przedmioty zewnątrz siebie.

Bab-el-Mandeb.

27 *grudnia*. — Ranek chmurny, silny wiatr z południa, który naszą żeglugę wstrzymuje. Jeśli nie ustanie, to zamiast dziś w nocy, dopiero jutro przed południem dotrzemy do Adenu. Sterujemy ku cieśninie Bab-el-Mandeb, która łączy morze Czerwone z zatoką Adeńską; oddalenie obu brzegów wynosi już teraz tylko nieco więcej, niż dwie trzecie części szerokości pod Djedda, a gdy się niebo rozjaśni, ujrzemy po południu oba wybrzeża, tak jak w zatoce Sueskiej. Płyniemy po zachodniej stronie, tuż obok nagiej wyspy Gebel-Teir, z której środka wznosi się wypalony wulkan; o półtorej godziny dalej, mijamy również wulkaniczne wyspy Zobaier; pod wieczór spostrzegamy jeszcze wyspę Zugurb, a wreszcie arabskie wybrzeże. Nietylko po niewielkiem oddaleniu jego, lecz i po mnóstwie spotykanych statków rozlicznej wielkości, widać, że zbliżamy się do cieśniny bardzo uczęszczanej.

Krzyż Południowy.

28. *grudnia*. — Jeszcze przed wschodem słońca byłem na nogach, aby oglądać Krzyż Południowy. Nie mogę zawtórzyć uniesieniu, z jakim za przykładem Humboldta wita go większa część podróżnych, widząc go po raz pierwszy; sądzę, że nasze konstelacye, n. p. Wielka Niedźwiedzica, są piękniejsze i bardziej pobudzają fantazyę. Okręt zmienił kierunek, przepłynęliśmy już cieśninę, i już nie płyniemy ku Adenowi w kierunku południowo, lecz północno-wschodnim, mijając łyse, wspaniale najeżone góry. Po kilku godzinach spostrzegamy w oddali port, pełen okrętów, a przed nim na straży czarne, dziwnej formy wysepki. O godzinie 10, bardzo daleko od brzegu, staje w ciszy nasz parowiec,

Przybycie do Adenu.

otoczony małemi łodziami, z których chłopcy murzyńscy rzucają się do morza i wołają o drobną monetę, aby się za to, jako nurkowie, popisać swą sztuką. Należą oni do szczepu Somalisów, który przywędrował tu z Afryki, tak jak najznacniejsza część kolorowej ludności Adenu. Każemy się wieść na ląd i wysiadamy przy Quai Steamerpoint, portowem mieście Adenu. Piętrowe domy, podcieniami ochronione od skwaru słońca; nieco wyżej większe gmachy, przy nich chorągwie na masztach, to urzędy i koszary; wszystko zaś ujęte łańcuchem brunatnych, łysych, miernie wysokich gór, nad którem krążą orły. Nad nami błękitne niebo, lecz już nie tyle ołowiane i nie tyle gniotące, a nawet odbicie promieni słońca od ziemi nie tak dotkliwie czuć się daje, jak tego oczekiwałem według opisu podróżników. Kilka wózków najpierwotniejszej budowy, ciągnionych przez bawoły z poganiaczami o brązowej cerze, odzianymi tylko w biały fartuszek skórzany i chustkę na głowie, a siedzącymi w kuczki u nasady dyszla — budzi w nas jakiś nastrój biblijno-egipski.

Mały półwysyp Adeński o kształcie młotka, tylko wąskim przesmykiem łączący się z lądem stałym, jest strażnicą Anglików, strzegącą wejścia przez morze Czerwone do ich indyjskich posiadłości. Podobnie usadowili się oni u innych cieśnin, w Gibraltarze i Singapur, i obsadzili wyspę Hongkong, która panuje nad wejściem do Kantonu, wielkiego ogniska handlowego w Chinach. Lecz żadne z tych miejsc nie graniczy tak bezpośrednio jak Aden z niezbadanymi prawie obszarami dziczy. Nawet na kilka mil tylko nie może się podróżnik zapuścić w sąsiednie, przez dzikie plemiona arabskie niepokozone ziemie, bez stawiania życia swego na niepewną kartę.

W powozie, weale europejskim, o płóciennym dachu, jedziemy z hotelu *de l'Univers* do miasta Adenu i sławnych cystern. Droga prowadzi wzdłuż pięknej zatoki, w węzowych zakrętach pod górę ku szczytowi,

Aden.

uwieńczonemu cytadelą, a stąd, wyciosana w skale, wiedzie na dół, do miasta, a tak jest wąska, że ją nam zamykają wielbłądy, ciągnące wózki, objuczone beczkami lub też idące pod wierzchem. Przełącz ta, jedna z najbardziej malowniczych, jakie znam, przypomina mi żywo podobny wąwóz w pobliżu Suedyeh pod Antyochią, w północnej Syrii.

Miasto, podobnie jak Steamerpoint, przecięte ulicami o prostych liniach, lecz o wiele więcej ożywione od portu, jest dla malarza prawdziwą kopalnią motywów. Spotkałem wyrostka, który na długiej tyce niósł ryby morskie, większe prawie od niego samego. Cysterny, zamknięte stromymi ścianami skał, leżą pół mili od miasta i są wspaniałą budową. Tu znajduje się też jedyny ogród całego obszaru, a jego drzewa i nieliczne kwiaty bywają jako cenna rzadkość strzeżone. Nigdy nie zapomnę studni, poniżej cystern leżącej, z wielbładami i malowniczo ubranymi kobietami dokoła — istny obrazek ze Starego Testamentu, a kto wie, czy równie charakterystyczny widziałem w samej Palestynie.

Towary  
murzyńskie.

W hotelu *de l'Univers*, w Steamerpoint, kupiłem po południu broń i nieprzemakalne naczynia na wodę z plecionki, pochodzące od Somalisów i innych plemion murzyńskich, osiadłych między Abissynią a Obokiem, krainą, zajętą przez Francuzów, leżącą zaś po afrykańskiej stronie cieśniny Bab-el-Mandeb. W owych stronach Afryki szukają też wrażeń myśliwskich angielscy oficerowie i turyści, przepędzający w Adenie po kilka tygodni. Obiad jedliśmy wśród ożywionej rozmowy z pewnym paryskim lekarzem i botanikiem, który tu z nami przybył na pokładzie *Avy* i kilka tygodni czasu poświęcić zamierza badaniom nielicznych gatunków traw, wiodących tu marny żywot po okolicznych skałach. Tak to człowiek wszędzie znajdzie pole do spostrzeżeń i zajęcia; nawet botanik na przyłaskę najbardziej nagim ze wszystkich skał świata.

Botanika.

Po zachodzie słońca zachwycało nas zabarwienie nieba i wody, a z nadejściem nocy, płynąc pod najpiękniejszym gwiazd sklepieniem, powróciliśmy do naszego parowca, gdzie kapitan i niektórzy towarzysze podróży tylko kiwaniem głowy odpowiadali na nasze zadowolenie z tych kilku godzin, spędzonych w Adenie. *Mais il n'y a pas de verdure*, to był ustawicznie powtarzany zarzut, tak, jak gdyby okolica jakaś koniecznie zieloną być musiała, aby być zajmującą. O godzinie 8 $\frac{1}{2}$  ruszył nasz statek w dalszą podróż.

*29 grudnia do 4 stycznia, 3-ej godziny po południu.* — O podróży przez Indyjski ocean niewiele pozostaje do zapisania, chyba to, że temperatura wogóle mniej jeszcze była duszna, niż na morzu Czerwonym, i że niebo i woda barwą i grą światła bogatą oczom moim przedstawiały rozmaitość, ilekroć oderwawszy wzrok od książki, powiodłem nim po morzu. Od czasu do czasu bawiły nas sztukami swemi latające ryby. W zbyt wielkiej odległości, żeby coś widzieć można było, przepływaliśmy koło przylądka Guardafu, wschodniego cypla Afryki, tak jak Cap Matapan sławnego z powodu wiecznie wzburzonego morza, z którego fal w górę wystrzela.

Dnia 30 grudnia mieliśmy wbrew wszelkim oczekiwaniom wiatr ostry, wiejący z północy. Przepływaaliśmy właśnie tuż po pod samą wyspę Sokotorę, daleko wzdłuż rozciągniętą, o nagich, łysych skałach, do których lepiły głęboko obwisłe białe chmury, o wzgórzach i kopcach piaszczystych, o uroczych osadach na brzegu, z których kilka prawie zupełnie kryło się w ogrodach. Niekiedy niebo było matowo-niebieskie, a morze lśniło brząskiem fioletowym, niekiedy znowu wody były ciemno-błękitne, jak morze Śródziemne, a widnokrąg okrywały fantastycznie ugrupowane chmury, które przy świetle zachodzącego słońca wyglądały jak orszaki bóstw promiennych.

Indyjski  
ocean.

Przybycie do  
Colombo.

Dnia 3 stycznia minęliśmy Maladiwy, zostawiając je zdala na lewo od siebie, a tylko latarnię morską miano zobaczyć za pomocą dalekowidu. Następnej nocy przepłynęliśmy obok Cap Comorin, południowej kończyny Indyi, a 4-go, około godziny 3 po południu, spostrześliśmy wybrzeże Ceylonu, całkiem płaskie i zielone od lasów kokosowych, sięgających aż do brzegu wyspy. O godzinie 4 stanęliśmy w porcie Colombo, zdumieni, że u brzegów wznosi się tyle widocznie katolickich kościołów, obok innych okazałych gmachów; w godzinę zaś potem, kazaliśmy się brunatnym krajowcom na ląd zawieść w dość niewygodnej łodzi.

Pierwsze  
wrażenia.

*4 do 7 stycznia rano. Colombo.* — Pierwsze moje wrażenie w chwili wstąpienia na ląd zaprawiły silnie woniejące, pstre bukiety kwiatów, ofiarowane nam przez małych chłopców, dalej wózki, zwyczajem japońskim przez ludzi ciągnięte i bardzo piękny hotel na miejscu wylądowania, pozostający pod niemieckim zarządca. Służbę kelnerów pełnią Singalezi o brunatnej cerze, biało odziani, a w warkoczu ich, w węzeł splecionym, tkwi grzebień. Gdy przed zachodem słońca wyszedłem w celu wyszukania konsula, mnożyły się pstre przedmioty, tak cudze i nowe, a nie zawsze sympatyczne w pierwszej chwili. Po ulicach olbrzymie drzewa, okryte żółtem, a zarazem czerwonym kwieciem; strój narodowy, złożony u większej części krajowców ze ściśle najnieodzowniejszych części ubrania; wozy, istne ruchome, z trzciny plecione chaty, ciągnięte przez bawoły. Prawdziwie uderzyła mnie tylko grupa palm kokosowych, ukośnie pochyłonych po nad zwierciadłem morza. Tak wyobrażałem sobie zawsze wyspy Południowego oceanu, a za taką właśnie powinien uchodzić Ceylon, nie zaś za przedłużenie Indyi. Komicznie wyglądają na tem tle *high-landerzy*, stojący na warcie w tysamym stroju, w jakim ich w Edynburgu widziałem, tylko z białym hełmem na głowie, i oficerowie,



grający na wielkiej łące w podbijanego (*football*), zupełnie tak, jak w Devonshire. Szczególnie wpadły mi w oko osobliwsze postaci dwóch białych, bosych, w jaszkrawo czerwonych sukniach, jeden w turbanie, drugi z długimi włosami, bez zarostu. Byli to kaznodzieje *Armii Zbawienia*, która tu swe praktyki rozwija.

Co mnie wciąż podczas pobytu mego w Colombo w podziw wprawiało, to olbrzymia rozległość miasta, które się zawsze na nowo rozpoczyna, gdy się je już za skończone miało. Wprawdzie ulice składają się tu tylko z chat, z rozmaitego rodzaju rupieciami na sprzedaż, albo też biegną wśród ogrodów, a tylko bardzo mała dzielnica, blisko portu, składa się z ulic i placów według naszego pojęcia. Cierpko rozczarowały mnie pierwsze kwiaty lotosu, które staw jakiś tak gęsto okrywały, że liście ich nadawały mu nieledwie pozór pola, zasadzonego kapustą.

Na jednym z przedmieść znajduje się dość wielka świątynia Buddy, zbudowana w nowożytnym stylu, z olbrzymim, drewnianym, pstro pomalowanym posągim, przedstawiającym Buddę w leżącej postawie, i z licznymi ściennymi obrazami. Kapłan w szatach pomarańczowych, udrapowanych w sposób całkiem starożytny, w okularach, z poza których spoziera na cię jak poborca podatków, podejmuje mnie skrzętnie i zmusza przy wejściu do wpisania nazwiska w księgę gości. Księga gości w świątyni Buddy! Zaiste, świat robi się coraz bardziej szablony!

Niedaleko stamtąd stoi świątynia Hindusów; cała fasada jej pokryta malowniczą rzeźbą w poczwary, a progów jej przestąpić nie wolno. Świątynie Hindusów nazywają się tu powszechnie świątyniami Tamilów, ponieważ wyznawcami religii Hindu są Tamilowie, przybyli do Ceylonu z południowych Indyi, a żwawszy i zwinniejsi od ospałych Singalezów, którzy stanowią rdzenną ludność wyspy i zaliczają się po większej części do wyznawców

Świątynia  
Buddy.

Tamilowie.

Katolicka  
katedra.

Buddhy. Lecz wśród krajowców, zwłaszcza wśród ludności nadbrzeżnej, znajduje się też wielu chrześcian, a między nimi od czasu portugalskich jeszcze rządów, wielu katolików. Katolicka katedra w Colombo jestto okazała, nieskończona jeszcze budowa kopułowa, a jakby miłe wspomnienie Toskanii, stanęło przed oczyma memi probostwo z małym krążankiem. Francusecy ojcowie pełnią tu służbę Bożą i obowiązki duszpasterzy. W niedzielę podczas sumy nabity jest kościół brunatnymi ludźmi, po większej części całkowicie ubranymi i klęczącymi pobożnie; kobiety mają haftowane chustki na głowie, w które się tylko do kościoła ubierają. Podobnie musi wyglądać nabożeństwo w Meksyku albo w środkowej Ameryce.

Muzeum.

Po innej stronie od serca miasta, leży pośród pięknego parku dopiero przed kilku laty założone Muzeum, z bogatymi stosunkowo, przyrodniczymi i etnograficznymi zbiorami, między którymi znajduje się posąg Buddhy z połączanego brązu, starożytne rzeźby kamienne, zbroje, przedmioty służące do ozdoby. Podział i układ okazów są znakomite.

Oriental  
Hôtel.

W *Oriental Hôtel* zajmowaliśmy pokoje, których ściany ze względu na wentylację nie sięgają do samej powały. Mój spokój w nocy był wskutek tego często zakłócony, bo za sąsiadów miałem niestety małżeńską parę niemiecką, której żeńska połowa uwzięła się, jak się zdaje, na to, aby dosadnością przewyższyć jeszcze kazania małżeńskie pani Caudle. Ze wstydem wyznaję, że gniew mój o to, iż mi spać nie dawano, przeważał o wiele ludzkie współczucie dla owej biednej ofiary dosadnych tyrad. O świcie budziło mnie regularnie skrzeczenie kruka, który wlatywał przez otwarte okno i w moim pokoju czuł się widocznie jak u siebie. Bardzo wielka i pięknych rozmiarów jest sala jadalna, w której podczas jedzenia *pankhá*, t. j. na żerdziach utwierdzone

kawałki sukna wytwarzają nieustający przewiew powietrza. Do zbyt pieprzonych potraw nie mogłem się przyzwyczaić.

*Poniedziałek 7 stycznia.* — O godzinie 7 rano siedzieliśmy w wygodnym *coupé* pociągu gotowego do odjazdu do Kandy, starożytnej stolicy we wnętrzu wyspy; w sąsiednim wagonie znajdował się nasz służący, Singalez, przyjęty na czas pobytu w Ceylonie. Musi on pochodzić ze znakomitej rodziny, jak to poznać można po klasycznym profilu jego twarzy, szlachetnej powadze, małych, wąskich rękach i nogach; był też wspaniałym modelem dla malarza, lecz niestety tak nędznym służącym, jak rzadko gdzie podobnego spotkałem.

Pierwsza część drogi zajęła nas bardzo. Bagna z bogatym światem zwierzęcym, wspaniałe lasy palmowe, przez które majestatyczna rzeka drogę sobie toruje. W ślad za tem zjawiają się w oddali i znikają znowu wysokie góry o rozmaitych kształtach. Kolej poczyna teraz piąć się pod górę bez przerwy, aż do samego prawie Kandy, lecz ta linia górską, o której przesadne pochwały słyszałem i czytałem, sprawiała mi jedno rozczarowanie po drugim. Żółto-zielony kolor pól ryżowych po dolinach jest wprost szpetny, a jeśli się kto roślinom z osobna nie przygląda, to jadąc pośród tych krzycząco zielonych wzgórz, mógłby sądzić, że się przeniósł do środkowych Niemiec. Jedna z gór przedstawia się jakby istny Gaisberg pod Salzburgiem.

Jechaliśmy wśród plantacji herbaty, cacao i kawy, wśród zgrabnych dworeczków kolejowych, przy których szpalery róż przyjemnie mnie uderzyły, a około godziny 11 przybyliśmy do Kandy. Ponieważ w mieście tem dopiero z powrotem kilka dni zabawić zamierzaliśmy, pojechaliliśmy tedy jeszcze o milę dalej, do Mattala, gdzie się na teraz kończy odnoga kolei, wiodącej z Kandy na północ. Nieszczególna to miejscowość w nieszczególniej górzystej okolicy. Oko ucieszyć się

Kolej do  
Kandy.

Mattala.



Klasztor  
Buddhystów.

może tylko kilku nadzwyczaj pięknymi palmami i jaszczurkami z gatunku kameleonów, które wspinają się na drzewa a na pierwszy rzut oka podobne są do wieiórek. Mieszkamy w *resthouse*, w jednym z domów, które przezorny rząd na wszystkich bardziej zwiedzanych miejscach wyspy dla podróżnych pobudował i we wszystko, co potrzebne, zaopatrzył; wkrótce po przybyciu wyjeżdżamy do Alu-Vihara, starego klasztoru Buddhystów, oddalonego o pół godziny drogi. Stroma ścieżka skalista wiedzie na górę, gdzie stary i młody kapłan Buddy, odziani w tradycyjną żółtą suknię, mieszkają i modlą się w wąskich izdebkach i kaplicach, wydrążonych w skałach, przygniatających je swoim ciężarem. Żywo stanęło mi w pamięci Subiaco, a jeszcze bardziej celki po skałach powyżej ementarza św. Piotra w Salzburgu, i tylko palmy, strzelające w górę pomiędzy grotami, nadają obrazowi tropikalne piętno. W kaplicach znajduje się najczęściej olbrzymi pomalowany Buddha, z drzewa albo stiuku, w leżącej postawie, jak ów, którego w świątyni w Colombo widziałem. Tak go wyobrażają, jak umierając, osiąga nirwanę, wieczną szczęśliwość; po wszystkich też krajach buddhystycznych spotykamy wizerunki leżącego Buddy, tak często, jak po chrześcijańskich obraz Ukrzyżowanego. W jednej z jaskiń znajdujemy obok leżącego posąg siedzącego Buddy, otoczonego postaciami uczniów. Młodszy kapłan przyniósł świętą księgę, dwie długie a wąskie, pomalowane deszczułki drewniane, między nimi żółte paski z wysuszonych liści palmy wachlarzowatej, zapisane czysto pismem Singalezów. Jeszcze dalej nieco od Mattala, leży inny Vihara na stromej, lesistej pochyłości. Kapłani mieszkają na znacznej wysokości, a dobry jeszcze kawał nad nimi stoi mała świątynia z leżącym Buddą w swem wnętrzu.

W powrocie do *resthouse* przejeżdżałem obok otwartego, drewnianego gmachu, a dokoła niego i we-

wnątrz spostrzegłem tłum ludzi. Woźnica powiedział mi, że to jest budynek sądowy. Wsiadłem i przypatrywałem się przez czas pewien biegowi rozprawy. *Pankhá* powiewa nad sędzią, a jest nim Anglik, który ma tłumacza obok siebie. Podziwiałem kilku więźniów, że nie uciekli z leżącego obok, bardzo niedołącznie zabezpieczonego więzienia, co by im z pewnością nie było sprawiło trudności. Pewniej bezwątpienia od zamków i wrzeczadźdów, zatrzymuje ich na miejscu flegma, właściwa wszystkim Singalezom. Wieczorem, podczas przechadzki poobiedniej, widzieliśmy drzewa, gęsto zasiane rojami świecących chrząszczyków, coś jakby naturalna iluminacya.

Budynek  
sądowy.

8 stycznia. — Siedzimy z napiętrownymi dokoła nas pakunkami w niewygodnym i złymi końmi zaprzężonym wozie. Na koźle woźnica Mahometanin, na tylnym stopniu Tamil, dozorca koni, który nam w uszy trąbi, ilekroć jakiś wóz albo przechodzień się zjawi, i co chwila zeskakuje, aby biegnąc za końmi i krzyżąc dodać im bodźca, albo też poprawić coś u tak zwanych szorów, które po większej części ze sznurków się składają. O godzinie 1 $\frac{1}{2}$  po południu opuściliśmy Mattalę i jedziemy na północ wozem pocztowym, który w całości wynajęliśmy dla siebie.

Wóz  
pocztowy.

Powietrze jest tak wilgotne, że ledwie można cygaro zapalić, a wkrótce na niezupełnie chroniący nas dach wozu spada ciepły deszcz, z którym już w Colombo zrobiliśmy znajomość. Okolica nieszczególna; w drugiej połowie wieszcie droga bez przerwy przez gęsty las, ponad którego drzewami żadnych gór wznoszących się nie widać. Cztery stacje, a przy każdej z nich potrzeba zaprzęgać świeże konie o 30 kroków po za budynkiem stacyjnym, bo inaczej nie możnaby ich ruszyć z miejsca, a i tak nie obejdzie się ani razu bez wrzasków, bata i rzucania kamieni.

Wilgoć  
powietrza.

Dambul.

O godzinie 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> spostrzeżliśmy na zachód od gościńca samotnie wznoszącą się, potężną skałę granitową, charakterystyczne znamię całej okolicy. Poniżej leży nasz tymczasowy cel wycieczki, miejscowość Dambul. W górze, na skałe znajdują się sławne groty klasztoru; skorzystaliśmy też jeszcze ze schyłku dnia, aby się pędem wdrapać na górę. O wiele dłużej, niż przypuszczaliśmy, ciągnęła się droga, wiodąca zrazu po stopniach, dalej przez gładką skałę, wreszcie piętrząca się nadzwyczaj malowniczo wśród gęstych zarośli, przywodząc na myśl podobne ścieżki w okolicach Rzymu. Z góry widok dokoła na morze niebieskawo-zielonych lasów, ujętych w kierunku południowym i zachodnim w ramy fioletowych gór, po części w szlachetnych konturach rysujących się w oddali. Na wschodzie sterczy z równiny kostka, oznaczająca miasto Sigiri, ważne w dziejach Ceylonu. Do grot świątyni mogliśmy tylko okiem rzucić, a ja zachowałem sobie ich zwiedzenie na dogodniejszą porę dnia.

Wóz  
zaprzęzony  
wołami.

O godzinie 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wieczór leżałem dość wygodnie na materacu. Nademną dach z trzciny pleciony, podemną cztery koła, a wszystko to ciągną silne bawoły. Był to wóz pocztowy, dążący do Anuradhapura, starożytnego buddhystycznego grodu, leżącego w gruzach. Fischer pozostał w Dambul, aby malować.

Anuradh-  
pura.

9 stycznia. — Odpocząłem jako tako w nocy, a nawet przespałem kilka stacy, gdzie zaprzag zmieniano, i obudziłem się o 8 rano u celu mej podróży. Dzisiaj składa się ta miejscowość z poszczególnych *bangalo*, t. j. mieszkań Europejczyków i z chat krajowców, które leżą rozprószone po pewnym rodzaju Prateru albo angielskiego parku, z samotnymi wspaniałymi drzewami i wypalonymi łąkami. Tuż obok znajduje się jedna z największych świętości Buddhystów, najstarsze historyczne drzewo na ziemi, figa, zasadzona w III stuleciu przed Chrystusem, rzekomo z gałęzi drzewa, pod którym

Święte drze-  
wo figowe.

w Buddha-Gayá w Bengalu wiekami przedtem spłynęło na Sakyamuni'ego objawienie. Szerokie schody prowadzą na górę do niego, krata go strzeże, a dokoła powstały małe kapliczki i mieszkania kapłanów. Dziś jeszcze, jak przed 2000 lat, ciągną do niego po nocach letnich, podczas pełni księżyca, gromady pielgrzymów i podnoszą pobożnie listki, spadające na ziemię. W sąsiedztwie jego wznosiła się niegdyś przepyszna stolica, z okazałymi świątyniami, łaźniami, pałacami, posągami. w której przez długi szereg wieków, od r. 500 przed Chr. do roku mniej więcej 700 po Chr. tyrani i pyszni kapłani, zwycięscy wojownicy i królowe-zwodzicielki odgrywali ową wiecznie i wszędzie wznawiającą się komedię ludzką. Po jej zdobywczych wyprawach i pałacowych rewolucjach, po jej sporach religijnych i po prześladowaniach kacerzy, po gwałtownem nawracaniu niewiernych i po mądrych prawach nie przeszło nic do naszych czasów z wyjątkiem kilku kartek niedołożonej kroniki, i tylko szczątki jej gmachów budzą w nas rzewne, a nie bez podziwu współczucie, jak każde w gruz rozsypane dzieło ludzkie na tym planecie.

Część ruin Anuradhapura, rozciągających się w wielkim obwodzie, zwiedziłem w wozie, ciągnionym przez bawoły, należącym do agenta rządowego tego okręgu; jechałem tam w towarzystwie elegancko po europejsku ubranego Singaleza, który jako urzędnik rządowy mówi od biedy po angielsku, a nosi dziwnie dla ucha ludzi z Zachodu brzmiące nazwisko Nelapanaveva. Skwar był ciężki, lecz przecież upał był znośniejszy, niż w Colombo albo Mattala, bo atmosfera mniej była wilgocią przesycona. Najznaczniejszymi budowlami są *dagoby*, kopułowe gmachy bez wejścia do wnętrza, wznoszące swe sklepienia nad jakąś relikwią, a opatrzone u góry szczytem, który się składa ze zmniejszających się i wznoszących nad sobą pierścieni, na pamiątkę siedmiorakiego parasola, godła Buddy. Najślawniejszą jest *dagoba* Thu-

Dagoby.

parama, pobielona wapnem, a według podania starsza, niż jakikolwiek inny budynek w Indyach; zawiera ona w sobie rzekomo łopatkę Buddy. Otaczają ją słupy kamienne i schody. W pobliżu jest piękna wanna, z jednej bryły kamienia wyciosana, podobna do bizantyńskiego sarkofagu; dalej bez planu na pozór poustawiane słupy kamienne; jeszcze dalej nieco wielka *dagoba* Ruanvaeli, wysoki, zupełnie zarośnięty stożek ceglany, a przed nim budka strażnicza, chiński sposób budowania przypominająca. Podobne stożki ceglane znajdują się tu w tak wielkiej ilości, że nadają okolicy odrębny charakter. Zresztą są jeszcze w pobliżu grupy słupów z kapitelami, z balustradami i ornamentami zwierzęcymi i szczątki schodów z półkołem u najniższego stopnia, które w jednakowy sposób ciągle się powtarza, na wzór łuku w romańskim kościelnym portalu. Zewnątrz półkole ze zwierzętami: słoń, lew, koń, bawół, trzy lub cztery razy po sobie wciąż w tym samym porządku, dalej półkole z ornamentem jakby o romańskim zakroju, z kolei trzecie ze świętymi gęsiami, a wreszcie znowu jedno z tym samym ornamentem.

Ruiny.

W rozległym, pięknym lesie, złożonym z drzew niskich, ciemno-zielonych, jasno-piennych, przypominających mi dęby bezszypułkowe krajów morza Śródziemnego i pozwalających oku memu spocząć na sobie po jaskrawej zieleni, z którą się dotychczas prawie wszędzie w Ceylonie spotykałem, leżą rozrzucone malownicze szczątki pałaców, wspaniałych łaźni i pławiska dla słoni. Tu i owdzie posągi siedzącego Buddy, niezupełnie wolne od wpływów sztuki greckiej, albo wielkie, ociosane kamienie, którym Anglicy z powodu ich kształtu nazwę *Stone-canopy* i *Stone-canoe* nadali. Materiału do nich dostarczył prawie bez wyjątku szary, do łupku podobny kamień, niestety nieszczególnie twardy.

Przed izbą sądową, gdzie, podobnie jak w Mattala, właśnie sprawę załatwiano, wdałem się w rozmowę



z sołtysem wsi o poważnem wejrzeniu, który okrycie głowy miał podobne jak nasi kucharze, z tą różnicą, że zrobione było z twardego płótna i tektury.

Na werandzie *resthouse*, gdzie zajechałem, leżały liczne skóry małp i wspaniałych, różnobarwnych ptaków. Około wieczora zjawili się właściciele tych trofeów: dwaj sportsmeni, przybyli z Australii, i dwaj szwedzcy przyrodnicy, którzy z polecenia rządu swego odbywali podróż naukową.

Trofea  
myśliwskie.

Po miłej wieczery u agenta rządowego, którego żona swój *bangalo* umiała sobie urządzać na sposób angielski jak najmilej, położyłem się znowu na wozie, podobnym do tego, w którym przyjechałem, i rozpocząłem podróż z powrotem do Dambulu, niezadowolony z tego, że nie mogłem, choćby raz jeszcze, rzucić okiem na ruiny i bliżej im się przypatrzeć. Po drodze wysiadłem, i w lesie wyprzedziłem o wiele mój ciężko poruszający się wehikuł, rozważając w czasie cichej nocy zwrotnikowej wrażenia dnia ubiegłego.

*10 stycznia.* — O godzinie 3 rano zerwałem się, obudzony krzykiem. Była to kłótnia moich ludzi z zawiadowcą poczty na jakiejś staeyi, który nie chciał zaprządz świeżych wołów. Wóz mój nie był tym razem pocztowym wozem, w którego wynajęciu mnie ktoś wyprzedził, lecz własnością prywatną; atoli powoził nim służący rządowego agenta, dobrze znany na całej tej przestrzeni. Otóż ten improwizowany woźnica i mój służący o orlim profilu, okazali jako szczerzy Singalezi tak zupełny brak energii, że dopiero na moje groźby i przedstawienia dano mi dwa wspaniałe zwierzęta, które wyjątkowo świetnie kłusowały.

Przygody  
w podróży.

Około godziny 8 budzę się znowu wśród hałasu i wstrząśnień — oto świeżo zaprzężonymi, jeszcze silniejszymi wołami wjechaliśmy szczęśliwie do przydrożnego rowu, z którego wóz nasz tylko wspólnemi siłami z trudem wydobyć zdołaliśmy, i to dopiero przy pomocy

przechodnia, który się przypadkowo zjawił. Po upływie godziny dotarliśmy do *resthouse* w Kekorava, gdzie odpocząłem i z apetytem zjadłem śniadanie, które uzupełniła kura, w oczach mych przez gospodarza zastrzelona.

Dopiero około 2 godziny po południu, ujrzałem wreszcie zdaleka skałę Dambulu. Powrót mój z Anuradhapura kosztował mnie pięć godzin czasu więcej, niż jazda tamże, wozem pocztowym odbyta. Niestety musiałem sobie odmówić zwiedzenia Polonnaruwa, drugiej miejscowości w gruzy rozsypanej, o dzień drogi na wschód od Dambulu leżącej. Jest ona młodsza od Anuradhapura i mniej rozległa, lecz o ile z fotografii wnioskować mogłem, bogatsza w posągi i inne rzeźby.

Groty  
w Dambulu.

W Dambulu wdrapałem się zaraz po moim powrocie znowu na skałę, do owych grot klasztornych. Bardziej jeszcze, niż w pobliżu Mattala, uderza podobieństwo ich położenia do owych grot powyżej ementarza św. Piotra w Salzburgu. Kapłani z kluczami byli pod ręką, obejrzałem więc owych pięć jaskiń dokładnie. Są one bardzo rozmaitej wielkości. Do pierwszej z nich, średnich rozmiarów, prowadzi portal z sztukaterią w rzeźbione smoki i inne poczwary, a wewnątrz najbardziej godnym widzenia jest drewniany posąg Vishnu, który jest przedstawiony czarny jak murzyn. Figura ta stoi za zasłoną, uchylającą się tylko w nadzwyczajnych wypadkach. Z kolei następują dwie bardzo wielkie jaskinie, pełne drewnianych posągów bogów i Buddy, królów i bohaterów, pełne małych *dagob*, a ściany ich i powała, zniżająca się od tyłu ku dołowi, t. j. podstawa skały ciężącej na jaskini, upstrzone są mitycznymi i historycznymi scenami. Cały ten mitologiczny kram dowodzi, jak silnie zmieszał się na Ceylonie buddyzm z innymi obcymi mu pierwiastkowo żywiołami. Nadzwyczaj malownicze jest wrażenie całości w oświetleniu pochodni, lub też przy skąpo przez drzwi wpadającym świetle dziennem; kto chce nabrać pojęcia o chara-

Malowidła.

kterze tych obrazów, niech pomyśli o prastarych chrześcijańskich freskach w krypcie kościoła San Clemente w Rzymie, albo też o mozaikach kopuły baptysterium we Florencji. Jeden z głównych obrazów na stropie przedstawia pokuszenie Buddy przez złego ducha, Marę, przedmiot, który także w świątyni Buddy w Colombo widziałem bardzo obszernie traktowany. Tu jedzie Mara na słońcu, około którego nóg wąż się wije. Ma trzy oblicza i tyleż par ramion, odziany jest bogato i rodzajem tiary uwieńczony. Malowidła i rzeźby tutejszych grot uważam za niezbyt stare, chociaż bardzo trudno jest oznaczyć czas powstania dzieł tej sztuki, skostniałej równie jak bizantyńska. Dwie pozostałe jaskinie są to całkiem małe izby i zawierają nie wiele rzeczy godnych uwagi, z wyjątkiem drzwi drewnianych, które wyglądają jakby dzieło wczesnego włoskiego renesansu.

Przed naszym *resthouse* stoją palmy kokosowe. Kazaliśmy zerwać jeden owoc, w którego mlecznym soku żadną miarą dobrego smaku dopatrzeć się nie mogłem. Wieczorem przechadzka po miejscowości. Naprzeciw nas pędzi Tamil, odziany tylko w skórzany fartuszek, na głowie trzyma węzełek i dzwoni; jestto posłaniec pocztowy do Trincomali, portowego miasta na wschodnim wybrzeżu Ceylonu.

*11 stycznia.* — Już przed wschodem słońca byłem na nogach i oglądałem Południowy Krzyż, który prostopadle stał nad naszą głową; następnie raz jeszcze na pożegnanie wybraliśmy się w drogę do grot, ażeby fotografować niektóre szczegóły i kapłanów. Wąwozy na górze i całe otoczenie jaskiń zastaliśmy ożywione gromadami zabawnych małp; najkomiczniejsze były samiczki z młodem, zawieszonemi na szyi. Widok dokoła w oświetleniu porannego słońca wynagrodził nam sowiec trudy wczesnego wstania.

O godzinie 8 wsiedliśmy do wozu pocztowego, jadącego do Mattala, gdzie stanęliśmy koło południa.

Poczta  
Tamilów.

Małpy.

Po drodze, w czasie zmiany koni, polowanie na motyle o najjaskrawszem ubarwieniu; małe zielone papugi o czerwonych dzióbach uwijały się po gałęziach drzew. Po godzinie jazdy koleją z Mattala stanęliśmy w Kandy.

*11 stycznia po południu do 16 po południu.*

Kandy.

*Kandy i okolica.* — Małe jezioro, otoczone niskimi, zielonymi wzgórzami, obok jakby małe Colombo — to Kandy. Jezioro jest sztuczne; założył je na początku naszego stulecia ostatni niezawisły król Kandy. Dokoła jeziora wybiegają obecnie na wzgórze wspaniałe gościńce, jakie tylko w angielskich posiadłościach znaleźć można; wiodą one do miejsc, z których rozciąga się przed okiem wędrowca widok na cały przepych zwrotnikowego świata. Pośród olbrzymich drzew, około których pną się powoje z czerwonym kwieciem, bieży oko ponad doliny rzek w dal ku fioletowym łańcuchom gór o pięknych kształtach. Na jednym ze stoków, niedaleko od jeziora i od miasta, leży wśród ogrodu, pełnego *figus elastica*, bambusów i innych drzew tej strefy, pałac gubernatora, pochodzący, jak się zdaje, z czasów gdzieś około r. 1840. W ogrodzie mają pantery odbywać nocne przechadzki. Ja nie spotkałem się z żadną, lecz za to z długą procesją żółto udrapowanych kapłanów Buddy, idących sznurem do pobliskiej świątyni — rzekłbyś, ożywiona grecka płaskorzeźba. Między tym ogrodem a jeziorem, wznosił się obszerny pałac królewski. Tylko poszczególne jego części utrzymały się jeszcze, mianowicie wielka sala, teraz w izbę sądową zamieniona, a odznaczająca się wielce ciekawymi drewnianymi kolumnami snycerskiej roboty, a w dość znacznem oddaleniu stamtąd, jedno skrzydło przebudowane na dom mieszkalny któregoś z urzędników rządowych. Na fasadzie domu znajdujemy niezgrabne lwy ze stiuku, w kilku pokojach zaś reliefy z tego samego materiału, przedstawiające ludzkie postaci naturalnej wielkości

z kitami do opędzania much, inne znów całkiem małe, dalej lwy i święte gęsi.

Największą osobliwością Kandy jest świątynia Buddy, w której przechowują rzekomy ząb jego. Leży ona tuż przy szczątkach pałacu królewskiego, a codziennie przed wieczorem można słyszeć z *Queens Hotel*, gdzie mieszkaliśmy, a który leży na drugim końcu jeziora, rozdierającą uszy muzykę, zapraszającą wiernych w zastępstwie naszych dzwonów na wspólne modły. Fasada jest dość niepokazna. Przeszedłszy między dwoma rzędami kalek i żebraków, wstępuje się po kilku stopniach na otwartą galerię, gdzie wierni mogą się zbudować wizerunkami buddhystycznych kar piekielnych, a napisy wskazują rodzaje zbrodni, za które te kary są naznaczone. Najgorzej wychodzą świętokradcy i ci, co szcędzą mieszka dla kapłanów. Stąd wstępuje się na wewnętrzne podwórze przez bramę, przed którą siedzą muzykanci i przekupnie, sprzedający na miskach kwiaty, przeznaczone na ofiary w świątyni. W środku podwórza wznosi się właściwa świątynia, budynek niewielki, pstro pomalowany, z dachem prawie o chińskim zakroju. Na drzwiach i podporach dachu bardzo oryginalne malowidła, wyobrażające ludzkie postaci i ornamenta. Wewnątrz kilka zasłonami od siebie oddzielonych komnat, zanim się przyjdzie do miejsca najświętszego, w którym wieczorem bezustannie niemiły ścisk panuje. Woń kwiatów jest odurzająca; piękne są ruchy kobiet, które składając się podnoszą kwiaty obydwoma rękami ku czołu, aby je potem po jednym upuszczają na ziemię. Skrzynie, kaplice, skarbee z kosztownymi ofiarami, ciżba, wszędzie natrętni kapłani ze swymi *offering-boxes*. Tylko w kościele św. Grobu w Jerozolimie widziałem greckich popów, którzy tutejszych jeszcze przewyższali w natrętnej cheiwości. Święty ząb zamknięty jest w skrzynce i nie bywa pokazywanym. Prowadzono o niego wojny i dziś jeszcze jest świętością narodową milionów. Mówią,

Świątynia  
Buddy.

że jest tak olbrzymi, iż żadną miarą nie mógł należeć do człowieka. W pobliżu wielkiej świątyni, jest druga mniejsza, piękna, z portalem, podobnym do portalu pierwszej grotty w Dambulu; tuż obok szczególnie misterna *dagoba*.

Dokoła Kandy leżą najbogatsze i najznamienitsze w Ceylonie klasztory Buddhystów. Jeden z nich posiada bardzo pięknie rzeźbione drewniane słupy w otwartym krużganku, obiegającym dokoła cele. Niedaleko od *Queens Hôtel* stoi świątynia Hindusów, do której nam, jak dotychczas do wszystkich innych, wzbroniono wstępu. Przed bramą siedział młody kapłan zagłębiony w świętej księdze. Czy to był bramin? Na Ceylonie, jak powiadają, niema prawdziwych braminów. W każdym razie nie przypominam sobie, abym kiedy widział szlachetniejszą postać ludzką. Naszemu wezwaniu, żeby się pozwolił fotografować, odmówił dumnie i z godnością.

Kapłan indyjski.

Ogród w Perenedia.

Ogród botaniczny w Perenedia pod Kandy słusznie na świat cały jest sławny. Ogrodnik, Malajczyk, służył nam za przewodnika. Ludzi tej rasy używają w Ceylonie najchętniej, gdzie chodzi o czystość lub punktualność. Po największej części pochodzą oni z Jawy i żwawsii są od Singalezów, a pewniejsi od Tamilów. Ogród jest olbrzymich rozmiarów, a osobliwością jego są olbrzymie okazy *ficus elastica*, z węzowatymi korzeniami, okrywającymi ziemię daleko w okół, dalej drzewa jadowite i chinowe. Znajdują się też tutaj prawie wszystkie rodzaje palm całego świata. Wracając z Perenedia, spotkaliśmy szereg wozów, a w nich francuskie zakonnice, używające przejażdżki ze swymi brunatnymi wychowankami.

Adams pik.

Weczesnym rankiem wybraliśmy się w drogę na Adams pik, najbardziej znaną górę na wyspie, z zamiarem wdarcia się na jej szczyt. Koleją, wiodącą z Kandy na południe, jechaliśmy aż do stacyi Hatton przez pół-trzecia godziny, pnąc się często stromo pod górę, naj-

częściej zaś przez plantacje herbaty i kawy, a stamtąd jeszcze przez cztery godziny podążaliśmy wozem dalej do Maschelia. Droga wiedzie przez doliny rzeczne i znowu przez wzgórza herbatą i kawą zasadzone, wogóle więcej z góry na dół, niż pod górę, aż do pięknie położonego najwyższego punktu, uwieńczonego liściastymi drzewami, zdala podobnymi do pinii. Od tego miejsca począwszy, bardziej zajmującym staje się krajobraz, który dotąd jednostajnością swą ustępuje pierwszeństwa chyba niektórym tylko okolicom Moraw z ich osławionemi aleami drzew śliwowych. Przed oczyma naszymi odsłoniła się urocza dolina, zamknięta w oddali ścianami skał, z których staczają się wodospady. Nad całością góruje urwisty stożek, Adamspik, którego szczyt w chmurach spowity, od czasu do czasu tylko okazywał się oku naszemu. Można by go nazwać brunatnym Matterhorn, lecz łatwiej i z mniejszem niebezpieczeństwem dostać się nań można, niż na ów biały szczyt pod Zermatt, gdyż Adamspik ma tylko 4000' wysokości, a do świątyni Buddy na najwyższym jego szczycie wiedzie droga po części jak schody w skale wykuta. Drogą tą uczęszcza mnóstwo pielgrzymów, i dziś też przegoniliśmy ich, postępujących w kilku nader licznych oddziałach. Dzięki swym smukłym kształtom i nieznacznemu wzniesieniu okolicznych gór, Pik wydaje się daleko wyższym, niż jest w rzeczywistości. W nieznacznej tylko odległości poniżej wąwozu leży Maschelia, plantacja herbaty pana Gripson, do którego mieliśmy list polecający. On sam bawi w Colombo, lecz zarządcą jego domu, Malajczyk, oddaje do naszego rozporządzenia pokoje, kuchnię, przewodników i tragarzy, potrzebnych do wyprawy na Adamspik. Róże kwitną w obfitości dokoła przyjemnego domu, a zawsze jeszcze wolę je od wszystkich lotosów i innych zwrotnikowych kwiatów. Podczas gdy Fischer zasiadł do malowania, skłębiły się na niebie chmury gromady, deszcz zaczął padać, i zdaje się, że o naszej

wyprawie dnia dzisiejszego i myśleć nie można; postanawiamy więc wrócić, nazajutrz bowiem chcemy już być w Colombo, w mniemaniu, że nasz parowiec za dwa dni odpływa do Indyi; nocujemy więc tylko w niezbyt ponętnych pokojach hotelu w Hatton.

Niedaleko stąd leży Novara Elia, ulubiona stacya klimatyczna, do której też kolej prowadzi. Wszyscy nam radzą, żebyśmy tam pojechali; ma tam być tak jak w Szwajcaryi, co właśnie dla nas (nie mówiąc już o szczupłości czasu) dostatecznym jest powodem, żeby tam właśnie nie jechać. Przez Kandy powróciliśmy tedy do Colombo. Dzięki szczególnej grze światła, o wiele dziś ciekawszą, niż ostatnim razem, wydała mi się kolej górską, wiodąca w dół od Kandy. Za przybyciem naszym do Colombo, uderzające widowisko siwych zastępów chmur, które jak dym olbrzymiego pożaru odcinały się od pomarańczowego nieba.

*16—21 stycznia. Colombo i okolica.*

Palm korony księżyc złoci,  
Pnie w powojów splotach toną,  
Górą — chmurki śnieżno białe,  
Dołem — morza srebrne łono.

Fale szumią, świerszcze grają,  
Miłość ptasząt pieją chóry,  
Siejąc w pełni księżycowej  
Blask szmaragdów swemi pióry.

Czerwień brzegów, czarne skały,  
Oceanu ton straszliwa —  
Wtem cne ladies, gentlemenów  
Do obiadu dzwonek wzywa...

Zwolna elegantek koło  
W hotelowej staje sali,  
Jak w londyńskim highest-season,  
Jak wycięte gdzieś z żurnali!



Mężczyzn tłum, spencery białe  
 Pas niebieski opromienia,  
 Zaś krawatek szyk — szyk koszul  
 Nie zna nawet skazy cienia!

Na talerzach z Minton-China  
 Apetytom swym dań niosą,  
 A brunatnych czeruń sługusów  
 Przy stolickach biega boso...

Gdy już długa uczta minie,  
 Gra się w bilard albo wista,  
 A niektórych — i to bywa —  
 Czeka flirtu chwila mglista.

Ja uciekam z tej Old-England,  
 Jednakowej, jak świat wielki,  
 Patrzę znów na morze, palmy,  
 I na gwiazdy, marzycielki...

Wiersze powyższe powstały pewnej nocy księżycowej w Mount Lavinia, przylądku na południe od Colombo leżącym. Znajduje się tam elegancko urządzone hotel, w którym dwa dni rozkosznego używałem spoczynku. Przypominam sobie, że podobne nocy, jak w owych zwrotkach wspomnianą, przeżyłem tylko pod piramidami w Gizéh i w Biskra na granicy Sahary. Jak w owych dwóch miejscowościach pustynia, tak tu piasek nadbrzeżny mienił się ceglastą barwą w promieniach księżycy, a morze, skały, palmy, które mnie już za dnia zachwycały, wywierały teraz czarowniejszy jeszcze urok. Nie tylko nazwa Mount Lavinia przypomina Rzym; hotel z białymi kolumnami *Empire*, wybudowany pierwotnie na letnią rezydencję gubernatora, błękitne morze, urwisty przylądek, przenoszą podróżnego do Ostyi albo do Terraciny, a tylko palmy kokosowe przypominają mu sąsiedztwo równika. Powietrze w porównaniu z Colombo ma tu więcej ożywejszej świeżości,

Mount Lavinia.

a ranne kąpiele morskie przy ciepłocie wody o 26° Réaumur'a nie chłodzą wprawdzie, ale bawią przecież dość silnym ruchem fal. Salonowy kostyum elegantów ceylońskich taki jest, jak go powyższe strofy opiewają, a komiczniejszy jeszcze może, że do białego spencera, w którym wyglądają jak kucharze, panowie ci wdziwiają z zasady czarne spodnie. Zatoka obok przylądka pełna jest wąskich żeglarskich łodzi Singalezów, do nich zaś, aby się nie przechyliły, przytwierdzone są za pomocą dwóch wygiętych tyk, pływające obok belki, tak zwane »równoważniki«.

Czarna rzeka.

Popod Mount Lavinia prowadzi linia kolejowa, która, wykończona w przyszłości, połączy Colombo z Point de Galle. Pewnego dnia pojechaliśmy o kilka tylko stacyi dalej na południe, aż do miasta Kultura. Jechaliśmy drogą nadbrzeżną nad malowniczymi zatokami, przez lasy palm kokosowych, a następnie wózkami małymi, ciągniętymi przez woły, a chyżymi jak fiakry wiedeńskie, do rzeki Kaluganga, po polsku Czarna rzeka, wypływającej z gór środkowych Ceylonu i tu wpadającej do morza. Popłynąłem małą tratwą, dachem trzeininowym opatrzoną, milę angielską w górę rzeki, wśród najbujniejszych lasów, sięgających po obu stronach aż do jej koryta. Na brzegu wsi wśród gajów palmowych, olbrzymie liście aronów i jaszczurka trzy stopy długa, podobna do małego krokodyla. Płynąc dalej w górę rzeki, dociera się do miasta Ratnapura, skąd ma prowadzić wspaniała droga na Adamspik.

Komunikacya między Ceylonem a Indjami.

Połączenie Ceylonu z Indjami za pomocą parowców pozostawia bardzo wiele do życzenia; tylko raz na miesiąc, i to nie bardzo punktualnie, odchodzi parowiec z Colombo do Madras i Kalkutty, a jest nim, rzecz dość dziwna, parowiec francuskich *Messageries maritimes*. Zresztą utrzymaniem komunikacyi zajmują się trzy angielskie towarzystwa, które prześcigają się nawzajem w niepunktualności. Nikt też w Colombo nie wie,

które okręty i kiedy odpływają, i czy mają płynąć dokoła wyspy do Madras, czy też do Tuticorin, leżącego na południowym zachodzie od małych wysepek i mielizn Mostu Adama. Nasz parowiec, który 18go miał odbić do Tuticorin, nie przybył jeszcze 19go; opuścił więc Colombo dopiero 21go, bo 20go przypadała niedziela, w którymto dniu żaden okręt angielski nie bierze ładunku, ani go składa. Gdybyśmy o tem wcześniej byli wiedzieli, bylibyśmy wyprawę naszą do wnętrza wyspy zupełnie inaczej urządzili, a w każdym razie wdarli się na szczyt Adamspiku.

Zwiedziłem świątynię Buddy w Kelani o 1 $\frac{1}{2}$  mili od Colombo, bardzo odwiedzane miejsce odpustowe. Jestto rozległy obszar gmachów, z których najgodniejszą uwagi jest dzwonica, o kształtach tak włoskich, że m zrazu przypuszczał, iż się gdzieś w sąsiedztwie katolicki kościół znajduje. Starszy kapłan był nieobecny, lecz poprowadzono mnie przed dom jego, i z jasnością, nie pozostawiającą nic do życzenia, zwrócono uwagę na *offering box*, znajdującą się obok. Druga wycieczka poświęcona była wygnanemu tu Arabi baszy, którego odwiedziłem w towarzystwie angielskiego oficera. Basza zamieszkuje willę niedaleko miasta. Syn jego, młodzieniec lat około dwudziestu, przeprosił nas w imieniu ojca, który się właśnie modlił, i prosił, żebyśmy za pół godziny znowu przyszli. Pojechaliśmy do pobliskiego Muzeum, o którym wyżej wspomniałem; oglądałem tam nowoczesne malowanki z życia Buddy, z napisem w języku Singalezów, i zamówiłem podobne dla siebie. Gdyśmy powrócili do Arabiego, przyjął nas bardzo serdecznie i poczęstował wyborną turecką kawą. Jestto mężczyzna lat około sześćdziesięciu, dzielnej postawy, oczu bardzo energicznych, niezbyt szlachetnych lecz stanowczych rysów twarzy. Ubranie jego było zaniedbane. Wielu Anglików uważa go za ucziwego nieprzyjaciela i mniema, że go niesprawiedliwie trzymają na

Świątynia  
w Kelani.

Arabi basza.

wygnaniu. Przyjaciel mego towarzysza był obrońcą w procesie jego, i to właśnie nastęczyło nam przedmiotu do pogadanki. Arabi kiwał uprzejmie głową na oznaki sympatyj i szczerze nam dziękował za odwiedziny. Dwaj wnukowie jego, dwu i trzyletni, których, jak się zdaje, bardzo kocha, obaj z ogolonemi głowami, to najpociesniejsze chłopcy arabskie, jakich kiedykolwiek widziałem.

Armia  
Zbawienia.

Miałem też rozmowę z oficerem *Armii Zbawienia*, który zaraz po wylądowaniu w Colombo wpadł mi w oko z powodu swych bosych nóg, czerwonego ubrania, długich włosów i okularów. Podobnie jak Kwakrowie, uznają »szermierze« *Armii Zbawienia* chrzest za zbyt teczny, a publicznie uczynione wyznanie wiary wystarczy, aby być przyjętym do ich społeczności. Kobiety biorą też udział w pracy misyjnej, a po miastach Ceylonu można spotkać pochody podobnych apostołów w dziwnym ubraniu, posuwające się przy odgłosie muzyki i grzmocie bębnow.

Odjazd do  
Tuticorin.

Wreszcie 21 stycznia o godz. 3 po południu wyruszyliśmy na okręcie *Himalaya* do Tuticorin, zabrawszy ze sobą dwóch Tamilów, którzy jako służący nasi aż do Bombaju towarzyszyć nam będą. Okręt, jak tego oczekiwałem, był mały i brudny, podobny do parowców, krążących między Rhodos a południowym wybrzeżem Azji Mniejszej, i podobnie jak one, w Glasgowie zbudowany. Był przeładowany towarami i zabrał 600 tamilskich kulisów, powracających do Indyi. Kapitan siedział w czasie całej prawie podróży na tylnym pokładzie i czytał jakiś romans francuski, odpowiadając na wszystkie pytania ruszaniem ramion i słowami: »Nie wiem«. Malowniczo wyglądają kłodówki, t. j. z jednej kłody wydrążone łodzie Singalezów, otaczające tłumnie okręt, i »niewolnicze statki«, dowożące nań kulisów. Już wieczór się zbliża, a przecież ciągle jeszcze ładują nowe towary i nowych brunatnych ludzi. Piękny zachód słońca

Zwolna zapalają się światła licznych, wielkich parowców, stojących w porcie. Niektóre z nich są na cztery piętra wysokie. Wrażenie jakby oświetlonego miasta. Księżyc prawie jeszcze w pełni zeszedł już oddawna, kiedyśmy nareszcie o godzinie 10 wieczór podnieśli kotwicę.



Wóz w Ceylonie zaprzężony wolami



Maska z malowanego drzewa, używana do zażegnania chorób. (Ceylon).



Świątynia w Vijayanagar.

## II. POŁUDNIOWE INDYE, RAJPUTANA, PANJAB.

22 stycznia. — Po niemiłej podróży i po jadle nie do przełknięcia, wynurzyło się około godziny 5 wieczorem długo przez nas wyczekiwane wybrzeże indyjskie. Dopiero jutro rano wyruszymy dalej z Tuticorin, gdzie przed trzema dniami powinni byliśmy stanąć. Wybrzeże jest płaskie, z powodu płytkiej wody stajemy bardzo daleko od brzegu. *Steamlaunch* przeładowany kulisami, z tuzin pasażerów pierwszej klasy z pakunkami w podobnej do nory kajucie, przed której oknami brunatne postaci zupełnie widok zasłaniają — tak jedziemy jeszcze z godzinę, nim dobijemy do brzegu. Jazda i zamęt przy wylądowaniu takie awanturnicze, że już nie przykre, ale tylko komiczne sprawiają wrażenie. Po kilku dalszych przygodach znośna noc w »hotelu« w Tuticorin.

Indyjskie wybrzeże.

23 stycznia. — O godzinie 6 $\frac{1}{2}$  rano koleją do Madura, dokąd o 12 $\frac{1}{2}$  przybywamy. Kto się chce przejechać z jazdą kolejową, niech jedzie do Indyi. O wiele tu chłodniej w wagonach, niż latem u nas. Wszystko, co można, uczyniono dla złagodzenia skwaru i dla odświeżenia powietrza; są łazienki, słowem wszelkie wygody; ja z Fischerem jeździliśmy zawsze sami w *coupé*, a tylko dwa razy w nocy za osobną dopłatą, zresztą rozporządzał tak zawsze naczelnik stacyi, jakby się to samo przez się rozumiało.

Koleje żelazne.

Drzewa, ludzie, budowle.

Linia kolei jest bardzo ciekawa. Stylowa palma wachlarzowata z prostym pniem jest charakterystycznym drzewem tej okolicy, w przeciwstawieniu do palmy kokosowej na Ceylonie. Po niej zjawia się z kolei wspinały rodzaj akacyi z koroną w kształcie pinii. Na zachodzie góry o ciekawych zarysach, tylny trzon gór południowych Indyi, wybiegający aż tutaj. Równina w części pod wodą. Odosobnione skały granitowe, wynurzające się okrągłymi kształtami z płaszczyzny, są charakterystycznym znamieniem całych południowych Indyi. Ludzie coraz częściej i zupełnie odziani, niż na Ceylonie. Pstre ubiory i stroje. Wszędzie bramy świątyń w postaci wieżyc i małe kapliczki; pierwsze odpowiadają naszym wieżycom kościelnym, drugie figurom św. Jana Nepomucena.

Madura.

Miasto Madura sprawia wrażenie urozmaicone i wesołe, wielka świątynia zaś przemagające. Olbrzymie bramy w kształcie egipskich pylonów, atoli wyższe, jak sądzę, od wszystkich, jakie się w Egipcie jeszcze utrzymały, i nie płaskie jak one, lecz od dołu do góry naszpikowane szalonymi, pstryimi bożkami w wypukłej rzeźbie. Figury z osobna nieudolne, całość wspaniała. Podobnie jak w Egipcie, nie jedna świątynia, lecz całe miasto świątyń w jednym obwodzie. Sale, wielki staw, małe kaplice, których progi tylko wiernym przekroczyć wolno, lasy kolumn z wizerunkami pogańskich św. Jerzych (bożków zabijających z konia jakiegoś potwora). U wejścia bazar z wachlarzami rozmaitej wielkości, z małymi zwierzętami z tektury, sprzętami, kwiatami na ofiary dla bogów, tartami farbami dla wiernych do malowania twarzy. Hindusi bowiem noszą na czole znak bóstwa, które czczą; czciciele Vishnu kreskę czerwoną między dwiema prostopadłami białymi, czciciele Sivy dwie albo trzy bardziej poziome kreski. Wyłącznych czcicieli Brahmy nie ma wcale. Vishnu i Siva są prastaremi bóstwami, które potem bramini z Brahmą

Znaki na czole.



w Trimurti czyli trójcę zespolili. Bardzo to mało wszakże obchodzi tłum wiernych, 99 setnych z pomiędzy nich zna tylko swego Vishnu albo Sive, a liczba czcicieli każdego z nich równoważy się prawie. Świątynia w Madurze, największa, jak twierdzą, w Indyach, jest świątynią Sivy, a poziome kreski na czole mają nie tylko ludzie, lecz mają je także okazałe słonie, których po kilka utrzymują w każdym obrębie świątyni, a które wyprowadzono naprzeciw nas do przedsionka.



Niejedno jeszcze w Madura widziałem i zapisałem sobie, lecz tu wspomnę tylko o widoku z dachu pałacu byłego księcia, obecnie pałacu sprawiedliwości, wielkiego gmachu w stylu hindo-maurytańskim. Widok na miasto, palmy, *gopury* (t. j. bramy świątyni), dalekie góry i bliskie skały, jest tak malowniczy, że wytrzyma porównanie z jakimś na świecie. O godzinie 7 wieczór wyjechaliśmy koleją do Trichinopoli, gdzie stanęliśmy o godzinie 1 w nocy.

*24 stycznia.* — Chociaż poprzednio telegrafowałem, zajęte już były na dworcu kolejowym wszystkie pokoje, przeznaczone dla podróżnych. Fischer pozostał przy pakunkach, ja zaś powędrowałem pieszo do *travellers bangalo*, t. j. *resthouse*, odległego o angielską milę, a gdy i tam nie było wolnego pokoju, powróciłem na dworzec, gdzie w wagonie przespaliśmy się aż do świtu. O godzinie 7 rano półgodzinna jazda do cytadeli w Trichinopoli, leżącej przed nami na wyniosłej skale granitowej. W mieście wre ruchliwe życie, wystrzały z moździerzy, festony, ścisk. Obchodzą właśnie uroczystość poświęcenia odnowionej w twierdzy świątyni Sivy, trafiliśmy więc bardzo szczęśliwie. Okolice akropolii jest

Trichinopoli.

Uroczystości  
religijne.

tak malownicza, jaką sobie tylko wyobrazić można. Stawy z pięknymi kobietami, czerpiącymi wodę, widok na rozległą równinę, słońce. Skałę obsiadły liczne świątynie, a na ich dachach pstre postaci bogów i zwierząt. Na górze muzyka, rzesze ludzi w najwzorzystszych strojach kroczą pod górę »świętą« drogą, albo też uwijają się po dachach. Po raz pierwszy nabieram żywego wyobrażenia o pogańskiej religijnej uroczystości. Tak musiało się to odbywać w Babilonie, ale i akropolę ateńską można sobie wyobrazić podobnie ożywioną w czasie pochodu Panateneów. I na tem właśnie polega pierwszeństwo Indyi przed wszystkimi innymi krajami, w których się rozgrywały dzieje starożytne. Co tam zamarło, żyje tu jeszcze. Świat umarły mógł być tysiąc razy piękniejszym od tego, co tu żyje, atoli ten tylko, kto tu był, wskrzesić zdoła w swojej wyobraźni Teby i Babilon.

Srirangam.

Z wyżyn skały fortecznej daleki widok aż do odległych gór na północy; myśl i oko sięgają dalej, niż przy oglądaniu niektórych najbardziej rozstławionych widoków na Ceylonie. Blisko miasta dość szeroka rzeka, a po drugim jej brzegu wystrzelają z pomiędzy palm wysokie *gopury* wielkiej świątyni w Srirangam. Fischer maluje w Trichinopoli, ja zaś po pięknym moście, wiodącym przez rzekę, a następnie przez mniejszą rzeczkę, pełną kobiet piorących, przeprowiam się do świątyni w Srirangam. Świątynie te poświęcone są Vishnu, a wszystko tu tak wspaniałe, jak w Madura, tylko mniej barw w dekoracjach i szlachetniejsze kształty płaskorzeźb. Okrąg świątyni jest może jeszcze większy niż tam, *gopury* nieco niższe.

Tanjore.

O godzinie 12 $\frac{1}{2}$  byliśmy z powrotem na dworcu w Trichinopoli i po upływie pół godziny pędziliśmy dalej do Tanjore, gdzie stanęliśmy przed 4tą. Tu leży okrąg świątyni najstarszy z pomiędzy południowo-indyjskich i jedyny, który wybudowano według obmyślanego

planu. Poświęcony jest Sivię, pochodzi z XIV w. po Chr. i tworzy wielki prostokąt, otoczony murem i rowem, wodą napełnionym. Zamiast dwóch godzin byłbym chętnie kilka dni poświęcił badaniu tych budowli, a byłoby to się bardziej opłacało, niż w wielu innych miejscach. Cisza tu większa, niż w Srirangam lub Madura, niema przekupniów z zabawkami i kwiatami, niema słoni, niema ścisku. Chociaż świątynie te bywają licznie odwiedzane i utrzymane są w dobrym stanie, panuje w nich przecież uroczysty nastrój opustoszałych świątyni. Po wewnętrznej stronie muru komnaty dla kapłanów na dni uroczyste, także nowożytnie potworne freski, z których kilka odfotografowaliśmy. Gdy się minie *gopurę*, widzi się zamiast żywych słoni wielkiego byka, leżącego pod kamiennym baldachimem, wykowanego z jednego głazu; jestto święte zwierzę Sivy. W środku zabudowanej przestrzeni wznosi się główna świątynia, zasklepiona najpiękniejszym *vimana* Indyi. Tak zowią się strome, płaskorzeźbą okryte czworościenne piramidy, u góry kopułą zamknięte, które wysterczają po nad główną świątynią. Możnaby *vimana* porównać z kopułą, a *gopurę* z *campanile* włoskiego kościoła w stylu odrodzenia. We wnękach u podstawy tego *vimana* stoją rycerskie postaci z tarczami i mieczami, rzekłbyś strażnicy świątyni, z owym afektowanym ruchem bioder, który widzimy na świętych kolońskiej szkoły malarskiej, na gotyckich posągach, a nawet jeszcze na sławnym królu Artusie Piotra Vischera w kościele Franciszkanów w Innsbruku. Obok wielkiej świątyni jest mniejsza, później wybudowana i bardzo troskliwie wykończona; ornamenta jej w płaskorzeźbie przypomniały mi fasadę sewilskiego ratusza. Nadto jest więcej jeszcze świętych budynków w rodzaju kaplic, a wszędzie w półcieniu tajemniczy obraz bóstwa, które tylko kapłanom zbliżka oglądać wolno. Kilku Indów, którzy tu razem z nami byli, podniosło krzyk straszliwy, gdy tym posągom zda-

leka przez lornetę przypatrywać się począłem. Jeden z nich przedstawia Ganeszę, syna Sivy, bożka z głową słonia. I tu znowu z żyjącego kultu nabrać można wyobrażenia o tem, jak zaginione już dzisiaj ludy i religie czciły podobne bóstwa. Dokoła wielkiej świątyni leży osobno oparkaniony ogród, a w nim palmy, granaty i wijące się rośliny, między innymi najpyszniejsze passiflory. Wszystkie budynki w Tanjore są niemalowane, co uroczysztem jeszcze czyni wrażenie, jakie wywierają. Świat cały leży między tym cichym kątkiem a zgiełkiem Madury, który wrzaskliwie razi i ucho i oko. Ciężko nam wyrwać się stąd, bo brzask wieczorny podnosi jeszcze czar tego miejsca.

Pałac w Tanjore.

Pałac dawniejszych władców tak, jak w Madurze, zbudowany jest w stylu hindo-maurytańskim. Sześć do ośmiu słońi stoi w głębi podwórza, mają one, jeśli dobrze zrozumiałem, służyć do przejażdżki pozostałym małżonkom ostatniego zmarłego księcia. Wnętrze pałacu tak samo, jak Bardo pod Tunisem, jest mieszaniną istic wschodniego przepychu z paryskim fałszywym szykiem z przed lat kilkadziesiąt. Cudowne zbroje i materye wiszą na ścianach obok kolorowanych litografii. Na jednym z wyskoków muru miejskiego stoi działo, największe jakie widziałem, wspaniałej roboty, przed 200 laty w Tanjore ulane. Moskity do godziny 2ej w nocy zakłócały w najzjadliwszy sposób spoczynek nasz w *travellers bangalo*.

25 stycznia. — O godzinie 3 rano opuszczamy Tanjore pociągiem odchodzącym do Madras. O godz. 9 Cuddalore, nad morzem, stacya należąca do Pondichéry. W kolejowej restauracyi, a była nią chata z trzciny cukrowej, taka właśnie, jakąby sobie można wyobrażać chatę bajadery w balladzie Goethego, zjedliśmy śniadanie w towarzystwie jakiegoś mnicha i rysownika którejsz z angielskich ilustracyi. Okolica płaska, tylko ciągle jeszcze wznoszą się z równiny w górę pojedyncze skały

granitowe. Upał wielki. Godzina 5ta: St. Thomas Mount, z katolickim kościołem na szczycie. Apostoł Tomasz miał w Indjach głosić ewangelię, to też kościół katolicki czci w nim patrona tego kraju. O godzinie 6 rozgospodarowaliśmy się, o ile się tylko dało, w Madras w wielkim lecz źle utrzymanym hotelu, położonym w ogrodzie.

26 stycznia. — Madras jest skwarne, brudne, nie-miłe, odległości w niem olbrzymie; części miasta od-dzielone od siebie pustyniami takiej przestrzeni, jak trzy lub cztery razy wzięty stary plac musztry w Wie-dniu. Dzisiejszego wieczora postanowiliśmy z dyrektorem Muzeum, który nam przydał swego woźnego, wyje-chać do Mahabalipur, czyli do siedmiu pagod. Jadę na-stępnie o milę do Guindy, do gubernatora. Zamek piękny w stylu odrodzenia, angielski park z antylopami. Po *lunchu* wyścigi, pierwsze po kairskich z r. 1876, które mnie zajęły jako obraz życia miejscowego ludu. Jakby grona olbrzymie wiszą na gałęziach drzew grupy wzo-rzysto odzianych brunatnych mężczyzn i kobiet, i na-miętnie śledzą ruchy koni. Z zapadnięciem nocy jadę do pewnego punktu kanału, biegnącego równoległe z brze-giem morskim, gdzie mnie oczekuje Fischer ze służą-cym i kucharzem w rodzaju małej *dahabiah*. Nocną porą holują tu okręty i popychają tykami z bambusu, bo żagle tylko słabe oddają usługi.

Madras.

Jazda kana-  
łem.

27 stycznia. — Owych sławnych »siedm« pagod (właściwie jest ich o wiele więcej), pochodzi z czasów bardzo późnych, liczą najwyżej po 200 lat, odległość ich zaś jest wielka, a gorący piasek utrudnia pochód. Są to tak zwane *rath*, ze skały wykowane bloki, bez wydrążenia wewnątrz, o formach rzeczywistych świątyń, z których jedna nad morzem dość jest malownicza, lecz drobnego tylko efektu. Ją to właśnie odmalował Selleny podczas ekspedycyi *Novary*. Okropne mitologiczne płaskorzeźby w grotach i inne olbrzymich rozmiarów, pokrywają całe ściany. Najciekawszą rzeczą są tu ró-

Siedm pagod.

wnieź w skale wykute posągi zwierząt: słonie, lwy, małpy.

*28 i 29 stycznia.* — Muzeum w Madras zawiera między innymi zabytkami piękne starożytne indyjskie statuetki z brązu. W szkole sztuk pięknych kierunek zupełnie fałszywy, gipsowe odlewy z Partenonu jako modele, wyrób mebli i naczyń w pseudo-indyjskim stylu. Ubawiło nas zakupno, zwłaszcza chustek, zadrukowanych całą indyjską mitologią, i bardzo delikatnych, giętkich mat słomianych. Bajeczna strata czasu z wóźnicami, służącymi i kucharzem, którzy wszyscy zmykają, tak że ich wyszukać nie można. Z tego też powodu opóźnił się nasz wyjazd o jeden dzień. Ostatecznie dnia 29 o godzinie 5 wieczorem ruszamy koleją żelazną z miejsca.

Dekan.

*30 stycznia.* — Budzę się w środku Dekanu, wielkiej południowo-indyjskiej wyżyny, która nazwy swej użycza także całemu obszarowi po tej stronie gór Vindhya. Odrębny charakter okolicy, wypalone równiny z sterczącymi tu i owdzie stożkami skalnymi, jakby z czworościennych brył utworzonymi. W południe wyśiadamy w Hospet, gdzie już nas oczekują wozy wółami zaprzężone, którymi w dwóch godzinach dojeżdżamy do wsi Kalamapur. Z świątyni Hindusów zrobiono tu *resthouse*. Kalamapur leży w okręgu dziewięć kwadratowych mil angielskich obejmujących zwałisk w Vijayanagar, które w XV wieku naszej ery było przez kilka pokoleń stolicą największego państwa w południowych Indyach. Prawie wszystkie zabytki pochodzą od Hindusów, tylko kilka mahometańskich budynków nosi piętno późniejszej epoki. Malownicza równina, z której wystrzelają grupy palm i inne drzewa, podobna jest do okolicy Teb w Egipcie, czerwono-żółte tony przeważają, stożki skalne dźwigają na sobie ruiny a stoją blisko siebie. Już pierwszego wieczora to, co widzieliśmy, wy-

Vijayanagar.

nagrodziło nas sówicie za zboczenie z głównego kierunku podróży.

*31 stycznia.* — Od świtu do 10 godziny przed południem odbyłem bądźto wozem przez woły ciągniętym, bądź pieszo drogę, która stanowiła punkt kulminacyjny mej dotychczasowej podróży. Mnóstwo świątyń: jedne przez pielgrzymów jeszcze odwiedzane, z kapłanami, pełniącymi służbę, inne pustką stojące, zapadłe. Czy jednak byli gdzie ludzie, czy też ich nie było, mały mnóstwo wszędzie, i to gatunek jakiś małych, wesołych i miłych stworzeń. Obok wielkiego drzewa figowego z widokiem na rzekę Tungabhodra, stoi wdzięczna świątynia, z której ciemnego wnętrza wyglądają cztery czarne, w rzeczywistości materye pstro przyodziane posągi bogów. Stróż świątyni oświecił te posągi i począł dzwonić, co dla mego służącego Tamila i dla starszego gminy Kamalapur, mego przewodnika, było hasłem, aby twarzą rzucili się na ziemię. Służącemu memu, nie wiem już po raz który dzisiaj, namazano następnie czoło czerwonym proszkiem, a nas wszystkich uwieńczyono kwiatami.

Niema bardziej malowniczej rzeki, jak Tunga-  
Tungabhodra, z okrągłemi skałami, co się z niej wynurzają, ze skapą, a przecież ożywczą zielenią fig i palm, i ze stożkami głazów na drugim brzegu. Punkt najpiękniejszy jest w miejscu pewnego rodzaju przewozu, z olbrzymią świętą figą na pierwszym planie. Okrągłe kosze z łyka stoją tu w pogotowiu, a pięć do sześciu osób może się w nich na drugi brzeg przeprawić. Przeprawiłem się na drugą stronę, lecz niestety wróciłem zaraz, z żalem, że mi czasu nie stało na zwiedzenie świątyń na przeciwnym brzegu.

Prosiłem Fischera, żeby z kucharzem zatrzymał się tu jeszcze, on też wyzyskał dobrze sposobność i w dwóch dniach odmalował najpiękniejsze punkta okolicy. Wsiadłem tedy do mego wozu wołami zaprzężonego, a dziwnie podobnego do wózków aresztanckich,

z Hospet zaś zajechałem przez noc koleją do Bijapur, które przez czas krótki, gdy minął rozkwit Vijayanagaru, było jako stolica środkowym punktem potężnego mahometańskiego państwa. Jak w ogóle ze zmianą orientalnych władców zmieniały się tylko ich pałace, tak w Indjach ze zmianą dynastji i szczepów zmieniały się stolice.

Bijapur.

*1 lutego.* — Po nad pustym stepem widzę słońce, wschodzące w obliczu kopuł Bijapuru. Jeśli w Vijayanagar oddychałem powietrzem górnego Egiptu, to tu odnoszę wrażenie, jakbym się przeniósł nagle do Koniah w Azji Mniejszej. Jak w Kalamapur świątynię Hindusów, tak tu przemieniono w *travellers bangalo*. wspaniały mahometański grobowiec. Budowle tutejsze są liczne i wszystkie odznaczają się prostą a uroczystą powagą. Wszystko jest jak z jednego odlewu, a w gruncie rzeczy wspanialsze niż jakakolwiek budowa w Konstantynopolu, rozumie się z wyjątkiem jednej *Hagia Sophia*. Mauzoleum sułtana Mahmuda dźwiga na sobie jedną z najdumniejszych kopuł świata, oprócz Hiszpanii zaś nie znam nic bogatszego a zarazem bardziej stylowego w tym rodzaju jak Róża Ibrahima, t. j. grobowiec przed miastem. I tu jest olbrzymie dzieło przedziwnej roboty, »władczą równinę« nazwane.

W południe wyjazd, a przez noc droga do Bombaju.

Krańcowe  
góry.

*2 lutego.* — Wczesnym rankiem stanąłem na wysokości krańcowego łańcucha południowo-indyjskiej wyżyny ku morzu, po za Púną. Z kolei następuje piękna jazda przez indyjski Semmering ze zdumiewającymi widokami i niespodzianymi skrętami. I znowu zupełnie odmienna kraina, wzrastający dobrobyt. Ciekawe są strome, cegłą kryte domostwa, zupełnie jakby na północy.

*2 do 8 lutego wieczór, Bombaj i okolica.* Przybywszy do Bombaju, uwalniamy naszych poczciwych służących Tamilów, którzy niestety nie znają używanego



tu jak w ogóle w większej części północnych Indyi języka hindostańskiego, a przyjmujemy nowych, poleconych nam przez uprzejmego konsula Stockingera. Tak więc Fischer ma Mahometanina, nazwiskiem Mohamed, ja wyznawcę Sivy, który nosi imię Mahadöh, jakby z ballady Goethego.

Bombaj wart sławy jednego z najpiękniej położonych miast na świecie. Z powodu, że leży na małej wyspie, a inne wyspy go otaczają, trudno się w nim zrazu zorientować. Gdy się wyjedzie z cytadeli, środka angielskiej części miasta, na zachód do Malabar Hill, gdzie mieszka gubernator, a skąd najlepszy widok na ten cały szmat ziemi, to zda się człowiekowi, że przeniósł się do Neapolu, bo trudno bardzo o dwie drogi, więcej podobne do siebie, jak ta i gościniec wiodący do Posilippo. Jadąc zaś ku wschodowi przez port, ma się zaraz Konstantynopol na myśli, a nawet we wnętrzu dzielnicy przez krajowców zamieszkaney niektóre okręgi zupełnie są podobne do stambulskich.

Jadamy w *Yachtclubie* z widokiem na okręty i góry, najczęściej niestety okryte mgłą jakby szkoeką. Tylko w czasie gorącej pory roku okolica ma być wolną od mgieł. W porcie pozdrowiłem portugalską flagę, pod której godłem dokonało się tyle wielkich dzieł na tych wodach, i bawiłem się widokiem arabskich żaglowców o wyniosłych, w drzewie rzeźbionych grzbietach, jak ongi u statków w epoce odrodzenia. Wielkie angielsko-gotyckie publiczne gmachy są dobrymi okazami w swym rodzaju i właściwie niczem oka nie rażą. Dlaczegoż bowiem Anglicy nie mieliby także i w architekturze przemawiać tu swym językiem, tak jak to uczynili Mahometanie? W chwili, gdy to piszę, rozlega się z wieży odgłos dzwonu, jakby dalekie pozdrowienie z Europy.

Najważniejszymi wypadkami dla mnie w czasie pobytu w Bombaju było wesele Parsów i wycieczka do wyspy Elephanta. Nigdy nie widziałem szat o delikatniejszych barwach, jak u kobiet parsyjskich, które

Bombaj.

Wesele Parsów.

sprowadzają materye wprost z Chin, i wypowiedzieć nie zdołam, jak wielce mi się nie podobały suknie dam europejskich tu, pośród klasycznie prostych strojów tej całej rzeszy bogatych niewiast paryjskich. Ale też za to, co w nich najpiękniejszego, to tylko stroje; kilka zaledwie przyjemnych twarzy, nawet trzy panny młode były brzydkie, a odbywały się właśnie pięciokrotne gody weselne, bo dwie pary w sąsiednim domu łączyły się równocześnie związkiem dozgonnym. Bardzo śmieszni są mężczyźni w lakierowanych, ciemnych, wysokich czapkach, a całkiem białych bluzach płóciennych, których krój przypomina szaty derwiszów. Oświetlenie ogrodu, szalona muzyka, uczta z szampanem dla 2000 osób w osobno ku temu zbudowanym pawilonie. My Europejczycy oddaliśmy się zaraz po ślubie, uwieńczeniu kwiatami i obładowani cukrami. O ślubie, właściwej ceremonii, nie mógł nam nikt dać dostatecznego wyjaśnienia. Kapłani odmawiają w *sanskrycie* modlitwy, których podobno sami nie rozumieją, i przeciągają przezścieradło między oblubieńcami, którzy klęczą po obu stronach nie widząc się nawzajem, potem zaś rzucają ziarenka ryżu na głowy nowozaślubionych, co się uważa za wróżbę szczęścia. Parsowie, którzy prawie cały handel Bombaju w rękach swych dzierżą, nie są czcicielami ognia, za jakich ich często mylnie podawano; utrzymują tylko w swych świątyniach wieczny ogień, jako symbol najwyższej istoty. Ich przodkowie uciekli z Persyi do Indyi przed mahometańską nietolerancją. »W wieżach milczenia« w Malabar Hill, ogryzają sępy ich kości.

Elephanta.

Wyspa Elephanta i wyspa Trombay są Książęciami w wyspami Bombaju; jazda do Elephanta i widoki stamtąd przeniosły mnie całkiem w okolice Bosforu. Sławne grotty, których opis spowodował Goethego do napisania znanych wierszy satyrycznych, robią większe wrażenie, niż przypuszczałem; głowy wielkiej Trimurti są stanowczo stylowe, a figury innych płaskorzeźb żyją

nawet, mimo swych poczwórnych lub poszóstnych rąk i nóg.

Dnia 8, o godzinie 6 po południu, opuściłem Bombaj, wyjechawszy koleją, która w północno-wschodnim kierunku wiedzie do Allahabadu i Kalkutty, a wybrałem się na kilkodniową wycieczkę do grot w Ajanta i Ellora. Wzdłuż linii kolejowej ciemno rysowały się wachlarzowate palmy na tle wieczornego nieba. Skoro noc ciemna zapadła, zobaczyłem cały jeden grzbiet górski w jasnych blaskach skąpany; było pożar lasu, wyglądający jakby wybuch wulkanu.

Wycieczka  
do Ajanty.

9 lutego. — 5ta godzina rano; stacya Pachora, gdzie dwa wozy, wołami zaprzężone, zabierają mnie, służącego mego i pakunki. Nic wybitnego w okolicy. Niski łańcuch gór bieży z zachodu ku wschodowi, jadę na północ od niego w tymsamym kierunku. Wzdłuż drogi bezlistne drzewa, okryte podobnymi do dzióbów ptasich, czerwono-brunatnymi kwiatami; podobne zauważyłem już między Púna a Bombajem. Mój indyjski służący wyszukał w swym słowniku, że się ta roślina nazywa *butea frondosa*, nazwa angielska — *vacat*. Nędzna egzystencya w takim wózku, wołami zaprzężonym. Jest on o wiele krótszy niż cejlońskie, i gorzej od słońca zabezpieczony, widać tylko cztery rogi wołów i turban poganiacza; nie można ani okolicy oglądać, ani spać, ani czytać, ani myśleć, bo droga jakby wybrukowana skałami w wielkich odstępach, a w dodatku pełna straszliwego kurzu. Znajdujemy się w posiadłościach nizama z Haidarabadu. Jest to niejako królestwo bawarskie, największe niezawisłe państwo związkowe anglo-indyjskiego cesarstwa, właściwy rdzeń Dekanu, nie posiadający żadnych wybrzeży morskich.

Upał inny jak w Ceylonie albo na południowych krańcach Indyi; ma się raczej jakby uczucie ołowiu, przygniatającego z góry głowę, niż rzeczywiste uczucie ciepła, a do tego noce dotkliwie zimne. W niektórych

Upał.

miejsowościach wysiadamy. Domy z gliny, ale okazalsze, niż wsi egipskie; najbardziej jeszcze Tunis nasuwa mi się tu na myśl, po części może dzięki czerwonym szmatom, które jako chorągwie wszędzie zatknięto. W ogóle kolor czerwony we wszystkich odcieniach odgrywa tu główną rolę. Drzewa okryte czerwonym kwieciem, olbrzymie czerwone turbany, dalej na południu już nie spotykane, czerwone suknie kobiet, tak powszechne tutaj, jak jasnoniebieskie w Egipcie, wreszcie obrzydliwe czerwone, jakby lakiem posmarowane bożki Hindusów, w małych hindo-maurytańskich kaplicach. Kapliczki te są bardzo ciekawe, jako świadectwo zlania się dwóch ras i religii, tak samo jak nowo-hindostański język, używający arabskiego pisma.

*3cia godzina po południu.* — Skręciliśmy na południe ku góróm i wkrótce przybywamy do Fordapur, rozległej miejscowości z arabską twierdzą. — *Godzina 4. Travellers bangalo* na wyżynie, do gór daleko jeszcze. Stąd jest  $1\frac{1}{2}$  godziny drogi do grot. Ponieważ o godzinie 6 już zmrok zapada, więc obliczyłem się, że już z trudnością tylko mógłbym coś widzieć, dla tego też zamawiam na jutro rano tragarzy, aby się nie zmęczył jeszcze przed uciążliwym zwiedzeniem grot owych, i po bardzo skromnej kolacyi, jakby z koła zdjęty od znużenia, kładę się do snu o godzinie  $7\frac{1}{2}$  w *bangalo*, w którym na wszystkim zbywa.

Groty.

*10 lutego.* — Śpiewając niosą mnie kulisi ku góróm o godzinie 6 rano. Rzeka Vegal albo Vagora, obecnie prawie całkiem wyschła, tworzy w kształcie litery *U* zagięcie między miernemi, stromo staczającemi się wyżynami, na których tylko w czasie pory dżdżystej zielenią się drzewa. W zewnętrznym łańcuchu gór, wykute są w wielkim półkolu groty. Trzy z nich mają piękne fasady z rzezbami, a zamiast okiennych rozet naszych katedr, wielki otwór w kształcie podkowy, którego obramienie u góry ostro się łamie. Groty te pochodzą z cza-

sów rozkwitu buddyzmu w Indyach, najstarsze z nich z ostatnich stuleci przed Chrystusem, najobficiej zaś malowidłami ozdobione z czasu między r. 400 a 700 po Chr. W ogóle jest ich 26, a najmniej połowa z nich jest niezmiernie ważna, niektóre bardzo małe, kilka dopiero zaczętych:

Ozdobione fasadami, są to tak zwane *chaitya*; wewnątrz podobne są zupełnie do chrześcijańskich kościołów. Trzy nawy, kolumny pod żebrowaniem sklepieniem, na miejscu ołtarza *dagoba*, kryjąca relikwie, wykuta z kamienia i uwieczniona potrójnym parasolem, niekiedy zaś na przodzie jej w płaskorzeźbie postać jakaś (Buddha albo też wszechjedyne bóstwo). Na kolumnach rzeźby, na ścianach naw bocznych i na suficie malowidła.

Mniejsze, o wiele liczniejsze grotty, nazywają się *vihara*, podobnie jak w Ceylonie, a są niższe, niesklepione i składają się z środkowej hali, na kolumnach wspartej, i z małych komnat bocznych, z których jedna za głównym przestworem zawsze zawiera posąg siedzącego Buddy, najczęściej nadnaturalnej wielkości. Co zaś *vihary* w Ajancie pomiędzy wszystkimi innymi wyróżnia, to malowidła, znajdujące się w większej ich części. Cztery z nich, mianowicie 1, 2, 16 i 17, idące w kierunku z zachodu na wschód, musiały być prawdziwymi perłami w swoim rodzaju, póki jeszcze malowanie było świeże, a nie, jak dzisiaj, po większej części odbite. Ornamentacja bogata i pełna fantazyi, jak w Pompei albo w watykańskich loggiach. Całe ściany okryte portretami naturalnej wielkości i obrazami pełnymi figur; słonie, lwy, strzelcy, jeźdźcy, wojownicy,



Dagoba

Malowidła.

strojące się kobiety, wizerunki nauczającego Buddy, niewolnice niosące parasole, miłosne pary. Widziałem scenę, w której rybak podaje pierścień siedzącemu na tronie władcy — może to scena ta sama, którą o wiele później wyzyskano dramatycznie w *Sakuntali*. W czasie oglądania jej przyszedł mi na myśl obraz Parysa Bordone w Akademii weneckiej, mający za przedmiot podobny wypadek. Atoli co najdziwniejsza w tych malowidłach ściennych, to, że gdy się zapomni o owym mnóstwie ciemnoskórych ludzi, możnaby niemal uwierzyć, że się ma przed sobą włoskie freski *trecenta*. Wciąż mi stawało na myśli pizańskie *Campo-Santo*, kaplica *degli Spagnuoli* we Florencji, a nawet malowidła Giotta w Assyżu, i zdumiewałem się wielką doskonałością sztuki, zbliżonej do tego, co największego mamy na świecie, a w początkach swych okrytej dla nas głęboką jeszcze ciemnością.

Sześć godzin przepędziłem bądźto w wnętrzu grot, bądź też mozolnie drapiąc się z jednej do drugiej, i pojąc przytem oczy me porywającym krajobrazem, nad który trudno pomyśleć sobie poważniejszy, bardziej dostrojony do tych jaskiń. Wspaniałe też były widoki z grot leżących na jednym końcu półkola, z pośród malowanych kolumn przedniego planu na położone naprzeciw *chaitye* i *vihary*.

Nigdy w życiu nie zaznałem takiej spiekoty, jak w tym spalonym od słońca wąwozie. Najgorszą jednak była droga do *bangalo*, którą pieszo odbywałem, aby dać tragarzom odpocząć. O godzinie 3½ po południu wzięło mnie z krzesłem na barki czterech mężczyzn, zmieniających się kolejno, i tak dreptali kłusem cztery godziny, aż do wspaniałych drzew figowych nad rzeką obok jakiejś wioski, w połowie drogi do Pachory, w któremto właśnie miejscu oczekiwał mnie mój torturowy wózek z wołami. Często, gdy noc zapadła, wyprzedzałem tragarzy, idąc naprzód przy blasku księżyca, przy-

Podróż w lek-  
tyce.

świecającego połową swej tarczy. Droga była o wiele więcej ożywiona, niż wczoraj, a po wsiach zbiegali się ciekawi, chcąc przypatrzeć się niezwykłemu pochodowi. O godzinie 1 w nocy stanąłem w Pachorze, a następnego dnia wyjechałem w kierunku Bombaju aż do stacyi Nandgam.

11 lutego. — 10 godzina rano — Nandgam, gdzie na mnie czekają dwie *tonga*, t. j. końmi zaprzężone wozy. Nad nimi dach, a w nich cztery siedzenia, wliczając miejsce dla woźnicy. Mało miejsca. Jestto ekstrakcja, a więc z trąbką, i co pięć mil zmieniają się konie. Droga wyborna, wiele kurzu. Zaraz po opuszczeniu kolei znajdujemy się znowu w posiadłościach nizama. Okolica miernie zajmująca; z równiny wznosi się, jakby wyspa, łańcuch górski z zagłębieniem w środku; woźnica nasz wskazuje nań, tam na górze leży miejscowość Rozah, gdzie pogrzebanym jest Aurangzebe, a w połowie drogi do tego miejsca, licząc od stóp góry, są grotty Ellory. Na południe od owych gór, wiedzie tuż popod nie, gościniec do wielkiego miasta Aurangabad. Około zachodu słońca porzucamy go i jedziemy odtąd po grudzie do rodzaju oazy, stworzonej przez wspaniałe drzewa, po większej części olbrzymie figi; w środku jej leży miejscowość Ellora. Dalej posuwamy się do Rozah, jadąc stromo pod górę tuż popod same grotty, z których już prawie nie dojrzeć nie można. Pieszko wyprzedzałem mój wóz. Jaskrawa czerwień nad równiną wskazywała jeszcze miejsce, gdzie właśnie słońce zaszło, zupełnie w tym kierunku, gdzie zimową porą za Rzymem zachodzi, jeśli się stanie na terasie willi d'Este pod Tivoli. Włoskim jest też gościniec i kształty gór; oko moje szukało kopuły Piotrowej i prawie zdawało mi się, że ją rozpoznaję.

Nocuję w pobliżu Rozah, w wysoko sklepionym grobie mahometańskim, który przerobiono na *resthouse* dla oficerów Aurangabadu.

Wycieczka do Ellory.

Rozah.

12 lutego. — Dokoła mnie same piękne grobowce. Rzut oka na równinę, która także za dnia mile mi Kampanię przypomina. O kwadrans drogi dalej, na tejsamej wyżynie, w miejscowości Rozah, murem otoczonej, nadzwyczaj malownicze zapadłe meczety, wspinające drzewa, grobowce świętych. U bram miasta, przez które otwiera się widok na daleką równinę, znowu wrażenie okolicy Rzymu, podczas gdy co do reszty mógłbym sądzić, że przeniosłem się do Kairuan w Tunisie. Tak to żyje wędrowiec w myślach swych równocześnie na kilku miejscach, a i szranki czasu usuwają się przed nim. To są najpiękniejsze chwile w podróży, które wiecznemi nazwać by można, słowo to bowiem nie oznacza właściwie nieskończonego istnienia, lecz raczej jest zaprzeczeniem czasu i przestrzeni. Uczucie, choćby tylko chwilę trwało, może słusznie nazwać się wiecznem, jeśli nas unosi ponad zapory, wśród których rozgrywa się nasze życie.

Prosty, żołnierski grobowiec Aurangzebego, marmurową kratą, jako jedyną ozdobą otoczony — wkrótce w Agra obaczę podobne, lecz bogatsze i ozdobniejsze — odpowiada charakterowi tego fanatycznego, oschłego, jednostronnego zdobywcy południowych Indyi. Jego przodek, wielki Akbar, spi pod Agra, w miejscu spoczynku, godniejszym władcy.

Groty.

A teraz wracam do mego mieszkania i dalej do grot. Nie zawierają one malowideł, a wszystkie późniejsze są od grot w Ajancie; ożywiają je małe, zielone papugi; przez przedsionki wspinały widok na równinę. Jedyne tylko między niemi *chailya* zawiera fasadę, nieco różniącą się od fasad w Ajancie. W *viharach*, których jest około tuzina, posągi siedzącego Buddy i inne rzeźby, charakteryzujące cały rozwój buddhystycznej sztuki od dość ścisłego jeszcze stylu aż do krańcowego cudaactwa. To porzucanie szlachetnych form



w sztuce idzie ręka w rękę z upadkiem buddyzmu, a w najpóźniejszych z tych *vihara* znajdujemy już cały przemycony tu panteon awanturniczych postaci bogów. Dalsza grotta, najpóźniej z pomiędzy wszystkich wykończona, pochodzi już z czasów zupełnego zwycięstwa nowej religii Hindusów i wykazuje ślady bliskiego pokrewieństwa z grotami w Elephancie. Później jeszcze wyciosano w skale całą świątynię Hindusów z *vimana* i *gopura*, z bocznymi kaplicami, i setkami wizerunków boskich i zwierzęcych, wszystko jeszcze bardziej szalone niż pomniki w Mahabalipur. Atoli nie tylko buddhyści, a później czciciele Sivy i Vishnu wydrążyli te skały w Ellorze; są jeszcze bardzo zajmujące groty, pochodzące od sekty Jainów, z buddyzmem w pewnym powinowactwie pozostającej, której sztuka stoi w jednym rzędzie obok silnej sztuki buddhystycznej, tak samo jak malarska szkoła sienneńska obok florenckiej. Groty Jainów to jedyne w tem miejscu, na których ścianach pozostały ślady ornamentacyjnych przynajmniej malowideł.

O godzinie 2 byłem z powrotem na górze w Rozah, a wkrótce potem spuściłem się na dół do miasteczka Ellory, gdzie wśród zieleni najwspanialszych drzew, znajduje się mnóstwo pięknych, nowożytnych, indo-maurytańskich gmachów, po większej części przez żyjącego jeszcze maharaję z Indore wzniesionych. O godzinie 3½ znalazłem się znowu na dobrym gościńcu pocztowym, a dzięki czarodziejskiemu słowu »bakszysz«, które od Belgradu aż do Nubii i od Marokka aż do Madras wszystko wyjednywa, czego tylko potrzeba, przeganiem wóz pocztowy i po stacyach zabieram mu świeże konie. Nawet w Rosyi nie pędziłem nigdy w tak szalonym tempie. Na jednej stacyi nie chce pocztmistrz zaprządz koni do mego wozu. Mój woźnica rzuca się na niego, wygrzmaca go należycie, nim temu przeszkodzić mogłem; wydają nam konie, a pocztmistrz i woźnica rozstają się jako najlepsi przyjaciele. Już o godzinie 7½ jestem

w Nandgam, a o 1 w nocy wsiadam do pociągu, który mnie 13go rano do Bombaju przywozi.

Nach-girl. *13 do 16 lutego. Bombaj.* — Sprawunki, zakupna, obiad u jednego z dostojnych krajowców, po obiedzie popis najznakomitszej w Bombaju *Nach-girl*, Patti i Elsler w jednej osobie. Kostyum nader bogaty, a śpiew i taniec podobne do popisu tego rodzaju w Algieryi i Tunisie, lecz skromniejsze.

Jazda koleją. Dnia 16 o godzinie 6 $\frac{1}{2}$  wieczór, odjazd z Bombaju koleją północną do Jodhpur w Rajputana, gdzie mam stanąć w poniedziałek. Trzy razy jeszcze staje pociąg w obrębie miasta Bombaju, a na tych dworcach i na najbliższych czterech czy pięciu w okolicy miasta, straszliwszy jeszcze hałas i gorszy ścisk krajowców, niż zresztą w całych Indjach, chociaż w istocie wszędzie tam wrzaski nie do uwierzenia. Ten tylko, kto w Anglii podróżował w dniu *bank holiday*, może mieć wyobrażenie o takim zgiełku ludzi. Dopiero o godz. 9 mijamy most, łączący ze stałym lądem wyspę, na której Bombaj leży.

Sidhpur. *17 lutego.* — O godz. 7 $\frac{1}{2}$  rano przesiadam się w Ahmedabad na kolej wąskotorową, prowadzącą do Rajputany. 10 godzina. Sidhpur. Pęknięta maszyna ciężarowego pociągu zatarasowała nam drogę. Ponieważ naczelnik stacyi zapewnia, że zabawimy tu najmniej dwie godziny, wybieram się do miejscowości, odległej stąd o 20 minut, choć ludzie twierdzą, że tam niema nic osobliwego do widzenia. Z radością odkrywam bardzo interesujące szczątki niedokończonej świątyni Sivy. Portal, nawa główna i nawy boczne; kolumnady w dwóch piątrach ponad sobą, część przednia z małym *gopura*, obecnie meczet. Zresztą w ogóle Sidhpur wysoce jest ciekawy. Pstre rzeźby z drzewa, pięknie rzeźbione wykusze i okna po domach. Gotycka brama łukowa. Ścisk na ulicach. Jeden kram obok drugiego, a każdy z nich to rodzajowy obrazek. Gdy po półtorej godzinie byłem znowu na dworcu, odjechał już pociąg z wszystkimi

mojemi rzeczami. Wysłałem depezę do najbliższej głównej stacyi Abu-Roadstation, żeby mi tam rzeczy przechowano, a sam siadłem do próżnego wagonu w ciężarowym pociągu. O godzinie 6 $\frac{1}{2}$  stanąłem w Abu-Roadstation i zastałem tam w największym porządku całe moje mienie, nawet dzienniki, które w wagonie zostawiłem rozrzucone. Droga prowadziła zrazu płaszczyną, mały siedziały po drzewach przy torze kolejowym. Wkrótce ukazują się nagie góry po obu bokach. Widok na Mount Abu, po zachodniej stronie stacyi; dla braku czasu muszę rzec się wyprawy na szczyt jego, choć wznosi się tam jedna z najznakomitszych świątyń Jainów.

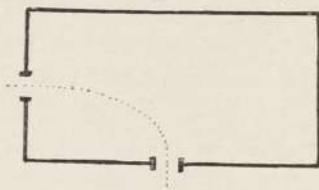
Znajduję się tedy w Rajputanie, daleko rozległym, z samoistnych księstw złożonym obszarze, w północno-zachodniej stronie cesarstwa indyjskiego. Kraina ta, w połączeniu z graniczącym z nią od północy Panjabem, z północno-zachodnimi i środkowymi prowincjami i z Bengalem tworzy obszar ziemi, w przeciwstawieniu do Dekanu, Hindustanem zwany. Obszar ten obejmuje właściwe historyczne Indye, a należą do niego tak stoki wysokich gór krańcowych, jak i doliny, przecięte nurtami wielkich rzek. Średnio-wysokie góry Vindhya i rzeka Narbada oddzielają go od południowej wyżyny Dekanu.

Hindustan.

18 lutego. — Wczoraj wieczorem około godziny 11 opuściłem Abu-Roadstation, a o 5 $\frac{1}{2}$  rano stanąłem w Malvar-Junction, nazwanem tak od Malvaru, państwa Rajputów, którego stolicą jest Jodhpur. Do tego miasta prowadzi odnoga kolei, przez maharaję dopiero przed kilku laty zbudowana. Jeszcze w r. 1878 jechał Hübner do Jodhpuru wozem przez bezdrożną pustynię. Dokoła spalone stepy, wzgórz liczba niewielka; o 12 godzinie stajemy u celu. Niebo pełne mgły, wielka forteca na skalistym wzniesieniu panuje nad miastem, które na pierwszy rzut oka niewiele zapowiada. Tem większe niespodzianki, gdy się wstąpi w jego mury. Kto nie był w miastach rajputańskich, nie ma pojęcia o indyjskiem

Jodhpur.

życiu. Miasto liczące 70.000 mieszkańców rozciąga się dokoła trzech stoków zamkowej góry, od północy otaczają je inne skały, uwiecznione budynkami. Posiada mury i bramy z wewnętrznym i zewnętrznym wejściem



pod prostym kątem, jak w większej części miast wschodnich, n. p. w pamfilijskiej Adalii. Maharaja zamieszkuje przez trzy czwarte roku nowo-wybudowany

pałac zewnątrz murów, a tylko kilka miesięcy mieszka w starym zamku na górze. Większa część domów zbudowana jest z pięknego czerwonego piaskowca, łamanego w okolicy, takiego samego, jakiego użyto do budowy katedry fryburskiej i zamku w Heidelbergu. Niektóre z nich niestety biało otynkowane, ale wszystkie w pięknym indo-maurytańskim stylu. Wielka świątynia Krishna, na której podwórzu tylko wolno mi było wstąpić, piękny staw, obmurowany dokoła, inne świątynie. Lecz któż opisać zdoła malowniczą płataninę ulic i placów w chaotycznym nieładzie i w różnorodności terenu! A ludzie! Miecz w ręku, czarny wąs podkreślony do góry, turban stosownie do rozmaitych kast u każdego inny, to na lewe to na prawe ucho zwieszony — tak kroczą mężczyźni. Jest w nich coś z modnisią i fireyka, coś średniowiecznego i znowu coś węgierskiego, cygańskiego. Kobiety czasem z głową całkiem chustką zakrytą, czasem też niezakwefione w wzorzystych strojach (czerwono i żółto), dziesięćkroć bardziej kosztownościami obwieszane, niż gdzieindziej. Muzyka i hałas: to pochód weselny. Piętnastoletni wyrostek z mieczem w prawicy wiedzie z sobą na sznurze oblubienicę dziesięcioletnią, a oboje wystrojeni pstro aż do granic możliwości; ona zgnieciona prawie ciężarem kosztowności, oboje trzymają mały złoty baldachimek z frendlami po prawej stronie twarzy; krewni postępują za nimi.

Orszak  
weselny.

A teraz na górę zamkową po stromej drodze. Droga, położenie miasta i zamku przypominają mi żywo wspaniałe Alaja w dzikiej Cyliei. Spoczynek w połowie wysokości; rzut oka na nieskończoną równinę do pustyni podobną, z której łona tylko kilka łysych gór się wznosi. Mijam pierwszą bramę zamkową, obok której stoją zatoczone armaty. Kilku żołnierzy wpada na mnie z żądaniem, żebym zamknął parasol — to samo przydarzyło mi się znowu następnego dnia w pałacu wielkiego Padhye, który jest czemś w rodzaju spowiednika maharaji, zdaje się więc, że uważają tu za arogancyę chodzić po pałacach z rozpiętym parasolem — kazałem służącemu memu złożyć tym ludziom uroczyste zapewnienie, że ich życzeniu zadość uczynię, skoro tylko w cień się dostanę, i poszedłem zwolna dalej. Droga wiedzie w zygzakach pod górę, aż do wewnętrznych podwórców pałacowych. Zamek jest raczej całym miastem, niż czemkolwiek innem. Ciągłe nowe działa, obwarowania, żołnierze, pyszne fasady z wspaniałego czerwonego piaskowca, kraty, okna, wykusze; na zachodzie zaś rozległa terasa z bastyonem dokoła. Widok na skały na północy, na ścieśnione miasto, na daleką pustynię. Jako zakończenie, w środku obwodu bastyonu piękna świątynia z dobrymi rzeźbami w kopule. We wnętrzu zamku, jak w pałacu w Tanjore, pełne smaku barbarzyństwo obok niesmacznej cywilizacyi. Wielkie fotografie lorda Lyttona i cesarza Fryderyka ponad wspaniałymi, szlachetnie malowanymi drzwiami perskimi. Złotem kapiące okazałe salony i lice angielskie litografie sportowe po słupach i ścianach. Obok każdej zaś wielkiej sali znajduje się loggia, jako miejsce spoczynku dla władcy. Wszystko tak, jak w Bardo pod Tunisem.

19 lutego. — O godzinie 9 rano stoi w pogotowiu dromedar, który ma mnie zanieść do Mahamandir, o  $\frac{3}{4}$  godziny drogi na wschód. Pierwsza to moja jazda na wielbłądzie; zwierzę ma dwa siodła na grzbiecie, prze-

Góra zam-  
kowa.

Jazda na  
dromedarze.

Pantera używana do polowania.

Mahamandir.

Pałac ducha.

demną siedzi kierownik. Komiczne to uczucie, spoglądać tak z góry na jeźdźców, siedzących na koniach. Mahamandir jest rezydencją największego duchownego dostojnika w księstwie, doradcy maharaji. Przed bramą małego miasteczka pantera używana do polowania spoczywa na wozie, ciągnionym przez woły. Pantery takie widziałem dotychczas tylko w Benozza Gozzoli pochodzie Trzech Króli w pałacu Riccardi we Florencji. Używają ich tutaj tylko do polowania na gazelle. Każę wóz ów zatrzymać, złażę z pod mojej ruchomej wieży kościelnej, przypatruję się zwierzęciu, rysuję je. Dozorca daje mi masła do połknięcia, a na oczach zawiesza kaptur, który, podobnie jak sokoły w czasie polowania, póty nosi, póki mu się zdobyczy nie pokaże. Jestto piękna pantera i dobrodusznie pozwala mi się głaskać, jak łaskawy pies. A teraz przez wesoło ożywione miasteczko do pałacu kapłana, przed którym słoń na straży stoi. Obok tego pałacu znajduje się drugi, w którym mieszka duch poprzednika każdoczesnego kapłana. Biedny duch, skoro go bez litości wyrzucają, gdy się duch jego następcy z więzów ciała uwolni. Jestto budowa w formie świątyni, otaczają ją mury uwiecznione pawilonami. Piękny *vimana* nad miejscem najświętszem, lecz wewnątrz niema posągu boga, tylko zbytkowa sala, ozdobiona bogato złotem, obrazami i zwierciadłami, w środku zaś niej olbrzymie łóżko dla ducha. Zdaleka tylko wolno mi było rzucić okiem do wnętrza. Zewnątrz na drzwiach i obok nich, znajdują się wyborne malowidła małych rozmiarów, a między nimi pewnie z dwadzieścia razy powtarza się maharaja z wąsami i mieczem, klęczący przed siedzącym kapłanem, który mu różaniec podaje albo też nauk udziela. Patrz: *Don Carlos*, ostatni akt, przedostatnia scena — król Filip i wielki inkwizytor. Następnie przebyłem jeszcze ostrym kłusem wielbłądzim dwie mile angielskie na północ, do starożytnych, pięknych grobowców, wzniesionych również z czerwono-

nego piaskowca, leżących w Mandor, obecnie już mieście umarłych, a niegdyś stolicy tego księstwa. O godzinie 1 $\frac{1}{2}$  po południu opuściłem Jodhpur i po dwunastogodzinnej podróży koleją stanąłem w Ajmere.

20 lutego. — Państwo rajputańskie otacza wprawdzie dokoła Ajmere i przynależne obszary, lecz mimo to stoi ono pod bezpośredniem panowaniem angielskiem, a różnica ta czuć się daje gwałtownie. W Jodhpurze i Jáipurze żywa baśń — tu mahometańskie miasto, wcale ciekawe, ale nie różniące się tak bardzo od innych w Indyach, północnej Afryce i Azji Mniejszej. Najgodniejszą widzenia rzeczą w Ajmere są ruiny jednego z najpiękniejszych meczetów na świecie, którego budowę zaczęto około roku 1200 po Chrystusie, a który w kilka lat później ukończył Altamsh, pochodzący z tak zwanej niewolniczej dynastyi. Słupów i kopuł dostarczyła jedna z najlepiej wykończonych świątyń Jainów. Dzieje się tu taksamo jak w Rzymie, gdzie do budowy chrześcijańskich bazylik używają kolumn, pochodzących z pogańskich świątyń. Dumę meczetu stanowi siedm wspaniałych łuków fasady i sposób, w jaki z kufijskich i tograjskich napisów najcudowniejsze utworzono ornamenta. Nawet wewnątrz Alhambry podziwianoby tę fasadę jako klejnot sztuki.

Ajmere.

Stary meczet.

Meczet leży za miastem, przy gościńcu do twierdzy Taragarh, który wielkimi figami, po dzikich wąwozach skalnych, przypomina mi drogę z Aglassan do Sagalassus w Pizydyi; pewno z milę ciągnie się droga stromo pod górę. Siedząc na koniu po raz pierwszy odkąd jestem w Indyach, połem się wspaniałym porankiem. W dalekim promieniu góruje twierdza nad okolicą. W głębokim dole leży miasto, obok jezioro, na wschodzie wielkiej równiny przepaściste góry. Na najwyższym szczycie fortecznej góry króluje meczet, a łuki balustrady, okalającej jego podwórzec, ujmują jakby ramami wspaniały krajobraz. Kiedy rysowałem portal, przyniesiono eukry, przysłane mi przez kapłana, widocznie pełnego tolerancyi ucznia proroka.

Twierdza.

Jeziro Push-  
kara.

Po południu pojechałem do jeziora Pushkara, o milę od Ajmere oddalonego; jest ono jeziorem Genezareth Hindusów, nad którego brzegami odgrywa się też kilka najbardziej znanych ich legend. Nawet brzegi jego, podobnie jak brzegi jeziora w Ajmere, mają uderzające podobieństwo do Galilei. Miejscowość Pushkara zamieszkuje wyłącznie bramini, którzy jednak zachowują się jak gawiedz, tak jak gdyby wyskoczyli z wielkiego palca u nogi Brahmę, a nie z jego głowy. Dokoła małego jeziora, świątynia ze schodami zstępującymi aż na dół do wody; silne drzewa figowe przedzierają się wszędzie pomiędzy stopnie i mury. Prawie wszystkie świątynie są Sivy, tylko jedna poświęcona jest Brahmie, jedyna w swoim rodzaju w całych Indjach. Zdaleka tylko wolno mi było oglądać bożka z czterema twarzami i świdrującymi wprawionymi oczyma, a obok o wiele mniejszy wizerunek Gayatri, małżonki Brahmę.

Pozwoliłem sobie na zbytek i wziąłem extra *coupé* do Jáipur; położyłem się w niem spać o godzinie 10, a o godzinie 1 $\frac{1}{2}$  w nocy, w dwadzieścia cztery godzin po mojem przybyciu do Ajmere, opuścił pociąg dworzec, i na godzinę 6 $\frac{1}{2}$  rano zawiózł mnie do Jáipur.

Jáipur.

21 do 23 lutego rano. Jáipur i okolica. — Łańcuch łysych gór, obejmujących czwartą część obwodu miasta, na górach rozległa twierdza, mniejsze cytadele, ku północy na niższym wzniesieniu świątynia słońca średnich rozmiarów. Miasto, liczące 150.000 mieszkańców, leży całkowite na równinie; założył je na początku minionego stulecia maharaja Jaysingh; posiada ono szerokie, równe ulice i place, jak którekolwiek ze współczesnych mu miast w Europie, n. p. Karlsruhe. Otaczają je mury, dokoła niego ogrody, jeziora, grobowce, opuszczone pałace, a po jednej stronie, jak zwykle, miasto angielskie olbrzymiej rozległości. Niema nic bardziej niemiłego, jak te części miasta, *cantonments* zwane. Same prawie parterowe, często w szkaradnym

Cantonments.



gotyku zbudowane domki, każdy z brzydkim ogrodem, niekiedy nawet tylko głuchą pustynią otoczone. Dlatego też na przestrzeni, na której 100.000 Hindusów mieści się w kupie, żyje tu zaledwo 1500 białych, a w *cantonment* w Pesháwar, albo w angielskiej dzielnicy w Jáipur, odległości tak są olbrzymie jak w Londynie. Nie wiem, czy takie urządzenie jest rzeczywiście o wiele zdrowsze, niż gdyby domy w takim mniej więcej oddaleniu od siebie stały, jak wille pod Baden-Baden, w każdym jednak razie wielka to strata czasu.

Jak w europejskich stolicach w tysamym czasie założonych, tak też i w Jáipur przewyższa wszystko pałac książęcy. Jest on miastem w mieście, a składa się z siedmiopiętrowego gmachu głównego, ogrodów, niezliczonych pawilonów (wśród tego dwie sale audyencyonalne i kiosk bilardowy), ze świątyni, z olbrzymiego podwórca z wieżami, kamiennymi zegarami słonecznymi i innymi budynkami dla astronomicznego użytku, zawdzięczającymi powstanie swe kapryswi Jaysingh'a, wreszcie ze stajni na setki koni i słoni. Maharaja odjechał właśnie do Kalkutty, z jedną tylko ze swych sześciu prawych małżonek, ze stu tylko innymi — damami swego dworu, z pięciuset sługami, z żołnierzami, wielbłędami, koźmi, słoniami. Czyż nie brzmi to całkiem tak jakby z *Tysiąca i jednej nocy*? Sześć tygrysów siedzi w jego menażeryi, wszystkie w okolicy schwywane. Dozorca ich, wprost przeciwnie niż w Europie, drażni je i pokazuje gościom, jak rozwścieklone stojąc na dwóch nogach wstrząsają sztabami klatek. Opowiadają, że gdy książę chce polować na tygrysy a żadnego nie można wytropić, wypuszczają jednego ze schwytyanych. Mnóstwo tu też wspaniałych panter używanych do polowań i — rzecz dla mnie nowa, ponieważ nigdy tego zwierzęcia nie widziałem — rysie wytresowane również do polowania. Pantery, rysie i ich dozorczy, pomieszczone są w osobnym budynku w mieście. Na drzewach w po-

Pałac.

Tresowane  
rysie.

bliżu mają orły swą siedzibę. W obecności mojej sprowadzono rysia; dozorecy rzucili orłom surowe mięso, a gdy jeden z nich w wysokości sześciu może stóp nad ziemią zataczał kręgi, aby się na nie rzucić, skoczył ryś w powietrze, chwycił orła i rozszarpał go.

Zamiast naturalnej, pięknej czerwonej barwy piaskowca z Jodhpur'u widać tu na wszystkich budynkach tynk rażącego różowo-fioletowego koloru; mniej tu także niż tam pięknych budynków, w całości jednak dość wesoło przedstawiają się ulice, dzięki wykuszom i ozdobom u okien i kamiennemu okratowaniu; regularność nie staje się tu nudną, jak gdzieindziej, a szerokość ulic i rozległość placów pozwala nam tem lepiej użyć widoku różnobarwnego życia wrzącego na nich. »Wiecznie niedziela«, mówi o Wiedniu satyryczny xenion. W Jajpur przez dwa miesiące codziennie tłusty wtorek. Styczeń i luty są świętymi miesiącami Hindusów, obchodzą je też tutaj bez przerwy pochodami, śpiewem, muzyką. Oprócz tego albo raczej dlatego właśnie są one miesiącami, w których jedynie wesela się odprawia; jeśli się zaś zważy, że każdy zamożny mężczyzna po kilka żon posiada, że niema tu kawalerów i że dzieci już 8 i 10 letnie wstępują w związki małżeńskie, to nie dziwnego, że się nieustannie w dzień i w nocy spotyka pochody weselne. Ubożsi siedzą na koniach, zawsze w najjaskrawszych strojach, przed prawem okiem zaś musi być ów nieodzowny parasol z frędzlami. Bogaci siedzą na słońiach, czasem po dwu chłopców, oblubienców na jednym, przed nimi mężczyźni z chorągwiemi na koniach, *nachgirle* pieszo, muzyka. W ciemności pochodnie, ognie bengalskie, na zębach słońi zawieszzone nowomodne kandelabry ze szklanemi baniami, jak po naszych restauracyach.

Pochody weselne.

Gdy w piątek w południe powracałem do domu, spotkałem orszak weselny magnata, który zaślubiał krewną księżniczkę. Pan młody, piękny mężczyzna lat 25, leżał

w złoconej lektyce, gdyż cały pochód zbierał się dopiero, aby wyruszyć do miasta. Złożyłem mu życzenia, a gdy mu rękę podałem, spostrzegłem, że nie była większą od rączki dziewczęcia. Wreszcie wyrusza pochód. Oblubieniec na słońiu, nad nim trzymają parasol, przed nim prowadzą za uzdę dwa rumaki w bogatych rzędach, lektykę niosą za nim. Po dwóch jeźdźców na jednym wielbłądzie i jeźdźcy na koniach jadą przed nim. Z tyłu postępują także słońie i wołami zaprzężone wozy o najrozlicniejszych formach, pełne kobiet i mężczyzn, z pomiędzy kobiet tylko tanecznice nieokryte zasłonami. Już w Bombaju uderzyły mnie te codzienne gody weselne. Kto przybywa do Indyi, niechaj nie omieszka odwiedzać wielkich miast w czasie tych dwóch miesięcy.

Ale w Jajpur odbywają się nietylko pochody weselne. Każdego bogatego i znakomitego człowieka, jeśli miasto opuszcza albo też doń powraca, odprowadzają lub też witają przyjaciele i słudzy w barwnych strojach, konno, z chorągwiemi i muzyką. Obok Rajputa na koniu i z mieczem w ręku (a nie u pasa) idą żołdacy pieszo. Wśród śpiewów i odgłosu bębnow przeciągają ulicami dziewczęta w gromadkach po 12 do 20.

Tuż przed miastem zobaczyłem człowieka, trzymającego pięknego bułanego konia, bogato przybranego w łańcuchy, aksamit, jedwab i frędzle, przed oczyma rodzaj przyłbicy ze złocistej materyi, na jednej z przednich nóg czerwona pętlica i srebrna obrączka. Koń ten należał do krewnego maharaji, który nieopodal siedział w wozie i jakimś suplikantowi udzielał posłuchania. Poleciłem prosić o pozwolenie odrysowania konia, i musiałem potem rysunek mój pokazać właścicielowi, a na prośbę jego posłałem mu wieczorem kopię.

Ilekróć chciałem sobie zdać sprawę z wrażeń, jakie na mnie wywarli ludzie i zwierzęta tu i w Jodhpur, nie znalazłem nic, z czego bym to porównać, chyba tylko obrazy na florenckich i umbryjskich skrzyniach

Żyjące  
quattrocento.

z czasu odrodzenia; freski Benozza Gozzoli, malowidła Carpaccia podobnie mnie uderzyły. I czem dłużej nad tem myślę, tem bardziej się w tem utwierdzam. Żywe to *quattrocento*; Rajputana daje nam obraz tego, czem były Włochy między r. 1380 a 1450; zapewne mniej w tem ogłady i mniej szlachetności, ale to samo czerstwe pożądanie życia, to sama chciwość sensacyi, to samo naiwne upodobanie w oryginalnych strojach; klejnotach, wzorzystych szatach, ozdobach bez celu. Najszałeńszą a całkiem też w duchu *quattrocenta* jest broń: miecze, szable, sztylety, dzidy, lance, spiczaste topory do zabijania ryb, kije z grotami dla jeźdźców na słoniach, tarcze z wszelakiego materiału. Formy fantastyczne do ostatecznych granic. Zbytek w strojach, który w Europie aż w głąb XVIII wieku był powszechnym, jeszcze tu w pełni rozkwitu.

Broń.

Typy.

Jak w Jodhpur, tak i tu człowiek ma w sobie coś z hidalga i coś z cygana. Można by sądzić, że kołyska pewnego muzykanta, który trzem *nachgírlom* na bębnie przygrywał do tańca, stała raczej gdzieś pod Debreczynem, niż o dzień drogi od Jumny. Czyż miałyby to być dowodem, że cyganie z Indyi pochodzą? Ów dopiero co wspomniany popis taneczny był najzabawniejszym, jaki dotychczas widziałem, odkąd jestem w Indyach; dziewczęta należały rzekomo do *corps de ballet* maharaji, a w każdym razie były dobrze wyćwiczone, tańce



zaś ich były o wiele żywsze, niż się do tego na Wschodzie jest przyzwyczajonym. Nie zapomnę też bytności mej u złotnika, mieszkającego w małym domku z malowniczym podwórkiem, o oknach obramowanych rzeźbami w drzewie. On sam, należąc do sekty Jainów, nosił zwykłe okrycie głowy jej wyznawców, podobne do czapek dożów i kardynałów w epoce

odrodzenia, a do tego długą czerwoną szatę, jak ta, w której malują Tycyana. Zmrok powiększał złudzenie — zdawało mi się, że się znajduję w Wenecyi o kilka stuleci wstecz. Więzienie, w którym kupiłem dywany i kołdry tamże wyrabiane, utrzymywane jest wzorowo i przyniosłoby zaszczyt każdemu postępowemu miastu europejskiemu.

Dumą mieszkańców Jajpuru jest publiczny ogród, mały *bois de Boulogne* z bogatą menażeryą. Tu oczarował mnie wielki czarny niedźwiedź z Kashmiru, który w pozach najpodobniejszych do ludzkich, zdawał się głęboko przemyślać nad zmiennością spraw tego świata. Piękny budynek w indyjskim stylu pałacowym, nieskończony jeszcze, zdobi ten ogród. Jestto Muzeum, pełne najwspanialszej broni i innych metalowych wyrobów, zbiorów antropologicznych i przyrodniczych. Jajpur posiada też i szkołę sztuk pięknych, w której fabrykuje się wszystkie możliwe wyroby z kamienia, gliny i brązu, a większa ich część wcale nawet dobra, w duchu stylu krajowego.

Ogród publiczny.

Ponieważ wzbroniony jest wstęp do twierdzy panującej nad miastem, pojechałem konno do wspomnianej powyżej świątyni słońca, aby stamtąd objąć okolicę; pozdrowiłem tam zdaleka stromą górę forteczną koło Ajmere, na której szczycie już byłem, a która stanowi najznacześniejsze wzniesienie na wielkiej przestrzeni.

Po przeciwnej stronie stoku góry dźwigającej na sobie świątynię słońca, leży Galta, wąwóz z wodospadami, stawami, świątyniami, grobowcami, pięknym widokiem na dalekie góry, przypominający tu i owdzie dolinę Młynów w pobliżu Amalfi. Olbrzymie drzewa figowe ożywiają papugi i małpy. Te ostatnie zbiegają się w wielkich gromadach, istna wędrówka ludów, jeśli się je zawoła i jadło im rzuci. Zabawiły mnie bardzo gołębie, które bez wszelkiej przeszkody ze strony małp spożywały swą cząstkę, podczas gdy większe małpy policzkami

Galta.

starały się w przyzwoitej odległości od łupu utrzymać swe słabsze krewniaczki.

Jazda na  
słoniu.

Do Jajpuru należy Amber, jak Schönbrunn do Wiednia. Wczesnym rankiem jechałem około godziny przez zaniedbane ogrody, mimo pustych pałaców i jeziora. Na jednej z wysp czaple o rozmaitem ubarwieniu i mały krokodyl, grzejący się swobodnie na słońcu. W miejscu, w którym droga pod górę iść zaczyna, oczekuje podróżnego słoń maharaji, głowa jego i trąba pstro malowane, jak u wszystkich, które tu widziałem. Przekonywam się, że na grzbiecie tego zwierzęcia bardzo przyjemnie urządzić się można, i że ruch tylko w czasie jazdy z góry na dół staje się niemiłym. Wkrótce dostajemy się znowu do małego jeziora, w którym się odzwierciedlają trzy piętra budynków, potężny zamek, a w dalekich odstępach po nad tem jeszcze dwie cytadele. Szeroki grzbiet góry, dźwigający te budowle, jest żółto-brunatny, z jeziora wznosi się kilka wysp, a między nimi jedna, na której założyciel zamku miał się oddawać czarnoksięstwu.

Amber.

Nieco dalej miasto Amber z licznymi świątyniami Hindusów, otoczone stromemi skałami, na które wspina się mur, nie tak wprawdzie wysoki i nie tak śmiały, jak sławny mur w Antyochii, ale podobny do niego. Zamek jest rozległy; sale zwierciadlane, wykładane marmurem; na ścianach jednej z małych komnat, malowane widoki miast indyjskich; z okien wspaniałe krajobrazy, w podwórzach zaś ogródki z białymi kwiatami z rodzaju gardenii.

O Jajpurze to jeszcze dodatkowo wspomnieć należy, że ożywione w niem niegdyś dzielnice obecnie całkiem pustką stoją i tylko przez najbiedniejszą klasę ludzi są zamieszkałe, ponieważ piasek z otaczającej je puszczy corocznie wewnątrz miasta się szerzy i ruch w niem tamuje. Nie umiem powiedzieć, jak się cieszę, że odwiedzając Jodhpur i Jajpur, nie zgoła nie czytałem wprzód o Rajputanie, że więc bez uprzedzenia oddać

się mogłem tym różnobarwnym wrażeniom. Rzecz osobliwsza, że w Jajpur oświetlenie gazowe, hotel napół europejski, szkoła sztuk pięknych, Muzeum, wpośród najszerszej średniowieczyzny, prawie wcale nie rozwiewają złudzenia podróżnika. Dłużej jak 10 do 15 lat wspaniałość ta i tu się nie utrzyma. Szczęśliwy, kto ją jeszcze widział.

W sobotę rano opuściłem Jajpur i po 24-godzinnej podróży koleją w kierunku północno-zachodnim dostałem się do Lahory.

*24 lutego. Lahore.* — Tu oczekiwał mnie Fischer w najlepszym hotelu, jaki dotąd w Indyach spotkałem. Przewodnikiem naszym po zbiorach muzealnych był pan Kipling, dyrektor Muzeum i szkoły sztuk pięknych, zachwycający staruszek, pełen zapału dla swego zawodu, przytem rzeźbiarz i malarz. Bawił on długo w Paryżu i był uczniem rzeźbiarza Carrier-Belleuse, któremu i ja przed 20 laty pozowałem do popiersia. Jakże mały ten nasz planeta! Najważniejszy dział Muzeum stanowi wielka liczba posągów i płaskorzeźb, po największej części z szaro-niebieskiego kamienia, podobnego do łupku, które wykopano z ziemi wśród zwalisk koło Peshawar po tej i po tamtej stronie afgańskiej granicy. Wszystkie one pozostają w związku z buddyzmem i noszą na sobie najwyraźniejsze ślady grecko-rzymskiego wpływu, nie mogły zaś powstać weześniej jak 150 lat przed Chr., a nie później jak 400 lat po Chr. Nic pewniejszego stwierdzić się nie da, zwłaszcza że tu dotychczas, tak jak przed 20 jeszcze laty w Grecyi i we Włoszech dobywa się wykopaliska sposobem łupieczy i że z tego powodu pochodzenia odkrytych okazów zwykle już oznaczyć nie można. Wielkie stojące i siedzące posągi przedstawiają prawie bez wyjątku Buddhę, bądźto jako księcia z wąsami, bogato przyozdobionego, nim jeszcze jako żebrak w świat się puścił, bądź też jako pokutnika

Muzeum  
w Lahore

Grecko-bud-  
dhystyczne  
rzeźby.

z gładką twarzą, w szacie podobnej do togi, zawsze z wielką aureolą. Obu tych typów są tu tak piękne wizerunki, jak rzadko które z czasów aleksandryjskich lub Hadryana. Kiedy właśnie jedną z książęcych postaci rysowałem, wszedł do sali młodzieniec w malowniczym stroju Panjabu, uderzająco podobny do Buddy. Twierdził, że pochodzi z okolic Peshawaru. A więc nie tylko w Grecyi napotkać można chodzące posągi — i tu dobierali sobie artyści typów z pośród swego otoczenia. Większa część płaskorzeźb odnosi się do kultu buddhystycznego. Jedną z nich, obraz pasterza, trzymającego jagnię na barkach, jest zupełnie identyczna ze staro-chrześcijańskim reliefem w muzeum Laterańskim, a więc zapewne jego naśladowaniem. Tu i owdzie spotyka się pochody bacchijskie.

Miniatury.

Okazy z kolei najważniejsze w Muzeum znajdują się w zbiorze indyjskich malowideł miniaturowych; są to po większej części kompozycje o licznych figurach, na ówciarkach *in folio*, pochodzące z czasów teraźniejszych, albo też niewiele starsze nad lat 100. Wiele z nich jest pierwszorzędnych, prawie wszystkie pełne przedniego humoru, i co mnie bardzo zajęło, całkiem w duchu włoskiego *quattrocenta*. Jest to potwierdzeniem wrażenia, jakiego doznałem na widok nieskażonego życia indyjskiego w miastach rajputańskich. Ludzie ei malują dzisiaj tak, jak w Europie przed 400 laty malowano, bo podobnie żyją, podobnie myślą i czują, jak nasi przodkowie w owych czasach.

Szybka przejażdżka po wąskich, uwagi godnych ulicach starej dzielnicy miasta. Mijamy dwa wspaniałe meczety, oba różnobarwnym otoczone tłumem modlących się i kazania słuchających wiernych, a około 6 godziny pędzimy koleją do Peshawaru, wielce ciekawi tego, co nas czeka.

Pięć rzek.

25 *lutego*. — Z pięciu strumieni, od których Panjab czyli »Kraina pięciu rzek« imię swe wywodzi, prze-



kroczyłem pierwszy, Sutlej, jeszcze przed Lahore, drugi Ravi (Hydraotes) płynie bezpośrednio pod Lahore, w północno-zachodniej stronie, Chenab (Acesines) i Ihelum (Hydaspes) mineliśmy w nocy, i obudziliśmy się koło Raval-Pindi w oczekiwaniu Indusu, do którego wszystkie wyżej wymienione rzeki dalej na południu wpadają. Rzut oka w Raval-Pindi na otaczającą okolicę i na tłum wysiadających krajowców wystarczył, aby nas przekonać raz jeszcze o tem, że już nie znajdujemy się we właściwych Indyach. Rozległa równina, tu i owdzie jaśniejąca blaskami zieleni młodych łanów zboża, ograniczona górami, z po za których śnieżne szczyty ku niebu się wznoszą: słusni, barczyści mężczyźni, z przenikliwemi oczyma, mocno zakrzywionymi nosami, w owcze skóry odziani; kobiety, zamiast wesółych południowych barw, w brudno-szarych sukniach. Tak wyobrażam sobie mieszkańców i okolicę nad Kaspijskiem morzem, podobnie też wygląda w środkowej części Azji Mniejszej — lecz nie w Indyach. Godzina pierwsza, wielkie wzruszenie, zbliżamy się do Indusu — i o dziwo! Indus pod Attock jest jedyną historyczną rzeką, której pierwszy widok mnie nie rozczarował. Z siłą świeżej, rozkielzanej młodości, ścieśniony w objęciach skał potężnych, pędzi on przez urwiska na południe, podobny do Tungabhodry pod Vijayanagar, tylko że tutaj cytadela, miasto Attock na północy, i rozległy widok na południu podnoszą jeszcze potężniej całą sceneryę. Jestto prawdziwie wojowniczy strumień, zuchwały, cięty strażnik graniczny najpiękniejszego kraju na świecie. Dziś podają znowu w wątpliwość (o czemże-bo dzisiaj nie wątpią?), że Aleksander w tem właśnie miejscu rzekę przekroczył. Dopóki jednak nie dadzą mi pozytywnej pewności, że rzecz się miała przeciwnie, wolę wierzyć, że tędy właśnie wtargnęli Macedończycy do Indyi.

Przejeżdżamy rozległą, piękną równinę Peshawaru. Góry są o wiele wyższe niż pod Raval-Pindi, z poza

Raval-Pindi.

Indus.

Attock.

Pesháwar.

nich wznoszą się olbrzymie szczyty śnieżne, prawie większe niż Montblanc, a przecież jestto dopiero przedgórze gór Hindukusch. Ani śladu Himálaya, leżących daleko na wschodzie. Mijamy Pesháwar-City, miasto krajowców; przejeżdżamy obok twierdzy, a o 4 godzinie stajemy w *dak-bangalo* (domu gościnnym dla cudzoziemców) w angielskiem *cantonment*. Każemy zapalić w piecu, gdyż chłód daje się czuć dotkliwie. Już w Lahore kilkakrotnie przypominałem sobie przy kominku, że oddawna znajdujemy się w strefie umiarkowanej, która dlatego tak się nazywa, że w większej części jej krain przez pięć miesięcy panuje nieumiarkowane zimno.

Oddaję moje pisma polecające i urządzam na dzień jutrzejszy wycieczkę do wąwozu Kháibar, co jednak nie jest rzeczą łatwą, bo pora już nieco spóźniona i komendanta wąwozu nie zaraz mogę odnaleźć. Następnie wyjeżdżam z miłym *deputy-commissioner* do miasta Pesháwaru, i tam wstępuję na dach starego Karawanseraju, aby użyć pysznego widoku dokoła. Miasto brudne, brunatne i szare, zbudowane z gliny, pełne życia, jakby jeden wielki bazar. We wszystkim widać przeciwieństwo do Indyi. Mój towarzysz, który odbył afgańską kampanię, twierdzi, że wszystkie miasta Afganistanu są podobne do tego. Przypomina mi się także okolica Koniah w Azji Mniejszej, tak jak w Lahore na widok ścian i kopuł i grobowców meczetu, wykładanych polewaniami ceglami. Na tym kawale świata, stąd aż po Brusę, wycisnął islam jednolite piętno, podczas gdy mahometańskie budowy na południe od Panjabu przejęły od starszych pomników, które je na tej ziemi poprzedziły, coś bardziej lotnego, słonecznego, lżejszego.

Słońce zaszło, a dalekie szczyty śnieżne zajaśniały najpiękniejszym alpejskiem płomieniem. Na zachodzie legły już w cieniach wieczornych cytadela Jamrúd i wejście do wąwozu Kháibar.

26 lutego. — Młody urzędnik cywilny z Lahore, Fischer i ja pędzimy w *break'u* o godzinie 8 do wąwozu Kháibar; stojąc jak starożytny woźnica, popędza nasz furman konie, a za nami jedzie *tonga* ze służbą i jadem w koszu. Jest to taki sam wóz, jak ów, który mnie do Ellory zawiózł, lecz mniej jeszcze nowoczesny, zupełnie starożytny. Gdyby nie było dachu, spoczywającego na mosiężnych słupach, *tonga* ta byłaby w zupełności wozem ze sławnej *bigi* w małej okrągłej sali Watykanu. Zupełnie tensam kształt pochyły, z przodu wyższy niż z tyłu, to samo ozdobne jarzmo, pod którym pędzą konie. Woźnica prawie jak Czerkies odziany, a widok to najpocięniejszy, kiedy swój zaprząg pobudza do nierównego galopu, aby nas dogonić. — Godzina 9<sup>1/2</sup>. Jamrúd, silna cytadela, o malowniczych konturach u wejścia do wąwozu. Tu czeka na Fischera leciuchny wóz, *tam-tam*, dla nas dwóch stoją w pogotowiu wierzechowe konie, i w towarzystwie dwóch jeźdźców z lancami, należących do pogranicznej straży, przeprawiamy się przez granicę.

Starożytny  
wóz.

Z Jamrúdu do Landi-Kotál, na cztery dobre godziny jazdy konnej w głąb kraju, sięga obszar między Afganistanem a indyjskim cesarstwem, nie należący prawnie do żadnego z nich. Twierdze są angielskie, a Afrydowie, pograniczna ludność rozbójnicza, odbywają za wynagrodzeniem dwa razy na tydzień straż na tej przestrzeni dla bezpieczeństwa przeciągających tędy karawan. Żaden Europejczyk, chyba przebrany, nie może się dziś zapuścić po za ten obszar, a nawet sam biedny emir z Kabulu, choćby chciał, nie zdołałby go obronić przed własnymi poddanymi. Wąwóz Kháibar podobny jest do znanych mi przesmyków w górach Taurus i do przełęczy Beilan w północnej Syrii. Rzeka, przecinająca go, obfituje w wodę tylko przez pewną część roku; teraz z upodobaniem używają koryta jej jako gościńca dla wielbłądów. W zygzakach prowadzi droga pod górę,

Wąwóz  
Kháibar.

następnie załamuje się ku północy przed olbrzymim, prawie różowym murem skał. Góry łyse; gdy przejeżdżamy prezentują broń Afrydowie na szczytach przy drodze. Oto w górze leży Ali-Mazjid, odcinając się od łała błękitu, jakby jaki zamek Krzyżowców. Wyjeżdżamy stromą ścieżką pod górę; na górze widok na wieże strażnicze, spoglądające na twierdzę, lecz niestety nie dalej w głąb kraju, gdyż rzeka tu właśnie bieg swój skręca. Przeciągają tędy karawany z dwugarbnymi wielbłędami o silnych grzywach, z końmi i mułami, objuzczonymi ciężarem lub lektykami; mężczyźni, piękne, smukłe postaci w brunatnych, niebieskich lub białych strojach, rzecz szczególna, najczęściej bez broni. Objeżdżamy twierdzę u jej stóp, cieszymy się malowniczym widokiem w tem najwęższem miejscu wąwozu i następnie wracamy bardzo niechętni, gdyż wczorajszego dnia nie można już było zamówić eskorty na dalszą podróż w głąb kraju, a ja nie chciałem znarować pożyczonej mi wybornej klaczy.

O godzinie 2 byliśmy z powrotem w Jamrúd i zjeśliśmy wesoło śniadanie w twierdzy; potem rysowaliśmy i fotografowaliśmy wiele typów ze zgromadzonego tłumu ludu, między innymi sokolnika, gdyż tu, jak w Algierji, polowanie z sokołami stanowi główny sport krajowców i oficerów. Obok Jamrúd leżą dwie wsi, w których przed kilku dniami krew popłynęła. Vendetta jest tu zawsze jeszcze instytucją nie do wykorzenia, a dla złagodzenia jej rząd mało tylko może zdziałać.

27 *lutego*. — Wyprawiam się do miasta Pesháwar z Fischerem, aby mu pokazać widok ze starego seraju i zakupić materye, wyroby ze skóry, srebra i broni. O godzinie 11<sup>1/2</sup> jesteśmy na dworcu, Fischer jedzie do Attock malować Indus, ja wysiadam po dwóch godzinach w Naushara, gdzie czeka *tonga*, która mnie około godziny 4 przywozi do Mardán, na północy równiny. Pod Naushara przejeżdżam most łyżwowy, rzucony przez

Krew za  
krew.

Mardán.

rzekę, pod Attock do Indusu wpadającą. Im bardziej zbliżam się do gór, tem bardziej uderza mnie podobieństwo okolicy do Pamfilii, co mi już wczoraj w oczy wpadło, kiedy zjeżdżałem do Jamrúdu drogą zupełnie podobną do wiodącej z Termessus ku Adalii. Mardán jest angielskiem *cantonment*, dokąd otrzymałem był rekomendacyę do kapitana Deane, zarządcy okręgu, który mi ma pokazać leżące dokoła buddhystyczne ruiny. Większą część tutejszych urzędników cywilnych stanowią byli oficerowie — niewątpliwie bardzo uznania godne urządzenie, tu »na kresach«, wśród takiej ludności. Na werandzie Deane'a, w ogrodzie jego, ustawione są posągi i płaskorzeźby, które znalazł w okolicy i rozsyła do muzeów w Lahore, Kalkucie, Londynie. Pomiędzy niemi znajduje się średniej wielkości Buddha jako asceta, tak wychudły, że mu kości policzyć można, wyborna robota, *pendant* do Donatella *Św. Jana na puszczy*.

Posąg Bud-  
dhy jako  
ascety.

Mieszkanie zajmuję w domu pułkownika przebywającego tu pułku *guide'ów*, dzielnego wiarusa, który jako młodzieniec odbył kampanię przeciw indyjskim powstańcom, a później brał udział w wojnie afgańskiej. Mieszka on w rodzaju warowni, zbudowanej przed 40 laty, kiedy to jeszcze trzeba tu było kryć się za rowy i mury z gliny lepionej. Oficerowie jadają w świetnie urządzonej lokalu, w którym nie brak ani najświeższych dzienników, ani bilardu. Piękne posągi, popiersia, płaskorzeźby z okolicznych ruin ozdabiają i te pokoje, choć w każdym razie odpowiedniejsze dla nich miejsce byłoby w Muzeum w Lahore. Kuchnia i usługa znakomite, możnaby myśleć, że się jest w eleganckim londyńskim klubie.

Sala jadalna  
oficerów.

Świeży zaprząg do mojej *tongi* i dalej w drogę na północny wschód ku górą, do miejscowości Shahbazgarhi, gdzie przybywam o godzinie 6 bezpośrednio przed zachodem słońca. W pobliżu znajduje się napis wycięty na skale, jeden z wielu, którymi król Asoka, władzca

Napis w Shah-  
bazgarhi.

całych północnych Indyi, około 100 lat po Aleksandrze W., jakby milowymi kamieniami zasłał swe państwo. Był on tem dla buddyzmu, czem w pół tysiąca lat po nim Konstantyn W. dla chrześcijaństwa, a napisy zawierają 14 edyktów z przepisami moralnymi i religijnymi w języku *pali*. Zalecają one wstrzymywać się od zabijania żyjących istot, głoszą, jak po wszystkich gościach na obszarze całego państwa dla ludzi i zwierząt pokarm i napój w pewnych miejscach są przygotowane, i wzywają gorąco do religijnej tolerancyi. W Delhi i gdzieindziej umieszczone są te edykty na słupach, tu i w innych miejscach, a także dalej zagranicą, na skałach, nieodróżniających się niczem od sąsiednich. Na stoku góry pod Shahbazgarhi, skąd się daleki otwiera widok, leży wielki kamień napisowy, okryty tekstem po obu dłuższych swych bokach. Wygląda jak gdyby lada chwila miał się stoczyć na dół. Jednego z edyktów brakuje na kamieniu, odkrył go niedawno kapitan Deane na innej skale u stóp góry.

Żydowskie  
typy.

Ludność tutejsza ma wybitne piętno żydowskiego typu, nosi się też tak brudno jak Żydzi i nie lepszą ma od nich postawę. Ludzie ci utrzymują, że są straconem pokoleniem żydowskiem, aż tu zagnanem. Przejeżdżając około jednej wioski, spostrzegłem jak mężczyzna z węzełkiem na plecach, widocznie wracający z podróży, tylko objęciem w ramiona bez pocałunku witał się z osobami, które naprzeciw niego wyszły. Wyglądało to całkiem uroczyście, po biblijnemu, jak spotkania na freskach Giotta.

Geografia  
Indyi.

Nim dalej pójdziemy, nie zawadzi może zorientować się nieco co do geograficznego położenia Peshawaru i okolicy, i wogóle co do odległości indyjskich. Peshawar leży prawie pod 34 stopniem północnej szerokości, na tejsamej wysokości co Beirut w Syrii lub punkt jakiś między Tunisem a Tripolis, daleko po za zwrotnikiem, przecinającym Indye powyżej Ahmedabadu. Colombo na

Ceylonie leży prawie pod 6 stopniem, a więc 28 stopni dalej na południe, na jednej wysokości z zagłębieniem zatoki Gwinejskiej. Przeciagając tedy przez Indye z jednego ich końca na drugi, przebyłem drogę taką, jak przez całą północną połowę Afryki, albo przenosząc rzecz do Europy, jakby od południowej kończyny Sycylii do Drontheim w Norwegii. Jeśli znowu weźmiemy największą szerokość Indyi od ujścia Indu do ujścia Gangesu, to otrzymamy prawie taką samą odległość jak z Paryża do Kijowa, a rozległe jeszcze obszary państwa indyjskiego leżą z obu stron po za wspomnianymi kresowymi punktami. Sama »Kraina pięciu rzek« jest w przybliżeniu tak wielka, jak królestwo włoskie.

28 lutego. — Wycieczka do ruin Takht-i-Bahi na wulkanicznym pagórku, kilka mil angielskich na zachód od Mardán. Podobnie też pagórek w Shahbazgarhi i wszystkie inne w najbliższej okolicy są pochodzenia wulkanicznego. Kapitan Deane sam powozi aż do stóp góry zamkowej; przez 3 kwadransy piękna droga, równoległa do powyżej wspomnianej rzeki. Pół godziny wspinamy się stromo w górę, poczem z grzebienia górskiego roztacza się piękny widok na drugą stronę z ruinami na pierwszym planie, na równinę i zachodnie krańce gór. Znowu żywe przypomnienie Pamfilii, zwłaszcza Syllionu. A teraz kawałek z góry na dół, dla obejrzenia zwalisk. Byłoby rozległe niegdyś miasto, spiętrzone warstwami po kantach i wąwozach górskich. Mury wyborne, chociaż z małych kamieni złożone. Zagadką jest dotychczas, jak się w wodę zaopatrywali mieszkańcy. Budynek główny, *vihara*, składa się z kilku komnat. Zachowało się też jeszcze wiele nisz, z których już usunięto posągi. Gotyckie łuki na *vihara* i innych budynkach. Całość bardzo pojętna do zdjęć architektonicznych i jako motyw krajobrazu. Kiedy zbudowano to miasto? nie wiadomo; zapewne gdzieś w czasie powstania napisów Asoka, a więc w III stuleciu przed

Takht-i-Bahi.

Chrystusem. Przywożę z sobą kilka sześcioramionych posągów i płaskorzeźb, podniesionych z ziemi. Po drodze z góry pokazał mi Deane mały, żółty kwiatek, w którym co drugie kwiecie ma pięć czarnych punktów: jestto ulubiony kwiat Afganów, święty kwiat proroka, a owych pięć punktów oznacza ślady końców jego palców.

*1 marca.* — Wycieczka do Sikri i starożytnego Dallila. Deane powozi znowu, tym razem jedziemy godzinę drogi na północ. Konie wierzchowe czekają na nas w pobliżu jednej z wiosek; wysoko na stromej górze zamkowej stoją ruiny Jamalgiri. Po półgodzinnej, ostrej jeździe przebywamy kotlinę skalistą o amfiteatralnym kształcie. Miejscowość ta nazywa się u krajowców Sikri. Tu odkrył Deane sześcioramionne i kamiennymi posągami i płaskorzeźbami różnej wielkości. Właśnie znajdują się tu wozy, aby wywieść nowy ładunek. Dokoła leżą kapitele o wypaczonych kształtach korynckich, gliniane podstawy ołtarzy, z małymi posągami siedzącego Buddy, wsparte na słoniach i lwach. Mała postać Buddy w płaskorzeźbie odznacza się tysiącami błogosławiącym ruchem, co Chrystus na wielu włoskich obrazach, między innymi na fresku Ghirlandaia w Sykstyńskiej kaplicy.

Jedziemy dalej konno wzdłuż skał, które objeżdżamy, aby skręcić do wąskiego wąwozu, biegnącego w tym samym kierunku. Od tego miejsca na północ ciągną się góry nieprzerwanym pasmem, a już najbliższy ich grzebień oznacza afgańską granicę. Zsiadamy z koni i idziemy pieszo dalej do wąwozu. Starzec afgański, siedzący u źródła, pozostanie dla mnie na zawsze malowniczym wspomnieniem. Z kolei pniemy się pod górę ku ruinom Dallila, ongi stolicy kraju zwanego Vagama, o którym wspominają greccy pisarze. Dzika skalista okolica, jeszcze dziksza niż pod Ajantą, ponad kawałkiem równiny widok na wschodnie góry. Miasta tak wspaniale położone, jakich mało, a jest mnóstwo miast takich dalej



po za granicą, nie uczyniono przecież prawie nic, aby je zbadać. Cóżby to była za rozkosz wziąć się do wykopalisk w Afganistanie i wygrzebywać z ziemi posągi i płaskorzeźby, do których rząd angielski nie ma prawa. Z wykopaliskami bowiem po tej stronie granicy rzecz się ma, przynajmniej w teorii, tak jak we Włoszech, Grecyi i Turcyi — wszystkie są w zasadzie własnością rządu.

Po zetknięciu się z cywilnymi urzędnikami angielsko-indyjskimi, nie mogę jak tylko potwierdzić pochwały, które Hübner oddaje wszystkim administracyjnym urzędnikom państwowym. Są to ludzie obowiązkowi, wykształceni, energiczni i odpowiadający swemu zadaniu. Wprawdzie bardzo późno zagoją się, jeśli w ogóle zagoić się dadzą, te głębokie rany, które angielskiej administracji zadały rządy Gladstone'a za pośrednictwem radykalnego wice-króla lorda Ripon. Śmieszne zastosowanie autonomii i innych podobnych hasel do tutejszych plemion, dążenie do indyjskiego parlamentu, hasło „Indye dla Indów” — takie i tym podobne floskuły na to obliczone, aby się nimi popisywać w domu i imponować drobnym szkockim przemysłowcom i rzemieślnikom, stanowiącym główne stronnictwo *great old man'a*, odbiły się tysiącnie echem wśród tak licznej i tutaj, napół wykształconej warstwy krajowców, wychowanych po angielsku. Posiano wiatr i łatwo można będzie zbierać burze. Nowy to przykład niebezpieczeństwa ogólnych idei, których głoszenia rządzący wystrzegąby się powinni. Złe zrozumiane ogólne idee zamieniły Francję w wulkan polityczny, grożący co chwila nowymi wybuchami, i takim też wulkanem jest ona od lat stu; w Austryi przyczyniły się do tego, że spór narodowości rozszalał się aż do obłędu. Hindus, któremu wolno wybierać sobie na sędziego Anglika albo krajowca, wybierze zawsze Anglika, bo jest przekonany, że się Anglik nie da przekupić, a wie, że współplemiennik jego własny równie jest prze-

Angielsko-  
indyjscy  
urzędnicy  
cywilni.

dajny, jakby on sam był sprzedajny, gdyby był sędzią. Są ludy, które w posłuszeństwie świetny osiągają rozwój, ale nie są stworzone do samorządu, który zastosowany do nich nie jest niczem innym, jak wydaniem niesłychanej większości ludu na pastwę samowoli i samolubstwa małej garstki potężnych.

2 marca. — Noc spędziłem w *dak-bangalo* w Naushara, gdzie mi czas do południa zeszedł na pisanie listów. O godzinie 1 $\frac{1}{2}$  po południu wyjazd do Lahore, gdzie koleją stanąłem o godzinie 3 rano.

3 do 7 marca. Lahore. Chwila odpoczynku w dość znośnym hotelu, utrzymywanym przez Dalmatyńca, a czasu tego używam, aby skreślić te słowa, wprowadzić w ład moje zapiski i przygotować się nieco do ostatniej niestety fazy podróży po Indjach. Wśród tego zajmują mnie studia w Muzeum, nader przyjemne obcowanie z Kiplingem i zwiedzanie Lahore i okolicy.

Lahore.

Miasto leży na rozległej nizinie; rodzaj *Monte Testaccio*, prawdziwa góra skorupkowa, w bezpośrednim sąsiedztwie, jest jedynym wzniesieniem, z którego je oglądać można. W twierdzy pałac, w rozkładzie swym podobny do wszystkich indyjskich pałaców, z misternymi szczegółami w malowidłach i mozaice. Kilka ładnych loggii z piaskowca, zapewne szczątki dawniejszej jakiejś budowy, pochodzącej od Akbara, ze słoniami i lwami jako podporami dachów, i z fryzami okrytymi ptactwem i kwieciami, nad które piękniejszych nie rzeźbił ani Sansovino ani Giovanni da Nola. Na murze wewnętrznym mozaiki z polewanej gliny, słonie, konie, wielbłądy, wszystkie z jeźdźcami, i lwy polujące na gazelle. Piękny jest wielki meczet z czterema minaretami, wielkim podwórzem, dwiema fasadami, wszystko podobnie pstrą mozaiką okryte. Meczet bez głębi, tak jak gdyby podwórze było właściwem miejscem modłów. Po za rzeką grób Jehan-gira, syna wielkiego Akbara, olbrzymia budowa, z czterema narożnymi wieżycami w ogrodzie; obok ruiny

seraju, po drugiej stronie miasta grobowiec obok grobowca, najczęściej z portalami. Wszystko to mniej lub więcej udatne dzieła późnej mahometańskiej sztuki. Dalej sławny ogród Shalinar, założony przez Shah Jehana. Lasek pięknych mango, przecięty czterema kanałami, uchodzącymi w środku do kwadratowego stawku Pawilony i narożne wieżycy. Właśnie gdyśmy wchodzić mieli, spostrzegamy obozującą karawanę, setki mężczyzn i kobiet z namiotami, wielbłądami, chorągwiami, muzyką. Są to pielgrzymi, dążący do Multan, nad środkowym Indem; wspaniałe typy.

Najciekawsze w Lahore są ulice starej dzielnicy miasta. Nie widziałem w żadnym innym mahometańskim mieście tak pięknej snycerki z drzewa u okien, wykuszów, okratowań, balkonów, a do tego dodać jeszcze trzeba nieregularną mieszaninę pięter i poplątanych uliczek. Także niektóre domy prywatne same przez się interesujące są swem architektoniczmem założeniem. Bardzo ciekawe jest tutejsze *college* dla wschodnich języków, pozostające pod kierownictwem młodego doktora Steina, Austryaka. Wszystko, nawet szpetny gotyk budynku jest naśladowaniem *colleges* angielskich miast uniwersyteckich, a po pokojach i salach siedzi często dwóch albo trzech nauczycieli krajowych w turbanach, i wykładają dla małych grup brunatnych uczniów także w turbanach na głowie. Podobnie jak w Anglii odbywają się w *colleges* tylko wykłady, a w uniwersytecie jako takim tylko egzamina. Na widok tych słuchaczy zachodniej mądrości, przefiltrowanej przez wschodnie medium, przyszli mi na myśl ciemno-skórni adepci sztuki w szkole sztuk pięknych w Bombaju, odrysowujący z rozczulającym zapalem gipsowe odlewy Laokoona i miłońskiej Wenery. Lękam się bardzo, że Anglicy i zacny dr. Stein wytręsują tylko swych uczniów jak mały lub papugi, lecz że ich nigdy wykształcić nie będą mogli. Aby to osiągnąć, należałoby znaleźć coś nie równego

Stara dziel-  
nica.

College dla  
wschodnich  
języków.

naszym szkołom, lecz analogicznego do nich, a zgodnego z pojęciami Wschodu.

Ułaskawienie  
zwierząt.

Nigdzie indziej nie można widzieć takich przykładów ułaskawienia zwierząt, jak w Indyach. W *cantonment* w Pesháwar, w Naushara i tu, biegają sępy rozmaitych gatunków całkiem swobodnie po ulicy, jak kury, i ledwie wozy spłoszyć je mogą. Zauważyłem też ptaki drapieżne na najlepszej stopie z drobiem żyjące.

Amritsar.

8 marca. — O 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> przed południem wyjazd z Lahore, 12<sup>3</sup>/<sub>4</sub> przybycie do Amritsar, miasta liczącego także ponad 100.000 mieszkańców. Już na dworcu opadli mnie handlarze, przebywa tu bowiem wielu artystycznych rękodzielników z Kashmiru, i bardzo ruchliwy jest handel wyrobami, których wzory stamtąd pochodzą. W drodze do miasta łają się i czubią na tylnym stopniu mego powozu dwaj handlarze szalów. Bardziej niż Lahore, które jako stolica prowincyi prędeży straciło ślady niedalekiej przeszłości, nosi jeszcze Amritsar pię-

Sikhowie.

tno rządów Sikhów, którzy stanowiąc początkowo sektę religijną, założyli w zeszłym stuleciu królestwo w Panjabie, w roku, zdaje mi się, 1849 przez Anglików podbite. Największą osobliwością miasta jest mała, piękna świątynia, całkowicie blachą złotą pokryta, wewnątrz bogato malowana i złocona, a stojąca w pośrodku stawu, przez który wiedzie marmurowa grobla. Nie ma ona więcej nad lat 100 i żadnemu z bogów hinduskich nie jest poświęcona, snać Sikhowie zaraziwszy się zwątpieniem Sewera z *Polyeucta*, powiedzieli sobie o indyjskich bóstwach, *qu'il y en a beaucoup pour être de vrais dieux*, i modlą się tylko do jednego Boga jako do stwórcy świata, któremu oddają tu cześć kwiatami, muzyką i śpiewanemi przez nos kantylenami. Szanowna, święta księga przechowuje się w świątyni. Niedaleko stamtąd, znowu nad jeziorem, Baba Atal, budynek w rodzaju wieży, dźwigający na sobie drugą, węższą wieżę; wewnątrz grób jednego z bohaterów Sikhów. Dwa mi-

Złota świątynia.

narety stoją w pobliżu; należały one zapewne dawniej do meczetu, choć tego stwierdzić nie mogłem. Z wysokości jednego z nich piękny widok na miasto, świątynię i równinę. Po ulicach zwracają uwagę drzewa figowe, które wszędzie z pomiędzy murów domostw wyrastają i z czasem bezwątpienia domy rozsadzić muszą, i rzeźby na drzewie u okien, różniące się nieco od rzeźb w Lahore. Podobnie jak tam, chodzą i tu mahometanki w całym białych zasłonach, w których tylko na oczy małe zakratowane okienka są wyhaftowane. Szczególne są nakrycia głowy dawnych wojowników Sikhów, które też często spotyka się u młodych mężczyzn jako odznakę kastową. Wąski, po większej części żółty turban, na tyle wysoko i dość ostro wybiegający. Mnóstwo rozmaitych zgrabnych łańcuszków żelaznych i dwie żelazne wąskie obręcze ostrzem ku turbanowi zwrócone, a więc niby aureole; dalej rodzaj korony z małych żelaznych pięciokątów. Całość przypomina formy perskie. Spotkałem się też w Amritsar z pochodem tryumfalnym. Muzyka, krzyk, laski ozdobione sztucznymi kwiatami, unoszone dokoła głowy siedzącego na wozie łyszego człowieka. Był to atleta i właśnie odniósł zwycięstwo nad sławnym swoim rywalem z Lahore, który z hańbą wrócił do ojezystego miasta. Zachwył patryotów miejscowych nie znał granic, nawet na cześć olimpijskiego zwycięzcy nie huczał zapewne większy hałas. We wspinałej fabryce dywanów, którą Anglik kieruje, wszystkie wzory są starodawne i pełne smaku, a robota bardzo porządna. O godzinie 7<sup>3</sup>/<sub>4</sub> wieczór wsiadłem do pociągu, a po 19-godzinnej prawie jeździe stanąłem 9go o godz. 2<sup>1</sup>/<sub>2</sub> po południu w Delhi, którego znamię, wielki meczet, widnieje już ze znacznej odległości.

Stroje.

Zapaśnicy.



Indyjska taneczniczka.



Mausoleum Akbary w Sikandra.

## INDYJSKIE PÓŁNOCNO-ZACHODNIE I ŚRODKOWE PROWINCYE, BENGAL.

9 do 11 marca. *Delhi*. — Jest to Rzym Indyi. W tym kraju, nawiedzanym przez najczęstsze może i naj-sroższe wojny, jakie kiedykolwiek i gdziekolwiek ludzie z sobą staczali, niema ziemi tak krwią napojonej jak ta, na której po kolei wznosiło się siedm miast, po więk-szej części stolic książęcych, otaczających szczątkami swymi nowożytnie Delhi, na przestrzeni 45 kwadrato-wych mil angielskich. Półtorej godziny jedzie się w kie-runku południowo-zachodnim do Kutab, zupełnie jak w rzymskiej Kampanii, wpośród zwałisk grobowców. Tu stoi żelazny, nieco więcej jak 20 stóp wysoki słup z V stulecia po Chr., to kolumna tryumfalna Indów, wzniesiona w pamięć szczęśliwej wojny przeciw zachod-nim ludom, które przez Indus tu przyszły — świadectwo zręczności ich w obrabianiu metali. Tuż w pobliżu znaj-dujemy wielki minar, przeszło 200 stóp wysoki, jako kolumnę zwycięstwa Mahometanów, a więc takiego za-chodniego ludu, w 800 lat po tem wybudowany. Na *ridge* (stoku góry), delhijskiem Monte Mario, skąd najle-piej widać okolicę, stoi obok pomnika dla Anglików, po-ległych tu w czasie wielkiego powstania, jeden z owych słupów, na których wryto edykta króla Asoka, pełne miłości dla ludzi i zwierząt. Tylko nad Tybrem spo-tyka się obok siebie i ponad sobą świadectwa tak

Delhi.

sprzecznych i zwalczających się nawzajem usiłowań. Drugi słup króla Asoka wystrzela z kupy mahometańskich zwalisk blisko brzegu Jumny — prawdziwy krajobraz Rottmanna. Jumna, przepływająca obok Delhi i Agra, a pod Allahabadem wpadająca do Gangesu, jest pod względem historycznym prawie tak ważna jak on sam. Kraja między Gangesem a Jumną, to przesławny kraj środkowy, Madhya Desha. Tu pod Delhi jest Jumna leniwą rzeką żółtej barwy, dzielącą się na kilka ramion, zaledwie wielkości Arno jeszcze powyżej Florencyi.

Jumna.

Meczet w Kutab.

Oprócz wielkiego minaretu głównym pomnikiem w Kutab jest meczet, wzniesiony na początku XIII stulecia, niewiele lat przed starożytnym meczetem w Ajmere. Jak w tamtym, umieszczono i tu szereg wspaniałych mahometańskich łuków dokoła słupów świątyni Jainów, a obu mniej więcej równa zachowała się ilość. Jeśli napisy, które w płaskorzeźbie obiegają dokoła łuki, w przepychu i misterności wykonania ustępują ajmerskim, to przeciwnie kolumny świątyni są tu jeszcze kunsztowniejsze niż w Ajmere. Wszystkie głowy ludzkie i zwierzęce poobłukali z ornamentów zwycięscy obrazoburecy, lecz dość ich jeszcze zachowało się, ażeby stwierdzić, że wytrzymają porównanie z najlepszymi ornamentami włoskiego *cinquecento*. W Ajancie freski w guście Giotta, na 1000 lat przed Giottem — tu znowu Sansovino Jainów, przynajmniej na 300 lat przed włoskim. Jednym ze starych miast dokoła Delhi, w połowie drogi do Kutab, jest Indrapat. Niektórzy chcieliby na podstawie *Mahābhāraty* wykazać, że już 1500 lat przed Chr. miasto tegoż imienia wznosiło się na tem miejscu. Stoją tu wprawdzie jeszcze po większej części potężne mury z czasów mahometańskich, z pięknymi malowniczymi bramami; ale za nimi już tylko nędzna wieś, wśród której, jako ostatni świadek minionej przeszłości, wystrzela meczet, najpiękniejszy z zachowanych, jakie w Indyach widziałem. Pochodzi on z początkowych cza-

Indrapat.



sów mongolskiego panowania, na krótko przed Akbarem. Fasada, sztuczne stalaktyty pod trzema kopułami, sposób w jaki rozpięto łuki pod boczne kopuły, są architektonicznymi kreacjami pierwszego rzędu. Jak większa część meczetów w kraju tutejszym, nie ma ta budowa żadnej głębi; tłum wiernych stał w podwórzu przed kopułami, nie pod nimi.

Budową fasadową, tylko z wielkim podwórcem, ujętym w ramy łuków i bram, jest również sławny wielki meczet w nowym Delhi, piętrzący się jak kościół Św. Piotra, a zbudowany przez rozmiłowanego w budownictwie władzcę mongolskiego, Shah Jehana, w tym właśnie czasie, kiedy i rzymską tę świątynię ukończono. Większe wrażenie niż ten sławny gmach wywarły na mnie szczątki pałacu Shah Jehana w twierdzy, tworzącej jak w Lahore miasto dla siebie. Piękniejszej jak tam inkrustacyi w kamieniu nie widziałem dotąd, atoli pyszniejszą jest jeszcze dekoracya kilku komnat za pomocą ścian z białego marmuru, malowanych barwisto w kwiaty i bogato złożonych.

Dnia 10 marca bardzo przyjemny obiad u pułkownika Hanna, który posiada wielki zbiór indyjskich i perskich malowideł. Portrety cesarzów mongolskich tak delikatnie rysowane, jak tylko Dürer rysował; bardzo ciekawe sceny z ewangelii i apparacya Madonny powstały, według podania pana Hanna, pod wpływem Akbara. Akbar jest cesarzem Fryderykiem II Wschodu, kokietował on z chrześcijaństwem w podobny sposób, jak tamten z islamem. Dzisiejsze miasto Delhi, pełne kurzawy i bez szczególnego charakteru, nie może też w przybliżeniu nawet iść w porównanie z Jajpur, Lahore, ani nawet z Ajmere. Przekupnie, kuglarze, tanecznice z orszakami muzykantów, są tu tak dokuczliwi jak muchy, które w Delhi i innych miejscach Indyi stały się istną plagą krajową. Ozdobą miasta jest *Victoria-garden*, piękny park, a w nim Muzeum z kilku buddhy-

Wielki meczet w Delhi.

Pałac w twierdzy.

Indyjskie obrazy chrześcijańskiej treści.

Muzeum.

stycznymi posągami z Panjabu. Niewieścia postać naturalnej wielkości (rzadkość w tej epoce sztuki) przypomina układem karku karyatydy z Erechtheion. Wcałe zabawnym jest jarmark z ogniami sztucznymi, ludem w różnobarwnych strojach, hałaśliwą muzyką, odbywający się na wielkiej łące, a raczej pustyni przed miastem. Najdziwaczniejsze wozy wołami zaprzężone, konie postrojone, jak ten, którego w Jáipur odrysowałem, w budach krajowe tanie wyroby.

12 marca. — O godzinie 7 rano opuścił mój pociąg Delhi i w południe zatrzymał się w stacyi Hatras. Tu  $2\frac{1}{2}$  godziny przestanku, a potem dalej do Muttra, odnogą lini kolejącej, przecinającą prostopadle główną linię do Agra wiodącą. Ścisk, nawet jak na Indyje nadzwyczajny; na platformie mego wagonu siedzą brunatni mężczyźni i kobiety. — Godzina 5. Muttra. Tu zamieszanie niezmierne. Krzyki, popychanie, gonitwy krajowców dźwigających węzłki. Uroczystość na cześć Krishny w pobliskim Bindrabanie tłómaczy ten natłok. O milę angielską od dworca, wśród pól leżący *dak-bangala* przypomina mi folwark galicyjski.

Dak-bangala.

O ile lichą jest większa część hoteli indyjskich, o tyle dobre bez wyjątku umieszczenie znajduje się w tych gospodach dla cudzoziemców, które z tejsamej wypływały potrzeby, co oczywiście znacznie obszerniejsze *chany*, utrzymywane przez mahometańskich władców czasów dawniejszych, a zasiewające zwaliskami swemi Azyę Mniejszą i Syryę. Bardzo mało płaci się rządowi za schludne mieszkanie, gospodarz stara się o jadło z reguły wcałe zdrowe i smaczne, a jedyną ujemną stroną jest to, że człowieka wyrzucają, gdy nowy gość potrzebuje pokoju, bo tylko do 24 godzin pobytu ma się prawo. Przepis ten nie wyrządził mi przykrości, gdyż i tak rzadko gdzie dłużej się zatrzymałem.

Przybywszy tam za ledwie, jechałem trzy kwadransy do miasta Muttra nad Jumną, miejsca urodzenia Krishny, tego najpopularniejszego wcielenia Vishnu, wobec którego nawet Rama podrzędną gra rolę. W środku między dwiema stolicami cesarzów mongolskich, między Delhi i Agra, leży Muttra, Mekka Hindusów, pospołu z Benares najważniejsze może, czysto indyjskie miasto. Obcym wydaje się tu wielki meczet wpośród wszystkich tych świątyń, małych kapliczek, ludzi farbami pomazanych, albo kąpiących się w świętej Jumnie. Tu muszę sprostować ustęp z mego ostatniego sprawozdania, tycający się Jumny, której szerokość pod Delhi nie dobrze ocenić mogłem i jako mniejszą podałem. Jest ona już tam o wiele szerszą niż Arno przed Florencją, jak się dziś rano o tem przekonałem, przejeżdżając przez nią mostem kolei żelaznej. Ach, zawsze to mówię: nie masz powierzchowniejszej istoty jak podróżnik! Tu pod Muttra jest Jumna tak szeroka, jak Ren pod Moguncją. Na płaskich wybrzeżach tysiące małąp, czujących się tutaj tak samo u siebie, jak ich kuzyni, ludzie, których szczególne zachowanie się w czasie uroczystości napełnia je może uczuciami faryzeusza z ewangelii: *Panie, dziękuję Ci, że nie jestem jako jeden z owych.* W wodzie między kąpiącymi się tysiące żółwi rozmaitej wielkości: rzuca się im pożywienie, a one razem ścieśnione tworzą niby spore wyspy na rzece.

Muttra.

Mały i żół-  
wie.

*Środa 13 marca.* — O godzinie 8 rano siedziałem w wozie w drodze do Bindrabanu, leżącego również nad Jumną o 1½ godz. na północ, a szczególnie drogiego Indom jako widownia swawolnych żartów Krishny z pasterkami, którym suknie wykradał, gdy się w rzece kąpały. U wejścia do miasta pomazany na biało pobożny żebrak, którego odrysowuję, najbardziej wychudzony, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Pobożni biją przed nim czołem i wręczają mu pieniądz, on trzyma w ręku krótką krajową fajeczkę i, pełen pogardy dla świata i zapomnienia

Bindraban.

Święty że-  
brak.



Świątynia  
Govinda-  
Deva.

o sobie, dmie w zakłęśłość złożonych swych dłoni. Idealne to modele ci żebracy, tak cicho pozować nikt nie potrafi! Zwiedziłem tu trzy piękne świątynie z czerwonego piaskowca, prócz największej, dziś nieużywanej. Wszystkie one mają ponad 200 lat, ozdobione są zwierzętami i zwierzęcymi ornamentami w płaskorzeźbie, wspianiami oknami, konsolami, obramowaniami. Najrozleglejsza jest świątynia Govinda-Deva, do najpiękniejszych w Indiach zaliczona, dzieło pełnego tolerancyi cesarza Akbara, zburzona częściowo znowu przez jego fanatycznego prawnuka Aurangzebe. Ma ona w zupełności kształt greckiego krzyża, a szlachetne i czyste wymiary. Zamiast czterech wstrętnych, złotym i srebrnym papierem obwieszonych poczwaw, wyglądających z tylnej części świątyni (jakieś wcielenie Vishnu i bóstwa z tem w związku pozostające), szukałoby się raczej w takim przybytku buddhystycznej *dagoby* lub katolickiego ołtarza. Zresztą zdaje się, że coś z ducha tolerancyi założyciela utrzymało się w tym gmachu, gdyż wolno mi było zbliżyć się całkiem do bóstw, na co mi dotąd nigdzie indziej nie pozwolono.

Pielgrzymi  
Krishny.

W niewielkiej stamtąd odległości wybudował prywatny człowiek, na wzór świątyni na południu, olbrzymią świątynię na cześć Krishny. Obszar w koło niej jak i całe miasto odbrzmiewa dziś właśnie zgiełkiem i krzykiem pielgrzymów, wywołujących imię Krishny. Wszyscy noszą znak Vishnu, pionowe kreski na czole, niektórzy także na ramionach i piersiach, większa część ma nadto twarz, ręce i suknie pomazane czerwoną i żółtą farbą na cześć »uroczystości«. Uroczyscie też kroczy przez ulice dzwonekami obwieszony słoń, którego prawdopodobnie używano do jakiejś procesyi.

Muzeum  
w Muttra.

Wróciwszy do Muttry, odwiedziłem Muzeum, piękny mały budynek w stylu indyjskim, zdala od ludzkich

mieszkań, w okolicy *dak-bangalo*. Zawiera ono ważne rzeźby z buddhystycznych klasztorów, które się w pobliżu wznosiły, a z których nic więcej zresztą nie pozostało. Muttra bowiem była jednym z przednich miejsc buddyzmu, zanim stała się ulubionym celem pielgrzymek nowożytnych Hindusów. Rozmyślnie, jak się zdaje, zastąpili bramini kult Buddy kultem bohatera podobnego mu pod niejednym względem, aby módz dalej korzystać z dawniejszej popularności tego miejsca. Głównym okazem w Muzeum jest piękny posąg Buddy naturalnej wielkości, z olbrzymią, bogato ozdobioną aureolą. Uważam go stanowczo za znacznie późniejszy od rzeźb z okolic Peshawaru. Kiedy po południu zwiedzałem te miejsca, na których przedtem miały stać klasztory, zwrócił służący uwagę moją na olbrzymią głowę, leżącą pod drzewem. Żołnierze stojący na straży przed pobliskim więzieniem ustawili mi ją do rysowania; wkrótce przybył też brunatny dozorca więzienia, *babù* (Ind piśmienny, po angielsku wychowany), a gdy oświadczył, że głowa ta do nikogo nie należy, oświadczyłem, że zabieram ją z sobą, aby ją ustrzedz przed dalszą poniewierką. Dzielni wojownicy zanieśli mi ją do wozu wraz z drugą jeszcze, gorzej zachowaną i odjechałem z moją zdobyczą. Obie głowy są z piaskowca, tak ulubionego przezemnie od czasu bytności w Jodhpur, który jednak, choć twardszy od łupku pod Peshawarem, jest niestety nie o wiele lepszym, bo zbyt miękkim materiałem. Mniej uszkodzona głowa jest bardzo ciekawa z powodu swej fryzury, która mi każe wątpić, czy głowa ta należała do posągu Buddy.

*14 do 16 marca. Agra i okolica.* — Dnia 14 o godzinie 8 rano przybyłem do Agra pociągiem, który 4 godziny przed tem Muttrę opuścił.

Bardzo daleko rozciągające się *cantonment* z lichymi hotelami i licznymi sklepami zwłaszcza inkrustacyi w kamieniu, nieciekawe miasto krajowców, cytadela na uboczu

Agra.

stojąca, jak w Delhi, obok której, jak obok tamtej, płynie Jumna, i dalej na jej brzegach wspaniałe grobowce, przedewszystkiem uwielbiany Taj — to jest Agra. Jak dokoła Lahore, dokoła Delhi, tak i tu niema gór choćby nawet w dali na widnokręgu, a tylko nieliczne wzniesienia przerywają jednostajność równiny.

Równina ta z polami swemi i grupami drzew nie posiada nic z wielkości pustyni albo stepu, jest poprostu nudna, a przecież w pałacu Shah Jehana w cytadeli w Delhi znajduje się na jednej z ścian marmurowych wiersz perski: *Jeśli jest gdzie raj na ziemi, to tutaj*. Przypomina to sławny napis w owej willi wolnomysłnego biskupa pod Tarentem, z widokiem również bardzo powszednim: *Si Adam hic peccasset, Deus ignovisset*, albo też hymny pochwalne Henryka II, króla francuskiego, na położenie Chenonceaux nad Loirą, które żadną miarą usprawiedliwione mi się nie zdały. Tak więc prawdziwe jest zdanie jednego z malarzy: *Un paysage est un état de l'âme* — i to nie tylko w rozumieniu artysty, który własny sentyment wkłada w oglądany widok i odtwarza go w swoim obrazie, lecz także w rozumieniu kogoś, co patrzy z siedziby swej na okolicę, z biegiem czasu zespolonej w jedno z jego życzeniami, nadziejami i wspomnieniami.

Budowle  
Akbara.

W Lahore i Delhi oglądałem tylko odosobnione budowy Akbara, tu już mogłem podziwiać pomniki jego budowniczej czynności ze wszystkich epok jego życia. Po nim to został ciekawy czerwony pałac pod cytadelą; Fatehpur Sikri, jego ulubiona rezydencya, stąd o 3 godziny oddalona, w całości przez niego była zbudowana, a w Sikandra, dokąd wozem za pół godziny dostać się można, wznosi się jego mausoleum. Co uważał za zadanie swego życia: zlanie się zdobywców i zwyciężonych w jeden naród, zespolenie żywiołów mahometańskich z indyjskimi, to w genialny sposób wyraził w swoich budowach.

I w tem też podobny on jest do Fryderyka II Hohenstaufa, którego nazwać można nie tylko pierwszym fundatorem gmachów, lecz także pierwszym architektem swego czasu. To dopiero jest żywa sztuka budownicza, w której wyraża się dążność narodu albo jednostki, dość potężnej, aby w samej sobie ucieleśnić taką dążność, podobnie jak wyrażają się rozmaite usposobienia ducha w muzyce. Nie chodzi tu weale o oryginalność pojedynczych motywów jakiegoś budynku. Jeżeli w ogóle w życiu duchowem, to przedewszystkiem w sztukach, czy to poetycznych, czy plastycznych, służyć za dewizę słowa Moliera: *Je prends mon bien, où je le trouve*. I w architekturze to, co nowe, co żywe, złożyło się z form skądinąd przejętych — dość przypomnieć sobie renesans, angielską świecką gotykę, wspaniałe dzieła w Wiedniu i pod Wiedniem Fischera von Erlach i jego następców; tylko że te zapożyczone motywa jednoczą się w prawdziwem dziele sztuki budowniczej w nową całość, która jako taka jest wyrazem uczuć i myśli tego czasu i miejsca, gdzie powstała, za czem idzie, że taka budowa zawsze zaznacza wyraźnie swoje przeznaczenie i z a w s z e odpowiednią jest swemu celowi. Piękność w prawdziwem dziele sztuki, jak w tworach natury, niczem nie jest innem, jak tylko na zewnątrz objawiającą się celowością. Śmieszne odróżnianie czysto artystycznych a praktycznych przymiotów budowy, jakiem raczono nas niedawno w pewnym głośnym wypadku w Wiedniu, jest tylko mizerną wymówką artystycznej niemocy. Budowa nieodpowiadająca swemu celowi jest zawsze dziełem partacza, choćby niewiedzieć jaki osłaniał ją przepych i choćby na nią strwoniono miliony, których w inny sposób lepiejby użyć było można. Co mnie w budowach Akbara tak porывało — to, że aż do ostatniego filarowego ornamentu, aż do najniepozorniejszej konsoli, z jednego są odlewu, i że mają piętno rozległej, śmiałej, rozmiłowanej w przepychu, królewskiej zaiste duszy.

Jego następcy jako władzcy nie rozumieli i nie rozwijali dalej usiłowań jego. Jeszcze jeden, jeszcze dwóch cesarzy, coby w jego rządzili duchu, a wielkie państwo stałoby było przez liczne wieki; tak zaś rozpoczął się już po kilku pokoleniach upadek, a jego dynastia żyła krótko jak wszystkie dynastye na Wschodzie. Wiernie wyrażają i tutaj budowy ducha swych twórców. Nawet najprześławniejsze pomniki, które wnuk jego Shah Jehan wzniesić kazał, są już tylko pięknymi egzemplarzami mahometańskiego stylu, nie mają nic, albo też mało z tego, coby dawało poznać grunt, na którym stoją. Spotkalibyśmy się z nimi bez wielkiego zdziwienia w Egipcie, nad Bosforem, albo w Andaluzyi — Akbara budowie mogły wzrósć tylko nad brzegami Jumny, tak jak drzewa z biało i różowo fioletowym kwieciem, które w okolicy Agry po raz pierwszy zobaczyłem.

Fatehpur  
Sikri.

Fatehpur Sikri, położone na wyniosłym pagórku, otoczone murami, z bramami, przez które wzrok na równiny wymknąć się może, jest snem, poematem, cudownym grodem. Tylko niektóre małe włoskie miasta, jak n. p. San Gemignano, wywarły na mnie podobne wrażenie. Do czworobocznego podwórza wielkiego meczetu prowadzi najpiękniejsza mahometańska brama, pełna wspaniałości, olbrzymich rozmiarów, a jednak tak harmonijna! Krużganek dokoła podwórza, a w nim dwa wielkie grobowce i wiele małych grobów. Nastrój pizańskiego Campo-Santo. Jeden z grobowców, Sheika Selima Chisti, jest świątynią Nike w stylu Akbara, odbijającą białym marmurem od ciepłego, czerwonego piaskowca wszystkich innych budynków, z marmurowemi kratami, najpiękniejszymi, jakie widziałem, prześcigającemi wszystkie inne, nawet owe w Táj, z rozkoszną malowaną ornamentyką na kamieniu nagrobkowym, rodzaju baldachimu z perłowej macy, cudownem dziele t. zw. małej sztuki. Meczet i podwórze mają w Mekce mieć swój



pierwowzór; to jednak może odnosić się tylko do planu w ogólności, w każdym szczególe bowiem znajdujemy oryginalną, swojską sztukę. Meczet ma znaczną głębokość, a więc nie dekoracyjna to jedynie budowa, jak owa przez Shah Jehana w Delhi wzniesiona; kolumny eudownie ozdobione ornamentyką w płaskorzeźbie, a kopuły i przedsiónek malowidłami. Zresztą niema tu żadnego wielkiego budynku, mały jest nawet *Divan i Khás*, sala audyencyonalna, ciekawa z powodu słupa w pośrodku, który dźwigał tron królewski, a od którego prowadzą cztery pomosty do czterech narożnych balkonów, gdzie zasiadali ministrowie. Dalej domy dla ulubionych małżonek Akbara, jednej Hindustanki, jednej chrześciance, i dla sułtanki Rumi z Konstantynopola, dla jego ministrów, dla jego urzędów — a żaden z nich nie jest podobny do drugiego, wszystkie posiadają swą indywidualną charakterystykę.

Mausoleum w Sikandra, gdzie Akbar pogrzebany, stanowi wybitny przykład owych rozległymi ogrodami otoczonych pałaców, które mahometaniścy władcy albo możni w tym kraju wznosić sobie kazali, ażeby w nich za życia wyprawiać wesołe festyny, a po śmierci kazać się w nich pochować — zwyczaj szczególny, ale nie bez poetycznego sentymentu. Wysokie mury otaczają ów obszar, do którego wiodą wielkie portale. Na dole każdego takiego mausoleum albo pod ziemią znajduje się rzeczywisty sklep grobowy, gdzie spoczywa założyciel, a także ulubiona małżonka lub ukochane dziecię; obok liczne mniejsze cele grobowe dla reszty rodziny. Nad tem, pod wysoką kopułą, grobowiec symboliczny, sarkofag, zrobiony zupełnie na kształt tego, w którym spoczęły kości; poboczne kopuły, małe pawilony, minarety.

W Sikandra brak głównej kopuły, bo mausoleum pozostało nieskończone. Piramidalnie zmniejszają się ku górze piętra dachu, terasy ozdobione zawsze okrągłymi albo czworobocznymi pawilonami, ponad którymi roz-

Mausoleum  
w Sikandra.

pinają się kopyły z polewanych cegieł; dopiero na czwartym piętrze jest główne miejsce z próżnym sarkofagiem pod gołym niebem. Z tego napowietrznego miasta teras i pawilonów buja wzrok daleko po równinie, którą Jumna przerzyna; przypomniał mi się dach zamku Chambord ze swemi wieżami i kominami. W ogóle ma Jumna stanowcze podobieństwo do Loiry z powodu wielu monarchicznych pałaców, wznoszących się dokoła niej; nawet wybrzeża obu rzek przypominają się nawzajem w szczególny sposób. Fischer odmalował jedną stronę dachu z widokiem na rzekę; obrazek jego wyjaśni moim przyjaciółom, dlaczego mi z taką trudnością przyszło rozłączyć się z tem miejscem. Wspaniała sala reprezentacyi, tak jak jest, z niebem jako sklepieniem, robi wrażenie godne wielkiego zmarłego.

Budowle Jehangira.

Jehangir, syn Akbara, wznosił niewiele tylko budowli w porównaniu z architektoniczną działalnością swego ojca i syna, Shah Jehana. W cytadeli w Agrze znika to, co po nim zostało, obok tego, co pozostawili jego poprzednik i następca, nie on też zbudował bardzo ciekawy grobowiec z tej strony Jumny, pochodzący z jego czasów, ale jego małżonka. Jestto mauzoleum Ghiyas-Bega, Persa, który został skarbnikiem Jehangira. Jehangir ożenił się z jego córką, Nurjahan, a Shah Jehan z córką jego syna, piękną Mumtáz-Mahal, dla której ziemskich szczątków zbudowano Taj. Grobowiec Ghiyas-Bega leży w ogrodzie nad Jumną, zamknięty czterema bramami, nawet od strony rzeki. Niezbyt wielki, mała kopyła, po nad terasą powyżej parteru cztery wieże i czworoboczny, sklepiony dach nad środkową budową. Wewnątrz kilka cel grobowych z sarkofagami dokoła środkowej, zawierającej sarkofag Ghiyas-Bega. Bardzo piękne malowidła i ornamenta ze stiuku. Wszystkie ściany są albo cudownem okratowaniem z marmuru, najpiękniejszym po kratkach opisanego już małego grobu w Fatehpur Sikri, albo inkrustacją kolo-

Mausoleum Ghiyas-Bega.

rową na białym marmurze. Jestto w Indjach pierwszy utwór tej techniki, stworzonej przez włoskich artystów, lecz tylko indyjscy mistrze mogli ją tak wykonać. Dokładność i delikatność wykonania, już w meczecie z XIII wieku w Ajmere i Delhi podziwienią godną, jest we wszystkich mahometańskich budowach Indyi po Akbarze, jedynem znamieniem, które im właśnie indyjską cechę nadaje. Te oto właśnie zalety dały powód do powiedzenia, że mongolscy cesarze budowali jak Tytani a wykończali swe dzieła jak złotnicy.

A teraz z kolei przejdźmy do Shah Jehana, którego zamiłowanie do budownictwa przewyższało jeszcze, o ile to być mogło, zamiłowanie jego dziada. Z pałacu jego w Delhi niewiele pozostawili Anglicy, lecz tu w Agrze wznoszą się jeszcze wszystkie jego dzieła, wielki meczet, wzniesiony przed delhijskim, mniej imponujący, lecz bardziej znaczący pod względem architektonicznym, bo nie tak obliczony na powierzchowne wrażenie, według tegosamego planu co delhijski zbudowany. Dalej pałac przy warowni, złożony z małych pałaców i meczetów, samych klejnotów; tu też meczet perłowy (w całości z matowego białego marmuru, skąd nazwa), i najbardziej wielbiona budowa Indyi — Táj. Ani śladu na tych gmachach z owej przemożnej indywidualnej oryginalności, która nas w budowach Akbara do siebie przykuwa, ale przewyższają je one wspaniałością, niektóre także rozmiarami, a prostszem swem założeniem zawsze podobać się będą większej ilości widzów, niż tamte starsze i bardziej skomplikowane budowle. Rządy Akbara, *quattrocento* mahometańskiej sztuki w Indjach — rządy Shah Jehana, to *cinquecento* — panowanie syna jego Aurangzebe, *seicento*.

Budowle  
Shah Jehana.

Najbardziej znaną z budowli Shah Jehana, jest Táj. Cesarz wznosił go nad Jumną w niewielkiem oddaleniu poniżej cytadeli, jako mausoleum dla swej małżonki, Mumtáz Mahal, po polsku »Dumą pałacu« zwanej.

Táj.

Jej imię, skrócone w Táj-Mahal, przeszło na jej grobowiec, a pomnikiem tym zapewnił jej w istocie nieśmiertelność żaloszny małżonek. Pamiątka to wzruszającej wierności małżeńskiej, gdyż piękna sułtanka, urodziwszy swemu panu siedmioro dzieci, zgasła przy porodzie ósmego. Wiele lat po niej, złożony z tronu przez syna swego Aurangzebe, umarł cesarz jako więzień na terasie pałacu w Agrze, i istny mongolski Toggenburg, gasnący wzrok swój zwracał po za rzekę, na wspaniałą budowę, która kryła najdroższy skarb jego. Obok małżonki złożono jego samego; jej sarkofag stoi w środku pod kopułą, jego skromnie z boku. Wszystko to tak mało odpowiada wyobrażeniu, jakie się wyrobiło o stosunku orientalnych władców do kobiet, że możnaby zawołać z Molierem: *Où donc la vertu va-t-elle se nicher?* Fasada grobowca zwrócona jest ku Jumnie, atoli nie zakrywa go mur po tej stronie, jak się to rzecz ma z grobowcem Ghiyas-Bega. Niema przecież Táj, gdy się nań patrzę z dachu tego mausoleum, albo z warowni w Agrze, nic takiego, co by można porównać z widokiem na kościół Św. Piotra z willi Pamfili albo też z kopułą katedry florenckiej z ogrodu Boboli widzianą. Widzi się piękny, biały meczet, z czterema białymi minaretami nad rzeką — to wszystko. Trzeba się do Taju zbliżyć od strony ogrodu, aby go ocenić. Z ogrodem i bocznymi budynkami zajmuje on niezmierną przestrzeń. Popod ozdobny czerwony meczet wchodzi się na czworoboczny olbrzymi dziedziniec, niegdyś zapewne także troskliwie w zieleni i kwieciu utrzymywany, obecnie całkiem zapuszczony, otoczony murami, z bramą w pośrodku każdego ich skrzydła. Mury i bramy są z czerwonego piaskowca, bramy mianowicie piękne, jakkolwiek w porównaniu z bramą w Fatehpur Sikri, daleko pozostają w tyle; przez jedną z nich widzi się bardzo dobrze utrzymany ogród, mniej więcej tak długi jak rynek w Krakowie. Jest on całkiem regularnie założony, ma grządki kwia-

tów, cyprysy i inne wspaniałe drzewa, a pośrodku w marmurowym łożysku płynącą wodę. Na końcu ogrodu stoi mauzoleum. Nasuwa się zaraz porównanie z Generalife obok Alhambry, która, w ogóle rzecz biorąc, jest mi miłszą, ale ten widok jest wspanialszy i niezapomnianym pozostaje dla każdego. Jaśniejąca białosc głównego budynku odbija od czerwieni bramy, przez którą się patrzymy, i od zieleni ogrodu. Obok grobowca, całkiem symetrycznie na prawo i lewo zwrócone ku niemu, z bocznymi fasadami ku rzece, stoją dwa czerwone meczety, tak wielkie, że każdy z nich jakiejś stolicy stareżyłby za najgłówniejszy dom Boży. Brzydkie są wysokie minarety mauzoleum, jak strażnice morskie z latarniami u góry. Wewnątrz cudowna krata marmurowa dokoła obydwóch kamiennych grobów symbolicznych, pod nimi krypta, gdzie rzeczywiście leżą zmarli. Idąc na dół doznaje się uczucia, jakby się było we wnętrzu piramid.

Zewnątrz kraty marmurowe, inkrustacje w kamieniu, kamienne baldachimy, wieżyczki, wszystko o matematycznej symetrii. O harmonijny bezładzie na Akropolis! Jakby to orzeźwiło oko, gdyby przynajmniej kilku drobnostek niewykończono albo kilka później zmieniono! Tą jest zbyt doskonały i dlatego ma coś z pięknej twarzy bez wdzięku, albo coś z cnotliwej kobiety, która nie zadaje sobie trudu, aby swą cnotę uczynić przyjemną, a to coś — niepocieszony wdowiec i architekt jego raczą mi przebaczyć — to nuda!

Od kiedy istnieją sztuki, dwa są główne rodzaje dzieł sztuki, co walczą z sobą o pierwszeństwo, a odpowiednio do tego dwa są także rodzaje ludzi, przejmujących się dziełami sztuki. Jedni przekładają nad wszystko harmonię całości, stawiając najwyżej regułę, pod którą poszczególne części a także i twórczy artysta ugiąć się muszą — podczas gdy dla drugich najwyższą regułę stanowi indywidualność artysty. Ci szukają w dziele

Dwa główne  
kierunki  
w sztukach.

sztuki bardziej pierwiastków osobistych, oryginalnych, pierwotnych, aniżeli ogólnych, powszechnie uznanych. Przykłady: spór, który w XVI stuleciu i później jeszcze tak bardzo był w modzie, kto jest większy, Rafael czy Michał Anioł, i walka klasyków z romantykami, która w czwartym dziesiątku naszego wieku na dwa obozy podzieliła literacką i artystyczną Francję.

Sądzę, że w ogóle temu kierunkowi należy przyznać pierwszeństwo, który wyżej stawia piękno, harmonię — w szczególności zaś więcej się znajdzie prawdziwych dzieł sztuki tam, gdzie przedewszystkiem przejawia się charakterystyka, indywidualność. Gdzie genialna osobistość z najwewnętrzniejszej swej głębi stworzy całkiem harmonijne dzieło, tam ujrzymy w niem wecielenie pierwiastku boskiego na ziemi, jak w Partenonie, w dziełach Fidyasa, w większej części stanc Rafaela, w *Ifigenii* Goethego. Lecz do niewielu dzieł, które do tego rzędu należą, przyłącza się niezliczona liczba takich, w których reguła stała się czezą formułką, do których z zewnątrz się dostała. Ponad to mnóstwo płodów wszelkiego rodzaju sztuki trzeba będzie zawsze przenosić takie, co swemu twórcy płyną z duszy i najwyższej harmonii szukają, chociażby jej nawet nie znalazły. Do której klasy dzieł sztuki zaliczam Taju, nie potrzebuję zapewne wyłuszczać po tem, co wyżej powiedziałem. Jest on wśród budynków tem, czem jest tragedia Racine'a między dramatami, wdzięczny, poprawny, regularny, lecz właśnie dla tej swej doskonałości, która przecież pozostanie tylko zewnętrzną, nie wzrusza głębi naszej duszy. Kto go zbudował, był wielkim budowniczym, ale niewielkim artystą. Grób Akbara w Sikandra tak się ma do Taju, jak *Cyd* Corneille'a do *Britannicusa* Racine'a.

Mimo pełni nie widziałem Taju przy świetle księżyca. Utrzymują i chętnie temu wierzę, że wtedy jest najpiękniejszy. Tyle było mgły w powietrzu, że za ka-

żdym razem musiałem zaniechać myśli pojechania tam, którą powziąłem był obydwóch wieczorów, jakie w Agrze przepędziłem. Od wyjazdu z Ajanty nie ucierpiałem nigdzie tyle z powodu gorąca; przez wszystkie trzy dni był skwar jak przed burzą, a burzy nie było.

Powracając z Fatehpur Sikri, widzieliśmy okazałe stado antylop, skaczących tuż przy drodze; podczas skwarnej drogi rozweselały nas wspaniałe kraski, czy też podobne do nich niebiesko ubarwione ptaki i całkiem małe ptaszki w rodzaju kolibrów, z którymi spotkać się na Ceylonie napróżno się spodziewałem.

16 marca. — O 6 wieczorem pojechałem koleją o dwie godziny na zachód od Agra do Bhartpur, stolicy małego państwa rajputańskiego, gdyż znajdujemy się tuż obok Rajputany, a Jajpur jest tylko o kilka godzin oddalony. Z wycieczki mej na północ, do kraju »Pięciu rzek«, powróciłem znowu do tej okolicy, którą tak polubiłem. Na dworcu kolejowym w Bhartpur dowiaduję się, że *dak-bangalo* oddalony jest o trzy mile, że niema innego wozu, jak tylko

Bhartpur.

używana powszechnie w tym kraju *ekka*. Wsadzam na nią służbę i pakunki i idę pieszo za kulisem, niosącym moją torbę na głowie, przez lasy i góry, pełne kurzu ulice, kamieniste drogi polne. Krzyk mały przedziera się do mnie wśród nocy, i jeszcze głośniejszy krzyk ludzi od strony miasta, gdyż są to dni uroczystości marcowych. Nareszcie ładny ogródek, miły dom, moje pakunki. Maharaja oddaje do rozporządzenia cudzoziemcom w istocie nader miły *bangalo*, atoli mało dba o ich sen spokojny, gdyż o północy budzą mnie wystrzały działowe, nieodzowne u Hindusów w czasie radości świątecznej.



*Niedziela 17 marca.*— O 7 rano wyruszyłem z przewodnikiem i moim służącym jako tłumaczem do miasta, gdyż i tu schronisko dla cudzoziemców dość znacznie jest od niego oddalone. Po ulicach uderzyło mnie ubóstwo domów, sklepów i ludzi, którzy mało mają w sobie z owej zuchwałej postawy mieszkańców innych miast rajputańskich. Budowę wielkiej świątyni rozpoczęto przed kilku laty, lecz wkrótce jej zaniechano dla braku środków. I tu także leży warownia z tej strony miasta, i co się zresztą, albo raczej co się już dalej nie zdarza, dokoła muru biegnie bardzo malownicza fosa napełniona wodą, a ponad nią prowadzą mosty o gotyckich łukach. Szkoda, że tu niema Fischera. Kilka punktów nad rowem fortecznym daje obrazy, w jakich szczególnie się lubuję. Stojąca woda, mury bezładnie zębate, stare mosty, melancholijny nastrój całości przenoszą mnie do Brüge. Wewnątrz murów także wszystko w nieładzie i opuszczeniu; ze starego szanca z działem, z którego pewnie nigdy się nie strzela, widok na dość rozległe miasto, na równinę i białą jaśniejąca pałac maharaji, o kilka mil stąd odległy. Indyjscy książęta idą za popędem czasu i nie chcą już tak, jak ich albo nasi ojcowie, mieszkać przy wąskich ulicach; tak samo jak bogatych i zamożnych mieszkańców naszych wielkich miast, pociąga ich przestrzeń swobodna, lepsze powietrze, gdzie rosną drzewa i gubi się zgiełk ludzki. Po zamkach wewnątrz warowni, zbudowanych w rozmaitych czasach, a które obecnie wszystkie w haniebnym są upadku, mieszkają teraz tylko »emerytowane« prawowite i nieprawowite małżonki obecnego i poprzedniego władcy. Kilka pięknych, szczerindyjskich szczegółów na wieżach i u okien, najpiękniejsze atoli trzy bramy, dwie wielkie brązowe przy mostach u obu głównych wejść do warowni, które ze swą wspaniałą wykonaną ornamentyką liściową posłużycyby mogły za szczególną ozdobę każdemu włoskiemu kościołowi, trzecia, w drzewie rzeźbiona, strzeże wejścia do

Fosa.

Bramy.



najstarszego i najbardziej zniszczonego z pałaców. Piękny na niej wzór, w szachownicę złożony z kwadratów piramidalnie wypukłych lub zagłębionych, na wypukłych kolejno rozety i bardzo subtelne, zawsze coraz inne ornamenta, a także kilka rzeźb figuralnych, bogowie i ludzie. W Hiszpanii i we Włoszech znajdują się zupełnie podobne bramy z czasów *trecento* i początków *quattrocento*.

Po drodze do *dak-bangalo* ludzie przygrywający okropnie na cześć uroczystości, nieco dalej inni obsypują się farbą; twarz, ręce, ubranie, czerwono albo żółto pomazane, tak jak gdyby kto wpadł w wielki kocioł z farbami. Jest to *pendant* do rzucania *confetti*, tylko o wiele dziksze, prawie zwierzęce. Jadę w mojej *ekka* na dworzec; w takim wózku mieści się często trzech, niekiedy nawet czterech Hindusów, i dobrze im bardzo; ja używam jej po raz pierwszy i ostatni, zaledwie bowiem mój tułub może się w niej pomieścić, nogi zaś moje oparte na dyszlu sięgają po za woźnicę, omal że nie do głowy małego konika.

Radość święteczna.

Po dwu godzinach jazdy kolejną jestem znowu w Agra i jadę zaraz dalej do leżącego na południe Gwalior. O 5 wyjazd z Agra, godzina 7 Dholpur, również mała stolica rajputańska. Na dworcu wozy o rozmaitych kształtach i barwach zaprzężone wołami, połączane lektyki, wielbłądy: oczekują maharaji. Pogardliwie przeglądają moi towarzysze, dwaj angielscy oficerowie, dość nieporządnie wyglądającą honorową kompanię, która tu z sztandarem wyszła naprzeciw swego pana.

9 godzina. Gwalior. — Zajeżdżam do małego pałacu w indyjskim stylu, o 200 kroków od dworca. Tutejszy maharaja albo raczej rząd jego. (on sam liczy dwanaście lat) kazał go wznieść niezmiernym kosztem jako *mussafir khaná* (inne słowo zamiast *dak-bangalo*, przytulisko dla obcych) a skończono go dopiero przed czternastu dniami. Wewnątrz nie tylko zbytek,

Gwalior.

ale i komfort, co na Wschodzie, a po części nawet we wschodniej Europie, jak wiadomo, nie zawsze idzie w parze. Przy stole są nawet noże, które naprawdę krają, a takich nie znalazłem nigdzie w Indyach z wyjątkiem prywatnych domów, i prawdziwe klamki przy drzwiach, podczas gdy zazwyczaj drzwi w tym kraju, jeśli się w ogóle zamykają, to tylko od środka za pomocą zaszczepek, a jeśli się je chce zamknąć z zewnątrz, to przez dwa otwory przeciąga się łańcuch, a na nim zawieszają się kłódkę.

*Poniedziałek 18, wtorek 19 marca. Gwalior.* — Wkrótce po mojem przybyciu powstała burza, a po niej było trochę deszczu. W poniedziałek rano opadł tedy kurz, przesilił się nieznośny skwar ostatnich dni, a powietrze było jasne i czyste. Powtórna burza nadeszła w poniedziałek wieczór, zbliżanie się jej mogłem obserwować długo; było to jedno z najpiękniejszych widowisk, jakie pamiętam. Łuny elektryczne na widnokręgu miały się kolejno ze wspaniałymi błyskawicami, które w srebrnych smugach przelatowały nad czarną górą zamkową.

Gwalior należy do większych państw rajputańskich. Podczas wielkiego powstania, na schyłku szóstego dziesiątka naszego wieku, wypędzili poddani księcia, oddanego Anglikom, Anglia podjęła się uspokojenia kraju i trzymała go aż do niedawna pod własnym zarządem. Obecnie oddano go synowi wypędzonego wówczas maharaji. Góra zamkowa w Gwalior wznosi się od wschodu bezpośrednio z równiny, podobnie jak skała w Orvieto, z takiego samego też brunatnego kamienia, tylko mniej wysoka, lecz płaszczyna na górze jest o wiele rozleglejsza, u jej stóp nieznaczna rzeka, na północnym wschodzie miasto z pięknym meczetem, malowniczymi ulicami, na południowym wschodzie w obszernych ogrodach pałace maharaji, wraz z ubocznymi budynkami.

Lashkar.

Nowe Miasto, Lashkar, obozem zwane, ponieważ z obozu

powstało. Tu barwne życie, chociaż na mniejszą miarę niż w Jáipur, lecz z powodu marcowego święta teraz właśnie pełne bujności. Dziwne są twarde turbany mężczyzn, które wewnątrz kartonem wyklejone, przybierają prawie kształt trójgraniastych kapeluszy. Wszystkie domy biało otynkowane, i czego zresztą nigdzie na prywatnych budowach nie uważałem, większa ich część ze wspianiami kratami z kamienia lub też z gliny, nasładującymi kraty na mauzoleach pod Agra.

Angielska osada leży kilka mil na wschód i nazywa się Morar. Ponieważ Stare i Nowe Miasto także o godzinę pieszej drogi od siebie są oddalone, a dworzec kolejowy i nowy pałac gościnny leżą w pośrodku między tymi trzema punktami, przeto odległości są tu jeszcze większe, niż w ogóle bywają w tym kraju. Do pokonania takich odległości podróżny ma na usługi swe tylko nędzny kryty wóz, z dwoma nieszczęsnymi, małymi szkieletami końskimi. Większa część podróżnych, tak samo jak i ja woli raczej godzinami iść pieszo, niż wystawiać siebie i zwierzęta na dalsze tortury. W całym Indjach nie dostanie porządnych koni; w Dekanie koniom nie służy klimat, (a przecież mimo to kwitną wyścigi pod Madras!) w Hindustanie widzi się tu i owdzie bardzo piękne konie, ale te, które się wynajmuje, są zawsze złe. Bydła rogatego używają i tu głównie do pociągu, do ciężarów, a nawet pod wierzch, obok wielbłąda i słonia.

Konie  
w Indjach.

Na zachód wznoszą się obok góry zamkowej niższe skały i wzgórza, wprost na północ pagórek, z bramą niedokończonego pałacu, który obecnie wieńczy stożkowaty szczyt jego wiece malowniczą swą ruiną. Przepyszny stąd widok na dawne miasto i skałę zamkową. W jej ścianach, zwłaszcza zaś w jarze, który od zachodu głęboko się w nią wrzyna, znajdują się grotty wyciosane przez Jainów, niektóre dość znacznej głębokości, większa część bardzo płytka, z nagiemi ludzkiemi

Grotty Jainów.

Świątynie na  
górze zam-  
kowej.

postaciami. Niektóre z tych figur ludzkich są małe, a z głów ich dziwnie wyrastają gałęzie, które znów dźwigają mniejsze jeszcze figurki; inne naturalnej wielkości, niektóre zaś nawet 20 stóp wysokości, olbrzymie karyatydy, które podpierają niejako całą górę swemi głowami. Prawie wszystkie płytsze grotty mają z przodu balustrady, przecinające postaci te w połowie. Mahometanie poobtlukiwali wszystkie głowy, Jainowie odrestaurowali je następnie znowu za pomocą cegieł i gliny. Legiony pszczół mieszkają przy grotach w jarze. Także na górze, na wyżynie warowni, spotykamy dzieła Jainów, przedewszystkiem dwie wdzięczne, małe świątynie, dopiero w ostatnim czasie zrestaurowane, tak nadobne, tak subtelne w proporcjach i tak bogate w rzeźby, że mogą je tylko porównać ze szczątkami świątyni w Starem Delhi, którą wbudowano w tamtejszy wielki meczet. Dalej dokoła wielkiej świątyni, o której niżej będzie mowa, leży mnóstwo rzeźb i ułamków z rzeźb, pochodzących od Jainów, wielkie figury, podobne do owych wyciosanych w skałach, i małe, siedzące, z nieproporcjonalnie wielkimi głowami. Na drodze na dół, lecz powyżej grot, spotykamy całkiem małą, w skale wykutą świątynię z siedzącym marmurowym posągami wszechjedyne bóstwa, polerowanym, na wzór greckich robót późnej epoki, n. p. głowy Fauna w monachijskiej glyptotece. Wielka świątynia na górze zalicza się do najstarszych świątyni Hindu w północnych Indyach, pochodzi z dziesiątego albo jedenastego stulecia, imponująca, w założeniu swem bardzo prosta, wyższa część zapadła. Z form buddhystycznych relikwiarzy wytworzył się widocznie ten kształt świątyni. Zresztą tu i ówdzie jeszcze odosobnione zwałiska, trudne do rozpoznania. Jak w ogrodach cesarów w Rzymie, lub jakby w botanicznym jakim ogrodzie umieszczone są na wszystkich przedmiotach lub też obok nich napisy, co umniejsza wrażenie.

Oprócz brzydkich nowoczesnych koszar, w których się niegdyś mieścił angielski garnizon, a które obecnie stoją pustką, znajduje się jeszcze na wyżynie pięć do sześciu pałaców maharaji, wszystkie niezamieszkane, a tylko jeden ciekawy, ale za to w najwyższym stopniu, a to dla swych szlachejnych proporcei, dla małych wieżyczek na dachach, użyczających wspaniałego widoku na równinę, dla pięknych podwórców, a przede wszystkim dla murów wyłożonych polewanymi ceglami. Wiele cegiełek odpadło, ale jeszcze dość pozostało, aby sobie wyrobić wyobrażenie o całej dekoracyi. Przeważa kolor niebieski i żółty, tu i owdzie zielony, zauważyłem fryz ze słoniami, fryz z świętymi gęsiami, dalej jedną czy dwie kafle z tygrysami. Pałac pochodzi z końca XV stulecia. Prawie tak samo ciekawy, tylko o wiele gorzej zachowany, jest drugi u stóp góry zamkowej zaraz za dolną bramą forteczną. Teraz znajdują się w nim stajnie dla bydła i nie lepsze od nich mieszkania dla ludzi. I tu są na murach ślady kolorowych cegieł, dalej szczątki w kamieniu wykowanych wielkich słoni, które to zwierzęta w mniejszych rozmiarach służą także za ornament obok gęsi i pawi. Bardzo oryginalne jest podwórze ze słoniami, których trąby służą za podpory dachów. Jak się tu w ornamentyce używa zwierząt, spodziewam się pokazać moim przyjaciółom na kilku ułamkach, pochodzących widocznie z jakiegoś małego pałacu, które znaleziono przy rozkopywaniu gruntu pod budowę domu niedaleko *mussafir-khaná*. W pobliżu tegoż miejsca wznosi się piękna budowa z pierwszych czasów Akbara, mauzoleum Muhammad Ghaus. Wspaniałe kraty kamienne, piękna skrzynia w pośrodku, przedewszystkiem zaś małe, naprzemian okrągłe i czworoboczne pawilony na dachu, czynią z niego prawdziwego poprzednika grobu Akbara w Sikandra.

O godzinie 9 wieczorem 19 pojechałem niedawno dopiero otwartą koleją z Gwalior na południowy wschód

Pałace.

Ozdoby z polewanych cegieł.

Mauzoleum  
Muhammad  
Ghaus.

Ihási. do Ihási, dokąd o północy przybyłem. Znośny hotel dość daleko od dworca. W pokoju moim brak powietrza, trzeba było wprawić w ruch *pankhá*, aby móżdżek usnąć. *Pankhá* jest to wąska deska z szerokim kawałkiem płótna, zawieszona na sznurach u sufitu, którą za pomocą sznura wprawia w ruch kulis siedzący przed drzwiami, nieraz nawet o całe piętro niżej. W Ceylonie przez rok cały, w Indjach przez większą część roku je się, pracuje, spi pod szelestem tej *pankhà*. Jej miarowe uderzenia towarzyszą poważnym rozprawom sądowym i wesółym biesiadom. Używa się jej i po kościołach i na parowcach w zwrotnikowych okolicach, i nasuwa mi się pytanie, czy nie byłoby dobrze zaprowadzić ją, naturalnie po nadaniu jej ruchu maszyneryi i ozdobniejszego kształtu w naszych gorących salach balowych i jadalniach?

Babù'owie. *Środa 20 marca.* — *Manager* hotelu przyszedł rano dowiedzieć się o moich życzeniach. Człowiek ten ze swą lichą angielszczyzną, z obleśną uniżonością i fałszywymi oczyma jest wzorem krajowca, który po angielsku czytać i pisać umie, czyli t. zw. *babù*. Słowo *babù* ma po hindostańsku znaczyć tyle co »pan«, podczas gdy mahometańska nazwa »pana« *sahib* w *sa'b* zmieniona, służy teraz do oznaczenia Europejczyka. To samo tedy słowo w języku dawnych zdobywców i zwyciężonych oznacza różne kategorie ludzi, których prosty człowiek uważa za stojących ponad sobą, a mianowicie całkiem logicznie słowo w języku zwycięzców oznacza wyższą kategorię. Ci *babù'owie*, jak wszędzie ludzie napół wykształceni, stanowią niespokojny, nowatorski żywioł w Indjach, wyzyskują, gdzie tylko mogą, swoich ciemnych, dobrodusznych współziomków i obchodzą się z nimi o wiele gorzej niż Anglicy. Nienawidzą przytem naturalnie swych białych władzców i przy pierwszej sposobności każą sobie dziesięciokrotnie płacić za niskie pokłony, w jakich się kureczą przed nimi. W obłudnej

pokorze wobec obcego rządu, a wstrętnej swej pysze wobec innych bliźnich, podobni są ci uczeni w piśmie do owych, których w ewangelii tak często wymieniamy jednym tchem pospołu z faryzeuszami.

Dalsza droga powozem w głąb Bundelkhand, rozległej krainy środkowych Indyi, aż do Orchá, o trzy godziny drogi. Droga wiedzie przez niski las, z którego wszędzie przebłyskują czerwonym dzióbowatym kwieciami okryte drzewa (*butea frondosa*), jakich nigdzie dotąd nie widziałem w takiej obfitości. Przebywamy kilka rzek i na każdym takim brodzie zagrzęzamy w piasku rzeczonym. Raz nawet musieli nam dopomóc pracujący w pobliżu robotnicy.

Nareszcie spostrzegam szeroko rozciągające się gmachy Orchy, które zwiedzam przez trzy godziny wśród przynębiającego skwaru. Nie jest to miasto, lecz tylko grupa bardzo obszernych pałaców zmedyatywowanego obecnie, jak mi się zdaje, maharaji ze swojemi świątyniami i grobami, wszystko to dopiero z początku bieżącego stulecia, lecz wysoce charakterystyczne, po części wspaniałe i nad wyraz malownicze w dzisiejszym swym upadku wpośród zacisznie miłej leśnej okolicy, z przeskakującą skałą, tak jak Tungabhodra pod Vijayanagar, wspaniałe błękitną zdalą rzeką, Betva, dopływem Jumny. Bardzo piękny, czysto indyjski szeroki główny pałac, zupełnie zaniedbany i zamknięty, gdyż mieszkać ma w nim, jak w pałacu w Bhartpur, kilka żon maharaji. Jeśli tak jest w istocie, to za wielbicieli nieszczęśliwe te damy mają chyba tylko małpy, które gęsto zamieszkują krzaki i zwaliska w bezpośredniem sąsiedztwie. Wspaniały jest most nad rowem zamkowym z gotyckimi łukami i indyjskimi wieżyczkami, imponująca wielka świątynia Vishnu, która wewnątrz tak dalece przypomina świątynię Govinda-Deva w Bindrabanie, że musi być zapewne na jej wzór zbudowana. Jak owa świątynia, tak i ta jest kościołem o najszlachetniejszych

Orchá.

proporcjach, a jak tam tak i tu psują nam wrażenie małe, złotym i srebrnym papierem oblepione poczwary bożków (Vishnu i Lakshmi, jego małżonka), dla których też fałszywy chór chłopców aż nadto stosowną był liturgia.

Grobowa kaplica.

Dalej nad przyjemnym brzegiem rzeki cały szereg *gopura*. Należą one do małych przybytków, w liczbie około 12—14, niektóre z nich znowu otoczone są osobnym, własnym murem. W jednym z budynków mieszka teraz chłopska rodzina, inne są po większej części stajniami, jedna tylko była zaryglowana, i myślałem, że zawiera obraz bóstwa. Lecz zamiast jednego z owych bożków z słoniową lub małpią głową, które w takich małych kaplicach mieścić się zwykły, ujrzałem po odsunięciu drewnianej zasuwki płaskorzeźbę marmurową z napisem. Pod baldachimem, na wzór owych również kamiennych, jakie rozpinają się nad oknami indyjskich pałaców, wstrętne szkaradny, gruby mężczyzna, z nakryciem głowy używanem przez klasy znakomite, prawicą wsparty na mieczu, w drugiej ręce trzymający prawą dłoń chudej małej kobiety, ile możności jeszcze brzydszej od niego, z uderzającą wielkimi uszama, ona zaś w lewej ręce trzyma zwierciadło, przedmiot dla niej zaprawdę zbyteczny. Ponad obojgiem słońce i księżyc. Prawdopodobnie zatem jest to kamień grobowy księżęcej pary z Orchy, wywodzącej pochodzenie swe od dynastji słońca i księżycy. Albo miałożby słońce oznaczać otyłego księcia, a więc rodzaj *Roi Soleil* w kieszonkowym formacie, wąski zaś półksiężyc jego szczupłą małżonkę? Na uboczu tych budynków w hindostańskim stylu stoi jeden w mahometańskim, zapewne również budowa nagrobna.

Gdy się w drodze z powrotem zbliżyłem do Ihānsi, kazałem stanąć na wzgórzu, aby się zorientować w okolicy. Widok ma coś wielkiego, z rozległej równiny wznosi się góra zamkowa w Ihānsi i pięknie ukształto-



wane skały, niektóre świątyniami uwieńczone. Jestto okolica, w którejby się chętnie żyło, tylko nie w porze gorącej, która się tu właśnie teraz poczyna. Zapomniałem wspomnieć o pielgrzymach, którzy w Orchá zabie-

Pielgrzymi.

*21 marca, 4 godzina rano wyjazd do Allahabad.* — Po tej małej wycieczce na południe zwracam się znowu ku głównej linii kolejowej, biegnącej w kierunku wielkich rzek. Ciemno jeszcze, gdy przejeżdżamy przez Jumnę; o 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> Cawnpore, gdzie zmiana powozu. Miasto leży niedaleko Gangesu, lecz przez całą drogę nie widzi się wcale świętej rzeki, chociaż ciągle w niewielkiem oddaleniu, równoległe do niej jedziemy. Godzina 5 wieczór Allahabad.

*22 marca.* — Allahabad był od wieków bardzo ważnym punktem, gdyż leży u spływu obydwóch świętych rzek Jumny i Gangesu. Jak ktoś, co nigdy jeszcze morza nie widział, natychmiast po przybyciu do Tryestu lub Ostendy pędzi na Molo albo Digue, aby zaspokoić spragnioną ciekawość, tak i ja wybrałem się wcześniej rano, aby zobaczyć nareszcie Ganges. Ze wzgórza koło warowni ujrzałem rzekę miernej szerokości, toczącą się zwolna przez olbrzymie łożę piaszczyste. W porze dżdżystej Ganges trzy razy tak jest szeroki jak teraz, a obecnie całymi miesiącami ubywać mu będzie jeszcze wody. Z baszty fortecznej widziałem następnie Jumnę, która tu wygląda daleko dumniej aniżeli główna rzeka, a zdala na widnokręgu punkt, gdzie się obie łączą.

Allahabad.

Ganges.

W warowni wybudował Akbar jeden ze swych pałaców, lecz barbarzyństwo Anglików prawie nic z niego nie zostawiło. Natomiast utrzymał się wprawdzie jeszcze jeden słup ze znanym napisem Asoki, tylko nie tak jak ów w Delhi w odpowiednim otoczeniu, lecz wśród kokieteryjnych małych grządek kwiatowych skweru. W pobliżu całe góry kul działowych, istne szyderstwo wobec owego wezwania do powszechnego miłosierdzia. Najciekawszą rzeczą w warowni albo raczej pod nią jest święte, podług wiary Hindusów wieczyste drzewo, t. j. takie, które nigdy zginąć nie może. Pozostał z niego już tylko pień, do którego się dostaje podziemnym chodnikiem. Jak w katakombach przyświeca mi przewodnik. Małe posągi bogów na prawo i lewo, przy ścianach na ziemi maski z mosiądzu, jakich nigdzie indziej nie widziałem. Dokoła świętego pnia świece, ludzie ofiarujący kwiaty i szepeący modlitwy, i znowu mosiężne maski. Wszystko to przypomniało mi starożytne podziemne kulty bogów, n. p. Mithry, tylko że zamiast niewinnych kwiatów składano tam krwawe ofiary.

Święte drzewo.

Mahometan-  
skie budowle  
nagrobne.

Dumą Allahabadu jest dobrze utrzymany ogród z trzema mausoleami z czasów Jehangira. Przez piękną mahometanską bramę, od dołu do góry podkowami obitą, tak jak sławna brama meczetu Akbara w Fatehpur Sikri, dalej wśród grządek kwiatowych i drzew wspinających, jedzie się do trzech monumentów nagrobnych, leżących obok siebie. Najciekawszy jest położony najdalej na zachód, kryjący szczątki Sahibah-Begam, jednej z małżonek Jehangira. Główne założenie takie jak w mausoleum w Sikandra, tylko w wykonaniu znacznie uproszczone. Ponad trzema piętami w kształcie kostki, zmniejszającymi się jak w piramidzie, wznosi się wdzięczny baldachim, ocieniający symboliczny sarkofag, podczas gdy i tu ciało zmarłej spoczywa w wnętrzu piramidy. O 6 wieczór opuściłem Allahabad, o 11<sup>1/2</sup> prze-

jechał mój pociąg Ganges, a w godzinę później byłem w hotelu Clarke w Benares.

23—26 marca, *Benares i okolica*. — Na północy miasta leży rozległe *cantonment*, miasto samo liczy 300.000 mieszkańców, 1470 świątyni Sivy, 380 meczetów, i składa się z labiryntu małych ulic, jak w Genui albo Wenecyi, po którym przewija się nieskończony tłum ludzi. Placów wielkich niemasz, najważniejsze świątynie ukryte między wysokimi jak wieże domami, straszliwe powietrze, świątobliwi żebracy i niezliczone kramy z mosiężnymi bożkami i ofiarnymi wotami. Benares ma tylko jedną główną ulicę, która go jednak nie przecina, lecz mimo niego wiedzie, a mianowicie Ganges. Miasto leży w całości na jego północnym, lewym brzegu, a jednak całe życie koncentruje się na tym jednostro-nym Canal Grande. A co za życie! Czterdzieści siedm *ghát* czyli szerokich paradnych schodów prowadzi w dół do świętej rzeki, a ofiarnicy, pokutnicy, kąpiący się, schodzą codziennie całymi tysiącami po ich stopniach; umierających, zmarłych, znosi się na dół. Z całych Indyi gromadzą się tu starcy i chorzy, ażeby umrzeć z zanurzonemi w Gangesie stopami, spłonąć na stosie u brzegu i utonąć następnie w świętych falach. Wieńce z kwiatów a wieczorem lampki, utwierdzone na małych deszczułkach, pływają po wodzie jako dary ofiarne. Płonące stosy nie zakłócają rojnego gwaru kąpiących się. Święta Ganga jest dla Inda wieczeniem wiecznie niszczącej i wiecznie twórczej przyrody, która wszystko życie w siebie chłonie, i z której wszystko życie na nowo się rodzi.

Benares.

Życie ludowe.

Liczne świątynie stoją na brzegu, wszystkie z czasów nowszych, jedna już nawet w stylu napół japońskim z płaskorzeźbami w drzewie i mosiężnymi ornamentami, naśladowującymi skrzynie Buddy, zdala zaś szczególnie podobnymi do papieskiej tiary z kluczami. Ponad wszystkie wznosi się wielki meczet Aurangzebego,

Wielki meczet  
Aurangzebego.

wzniesiony przezeń na zwaliskach zburzonej świątyni Hindusów. Chciał on wnieść znaną Islamu w najświętszem mieście zwyciężonych. Jego meczet pozostał po dziś dzień tumem Św. Szczepana w Benares. Wchodzę na jeden z jego minaretów, krzaki otaczają miasto od północy i wschodu, może resztki dzikiego parku, w którym Buddha, przyszedłszy z Gayá wygłosił swe pierwsze kazanie, gdyż już wówczas, na sześć stuleci przed Chrystusem, było Benares środkowym punktem religijnego życia Indyi i dlatego to w pobliżu miasta tego osiedlił się książęcy żebrak, aby zawód swój jako mistrz rozpocząć. Wieża w Sarnath, oznaczająca miejsce, skąd miewał kazania do ludu, zasyła zdala swe pozdrowienie. I stąd z góry nie ma Ganges o tej porze roku nie imponującego, a w falach jego nie odzwierciedlają się lasy palmowe, jak to sobie fantazya wyobrażać zwykła.

Przejażdżki  
po Gangesie.

Moje turystyczne wycieczki w Benares ograniczyły się prawie tylko na przejażdżkach po świętej rzece o rozmaitych porach dnia, zwłaszcza zaś porankiem, kiedy najwięcej zmarłych palą i najwięcej ofiarników uwija się w kąpiel. Z dachu małej *dahabiah*, przed którą pod górę rzeki rozpięto nędznie podziurawiony żagiel, aby wiosłarze odpocząć sobie mogli, przypatrywałem się wygodnie ciągle zmiennemu, nie wesołemu wprawdzie lecz w swoim rodzaju jedynemu widowisku. O sławnej świątyni krów i o świątyni małp, którą Schopenhauer wyszydza, o źródle mądrości i o krynicy życia, co wszystko przelotnie zwiedziłem, nie umiem nie powiedzieć, czego by gdzieindziej wyczytać nie można. Żadne z tych miejsc kultu nie wywarło na mnie głębszego wrażenia, niektóre przejęły mnie wstrętem.

Ramnagar.

Pewnego popołudnia popłynąłem rzeką o godzinę drogi pod górę aż do Ramnagar, pałacu zmedykozywanego maharaji w Benares; pałac ten wznosi się na prawym brzegu rzeki. Właśnie schodziły do Gangesu słońce ze srebrnymi stołkami, niosące do okrętów posiłki bogów

na uroczystości nocne, które niebawem odbyć się miały na rzece. Książę zachował przywilej utrzymywania na swym żołdzie żołnierzy, a wewnątrz i dokoła pałacu, nie zawierającego zresztą nic godnego uwagi, można spotkać postaci jak w Jajpur albo Gwalior. I w Benares przyglądałem się godom weselnym mahometańskim, jak twierdził przewodnik, i tak też zapewne było, bo miesiące weselne Hindusów już minęły. Złe umundurowani żołnierze maharaji otwierali i zamykali pochód, małych chłopców, krewnych pana młodego, niesiono w lektykach przed nim, a on sam, zaledwie 15 lat liczący, jechał z tyłu za nimi wierzchem, nad nim niesiono baldachim. Największą jednak osobliwością były niezliczone nosze z kwiatami o wszelkich barwach, z pawiami, małymi żołnierzami i muzykantami, a wszystko to z papieru albo papierowej masy.

Mahometański pochód weselny.

Bardziej jeszcze niż gdziekolwiek uderzali mnie w tych dniach Indowie, zwłaszcza wiosłarze i woźnice, swobodną giętkością wszystkich swych członków. W porównaniu z nimi nawet Włosi i Arabowie są sztywni i kołkowaci. Co Michał Anioł widział okiem swej duszy i w dziełach swych odtworzył, owo zupełne panowanie człowieka nad członkami swego ciała — to stało się tu rzeczywistością. Jeśli już w Bombaju i Amritsar widziałem ludzi w pozycjach przodków Maryi ze sufitu Sykstyńskiej kaplicy, to tu co chwila zdawało mi się, że widzę jedną z owych sławnych figur, trzymających medaliony na owem olbrzymiem dziele sztuki malarskiej, a często spotykałem w całej dokładności pozycję tej lub owej ulubionej postaci, nad której odrysowaniem z oryginału męczyłem się w Rzymie leżąc na grzbiecie. Nie zdziwię się, jeśli spotkam jeszcze Indyjkę spiącą w pozie »Noey« florenckiej, okrzyczanej za niemożliwą przez krytyków. Nowy dowód, że geniusz artystyczny a natura to istotnie jedno; geniusz przeczuwa, co dla innych ludzi pozostało w ukryciu, i w przekonywający

Żyjące postaci Michała Anioła.

sposób, bo sam jest przekonany, stawia nam to przed oczy. Malarzom zaś i rzeźbiarzom nie goręcej zalecić nie można jak podróż do Indyi, aby tam badali ciało ludzkie nie w wymuszonych modelowych pozach, lecz w pełnej, niekrępowanej swobodzie.

Sarnath.

W trzech kwadransach przybywa się jadąc w kierunku północnym od Benares do Sarnath z buddhystycznym *stupą*, który oglądałem z minaretu wielkiego meczetu. Jestto budowa wysokiego znaczenia, prawdopodobnie z X wieku po Chrystusie, a zatem wzniesiona mniej więcej w półtora tysiąca lat po kazaniu Buddy, którego pamięci była poświęcona. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zawierała ona nigdy relikwii, jak je zawierać zwykły *dagoby*, i pozostała niewykończoną z powodu napadu Mahometanów. Widzi się tylko podmurowanie olbrzymiej okrągłej wieży, gęsto roślinnością okryte, a szczątki budowy sięgają tylko do trzeciej części tej wysokości, jaka była zamierzona. Około 18 stóp od ziemi biegnie bardzo szeroki ornament, tak piękny, że rzadko gdzie widzieć się zdarzy coś piękniejszego, z powikłanymi geometrycznymi figurami, roślinami i ludzkimi postaciami, ponad tem zaś nisze, w których widocznie były siedzące postaci Buddy. Głowę więcej niż naturalnej wielkości, która bardzo łatwo mogła należeć do jednej z tych siedzących figur, znalazłem niedaleko sąsiedniej świątyni Sivy. Poniżej ornamentacyjnego pasa znajdują się jeszcze tu i owdzie widoczne ślady złocenia. Wiele rzeźb, które zdobiły niegdyś tę budowę, widziałem w ogrodzie należącym do *College* w Benares, wraz ze słupem Asoki, z którego napisu prawie nie już nie pozostało. Lepsze części mają znajdować się w Allahabad, niestety nie wiedziałem nic o tem w czasie pobytu mego w tem mieście. Nie daleko od wielkiego *stupy* w Sarnath stoi na stożkowatym pagórku ośmioboczna mahometańska wieża, jakiej podobne widziałem pod Missis i Ajas w Cylicyi: przez jej

sklepienia otwiera się widok na Benares i Ganges. Utrzymują, że i to była pierwotnie buddhystyczna budowla, którą Mahometanie tylko przekształcili.

Ponieważ gospodarz hotelu Clarke sam obok jadalni otworzył sklep z bronzami i tkaninami, nie wolno przepukniom naprzykrzać się cudzoziemcowi, jak w hotelach w Delhi lub w Agra, zato natrętniejsi niż gdziekolwiek indziej są tu poskramiacze węzów. Jeden z nich pokazał mi biedną jaszczurkę średniej wielkości, którą miał uwiązaną na sznurku i której sztuczki chciał nam produkować. Kupiłem od niego jaszczurkę za rupię i zdala od oczu jej kata puściłem przez mur do sąsiedniego ogrodu. Nie wiem oczywiście, czyli biednej jaszczurki nie spotkał później taki sam los jak owego chłopca, którego Don Quixote wyswobodził z rąk dręczyciela, a mianowicie, czy jej poskramiacz węzów później przecież jeszcze nie schwytał.

Oswobodzona  
jaszczurka.

27 marca. — Znowu dzień jazdy kolejowej. O 10<sup>1</sup>/<sub>2</sub> przed południem opuszczam Benares, w Bangipur zwracam się od głównej linii ku Kalkucie na południe i o godzinie 9 wieczór staję w Gaya.

28 marca. — O 6 rano pojechałem powozem do Buddha Gaya, miejscowości, w której pod drzewem figowym spłynęło objawienie na Buddhę, i o 8 godzinie stanąłem tamże. Po drodze oryentowałem się w znacznej rozległości Gaya i radowałem się uroczą okolicą. Stożkowato wznoszą się bądź wulkaniczne, bądź zwykłe góry z równiny, po największej części ze świątyniami na szczycie, jak góry pod La Cava z kaplicami. Palm i w ogóle wegetacyi obfitość. W Buddha Gaya kilka świątyni, lecz tylko jedna zajęła mnie, mianowicie świątynia zbudowana w szóstym stuleciu po Chrystusie obok owego świętego drzewa figowego. Nie jest ona właściwie niczem innym, jak wielkim *stupą*, jak w ogóle z takich buddhystycznych *stupów* rozwinął się zapewne północno-indyjski styl świątyni. Jestto bardzo stroma, dziewięćcio-

Buddha  
Gaya.

Świątynie  
Buddhy.

piętrowa piramida, u góry święty parasol z mosiądzu niedawno odnowiony; w ogóle król Burmy w ostatnich latach dał odnowić ten budynek, ale nie zawsze na korzyść, mógłby być n. p. spokojnie darować sobie malowanie gzymsów na żółto. Wewnątrz dwie sale do modlitwy ponad sobą, jak dolny i górny kościół w Assyżu, a górna przestrzeń podobnie jak tam z gotykimi łukami. W każdej z tych kaplic bogato złożone, nowoczesne posągi Buddy nadnaturalnej wielkości, całkiem wschodnio-azyatyckie, na dole postać siedząca, odziana w rzeczywistą materię, na górze stojąca, obwiedziona rodzajem ram, które ożywiają małe płaskorzeźby, podobnie jak Fra Angelico na ramach dokoła niektórych swoich Madon malował Świętych albo aniołów. Z górnej sali wstępuje się na terasę, na której czterech rogach stoją małe *stupy*, każdy z Buddą w środku. Za świątynią miejsce, na którym stało święte drzewo, obecnie oznaczone przez kamienną, bardzo piękną posadzkę o przepysznej ornamentyce, w każdym razie z najlepszych czasów buddystycznej sztuki. Naprzeciw młode drzewo figowe, następca zaginionego. Rozległy obszar świątyni leży niżej niż otaczający go poziom, z którego to powodu świątynia widziana z drogi nie wywiera wrażenia odpowiedniego swej rzeczywistej wysokości. Wewnątrz tego okręgu mniejsze świątynie Hindu (komunizm bożków w tych krajach bardzo jest bałamutny!) i niezliczona ilość dobrych i złych posągów, po części Buddy i małych *stupów* jako wotów rozmaitej wielkości i kształtu, które widać także wysoko w górę na załamach schodów głównej świątyni.

Drzewo figowe.

Kamienna balustrada.

Najciekawszym jednak jest to, co pozostało z kamiennej balustrady, która, starsza o wiele od świątyni, otaczała święte drzewo figowe. Jest ona może najwcześniejszym ze znanych dotychczas dzieł sztuki indyjskiej, może identyczna z owym ogrodzeniem, które jak wiemy, król Asoka wznieść kazał dokoła drzewa figowego. Ta-



kie kamienne balustrady dokoła świętego drzewa, *dagoby* albo *stupy* należały do ulubionych budowli buddhystów, większa część ich miała bramy wchodowe w rodzaju łuków tryumfalnych, bogato rzezbami zdobione, a na pionowych i poprzecznych belkach samych ogrodzeń pozostawili nam ich twórcy w rzeźbionych figurach, małych scenach w płaskorzeźbie i ozdobach wyborne dokumenta, z których możemy sobie wyrobić wyobrażenie o życiu indyjskiem w stuleciach między Aleksandrem a Augustem. Z tej właśnie balustrady utrzymała się tylko jedna brama wchodowa i to stosunkowo mała i bez znaczenia. Pod figurami w płaskorzeźbie pół naturalnej wielkości na belkach balustrady, uderzyły mnie nagie kobiety, umieszczone po jednej albo po dwie, bogato klejnotami obwieszzone, podobne do mniejszych o wiele, a również z balustrady pochodzących rzeźb tego rodzaju, jakie oglądałem w Muzeum w Muttra, tylko że bez wątpienia są starsze. Piękne kwiaty lotosu jako rozety i bardzo oryginalne ornamenta z syrenami i krokodylami, biegnącymi na długich nogach. Atoli najważniejsze są małe, okrągłe jak koło płaskorzeźby z rozmaitemi godłami i postaciami. Są tu skrzydlate i zwyczajne słonie, konie ze skrzydłami, małe *dagoby*, ludzie modlący się przed drzewem, miłosne pary, partya szachów i t. d. Nie ma tu wcale pokrewieństwa z sztuką starożytną, ale podobnie jak w malowidłach w Ajancie, zachodzi pokrewieństwo z sztuką średniowieczną Włoch. Podobnemi małemi, częścią allegorycznemi, częścią realistycznemi płaskorzeźbami ozdobiona jest n. p. wielka studnia w Perugii, a arcydziełami tego rodzaju są cudowne rzeźby Andrea Pisano na dzwonicy w Florencyi. Zarówno te buddhystyczne, jak i owe włoskie dzieła świadczą o wysoce rozwiniętej cywilizacyi, wśród której ludzie mieli czas i ochotę po temu, aby w swobodnej igraszcze form sobie i potomności swojej tworzyć obraz tego co widzieli, w co wierzyli i czego się spodziewali.

Posąg Bud-  
dhy siedzą-  
cego  
w kuczki.

Z obwodem świątyń graniczy święty staw, a dochodzi się doń przez bramę, przed którą na straży stoją dwie koronowane postaci siedzącego Buddy, widocznie z późnych już czasów. I te postaci siedzą z podgiętymi nogami, tak jak Buddha najczęściej bywa przedstawiany, na turecki sposób i to tak, że obie nogi leżą wyżej od kolan a stopy do góry są zwrócone. U nas potrafiłby tak siedzieć chyba człowiek z kauczuku albo *clown*; indyjscy rzeźbiarze upatrywali w tem widocznie najwygodniejszą pozycję do rozmyślania o najwyższych zagadnieniach. Na ukos naprzeciw okręgu świątyń leży po drugiej stronie drogi *dak-bangalo*; w jego ogrodzie, na obwodowym murze tegoż i w bocznych ogrodach piętrzą się kupami gruzów niezliczone ułamki buddhystycznych kamieni ofiarnych, z których porządną częśćkę uwiozłem. Nowoczesne świątynie Hindu z ohydnyimi poczwarami w swem wnętrzu stoją dokoła świętego obszaru i psują wrażenie. Niedaleko zaś na wschód płynie przez grupy palm Liliya, obecnie uboga w wodę, w jesieni jednak potężnie wzbierająca rzeka. Jej nazwa w sanskrycie brzmi Nairanjana, Niepokalana.

Legenda  
o drzewie  
figowem.

Dla buddyzmu nie masz ważniejszego miejsca jak Buddha Gaya. Więcej niż tysiąc lat był to najświętszy punkt dla Indów, a i obecnie jeszcze jest Jerozolimą dla wielu milionów mieszkańców ziemi. Kiedy król Asoka wysłał do Ceylonu jako apostołów swego syna Mahindo i córkę Sanghamitta, dał im na drogę gałąź z świętego drzewa w Buddha Gaya. Według legendy odłączyła się gałąź sama od pnia i puściła korzenie w złotem naczyniu, w którym ją złożono. Na dalekiej wyspie południowej posadzono ją następnie w ziemię w Anuradhapura, i tam stała się ona świętym drzewem, które przed trzema miesiącami na miejscu oglądałem. Całe to podanie jest trafny symbolem przeszczepienia religii, która się niejako wcieliła w to drzewo figowe.

O godzinie 1 w południe byłem znowu w *dak-bangalo* w Gaya i włączyłem się w późnych godzinach popołudniowych po wąskich, bardzo ożywionych ulicach miasta. Wielką jego osobliwością jest świątynia Vishnu, nie wybitna pod względem architektonicznym, lecz w dal i wszcz sławna ze śladów nóg Vishnu, wyciśniętych na kamieniu posadzki, powleczonej srebrną blachą i srebrną niską balustradą otoczonych. Zdaleka tylko wolno mi było spojrzeć na nie, nie umiem więc nie powiedzieć o wielkości śladów. Bez wątpienia jednak są one olbrzymie tak jak rzekome ślady stóp Buddy, które mi obok miejsca świętego drzewa w Buddha Gaya pokazywano, albo jak niewyraźny ślad na Adamspek w Ceylonie. Jak świątynia Vishnu w Bindrabanie w sąsiedztwie Muttry, tak tu w pobliżu Buddha Gaya leży świątynia Vishnu, licznie odwiedzany cel pielgrzymek jego wyznawców, co zapewne tak jak tam, polega tu na wewnętrznym pokrewieństwie kultu Vishnu z buddyzmem. Z balkonu jednego z domów piękny widok na rzekę przecinającą miasto, na palmy i stożkowate góry. Droga moja do *bangalo* wiodła obok stawu; świątynia Hindu stoi na jego brzegu, mała, z rzeźbionymi w drzewie, zupełnie wschodnio-azyatyckimi podporami dachu; zawsze dwoje fantastycznych zwierząt, jedno wyrastające z drugiego, podobnych do zwierząt naszych tumów gotyckich, które zresztą przypominają norwęgskie prastare skulptury na drzewie. Miałże by to być ślad najwcześniejszego indo-germańskiego plemiennego pokrewieństwa?

29 marca. — Wczesnym rankiem droga na wulkaniczną górę, którą wieńczy świątynia poświęcona Sivi. Jakiś bogaty, pobożny pielgrzym kazał tu wykucć wygodne schody pewnie o całym tysiącu stopni pod górę. Niebo było zamglone, jak niestety zazwyczaj w tej porze, widok dość ograniczony; mimo to mogłem sobie z tej wyżyny zdać sprawę z tej historycznie tyle ważnej

Świątynia  
Vishnu.

Rzeźby na  
drzewie.

Świątynia  
Sivy.

okolicy. Spojrzałem ku Buddha Gaya nie widząc nic zgoła z świątyni, spostrzegłem tylko rzekę Lilię, jako cienki niebieski pas na widnokregu. W południe powróciłem do Bangipur, a w kilka godzin potem byłem w dalszej podróży do Kalkutty, dokąd następnego dnia o 6 rano przybyłem.

Kalkutta.

30 marca — 2 kwietnia, Kalkutta. — Jadąc z kolei przez most na rzece Hugli do miasta, ma się wrażenie, jakby się było w Liverpoolu. Maszty okrętów, kominy fabryk, niesmaczne kopuły, nibyto greckie fasady z kolumnami, jednym słowem wszystko, co należy do angielskiego portowego miasta. Na głównych ulicach wzmaga się jeszcze to wrażenie. Kilka lichych posągów, między innymi dobroduszny jegomość z marmuru, który na niskiej podstawie między trzema latarniami widocznie strasznie się nudzi. To dzieło sztuki przewyższa chyba tylko pomnik królowej Wiktorii w Amritsar, która z bardzo kwaśną miną, w ulicznej toalecie, jakby miała iść na przechadzkę. Sklepy z przydaszkami zupełnie jak w Anglii; *Government House*, wielki budynek w stylu *empire*, w dobrze utrzymanym ogrodzie. Niema właściwego miasta krajowców, a sami krajowcy w upadku. Tutejsi woźnice na koźle nie przypominają mi już postaci Michała Anioła, jak ich koledzy z Benares, lecz małpy. O ci woźnice! Żaden z nich nie umie jechać, żaden z tak zwanych *lohndiener'ów* nie zna ulic, konie jakby zdychać miały, wozy grożą w każdej chwili rozbiciem się w kawałki, i jakże cudzoziemcowi ruszać się po Kalkucie! Pod tym i pod niejednym innym względem wyprzedza Bombaj stanowczo stolicę, ale biorąc rzecz w ogólności, widzi się tu przecie, że się jest w potężnym środkowym punkcie ważnych spraw, który ma za sobą tradycję pokoleń. Czy może Kalkutta pozostać tym punktem środkowym? Mimo, że Anglicy uparcie, trzymają się tradycyi, myślę że nie. Bombay, zwrócony ku Europie a nie jak jego rywalka ku Azji wschodniej

będzie ją coraz bardziej ubiegać i wielu też wierzy, że rząd obierze sobie siedzibę w Puna, w górach powyżej Bombaju. Tam mógłby wicekról przebywać dziesięć miesięcy w roku, podczas gdy w Kalkucie, jednym z najniezdrowszych miast na świecie, właściwie tylko trzy miesiące mieszkać można. Przez największą część roku sprawują się rządy Indyi w Simli, na drugim końcu Hindustanu, na stokach gór Himálaya powyżej Lahore; słusznie też podniesiono, że armia zdobywcza posuwająca się naprzód z północnego zachodu, z łatwością odebrać może rząd cały od indyjskiego kontynentu.

Droga do ogrodu botanicznego, oddalonego od miasta o godzinę drogi, mocno przypomina okolicę Colombo, a nawet sam olbrzymi ogród przeniósł mnie na Ceylon. Jest on źle założony, zawiera jednak pyszne egzemplarze drzew. *Pièce do résistance* stanowi *ficus elastica*, która z korzeniami swymi, podpierającymi gałęzie, jest całym lasem sama dla siebie; ma to być największe drzewo figowe na świecie. W cieplarni pyszne orchidee. W zoologicznym ogrodzie blisko miejsca lądowania parowców widziałem nadzwyczaj piękne pantery i tygrysy, między tymi ostatnimi jednego tak olbrzymich rozmiarów, jakie zapewne bardzo rzadko się zdarzają. Klatki są tak obszerne, że zwierzęta w ruchu dobrze badać można.

Wbrew powszechnemu zwyczajowi Indyi leży Muzeum w środku miasta. Oddział archeologiczny jest bardzo bogaty i dobrze uporządkowany. Głównym okazem jest jedna z najstarszych balustrad buddhystycznych, a mianowicie balustrada z Barhut w Indyach środkowych, lub przynajmniej wielka jej część wraz z niepospolitą bramą. Balustrada z czerwonego piaskowca, zupełnie tak jak w Buddha Gaya, tylko większa. Według charakteru swoich rzeźb, nie może ona żadną miarą być późniejszą, aniżeli tamte. Gdyby Kalkutta nie była już tak nieznośnie skwarna, chciałoby się kilka dni

Ogród botaniczny.

Muzeum.

Balustrada w Barhut.

poświęcić studium tej balustrady, odrysować każdą płaskorzeźbę. Tak zaś zważyć przychodzi, czy dostaną fotografię, otrzymuje się je bowiem tylko za osobnym zezwoleniem, a ci którzy go mogą udzielić, albo są już w Simli, albo też właśnie wybierają się do niej. Ludzkie postaci półnaturalnej wielkości *en relief* na zwierzętach, jedna z nich stojąca na karle, który w tył po za ramiona wygiął nogi. Ma on czapkę jak nasze średniowieczne błazny; bez namysłu możnaby go przenieść do którejś z katedr nadreńskich jako kroksztyn dachu lub konsolę kazalnicy. Niektóre postaci mają złożone dłonie, jak na naszych nagrobkach. Małe okrągłe płaskorzeźby budzą zachwyt a są już bardziej skomplikowane niż w Buddha Gaya; raz nawet widzi się całe zgromadzenie, w którym bardzo naturalistycznie umieszczony jest mężczyzna tyłem do widza. Muzeum posiada nadto rzeźby z wszystkich okolic Indyi, także z kraju »Pięciu rzek« i Muttry. W *School of Arts* widziałem między brunatnymi uczniami wcale zręcznych rzeźbiarzy, atoli największą osobliwością jest galeria obrazów, jedyna w Indyach, z kopiami podług Rafaela, Murilla, Rubensa, Netschera. Dzieci te naszego podniebia wydają się pod słońcem Bengalii co najmniej tak samo obce, jak frontonowe figury z Parthenonu w British Museum, pośród mgły londyńskiej.

Galerya obrazów.

Miłe spotkanie z dwoma młodymi przyjaciółmi, z hr. Ernestem Hoyos i hr. Gézą Széchényi, z którymi ku wielkiemu żalowi memu dla małej różnicy w dacie przybycia, rozminąłem się w Bombaju. Obaj w rozmaitych okolicach Indyi, między innymi w Haidarabad odbywali łowieckie wyprawy, pełne wzruszeń i trofeów, a opowiadają w sposób bardzo zajmujący myśliwskie swoje przygody w Kuch-Behar, małym indyjskim państwie związkowym, blisko granic Sikkimu. Zadają sobie pytanie, czy nie obrali właściwie lepszej cząstki, i czy nie poznali Indyi poufniej, aniżeli mnie

się to powiodło na moim szlaku turystycznym. Nie bez zazdrości słyszę o ich planie polowania jeszcze przez kilka tygodni na tygrysy w środkowych Indjach, mimo zbliżających się wielkich upałów. Również stawił się w Kalkucie Fischer, który bardzo zadowolony powrócił z Darjiling. W czasie tej podróży zwiedziliśmy niektóre miejsca wspólnie, niektóre każdy z osobna, teraz rozdzielają się ostatecznie nasze drogi. Fischer, bogato obładowany szkicami i gotowymi akwarelami, wsiada za kilka dni w Bombaju na statek odpływający do Tryestu, podczas gdy ja zdecydowałem się, po powrocie z Sikkimu, dokąd teraz wyruszam, wracać do domu przez Japonię i Północną Amerykę.



Palenie zmarłych w Benares.



Ułomek z kraty kamiennej.  
(Gwalior).





Kinchinjanga.

#### IV. SIKKIM I BHOTAN. — Z KALKUTTY DO COLOMBO.

*2 kwietnia.* — Po południu ruszam koleją do Darjiling; znowu przypomina mi się Ceylon, gdy przecinam zasadzoną palmami nizinę, co oddziela Hugli, jedno z ujść Gangesu, od głównej rzeki. W Domukdia wsiadam o godzinie 8<sup>1</sup>/<sub>2</sub> na parowiec, którym się przez tę rzekę przeprawia, a na drugim brzegu w Sara Ghat na mniejszą koleją żelazną.

Podróż do  
Darjiling.

*3 kwietnia.* — Ósma godzina rano, Siliguri. Powtórne przesiadanie się do parowego tramwaju, z małymi po największej części otwartymi wagonami, które jakby sobie wypożyczono z wiedeńskiego *Wurstelprater*. Cała kolej z małą lokomotywą przypomina dawniejszą miniaturową drogę żelazną z Lambach do Gmunden, którą jeszcze będąc dzieckiem jeździłem. W Siliguri zobaczyłem pierwszych Mongołów, małych ludzi z spłaszczonymi twarzami. Wkrótce ukazały się przedgórza Himálaya, lesiste, o wielkich zarysach, w osłonie rzadkiej mgły. Poczynamy piąć się pod górę; kolej zakreśla najpiękniejsze łyżwiarskie figury, kilkakrotnie spiralnie wspina się w górę, niekiedy dojeżdżamy aż do jakiegoś szczytu, potem zda się nam, że wracamy w tył, lecz wkrótce znowu widzimy pod sobą dopiero co opuszczoną drogę. Po przebyciu połowy wysokości naszej drogi, stromość łagodnieje, powietrze robi się pyszne; co za dobrodziejstwo, żeśmy się wydostali z du-

Darjiling.

szej jak piec piekarski atmosfery Kalkuty! Po stacyach mongolskie grajki, którzy jak niedźwiedzie tańczą przy własnej muzyce. Wkrótce daje się czuć dotkliwy chłód, wszystko chwyta za plaidy i płaszcze. Jeszcze godzina, i widnieje Darjiling: na stromym stoku góry wille, większe budynki, kościoły, wszystko po największej części blachą kryte. Okolice wzrusza swą wielkością, nie widać gruntu doliny, pływającej w mgłę. Jestto rzeczywiście »siedziba chmur«, co ma oznaczać nazwa Darjiling. Niestety okrywają chmury także śnieżne szczyty, których wcale widzieć nie można. O godzinie 4 jesteśmy u celu. Staję w Woodland's-Hôtel, który bardziej niż którykolwiek inny hotel w indyjskim państwie, urządzony jest na wzór europejski. Najpierw przechadzka dla zorientowania się; wspaniała vegetacya; znajduję się na wysokości ponad 7000 stóp, na takiej wyżynie siedzi się pod Zermatt między lodowcami, tu rosną wśród ogrodów rododendrony, pękami czerwonych kwiatów okryte.

Łańcuch  
Himálaya.

4—7 kwietnia. *Darjiling*. — Małe buddhystyczne *dagoby* i świątynie wznoszą się dokoła miejscowości. Mniej czysty niż w Burmie albo Tybecie, jest przecież buddyzm religią Lepchów, osiadłego tu mongolskiego plemienia. Właściwie tak samo nie jestem tu już w Indjach, jak pod Pesháwar. Jeśli północno-zachodni Panjab, ściśle rzecz biorąc, należy do Azji środkowej, to Sikkim, kraina, w której leży Darjiling, jest niejako wstępem do Chin. Najbarwniejsze stroje; twarze malowane, a raczej nakrapiane czarną farbą; wiele ozdób ale więcej jeszcze brudu. Jeszcze przez trzy dalsze dni wysokie szczyty śnieżne kryły się za chmurami i mgłą; wreszcie przyszedł deszcz i burza, a dziś 7go, zbudzono mnie o godzinie 5 z wieścią, że widać *snows*, jak tu nazywają góry śnieżne. Pobieglę do okna; było to jakby widzenie, prawie piękniejsze w półmroku, niż potem w pełni słonecznego blasku. Najwyższy widzialny

stąd szczyt jest Kinchinjanga, o przeszło 28.000 stopach wysokości. Czuje się całkiem dobrze olbrzymią wysokość, bo spostrzega się wielką odległość między nami a stopami łańcucha gór, a przecież jest się odurzonym tą wysokością. Nie w Europie w przybliżeniu nawet nie może dać o tem pojęcia. Z ojcem Schäfferem, najprzyjemniejszym Jezuitą, jakiego spotkałem, cwałowałem w kilka godzin potem na spadzisty pagórek, na którego stoku leży katolicki kościół garnizonowy. Ze szczytu pokazał mi Schäffer oprócz głównego łańcucha gór ku północy, jeszcze inny, długi, ku wschodowi, który niestety zniknął już w chmurach. Kinchinjanga i sąsiednie szczyty wysterczały jeszcze czas pewien z dymiących się chmur, a potem spadła zasłona ponad obrazem jakby z czarownej baśni.

8 kwietnia. — Przed południem widać było jeszcze albo raczej znowu *snows* lecz już jakby za jakąś osłoną. Wysłałem kucharza i kulisów z pakunkami naprzód i o godzinie 1 $\frac{1}{2}$  po południu ruszyłem pieszo na wycieczkę do części Sikkimu, która do niedawnego czasu jeszcze była niepodległą.

Jak wschodnie miasta wznoszą się wśród ogrodów i przedmieść bez końca, które mijać trzeba często całemi godzinami, nim znużony podróżny dotrze ostatecznie do jądra miasta, tak każde azyatyckie wielkie mocarstwo w dawnych i nowszych czasach było i jest otoczone pewną ilością hołdowniczych krajów ościennych, których stosunek do centralnego państwa i nawzajem między sobą najrozmaitszym ulega zmianom, wskutek czego politycznych granic wewnątrz największego kontynentu ziemi właściwie nigdy dosłownie brać nie należy. Tak się rzecz miała z Babilonem i Assyryą, ze starszą i młodszą Persyą, z państwami Mongołów i Seldczuków, tak też jest dziś jeszcze z Turcyą a także z Chinami. W rzeczywistości nie państwo niebieskie oddzielają góry Himalaya od anglo-indyjskiego. Między oboma olbrzymimi państwami leży szereg bardzo rozległych, lecz

Wielkie państwa i ościennne kraje.

Sikkim.

na tutejszą miarę małych krajów, które nominalnie należą do Chin, w rzeczywistości jednak, co najwyżej raz na cały szereg lat płacą daninę w Pekingu, między sobą zaś znowu pozostają w stosunkach zawisłości. Oto na północ od grzbietu Himalaya leży tajemnicze państwo hieratyczne Tybet; na południe od Tybetu i przez Tybet od Chin zawisłe, w kierunku z zachodu na wschód: kraje Nepal, Sikkim i Bhotan. Te obszary na południowym stoku olbrzymiego łańcucha gór popadają naturalnym biegiem rzeczy coraz bardziej pod wpływ anglo-indyjskiego państwa, a ich władzcy boją się bardziej angielskich działań w pobliżu, niż cesarza w dalekim Pekingu. W Sikkimie, środkowym i najmniejszym z tych trzech krajów, postawiła stopę swą Anglia w czwartym dziesiątku naszego wieku, gdy *raja* Sikkimu odstąpił Darjiling wraz z małym obszarem angielskiemu rządowi na wojskową stację sanitarną. W kilkadziesiąt lat potem cały dolny Sikkim aż do rzeki Ranjit stał się angielskim, a w 1865 roku urwano z Bhotanu kawałek dla jego zaokrąglenia. Jak starorzymskie i każde wielkie państwo, tak i anglo-indyjskie rozszerzać się musi, jeśli upaść nie chce. Stosunki wzajemne ludów i państw nie podlegają prawom moralności, lecz nieugiętemu prawu natury; lepsza, sprężystsza, mocniejsza organizacja musi pochłonąć miększą, luźniejszą, jeśli chce spełnić swoje przeznaczenie.

Otóż przed kilku laty zakłócili Tybetanie stosunki między *rają* Sikkimu a rządem w Kalkucie. Anglicy wtargnęli do niezajętego dotychczas północnego obszaru, zajęli warownie, po największej części już opuszczone przez załogi, i faktycznie mają już cały Sikkim w swoim posiadaniu. *Raja* i jego doradcy nie począć nie mogą, w czemby rezydent angielski nie miał głosu i udziału. Angielskie wojska stoją w kraju, zupełnie jak w indyjskim państwie. Prawdopodobnie wszakże ten *status quo* trwać będzie tylko chwilowo, bez wojny

bowiem z Tybetem nie da się ustalić *definitivum*; główny łańcuch gór Himalaya jest silnym murem ochronnym, a wątpię, aby Anglicy mieli ochotę do wypraw wojennych, wobec których alpejskie marsze Hannibala i Napoleona byłyby tylko igraszką dziecinną, aby ostatecznie zniszczyć państwo, które tak samo ich broni przed wschodnio-azyatyckim olbrzymiem mocarstwem, jak tegoż mocarstwa przed nimi.

Słońce dobrze dopiekało, ilekroć zabłyśło z po za chmur, kiedyś szedł przez Darjiling, rozpostarte długim pasmem wzdłuż grzbietu góry. U schyłku drogi ku spadowi góry stoi mała, pobielona *dagoba*. Brudny *tama* czyli kapłan tybetański okrążał ją, wciąż to powstając, to znowu twarzą na ziemię się rzucając, i pomrukiwał przytem różaniec. Dalej wiodła droga w południowo-wschodnim kierunku stromo na dół przez jatki i bambusowe chaty z brzydkimi kobietami o pomalowanych twarzach. Wkrótce znalazłem się w lesie i ucieszyłem się, gdy mnie zygzaki drogi zawiodły w cień wielkich drzew liściastych, o pniu w rodzaju pinii, które dobrze znałem z okolicy góry Adamspik na Ceylonie. Obszerna plantacya herbaty z ponętnym *bangalo* na połowie wysokości, przeniosła mnie jeszcze bardziej w owe okolice. Dalej znów tesame drzewa, coraz gęstsze, z coraz szerszą koroną, aż wreszcie po dwu godzinach uciążliwego schodzenia na dół, ujrzałem pod sobą błękitny Ranjit, przepływający wśród skał leśną dolinę o stromych stokach. Znalazłszy się na dole u brzegu szedłem jeszcze chwilę dalej mimo kilku stacyi z końmi, aż dotarłem do zwykłego w tym kraju chwiejnego bambusowego mostu. Tu kuce czekały na mnie i na mego służącego i szybkim kłusem ruszyliśmy wzdłuż rzeki. Była już 5 godzina i musiałem się spieszyć, aby dostać się do oddalonego jeszcze noclegu; dlatego też nie przepравиłem się przez ów most na drugi brzeg, na który Hübner łodzią przewieść się kazał.

Wędrownka  
pieszo na dół  
do Ranjit.

Most bambu-  
sowy.

Warto przeczytać ten żywo i z humorem napisany rozdział w jego *Empire Britannique*. Zresztą miałem i tak wkrótce na innym punkcie wtargnąć do Sikkimu, niedostępnego jeszcze za czasów Hübnera.

Himalajskie  
kuce.

Po koniach widać dobrze, że się już nie jest w Indjach. Te mierzynki ogniste i wytrwałe, prześcigające nawet nasze małe karpackie hucułki, są głównym bogactwem okolicy, tak jak trzody w Alpach, i z łatwością nie do uwierzenia dźwigają największe ciężary pod strome góry i na dół. Ta jazda ze słońcem wieczornem za mną, zanurzonem w głębokim złotym tonie mgły, tuż popod brzeg wesołej rzeki, to znowu wysoko ponad nim, niezapomniana mi będzie na zawsze.

Rośliny.

Nigdy jeszcze tak nie ubolewałem nad moją ignorancją w botanice. Pyszne drzewa o najrozliczniejszych kształtach tworzą las, nie mający równego sobie, orchidee i inne powojowe rośliny, jedne okryte tylko wielkimi zielonymi liśćmi, drugie pięknymi białymi kwiatami, rozpinają się dokoła pni omszałych, z których wyrastają znowu małe, odrębne liściaste rośliny częścią już zaumarłe, częścią całkiem świeże, z różowym końcem liścia. Niezliczone są rodzaje paproci, z których niektóre tworzą prawdziwe drzewa, a z których Sikkim słynie zarówno jak z ptaków i motyli.

Ptaki i motyle.

Obfitość ptactwa wprawiła mnie na brzegach Ranjitu w zdumienie; widziałem bażanty, barwne jak rajskie ptaki, wielkie niebiesko upierzone i całkiem małe ptaki w rodzaju kolibrów, których świergotanie mięszało się z ćwierkaniem świerszczów. Motyle jeszcze liczniejsze i większe niż na Ceylonie, ale i tu jak tam najpiękniejszym gatunkiem jest potężny czarny motyl z żółtymi paskami na tylnych skrzydłach. Półtorej godziny jechałem przez ten gaj zaczarowany, następnie przybyłem do prostokątnego spływu Ranjitu z Tistą.

Tista.

Ranjit z zachodu na wschód, Tista płynie z prądem z północy ku południowi, jest główną rzeką Sikkimu i wpada na granicy

Assamu i Kuch-Beharu do Bramaputry, trzeciej wielkiej rzeki himalajskiej, która wytryska niedaleko od źródeł Indusu i w przeciwnym mu kierunku opływa główny łańcuch Himálaya, aby wreszcie tuż przed jego ujściem fale swe zmieszać z falami Gangesu. Idąc za biegiem Tisty skręca się teraz droga na południe. Zwolna zapadła noc; przejechałem most na górskim potoku, płynącym równolegle z Ranjitem i około 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wieczorem stanąłem w rodzaju bazaru; dwa rzędy chat przy drodze, podemną na brzegu rzeki także chaty, z których załatywała mnie muzyka. Jeszcze krótki cwał i zatrzymałem się przed gościnnym *dak-bangalo*, gdzie zastałem przygotowane jedzenie i nocleg, obok śmiałego łańcuchowego mostu na Tista, który Anglicy dopiero co byli skończyli.

Most na rzece  
Tista.

*9 kwietnia.* — Znajduję się tu 5000 stóp poniżej Darjiling, a liczne owady, które mnie zmusiły spać pod siatką moskitową, dały mi to uczuć dotkliwie. Teraz trzeba znowu na drugim brzegu wspiąć się na stromą górę. Widok z mostu w górę i w dół rzeki zarówno jest piękny. Gdym się dostał na drugą stronę, poniósł mnie mój dzielny kuc rączo pod górę po nagłych zakrętach. Gdzie spojrzę, znaczne lasami okryte góry; nieco na ukos w północnym kierunku, wysoko ponad mostem soczysta, zielona łąka, mająca podobieństwo z szwajcarską Rütli. Cieniowanie lasów dzięki tonowi drzew, z których jedne białawo-zielone, inne od słońca brunatne i zeschłe, jest tak urozmaicone jak u nas w październiku; przychodzą mi na myśl moje konne przejażdżki przez czerwone i złoto-żółte lasy bukowe, i uczuwam na chwilę coś jakby tęsknotę za krajem. Zakręty drogi stają się większe, prawie równo jadę bądź w jednym, bądź w drugim kierunku wzdłuż góry. Już mnie las nie otacza, słońce palić zaczyna. Spoglądam teraz prawie prostopadle na dół na zlew obu strumieni wód; nie wiedzieć, która z tych dolin

Cieniowanie  
lasów.

riecznych jest wspanialszą. Powyżej tego miejsca skręcam dokoła szczytu góry i wkrótce spostrzegam przed sobą na grzbiecieniu, wiodącym do drugiej góry, bambusowe chaty i białe domy. Jestto miejscowość Kalimpong.

Krótki odpoczynek na strażnicy policyjnej i dalej przez bazar miejscowy; potem znowu w północno-wschodnim kierunku wzdłuż drugiego stoku góry, z widokiem na rzekę Rilli, która ze wschodu dopływa do Tisty. Częścią równiną, częścią słabo pod górę wiedzie teraz droga, najczęściej bez cienia, godzinami wysoko ponad doliną, która mniej wąska od poprzednio widzianych, mniej też jest malownicza. Ludzie atoli i dzieła

Ludzkie typy.

zbywa. Oprócz Lepchów o mongolskim typie, z krępa budową ciała i szczególnie silnemi łydkami, ludzie z Tybetu, niektórzy z warkoczem, w zupełnie już chińskim stroju, z parasolami, które malowane są pstro w ptaki i kwiaty, a które na znak uszanowania zamykają przed Europejczykiem. Z jadących na koniu zsiada wielu, aby mi się uklonili, zupełnie jak galicyjscy chłopci. Widać, że Anglicy umieli gruntownie wpoić żółtej rasie uszanowanie dla białej. Dalej nisey, krępi, nie po mongolsku wyglądający Gurkhowie z Nepalu, o energicznem wejrzeniu, ulubiony przez rząd brytyjski materiał na żołnierzy; dalej znów inni, słusznicy, smukli ludzie, jasno brunatni,

z orlimi nosami, odmienni od wszystkich ras, jakie w Indjach widziałem, a o których mi nikt nie mógł dać wyjaśnienia. Wielkie i małe chaty bambu-



Bambusowe chaty.

sowe, słomą kryte, z otworem u obu końców dachu dla wypuszczania dymu, z małemi werandami i małymi zewnętrznymi schodami; to już Chiny, jak je sobie przedstawiałem. Dokoła wielu domów, zarówno czy to są świą-



tynie, (bo te zewnętrznie od domów mieszkalnych się nie różnią), czy też nie, stoją wysokie bambusowe tyki z białymi lub też różnobarwnymi, w podłuż przytwierdzone mi chorągwiemi, na których w tybetańskim języku wydrukowane są modlitwy, a wiatr poruszając tyki, zastępuje maszynkę do modłów i rozpędza w ten sposób złe duchy. Podobne chorągwie otaczają świątynie pod Darjiling, atoli o ich znaczeniu dowiedziałem się dopiero teraz. Przy drodze stoją też małe, licho z kamienia wymurowane budynki, jakby kominy ze sobą połączone, a w nich w połowie wysokości wmurowane albo też w niszach kamienie z napisami, zawierające teżsame modlitwy. Taki mały budynek zowie się w języku wschodnio-tybetańskim *dobon*, a wierni buddhyści okrążają go wśród modłów, rzucając się na ziemię i znowu powstając, jak to ów *lama* wczorajszy czynił dokoła *dagoby*, przyczem niektóre sekty krążą z prawej strony w lewą, inne w przeciwnym kierunku.

Chorągwie  
z modlitwa-  
mi.

Dobony.

W dwie godziny po wyjeździe z Kalimpong przejeżdżam przez nowo założony bazar, a wkrótce otacza mnie wysokopienny las. Chwilę pod górę, a następnie widok na nowy świat; znajduję się na szczycie przełęczy. Daleka dolina, wyższe góry, wspanialsze kształty, niestety widok uszczupla mgła, jak zawsze lub też prawie zawsze w tej porze roku. Dalej przez las na dół; znowu chorągwiemi otoczone domy, potem bazar, wysokie silne postaci żołnierzy z dobrodusznym wyrazem twarzy; jest to wyborowy pułk, pochodzący z Panjabu, stojący tu załogą; jestem w Pedong.

Jeden z oficerów wskazuje mi jednopiętrowy, biało otynkowany dom francuskiego misjonarza, ojca Desgodins, do którego mam list polecający. Dwaj młodzi kapłani przywołują ojca, który wita mnie w fartuchu skórzanym, trzymając pędzel do pokostowania w brudnych rękach. Pokostował właśnie klatkę schodową. Zaprowadził mnie do oficyny za głównym budynkiem, (a sam

Domostwo  
misyonarza.

był obydwóch tych budynków architektem, murarzem i cieślą); byłato nędzna baraka z bambusu i złej gliny, z chwiejącymi się schodami zewnętrznymi, zbyt wąskimi i niskimi drzwiami; w środku jednego pokoju był kwadrat z ziemią jako ognisko. Wskazał na żelazne łóżko i prosił, żebym się u niego rozgościł. Wszystko to czynił z godnością i wdziękiem, jak gdyby był angielskim księciem, który mi oddaje najpiękniejsze mieszkanie gościnne w swoim zamku.

Gdy się zakonnik oddalił, ażeby się przebrać, zwiędziłem główny budynek i jego otoczenie. Widok jest daleki. I ta lesista góra spada stromo; i tu też płynie dołem wesoła rzeka, Rushet, wpadająca do Ringpo, dopływu Tisty. Pedong należy do angielskiego Bhotanu, zajętego w r. 1865; poza rzeką Rushet leży niepodległy dotychczas Sikkim. Góra naprzeciwko leżąca nazywa się Rhenok albo Rhena, a poniżej szczytu z małym, chorągwiami otoczonym klasztorem buddhystów, widzę mniej więcej na wysokości mego stanowiska białe namioty rozległego angielskiego obozu. Na tylnym planie w wielkiem półkolu wysokie góry; śnieżne szczyty po za niemi zakrywa mgła niestety. Przed domem miły ogródek z najpiękniejszymi różami. Dom składa się z kilku małych pokojków w parterze i na piętrze, jeden z nich służy za kaplicę. Oglądam oleodruki na ścianach: mocno wykoślawiony biedny Archanioł Michał, wyrodny potomek Rafałowskiiego niebieskiego szermierza z Luwru, nowoczesna święta Anna, ucząca małą Matkę Boską z hiszpańskim, francuskim i angielskim napisem, zapewne dla amerykańskich misyi przeznaczona, śmierć grzesznika i sprawiedliwego przypominające Giotta, i dwa obrazy, jakie się fabrykują osobno dla Chin, kościół cierpiący, wojujący i tryumfujący z Chińczykami w czyśćcu, z Chińczykami w niebie, z Chińczykami dokoła papieża i kardynałów, i drugi obraz, kary piekielne, bardzo drastyczny, na którym znowu ludzie z warkoczami o żółtych

twarzach smażą się w płomieniach lub wiją się pod ukąszeniem okropnych czerwonych węzów.

Wkrótce nadszedł O. Desgodins z umytemi rękami i w czarnej sutannie, i powitał mnie ponownie. Dopiero teraz przypatrzyłem mu się dobrze. Jest to mężczyzna sześćdziesięciu kilku lat, z rozzumnymi oczyma za okularami, i wielkim orlim nosem. Całe jego zachowanie się zwiastuje dobroć i energię. Siedliśmy na chwiejącym się balkonie, i opowiadał mi mile i zajmująco o swoim nauczycielu i towarzyszu, śmiałym misyonarzu Lerou, który przebrany za chińskiego kupca na tybetańskiej granicy nauczył się od pewnego *lamy* tybetańskiego języka i nocą, gdy tenże spał, chińskie swoje notatki na francuskie tłómaczył, o swem własnem życiu w ciągu 30 lat w Chinach i Tybecie, jak w tym ostatnim kraju już wielu nawrócił, ale patrzeć musiał następnie na zniweczenie swego apostolskiego dzieła; opowiadał o buddhystycznych klasztorach w Tybecie, o Lhassie, stolicy, na niedostępnej zimnej wyżynie, o tamtejszej religii i stroju państwowym. Wskutek ostatnich zawichrzeń, wzniesionych przez *lamów*, wypędzony z kraju, schronił się tu pod angielską opiekę, i zajmuje się wraz z trzema swymi młodymi towarzyszami duszpasterstwem licznych irlandzkich wojsk, stojących obecnie załogą w Sikkimie. Nikogo tu jeszcze nie nawrócił; nie wierzy też, żeby mu się to tak prędko udało, gdyż Lepchowic zdają się mu być więcej zwierzętami niż ludźmi, bez poczucia jakiegokolwiek religii. Zapadła noc, a ponieważ moje pakunki ciągle jeszcze nie nadchodziły, zaprosił mnie O. Desgodins, abym podzielił z nim wieczerzę. Zasiadłem z nim i z oboma młodszyimi misyonarzami do stołu; usługiwali nam dwaj obdarcy ośmioletni chłopcy, Lepchowic. Potrawy były tak mało pojętne, że mogłem spożyć tylko trochę chleba i sałaty, którą sam gospodarz przyrządził. O. Desgodins udawał, jakoby nie uważał, że nic nie jadłem, a ja byłem zdu-

Ojciec Desgodins.

miony jego manierami. Rzymski kardynał przy suto zastawionym stole z pudrowaną służbą za krzesłami, nie mógłby mi być inaczej robić honorów domu. Ojciec Desgodins jest Lotaryńczykiem z okolicy Verdun, a żądza apostolskich trudów i zwiedzenia świata wygnała go w młodym wieku z Europy. Napisał kilka dzieł, jedno o Tybecie; jest oficerem paryskiej akademii i pracuje od szeregu lat nieznużenie nad tybetańskim słownikiem, którego dokończenia wszakże dożyć prawie się nie spodziewa.

Jazda  
wierzchem na  
Rhenok.

10 kwietnia. — Słońce już wysoko było na niebie, a obok mego łóżka stał młody, elegancki turysta, pytając kiedy w drogę ruszymy. Przetarłem oczy i poznałem ojca Saleur, jednego z misjonarzy, który mi chciał służyć za przewodnika w wycieczce konnej na drugą stronę do angielskiego obozu, na Rhenok, a który w szarym podróżnym stroju wyglądał niemal jak *dandy*. Wkrótce byliśmy w drodze na naszych kucach, a ja rozkoszowałem się znowu wspaniałemi drzewami i paprociami. Po dwóch godzinach stanęliśmy na dole, nad rzeką, przez którą prowadzi nowy dobry most drewniany. Okolica w głównych zarysach podobna do okolicy nad Ranjitem. W spadzistych zygzakach wiedzie po drugiej stronie droga w górę, przez miejscowość z barwistemi chorągwiemi modlitewnemi, tak samo jak góra, Rhenok nazwaną, i wkrótce stajemy w angielskim obozie, Hari.

Angielski  
obóz.

Wzorowy porządek, najpiękniejsze muły, jakie kiedykolwiek widziałem, z nich wiele włoskich, do przewozu pakunków. Także małe armstrongi z niebieskiej stali dźwigają muły na swych grzbietach po górach, jeden muł niesie lufę, inne po jednym kole. Dobroduszni olbrzymi z Panjabu i mali, o junaekich minach Gurkhowie stoją na straży albo też spoczywają leżąc przed namiotami. Pozdrawiamy jednego z misjonarzy, który już przedwczoraj opuścił był Pedong; udaje się on

o trzy dni drogi dalej, do Natong, gdzie stoi irlandzki batalion. Przyłączają się do nas dwaj pocztowi urzędnicy, ubrani jak oficerowie w białych płóciennych hełmach i takichże ubraniach o barwie kurzu, zwanych *kakhi* i wyruszamy na szczyt góry do małego klasztoru buddhystów. Po drodze silne garbate byki pasą się na bujnej łące. Z góry ciekawy widok dookoła; wprawdzie olbrzymie górskie są i dziś zasłonięte, lecz jedną przecieź śniegiem okrytą górę spostrzegamy na północnym wschodzie, jest to Lingtu, na pograniczu Sikkimu a Bhotanu. Wzniesli tam na niej Tybetanie warownię, którą uważali za niezdobytą; atoli widok następujących mimo to Anglików w takie ich wprowadził zdumienie, że załoga drapnęła, a zdobywcy wzięli tylko w niewolę dwóch pozostałych żołnierzy. Działo się to przed rokiem, w marcu 1888.

Lingtu.

Mały klasztor, rozumie się, był opuszczony. Budowa z drzewa, dwie izby, w wewnętrznej pstro pomalowana drewniana szafa z niszami. Kilka posągów Buddy i bożków, gdyż buddyzm pomieszany tu z licznymi obcymi żywiołami, pochodzącymi z Indyi i Chin, czajnik, łyżka i t. d. Wzięliśmy nieco z tego jako łup, a nadto kilka chorągwi modlitewnych, które mnie najbardziej cieszą, gdyż trudno ich tu dostać inaczej.

Buddhystyczny klasztor.

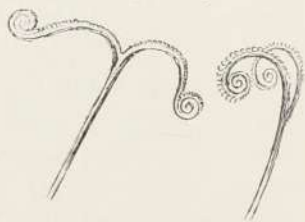
W powrocie do Pedong, w drodze pod górę przez las, na tarasie bambusowej chaty stoi czerwono udrapowana prządka — gotowy obraz. W pobliżu domu misyjnego przy drodze małe gałęzie drzew, w których porobiono zacięcia, aby tym sposobem wytworzyć dziwaczne formy roślinne. Wyglądają one jak końce białych piór pawich, a z wyjątkiem małego ziarna przezroczyste są jak cienka bibułka. Jest to nasienie drzewa Wenery, co kwitnie czerwono, a jako owoc wydaje rodzaj olbrzymiego strączka, który zawiera nadzwyczajną ilość tych szczególnych ziarenek nasiennych. Być może, że to wtykanie gałęzi ma jakiś cel religijny. Szczegół-

Gałęzie z nasieniem drzewa Wenery.

nym trafem nazywa się drzewo Wenery także po tybetańsku: drzewem bogini miłości, Passang-Ching. *Passang* oznacza nietylko boginię miłości, lecz także *dies Veneris*, piątek.

*11 kwietnia.* — O 7 $\frac{1}{2}$  rano pożegnałem się z pięknie położonym, chwiejącym się domem misyjnym, lecz nie z jego budowniczym, gdyż ojciec Desgodins nie odmówił sobie tego, aby nie dobyć swego podróżnego kostyumu i nie odprowadzić mnie na jedynym koniu missyi kawałek drogi. Kucharz i tragarze pakunków wysłani zostali wprost do *bangalo* przy moście na Tista, my zaś w towarzystwie mego służącego i ludzi stajennych wstąpiliśmy, zwróciwszy się ku zachodowi, na drogę przez lesistą wyżynę. Zrazu jechaliśmy stromo pod górę i spoglądali na dół na ruch w obozie z barakami i domkami drewnianymi, z których środka wznosi się poważnie nieznanego mi gatunku cyprys o szerokich gałęziach. Mijaliśmy koszary z mułami, lecz były one bez porównania mniej piękne niż w obozie, który wczoraj zwiedziłem. Wkrótce otoczył nas wspaniały las, złożony znowu z owych drzew liściastych o pniu pinio-watym, oplątanych orchideami i innymi pnąciami się

Paprocie.



roślinami; wśród nich na ziemi rozmaite paprocie, z których wiele przed zupełnym rozwojem przybiera postać wschodniego berła. Ćwierkanie świerszczy i poczwórne w tych górach wołanie

kukulki wypełniało powietrze. Po ostrej jeździe przez pewien czas pod górę wjechaliśmy na wiele łagodniejszą drogę na grzbiecie górskim, z obu stron stromo spadzistym. Przez drzewa widok na doliny i na wyższe góry lesiste. Szczyty śnieżne mgłą okrywa znowu. W październiku i listopadzie ma być tu, jak i w Darjiling, atmosfera najczystsza.

O godzinie 9 stanęliśmy na szczycie; stał tu niegdyś klasztor *lamów*, największy wszerz i wzdłuż. W roku 1865, gdy Anglicy wkroczyli do Bhotanu, ażeby weielić południowo-zachodnie jego krańce do swego państwa, przemieniono klasztor w warownię, której kapłani i ich zastęp bronili bohatersko. Nikt się nie poddał, wszystkich obrońców w pień wycięto, a budynek zrównano z ziemią. Góra zwie się Domson, a od niej też miał klasztor swoją nazwę. Ostał się jedynie *dobon* czyli mur z płytami napisowymi w rodzaju tych, o których nieco wyżej wspomniałem; *dobon* ten jest większy od tych, jakie widziałem dotychczas. Trzy «kolumny» wysokości człowieka wysterczają z ziemi, połączone nieco niższymi murami; w trzech «wieżach» po wszystkich wolnych stronach nisze z kamieniami napisowymi, na murach do trzech czwartych wysokości człowieka, dwa szeregi takichże kamieni, jeden nad drugim.

Ojciec Desgodins twierdzi, że kamienie napisowe zawierają z a w s z e, zaś chorągwie dokoła domów i świątyń najczęściej tęsamą modlitwę, złożoną z sześciu zgłosek albo słów. Również na różańcach, jakoteż na małych i wielkich młynkach modlitewnych, głównie ten sam szereg zgłosek bywa odmawiany. Nikt prawie nie zna rzeczywistego znaczenia tych zgłosek, a chłopcy mawiają, że kapłani polecają im powtarzanie ich, że więc muszą one posiadać szczególną siłę. Większa część samychże *lamów* nie więcej o tem powiedzieć nie umie; prawdopodobnie każda zgłoska oznacza tybetańskim abecadłem początek wersetu albo inwokacyi z sanskrytu. Najwiarogodniejszym z rozlicznych wyjaśnień jest to, że owych sześć zgłosek oznacza sześć stopni wędrówki dusz: 1. czyste duchy, geniusze, aniołowie; 2. takie, które są bliskie tego, aby zostać nimi; 3. ludzie; 4. zwierzęta; 5. potwór, symbol nędzy, z olbrzymim pyskiem i olbrzymim brzuchem, cieniutką szyją, wiecznie

Domson.

Mur z kamieniami o napisach.

Modlitwy na kamieniach.

głodny, nie przelknąć nie mogący; 6. piekło. Trzy pierwsze stopnie uważane bywają za szczęśliwe, trzy drugie za nieszczęśliwe. W obrębie tych stopni znowu podziały. I tak w stopniu »człowiek«, lepiej jest odrodzić się mężczyzną, niż kobietą, bogatym niż ubogim i t. d. Piekło ma aż 18 rozmaitych odmian, z tych dziewięć gorących, dziewięć zimnych. Dla wyznawcy tybetańskiego buddyzmu, któryby n. p. w maju kilka dni bawić musiał w Kalkucie, powinno być — jak sądzę — największą pokusą, dopuścić się jakiegś niegodziwości, za którąby się dostał do najzimniejszego z zimnych piekieł.

Największa część kamieni *dobonu* na Domsonie ma takie napisy zawsze jednakowe, wyryte w nieprzerwanym ciągu w kilku wierszach, na niektórych zaś jedna zgłoska leży po środku, a reszta zgłosek obiega ją w półkolu i ma między sobą ornamenta, tak, iż napis podobny jest do gwiazdy. Najbardziej jednak ucieszyłem się znalazłszy w niszach środkowego »komina« kamienie z *dagobą* (po tybetańsku *czutyn*) w płaskorzeźbie. Wyjęliśmy jeden kamień rzeźbiony, a jeden z zupełnym sześciozgłoskowym napisem i chcieliśmy je oddać do niesienia poganiaczom koni. Jakkolwiek wszakże kamienie te są tylko rodzajem łupku, a więc weale nie ciężkie, i jakkolwiek poganiacze nie byli buddhystami, którymby religijne skrupuły służyć mogły za usprawiedliwienie, wzbranił się stanowczo ci »najdumniejszy z Hiszpanów« nieść kamienie: »My jesteśmy poganiaczami, a nie tragarzami« brzmiała kategoryczna odmowa, której najświetniejszymi obietnicami datków cofnąć nie było można. Przyniosło mi to wprawdzie wiadomości o ważnej różnicy rang między tymi hidalgami o ukośnych oczach, lecz wiedzę tę musiałem okupić drogo, gdyż nie pozostawało mi nic innego, jak włożyć jeden kamień memu wiernemu Mahadöh na konia, drugi zaś samemu wziąć przed siebie na siodło i tak zjeżdżać dość stromą ścieżką

Poczucie godności stanu u chłopców stajennych.



leśną na dół. Po godzinie skręciliśmy na główną drogę, wiodącą do mostu na rzece Tista i tu słowami: »Do widzenia«, które, jak się tego obawiam, nigdy się nie sprawdzają, pożegnałem się z moim uczonym przewodnikiem i gospodarzem.

Spotkaliśmy wkrótce kulisów, których objuczyliśmy kamieniami, i ostrym kłusem, wyprzedziwszy innych, popędziłem do Kalimpong. Po drodze znowu wszystkie możliwe typy ludzi, także i Lepchowie, którzy za pomocą pasa dźwigali na głowie olbrzymie belki, bądźto zwieszając je wolno na poprzek drogi w całej ich długości, bądźto włócząc jedną, a nawet dwie po ziemi za sobą. Niedaleko od miejsca, skąd się ojciec wrócił, dopędziłem tragarzy z mymi pakunkami; wśród śmiechów szczerząc do siebie zęby — wesołość bowiem odróżnia korzystnie tych Mongołów od Hindusów, zawsze jakby przygnębionych — leżeli oni w cieniu drzewa, z moimi węzełkami i koszami dokoła, a gdy ich nawoływałem do pochodu, śmiejąc się wskazywali na słońce, usprawiedliwiając odpoczynek jego skwarnymi promieniami. W dość znacznem zaś oddaleniu, trzymając konia, siedział pod innem drzewem mój długi kucharz z Kashmiru. Po przygodzie z poganiaczami nie dziwiłem się temu odstępowi, którym uczeń Vateła zaznaczył wobec tragarzy wyższe swoje społeczne stanowisko. Jakżeżby kucharz mógł razem z kulisami odpoczywać pod temsamem drzewem! Gdybym był mógł wskrzesić Jana Jakóba Rousseau i pokazać mu te dzieci natury, musiałby mi może przyznać, że jego sławna sentencya właśnie na odwrót jest prawdziwa, i że chyba opiewać powinna, iż nierówność jest dziełem przyrody, równość dziełem społeczeństwa.

O 11<sup>1</sup>/<sub>2</sub> ukazało się zdala Kalimpong na horyzoncie; chodziło mi o to, ażeby przedtem, nim go osiągnę, odszukać na lewo od drogi klasztor *lamów*, o którym mi opowiadali misjonarze. Gdy się zbliżyłem do

Kucharz i kulisi.

Klasztor Lamów pod Kalimpong.

dwóch domów, otoczonych białymi chorągwiemi modlitewnymi, ale nie różniących się niczem od zwykłych pomieszczeń chłopskich, jakiś mały, chytrze spoglądający, okrągły Mongoł chciał mnie odprawić od trzeciego domu. Objechałem jednak i ten dom dokoła i odkryłem pstro pomalowaną, drewnianą wystawkę. Teraz wiedziałem, że jestem u celu, a kilkakrotnem powtórzeniem czarodziejskiej formułki »bakszysz«, zniewoliłem czcigodnego następcę Buddy do pokazania mi wnętrza.

Jak większa część budynków w tym kraju, tak i ten stoi wolno w powietrzu na belkach; dołem ugania się drób rozmaitego rodzaju. Chwiejącymi się schodami drewnianymi dostałem się najpierw do obszernego pokoju, na którego głównej ścianie paradują cztery obrazy, z wizerunkiem fantastycznych, z chińska wyglądających bóstw, jedno o białej, drugie o żółtej, trzecie o niebieskiej, czwarte o czerwonej barwie ciała, wszystkie bogato odziane, z długimi, szponowatymi paznokciami u palców. Wąskie drzwi wiodą do głównego pokoju, który, tak jak przedpokój, jest dość niski. Wchodzi się wprost obok tylnej ściany, której całą długość zajmują trzy czerwono i niebiesko pomalowane szafy, opatrzone w nisze, a podobne do tych, które na Rhenoku widziałem. W niszach małe posążki Buddy, a także Sivy i inne wieloręczne bożki z mosiądzu, w środkowym wnętrzu wielki Buddha, z połączoną głową, zupełnie zachodniego typu i z olbrzymią aureolą, dokoła mniejsze stojące i siedzące bóstwa i *lamowie*; przed tem wszystkim na długim stole kwiaty z pstro pomalowanego masła, rozmaitego rodzaju dzwonki i rozliczne cudzoziemskie wyroby z metalu. Naprzeciw »ołtarza« różnobarwna wystawka, przez którą światło wpada. Całą resztę miejsca po lewej i prawej stronie od okna z wystawką, tak jak i obie boczne ściany, pokrywa ośm czy dziesięć namalowanych postaci siedzących, naturalnej wielkości, o chińskim zakroju. Po największej

części są to weielenia Buddy, ale prócz tego są między nimi i szpetne bóstwa, z obrzydliwymi szczękami i wstrętnymi oczyma, a dokoła wielkich figur ugrupowane o wiele mniejsze siedzące i stojące. Dwa na czerwono pomalowane konie wspierają pułap, do nich przytwierdzone są maski poczwar, jakie kapłani noszą w czasie uroczystości, gdy się jako bóstwa okazują. Między niszami na szafach, na wystawce, na słupach, wiszą małe, po części wybornie malowane obrazy, podobne do chorałwi, obwiedzione szerokim obramowaniem z jedwabiu. Między nimi szczególnie piękny Buddha czwororęczny, siedzący na bledo czerwonym kwiecie lotosu, dwie ręce ma złożone, w trzeciej trzyma kwiat, w czwartej różaniec, całkiem chiński w pozie swej i sposobie malowania. Zupełnie podobnego spotykamy na ścianie w wielkim formacie. Dwie ławki drewniane i *tamtam* stoją przy słupach.

Przypomniły mi się groty w Ajancie i ich szlachetnie poważne, artystyczne ozdoby, które były wyrazem czystego buddyzmu. To, co mnie tu otaczało, świadczyło tylko, co się stało z tej religii po tysiącletnim upadku i »przetłumaczeniu jej na mongolizm«. Religie przeobrażają ludy, ale odwrotnie i ludy przeobrażają religie. Mongolizm z jednej z najszlachetniejszych religii, z religii społecznia, niczego nie umiał przywłaszczyć sobie wewnątrznie — skamieniała wśród niego, a obraz jej wykoławił się potwornie.

Przybywszy do Kalimpong śniadałem u pewnego inżyniera, z którym się spotkałem w czasie jazdy do Pedong, tu bowiem jak na dalekim zachodzie Ameryki, szybko zbliżają się do siebie ludzie. Mój gospodarz mieszka z żoną i dziećmi przy gościńcu, w obszernej chacie bambusowej o kilku pokojach, z dalekim widokiem na lesiste góry i na dolinę Rilli. Przegadałem miłe godzinę całą z tem małżeństwem. Kobiety jak ta, która naprzeciw mnie siedziała, miłe, roztropne, sprytne, wykształ-

Upadek  
buddyzmu.

Europejska  
rodzina  
w bambusowej  
chacie.

cone, które towarzyszą mężom swoim na odległe forpoczty cywilizacyi, narażają się z nimi na niedostatek i choroby, stwarzają im ognisko domowe i tym sposobem krzepią w nich otuchę i wytrwałość — z pewnością najczęściej spotyka się między Angielkami.

Bambusowa trzcina, bambusowe drzewo jest wszystkim dla człowieka w tych górskich dolinach. Mieszkania jego są z bambusu, wydrążona trzcina bambusowa służy za naczynie do przechowywania wody i mleka, gałązki bambusu są prawie wyłącznym pożywieniem małych, wytrwałych górskich mierzynków. W dalszej drodze na dół ku rzece Tista dopędziłem długie szeregi tych koni, które nosiły bagaże angielskich wojsk do niezależnego Sikkimu, widziałem je też po trzydzieści i czterdzieści w ogrodzeniach na górach, tak jak się w Abruzzach spotyka owce. Z roślin, których nie notowałem sobie w drodze pod górę, zauważyłem kwiat z rodzaju datury w pobliżu chat, i akację większą i z większymi liśćmi, niż u nas, z kwiatem także większym lecz tejsamej woni. W oddali spadła burza i było dość chłodno, gdy o godzinie 5 po południu przybyłem do *bangalo* obok mostu łańcuchowego. Wieczorem piękne światło miesięczne, którem się z mostu napawałem.

12 kwietnia. — O godzinie 7 rano wyjazd do Darjiling. Na stromym stoku góry na lewo od gościńca zauważyłem nędzną chatę ze zrujnowanym dachem, z chwiejącą się drabiną zamiast schodów zewnętrznych, ze słabymi pniami bambusowymi podpierającymi belki, ale coś nakształt balkonu z trzciny miało tablicę z napisem *Post-office*, na drzewie zaś, do którego chata przypierała, wisiała druga tablica, widocznie wykaz godzin odjazdu poczty. Wróciłem się kawałek drogą, którą przed czterema dniami przybyłem, a za mostem na małym dopływie, daleko od Ranjitu, zawróciłem na zachód i wstąpiłem na nową, stromo pod górę wiodącą

Prymitywny  
urząd pocztowy.

drogę. Przepyszny las, a po półgodzinnej drodze widok na spływające się dwie rzeki, w pobliżu *dak-bangalo*, gdziebym był mógł przepędzić ostatnią noc gdybym był wiedział o jego istnieniu. Po dalszej godzinie pozostawiłem las za sobą i przybyłem do sławnej plantacyi herbaty Mr. Munroe. Dom jego, cały z bambusu, położony przyjemnie pod drzewami szpilkowemi; nieco dalej blisko drogi wspaniałe cyprysy, bujnie splecione małemi dzikimi ale pełnemi różami, jakie tylko w Sikkimie spotykałem. Posiadłość Mr. Munroe i cała okolica nazywa się Peshok. Jedziemy dalej zakrętem w górę, drogą bez cienia, z widokiem na dolinę Tisty, potem wkrótce równą już drogą, z widokiem na głęboko pod nami płynący wartki Banjit. Potem znowu las z drzewami paprociowemi, wołaniem kukułek i dziwnem różnobarwnem ptastwem.

Plantacya  
herbaty Mr.  
Munroe.

O godzinie 11 zobaczyłem naprzeciw siebie w od dali Darjiling na stromym grzebieniu górskim, od którego dzieliła mnie głęboka dolina. Musiałem ją objechać górą, zwracając się najpierw na południe, dalej na zachód, wreszcie na północ, jadąc wśród drzew, okrytych białemi orchideami, z widokiem na nowe doliny aż do tej, ponad którą idzie kolej. Nareszcie o 2giej godzinie bazar, pełen wschodnio-azyatyckich postaci, dalej Mount Vernon z katolickim kościołem, skąd niedawno tak dobrze widzieć mogłem śnieżne góry, w końcu mój hotel. Za ledwie przyjechałem, spadł silny grad, który dobrze ochłodził powietrze. Czytając przy kominku oczekiwałem moich pakunków.

12—16 kwietnia. *Darjiling*. — Darjiling był bardziej niż kiedykolwiek siedziba »chmur«. Chmury ciągnęły we wszystkich kierunkach wiatru, nawet pionowo z głębi dolin pięły się ku mnie. To mgła, że na trzy kroki nie widać przed sobą, to strumienie deszczu, tak iż myślałem, że jestem w Ischl, a zawsze zimno jak w listopadzie. Kto chce się nabawić *spleenu*, niech

Dżdżyste dni  
w Darjiling.

w czasie takiego powietrza tydzień zabawi w Darjiling. A tego rodzaju dni ma być w ciągu lata bardzo wiele, dopiero z końcem września nastaje stalsza pogoda i góry śnieżne są wówczas prawie zawsze widoczne. Jak nie pojmuję pasy urządzania sobie w sierpniu sztucznej zimy w St. Moritz albo w Pontresina, tak też odstęp między klimatem bengalskiej równiny a temperaturą tego na 7.000 stóp wzniesionego górskiego gniazda wydaje mi się rażący. Dla chorych, jako ostateczny środek możnaby jeszcze uznać taką zmianę powietrza za korzystną, ale i w takim razie unormować należy dobrze przejście z jednej ostateczności w drugą, i posuwać się stacyami w górę lub na dół. Zdrowi wszakże, którzy chcą zdrowymi pozostać, uczyniliby stanowczo lepiej, uciekając ze skwarnej Kalkuty, aby kilka dni przepędzić w mniej rozrzedzonym powietrzu, w okolicach, w których niema obawy spotkania się z temperaturą szkockich gór.

Wśród takiego stanu rzeczy nie można było niestety myśleć o nowych wycieczkach. Najdalsza moja konna jazda z ojcem Schäfferem sięgała do miejsca na północnym krańcu grzebienia górskiego, gdzie się ma wznosić przyszły wielki wychowawczy zakład Jezuitów. W czasie pogody najpiękniejszy to punkt okolicy, wprost naprzeciw góry Kinchinjanga. Rząd oddał grunt ojcom bezpłatnie, w słusznem uznaniu, że tu na placówkach chińskiego świata każda chrześcijańska misja służy interesom Anglii. Teraz wyrównywa się grunt pod potężne budynki, pod ogrody i miejsca do zabawy. Dwa razy tyle wychowanków, ile ich jest obecnie w prowizorycznym domu, znajdzie tu pomieszczenie. Rzecz charakterystyczna, że Jezuici wychowują tu wielu angikańskich i protestanckich chłopców, i że rodzice chętnie powierzają ich Ojeom.

Budowa kolegium Jezuitów.

Konsul Heilgers.

Poznałem teraz bliżej austriackiego konsula Heilgersa, który przybył tu teraz z Kalkuty. Syn naturali-

zwanego w Anglii Nadreńczyka, który w Indjach zdobył sobie olbrzymi majątek, p. Heilgers ma posiadłości w Australii i Nowej Zelandyi,miny srebra i złota w południowej Ameryce, dom pod Londynem, interesa po całym świecie. Mówi o podróżach do Chin albo Sidney, jak my w Europie o podróży do Hamburga albo Neapolu. Uroczą jego żona pochodzi z francuskiej zanglizowanej rodziny a urodziła się, jak mi się zdaje, w Shanghai. Główną moją rozrywką podczas tych dni było kupowanie osobliwości z Tybetu, Sikkimu, Nepalu i pospolitych ozdób z turkusami, jakie tu kobiety noszą. Inne rodzaje kosztowności, jak n. p. złote, masywne, delikatnie obrobione sztuki, które kobiety wieszają sobie na szyi, z powodu nieprzystępnych cen nie były do kupienia. Rysowałem w bazarze jakąś brzydką, starą babę z całą rupieciarnią dokoła szyi, na uszach, rękach i nogach, kiedy nadszedł pijany jej mąż i kazał jej natychmiast ruszać do domu. Żona nic sobie z tego nie robiła, oczekując datku. Mąż był naprawdę zazdrosny, i rzucał się i pewnie mi nagadał najgrubszych zelżywości. Że ich jednak nie rozumiałem, rysowałem spokojnie dalej, aż miałem na papierze to, czego chciałem. Była to scena, zupełnie jak z komedyi Goldoniego. Blisko bazaru, poniżej will i hotelu, leży mała świątynia Hindusów, budynek religijny tutaj obcy, poświęcony zarówno Vishnu i Sivi, których świątynie ścianą oddzielone są od siebie.

A teraz trzeba było pożegnać się i z tym krajem kresowym. Kresowe kraje są jakby wysokie góry, z których roztacza się daleki widok na nowe okolice. Z wąwozu Kháibar mogło oko duchowe pobiedz na zachód aż do Kaspijskiego morza, bo okolica Pesháwaru ma więcej podobieństwa z środkową Azyą niż z Indjami. W Sikkim poczyna się cały ów świat, który sięga od Himálaji aż do Sybiru i Spokojnego oceanu. Między tymi dwoma światami na północ a Ceylonem na południe,

Ozdoby kobiet.

Kresowe kraje.

który znowu stanowi główny typ w całej niezliczonej rzeszy wysp Południowego oceanu, leżą Indye, tak wielkie jak kontynent, jedność geograficzna, chociaż nie etnograficzna, kraj cudów, świat dla siebie.

Z powrotem  
do Kalkuty.

17 kwietnia. — O godzinie 10 minut 40 siedziałem w małym otwartym wagonie kolei do Siliguri. Mniej było zimno niż dni ostatnich, a na pożegnanie ukazały mi się jeszcze ponad białymi kłębami chmur, zaledwie widne przy nich najwyższe szczyty gór śnieżnych. Droga wiedzie teraz w dół, powietrze ciepleje. Przy torze kolejowym napisy jakby na to umieszczone, aby budzić lub wzmacniać jeszcze w podróżnych uczucie trwogi wobec drogi stromo spadzistej aż do zawrotu głowy. Gdy się minęło *Sensation-Corner*, przybywa się do *Agony-Point!* Czy też pierwszy przedsiębiorca przypadkiem nie był Amerykaninem? O 5 jesteśmy na dole na równinie, która z połowy wysokości widziana, wydawała się pokryta gęstą parą, podobną do tej, jaka latem osłaniać zwykła wielkie miasta. Przejeżdżamy Terai, jedną z najgorszych okolic febrycznych. 6 godzina Siliguri. I tu wszędzie strach przed febrą, wszystkie domy stoją na słupach ponad ziemią, aby się ochronić od malaryi. Rozmowa z naczelnikiem stacji. Przedwczoraj orkan wirowy wyrzucił mieszany pociąg z szyn na bengalskiej równinie, trzech ludzi zabitych, wielu zranionych. O 7 wieczór jadę dalej ku Gangesowi. Zamykam troskliwie okna mego *coupé*, aby nie dać przystępu bagnistemu powietrzu i wkrótce zasypiam snem sprawiedliwego.

Terai.

Dolny  
Ganges.

18 kwietnia. — Godzina 5 $\frac{1}{2}$ , słońce wschodzi właśnie, a my jesteśmy nad Gangesem w Sara Ghat. Śliczne małe i większe łodzie z czworobocznymi żaglami o rozmaitych barwach. W świętej rzece ludzie kąpią się i myją. Jadąc do Darjiling przebyłem ją w nocy, usiłowałem więc teraz wpoić sobie w pamięć widok Gangesu prawie tuż u jego rozcieku w liczne ujścia. Od Benares przebiegła rzeka trzy czwarte wielkiej bengal-



skiej równiny, przybrała jeszcze Gogrę, Gandak i niezliczone małe i wielkie rzeki z północy i południa. Bardziej niż do jakiegokolwiek innej rzeki można do Gangesu zastosować słowa ze spiewu Mahometa Göthego:

Oto zbiera  
On wspanialej; całe plemię  
Wznosi władzę na swych barkach,  
A w toczącym się tryumfie  
On nadaje miano krajom,  
Miasta rosna mu u stóp!

W tej atoli porze roku Ganges w połowie tylko dopisuje oczekiwaniom; dopiero co począł zbierać i doszedł zaledwie do trzeciej części największej wrzesniowej szerokości. W tej chwili jest on tu może tak szeroki, jak Dunaj pod Budą. Parowcem przeprowiam się przez rzekę, a na drugim brzegu wsiadam do czekającego pociągu kalkuckiego. W *coupé* zamieniam moją zimową górską toaletę na najletniejszy ubiór.

10<sup>1/2</sup> Kalkutta, i w wielkim skwarze sprawunki i interesa. Pod wieczór wybieram się na statek pocztowy »Tibre«, który mnie jutro zabierze, aby oglądnąć moją kajutę. Ładne różnobarwne łodzie na Hugli i większe statki, zupełnie jakby starożytne, o szerokich tyłach z ośmiu lub dziesięciu wiosłarzami. Obok wykwintnej promenady nad rzeką, drewniana świątynia w burmańskim, napół chińskim stylu. Tę burmańską świątynię robiono w Wiedniu, a służyła jako lokal restauracyjny na ostatniej wystawie w Kalkucie. Stara flaszka wody sodowej służy za szczyt świątyni! Przybytek Buddy nad Hugli, zrobiony w Wiedniu, to chyba osobliwość, przed którą w kął idą sztuczne ruiny w okolicy Mödling! Odwiedziłem także dwa katolickie kościoły, pełne pobożnych, gdyż był to Wielki Czwartek. Są one bardzo dobrze utrzymane, a kilka ładnych nagrobków przyczynia im ozdoby; *pankhá* podczas niesporów w porządnym była ruchu.

W Wiedniu  
zbudowana  
świątynia  
Buddy.

Komunikacya  
okrętowa  
z Singapur.

19 kwietnia. — O 7 rano stanąłem na pokładzie »Tibru«. Zamiast płynąć tym małym statkiem powoli do Colombo, które już znam, a stamtąd dalej do Singapur i Hongkong, daleko chętniej byłbym pojechał z Kalkuty przez Rangun do Singapur, a w ten sposób poznał kawałek Burmy. Ale tak zwane herbaciane parowce ku Rangun kursują tak nieregularnie, że niema się żadnej pewności przybycia wezas na statek pocztowy w Singapur. Tak więc pozostawał tylko »Tibre«, który już od dawna, jak wahało u zegara, tam i nazad ustawicznie porusza się między Kalkuttą i Colombo, dowożąc wielkim parowcom podróżnych, którzy się regularnie zbierają w Colombo. A tak ten francuski okręt jest jedynem stałym połączeniem Indyi z Ceylonem, a jeśli się pominie Bombaj, także z Europą, Azją wschodnią i Australią; zaiste dziwny fakt w olbrzymiem państwie angielskiem, władającym nad oceanami.

Żegluga na  
Hugli.

Około 8 $\frac{1}{2}$  godziny ruszył »Tibre«. Hugli, jedno z niezliczonych ramion, na które się Ganges dzieli przed ujściem swem do morza, jest pod Kalkuttą węższy, przynajmniej o tej porze roku, niż Tamiza pod Londynem, którą w dolnym swym biegu dziwnie całemi milami przypomina. Zielone trawniki między wysokimi drzewami, chmurne szare niebo, wille w stylu *empire*, liczne żaglowce. Czy w istocie płynę ku Indyjskiemu oceanowi, a nie raczej między Richmond i Hampton-court? Okręt ma mierną osadę. Kilku elegantów i dwie czy trzy damy jadą parę stacyi w dół rzeki, aby następnie powozem wrócić do gorącego miasta. Zresztą trzech czy czterech pasażerów do Marsylii, a reszta francuscy urzędnicy płynący do Pondichéry. Omal że nie zapomniałem jednej pani, która ze względu na swe zdrowie płynie do Colombo, a stamtąd zaraz powraca; dla osoby ulegającej jak ona morskiej chorobie, kuracya weale nieprzyjemna. Jadło przewyborne, jak to najczęściej bywa na okrętach *Messageries*, a rozmowa francuska dokoła

dziwnie mi brzmi w uszach po trzech miesiącach przebytych w Indyach. Ulubionym tematem pogadanek jest trudność nauczenia się po angielsku, a próby angielskiej konwersacji, któremi się popisują poczciwi Gallowie, dowodzą istotnie, że tak im z tem ciężko jak kulawemu w menuecie. Urzędnicy z Pondichéry tacy poważni i uroczyści, jak ich czerwona wstążeczka, której nie brak nawet w dziurce od guzika kusego kostyumu, w jakim się rano idą kąpać. Porównanie ich z angielskimi cywilnymi urzędnikami wypada zupełnie na korzyść ostatnich. Popołudnie. Już się nie przypomina okolica Tamizy, tylko niderlandzka z pod Dortrecht, brudno żółta woda, niskie brzegi w wielkiej oddali. Czy jesteśmy jeszcze na rzece, czy już na morzu? Niestety długo jeszcze nie będziemy na niem, gdyż o 6½ wieczór stajemy na całą noc, woda bowiem nie jest dość głęboka, dopiero jutrzejszy przypływ ma nas unieść znowu.

Francuskie  
towarzystwo  
na okręcie.

20 kwietnia. — Jazda okrętem na Hugli dla licznych mielizn należy do najtrudniejszych na świecie. Żaden okręt nie płynie z Kalkutty lub do Kalkutty bez rotmana, których jest cały legion, a którzy całe życie nie innego nie robią prócz pilotowania statków z prądem i przeciw prądowi rzeki. Kalkutta leżała niegdyś o wiele bliżej morza. Zupełnie jak rzeki na południowym brzegu Azyi Mniejszej, osadzają wielkie indyjskie strumienie ustawicznie piasek, posuwając łąd stały w głąb oceanu. O godzinie 9 rano ruszamy ostatecznie dalej. Wielka junglem zarośnięta wyspa na lewo od nas to Sagar-Island, wyspa tygrysów, nazwana tak od swych głównych mieszkańców, gdyż z powodu malaryi nie może się tam utrzymać dłużej żadna osada. Tylko na jednym jej końcu odbywa się corocznie religijna uroczystość, na którą pielgrzymują tysiące krajowców. Na wyspie jest więcej tygrysów niż gdziekolwiek indziej w Indyach na równej przestrzeni. Nasz rotman wylądował tam przed dwoma laty z 6—8 ludźmi. Wąską

Rotmani.

Wyspa tygry-  
sów.

ścieżką szli oni gęsiego przez jungle, gdy ogromny tygrys porwał i uniósł ostatniego z szeregu. Na krzyk porwanego zwrócili się towarzysze, a tygrys upuścił o 30 kroków dalej swoją ofiarę. Człowiek ten wyszedł z tej przygody z okropną raną na plecach, z której wyleczył się zupełnie.

Na pełnem  
morzu.

Nareszcie o godzinie 3 po południu znajdujemy się na pełnem morzu. Pływające sygnały oznaczają to miejsce, jeszcze bardziej jednak zmieniona barwa wody, która z brudno-żółtej nagle zmienia się w zieloną, jak barwa Nordsee. Płyniemy przeciw silnej fali i robimy tylko dziesięć węzłów na godzinę, podczas gdy wielkie okręty *Messageries* robią ich zwykle 15—16. Dość silne kołysanie; zaledwie połowa podróżnych jawi się wieczorem przy stole. Po dwóch godzinach woda ma znowu piękną modrą barwę południową. Nocą fosforescencya morza.

*21 i 22 kwietnia.* — Silne kołysanie, liczba chorych wzrasta. Upał wielki, sypiam na pokładzie. Mała czarna małpa z południowej Afryki z białymi jak śnieg brwiami bawi skokami swymi pozostałe przy zdrowiu małe i wielkie dzieci. 22 uspokaja się morze.

Starożytnie  
wyglądające  
łodzie w por-  
cie w Madras.

*23 kwietnia.* — Dopiero dziś po południu okazały się wreszcie góry, dość daleko w głębi ładu położone, dalej lasy nadbrzeżne na północ od Madras, o 3 godzinie samo miasto w wielkiem oddaleniu. O 5 zawijamy do portu otoczeni wysokimi łodziami o starożytnym kształcie, każda z 12—14 wiosłarzami. Te łodzie z czarnymi wiosłarzami przypominają łódź Charona na »Sądzie ostatecznym« Michała Anioła. Osobliwsze są wiosła, długie nadzwyczaj tyki, z małeńkimi tarczami u końców. Wśród krzyku i potracania chwytają mnie żeglarze jednej takiej łodzi i sprowadzają na ląd, gdzie oddawszy listy na *post-office* wracam znowu na okręt. Madras, najbrzydsze i najbrudniejsze miasto Indyi, wystawiło na *quai* przy porcie szereg pięknych budynków. Podczas kilkudniowego pobytu przed trzema blisko mie-

siącami przekonałem się niestety, co się kryje za tą świetną fasadą.

24 kwietnia. — Wczesnym rankiem okazuje się Pondichéry. Zupełnie płaskie wybrzeże, ładny las wzdłuż morza po obu stronach miasta, które przyjemniej i okazalej wygląda niż myślałem. Wszystkie domy mają kolumnady; już to, co się widzi z okrętu, robi wrażenie zarazem starożytne i nie angielskie. Wrażenie to wzmagają się jeszcze po wylądowaniu. Pondichéry jest na wskróś francuskie, a zarazem tkwi do pewnego stopnia w zeszłym stuleciu. Podobne wrażenie na większą skalę obiecuję sobie za kilka miesięcy w Quebec w Kanadzie. Obszar francuski zajmuje tylko kilka mil przestrzeni, a w dodatku bardzo źle odgranicza się od angielskich posiadłości, tem dziwniejsza tedy, że kelto-romański duch potrafił tu tak na wszystkim wybić swe piętno i tak dalece zachować własną fizyognomię.

Na miejscu lądowania posąg wielkiego Duplex, pierwszego gubernatora, w stroju z r. 1750; piedestał tworzą ułamki zburzonej świątyni Hindu, z której kilka kolumn symetrycznie ustawiono dokoła. W sercu miasta studnia, upiększona również podobnemi zwaliskami rozmaitego rodzaju, tak jak w Rzymie spotyka się niekiedy egipskie rzeźby w osobliwym ustawieniu. W żadnem angielskiem mieście Indyi nie znajdzie się czegoś podobnego, choć nie da się zaprzeczyć, że naprzykład bogato ozdobiona kamienna balustrada z Barhut o wiele lepiej umieszczoną byłaby na publicznym placu w Kalkucie niż w Muzeum.

I w Pondichéry miasto »białe« i »czarne« oddzielone są od siebie, atoli nie milową pustynią, jak w anglo-indyjskich miastach, lecz tylko suchym już prawie kanałem. I wewnątrz białego miasta niema także olbrzymich odległości angielskiego *cantonment*. Zdaje się, że założyciele Pondichéry wzięli sobie za wzór Wersal XVIII stulecia: proste szerokie ulice, ładne, białe

Pondichéry.

domy z kolumnami i ogrodami, każdy ogród murem otoczony. Wszystko bardzo dobrze utrzymane. Czego brak, to właśnie tego, na czem zbywa i Wersalowi: życia. Prócz targowicy ryb i warzyw niemasz nigdzie ścisłu. Plac portowy zaumarły. Dwa bardzo schludnie utrzymane kościoły. Aż do niedawna znajdowały się w głównym kościele ściany, które oddziały od siebie białych, mieszanców i krajowców pełnej krwi, szczególny zaiste komentarz do zasad ewangelii, głoszonych z kazalnicy w tychsamych kościołach. Mimo atoli fizycznego odgraniczenia, przedział moralny między rządzo- nymi a rządzącymi mniej tu jest wielki i ostry niż na angielskim obszarze. Na portugalskiej ziemi w Goa będzie zapewne jeszcze mniejszy. Romanie z żywszym temperamentem i bardziej na zewnątrz zwróconem uspo- sobieniem stoją nieskończenie bliżej krajowcom niż dumny i zimny Anglik. Lecz właśnie dlatego drugi wię- cej budzi respektu niż pierwsi i bardziej nadaje się na władzcę ruchliwego brunatnego ludu.

Stosunek  
Francuzów i  
Anglików do  
krajowców.

Kilka małych świątyn Hindu wystrzela po nad czarne miasto, jedna z nich z pstro pomalowanemi, bar- dzo licznemi figurami na *gopurze*. Środkiem komunika- cyjnym w Pondichéry są ładne małe wózki, z rodzajem steru dla jednego, który kieruje, podczas gdy wózek pcha z tyłu jeden lub dwóch krajowców. Wehikuł ten nazywa się *pousse-pousse*.

W południe opuściliśmy ten mały kawałek Fran- cyi i wkrótce straciliśmy z oczu wybrzeże. Bezpośrednio nad morzem unosiły się wspaniałe białe kłęby chmur, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Gra ich tonów i form stawała się ku wieczorowi coraz rozmaitszą; czarne i białe, gęsto skłębione i lekko poziome chmury obok siebie i ponad sobą. Słońce było w ukryciu, a niebo z tego powodu jeszcze oryginalniejsze. W nocy łyskanie dokoła, jak najpiękniejsze ognie sztuczne.

Gra  
obłoków.

25 kwietnia. — O 7 godzinie rano w dość znacznem oddaleniu skały w morzu, podobne do wysp, są to jednak same małe przylądki; mierne góry na drugim planie, to wschodnie wybrzeże Ceylonu; wkrótce stanimy na wysokości Trincomali. Ponieważ skały Mostu Adama nie pozwalają na przejazd okrętom, musimy, chcąc dostać się do Colombo, opłynąć trzy czwarte wyspy. Wkrótce zbliżamy się znacznie do wybrzeża, okazuje się fort Frederik na wyspie skalistej i latarnia morska, strzegąca wejścia do zatoki trincomalskiej. Trincomali jest najznacniejszym miastem wschodniego wybrzeża, jedyny to wielki naturalny port Ceylonu. Około południa zniknął nam z przed oczu widok wybrzeży, gdyż na kilka godzin osłoniły nas chmury, i dobrze mi znany ciepły deszcz tej strefy potokami spadł na nas. Gdy się rozjaśniło, ujrzeliśmy najdziwniejsze kształty górskie, jak się wyłaniały z gęsto skłębionych, bardzo miękkich przejrzystych obłoków. Znowu prześliczne niebo wieczorne.

Od Madras i Pondichéry zmieniło się bardzo towarzystwo na okręcie, większa część Francuzów wysiadła i przeważa żywioł angielski. Urzędnik z środkowych prowincyi, który 25 lat przeżył w Indyach, opowiada mi ciekawe szczegóły o ich administracyi. Wraca on znowu do Anglii, a był kollektorem, t. j. poborcą podatków, najwyższą zarazem władzą nad obszarem z 2 $\frac{1}{2}$  milionami mieszkańców. Prócz niego jeszcze 14, mówię czternaście Europejczyków stanowiło wyższą hierarchię urzędniczą tego obszaru. Podwładne organa sami krajowcy, mała garstka krajowych policyantów, dwa bataliony krajowych wojsk. Tak tedy piętnaście Anglików panowało nad 2 $\frac{1}{2}$  milionami. Jeśli się w całym indyjskiem państwie zliczy wszystkich białych urzędników, nawet detektywów na przykład, nie znajdzie się ich więcej nad 5000, ilość zaś mieszkańców państwa wynosi dzisiaj 270 milionów. I taka garstka urzędników,

Wschodnie  
wybrzeże  
Ceylonu.

Zarząd an-  
gielskich In-  
dyi.

z domu prawie nigdy niezamożna, opiera się pokusom, które nigdzie tak jak tu się nie nastęrczają, i umie zachować od początku stulecia sławę przysłowiowej nieprzedajności! Zasługa tem większa, że tradycye panowania wschodnio-indyjskiej kompanii, od której rząd przejął to państwo, nie odznaczały się, jak to przecie dobrze wiadomo, spartańską nieskazitelnością i umiarkowaniem. Ale zupełnie jak w starorzymjskiem państwie po wyszaniu nieszczęśliwych prowincyi przez prokonsulów, pierwsze złote wieki cesarstwa zdobytym krajom dawały spokój, sprawiedliwość i wzrost niesłychany, tak samo i w Indjach mętne źródło rozbójniczego systemu kompanii przemieniło się w czysty źródł dzisiejszych rządów. Tak jest, Indye są krajem cudów, lecz największym cudem jest sposób, w jaki są rządzone. Błogi to widok w czasach powszechnej chwiejności i nieradności, bo dowodzi, że władza należy do energii, konsekwencyi, moralnej nieskazitelnosci, i że olbrzymie masy dadzą się powodować małej liczbie ludzi, jeśli ta mała liczba spełnia swe obowiązki. Jest rzeczą możliwą, że już niedługo świat będzie miał to widowisko; jest rzeczą pewną, że angielskie rządy, gdyby nawet przetrwały te burze, które zagrażają schyłkowi stulecia, dożyją kiedyś w Indjach »ostatniego szczęścia i dnia ostatniego«, jak mówi niemiecki poeta, fakt przecież, że istniały i że takie były, jakie są, pozostanie na zawsze, jako jeden z najdotatniejszych rozdziałów w dziejach świata.

*26 kwietnia.* — Ciągłe płyniemy jeszcze wzdłuż malowniczych gór i zielonych zatok, ale już nie wzdłuż wschodniego, tylko krótkiego południowego brzegu Ceylonu. Zmiana kierunku powoduje rano dość znaczne kołysanie statku. Widać morską latarnię w Point de Galle. Tu, w starem portowem mieście Ceylonu, któremu dopiero od niedawna wydarło pierwszeństwo Colombo, chętnie byłbym wylądował, tak jak wczoraj w Trincomali. W południe objechaliśmy i ten przylądek,



i w dość znacznem oddaleniu od brzegu pędzimy siłą pary na północ. Znana mi rozległa nizina, zasiana gęsto palmami kokosowemi, rozciąga się między górami a morzem; o 5 po południu przejeżdżamy mimo hotelu w Mount-Lavinia, gdzie przed czterema miesiącami tak mile czas mi schodził, a niebawem stajemy w porcie colombijskim, którego latarnia widniała już od dwóch godzin prosto przed nami. Z powodu gęstych, czarnych chmur na północy i na zachodzie dziwnie zimne światło, które barwom nadaje coś twardego, jakby na obrazach z czasów *empire*, a to, co widzę przed sobą, równa się dokładnie widokom portów Józefa Verneta w Luwrze. W czasie lądowania obraz przybiera niemal cechę fantasmagoryi, nie wierzy się, aby pod naszym słońcem możliwe były takie efekta, zupełnie jakby stworzone dla końcowego *tableau* z »Latającego Holendra«. Zajmuję prędko pokój w Oriental Hôtel i jadę natychmiast przez miasto na promenadę, która zajmuje znaczną przestrzeń ponad morzem, aby dalej przypatrywać się wieczornemu niebu. Podobnego nie widziałem nigdy. Ciężkie czarne chmury nad lądem mają ciemnoczerwony refleks nad morzem, inne chmury o wszelkich formach i wszelkich odcieniach, kłębią się niekiedy w trzech do czterech warstwach jedna za drugą. Główny ton nieba, pomarańczowy, przedziera się przez całość, lecz duży niebieski trójkąt zarysowuje się między długą, szarą chmurą o kształcie korabiu, a chmurami lżejszemi i jaśniejszemi. Symfonia Beethovena dla oka! Gdzież jest malarz, któryby nam to mógł odtworzyć? Ze współczesnych potrafiłby być to chyba jeden Makart. Gdyby był stał obok mnie, nie powiem, aby był odmalował właśnie takie niebo nad takim morzem, ale prawdopodobnie stworzyłby był obraz, który dajmy na to, przedstawiałby zamordowanie Siegfrieda, albo bachanalię, albo olbrzymi pęk kwiatów, albo polowanie na tygrysy, ale na płótnie tem oddałby podobne walory tonów w podobnym stosunku.

Przybycie do  
Colombo.

Szczególne  
wieczorne  
niebo.

Temperatura.

27 kwietnia. — O wiele mniejszy upał w Colombo niż przed trzema miesiącami, w porównaniu z Indyami prawie tu chłodno. Tak zwany mały Monsun, dość silny, orzeźwiający południowo - wschodni wiatr, wieje tu już od pewnego czasu. Niektórzy twierdzą, że nigdy nie jest tak gorąco na Ceylonie jak około Bożego Narodzenia. Wyznać muszę, że nie pojmuję jeszcze stosunków temperatury w strefie zwrotnikowej. Tylko groźne chmury deszczowe wskazują mi, że niebo tu teraz właśnie tak samo jest niepewne jak w styczniu. Właściwie powinien się Ceylon nazywać wyspą deszczów. Po południu wyjeżdżam do Mount Lavinia. Wbrew memu oczekiwaniu hotel tylko słabo zajęty: sprawiły to wyścigi, które odbywają się w tych dniach w Novara Elia, stacji klimatycznej, położonej na wysokości 6000 stóp. Wyścigi blisko równika na takiej wysokości! Sądzę, że Anglicy wyrzekliby się raczej jedzenia i picia, aniżeli rozkoszy widowiska, jak w wielkiem kole czerwono-żółte lub biało-niebieskie czapki i kurtki migają na dyżących koniach.

28 kwietnia. — Przenocowałem w Mount Lavinia, silna burza zmusiła mnie do zamknięcia okna. Wczesnym rankiem pływałem w morzu, jeszcze cieplejszym niż było w styczniu. Temperatura powietrza jednakże taka sama, jak u nas w ciepłym dniu wiosennym. Gdy wróciłem do Colombo, zawinął wreszcie »Oxus«, pocztowy statek *Messageries*, który miał mnie zawieść do Hongkong, i zająłem na nim kajutę. Oprócz okrętu »Oxus« i statku tegosamego towarzystwa, który płynąc do Marsyli tu się z nim krzyżuje, przybył dziś także wielki angielski pasażerski parowiec płynący do Australii. Colombo stało się rzeczywistym punktem środkowym dla całej wschodniej półkuli, jak Malta dla krajów morza Śródziemnego. Kto jedzie z Walencji albo Tripoli do Egiptu, musi oprzeć się o Malte; tak samo musi stanąć w Ceylonie, kto z Port Saïd albo z zatoki Perskiej

Colombo jako punkt przejściowy dla okrętów z czterech części świata.

płynię do Japonii lub Australii. Anglicy umieli zawsze przywłaszczać sobie takie wielkie przejściowe stacje, tak samo jak wprost lub pośrednio opanowali wejścia do morza Śródziemnego i do Indyjskiego oceanu, Gibraltar i Suez, Aden i Singapur. Oriental Hôtel roi się ludźmi, przy stole zaledwie można znaleźć miejsce, Francuzi i Anglicy powracający do Europy, eleganckie *misses* i dandysi z Melbourne lub Sidney, które wracają z *trip*, t. j. przejażdżki, jak się zupełnie słusznie wyrażają, odbytej do Paryża lub Włoch. Na australijskich parowcach zawsze dużo młodzieży, a angielskie matki drżą o swych synów, udających się w tę podróż, piękność bowiem cór południowego kontynentu wprawiała niejednego już młodego syna Albionu w ciężką kolizję z rodziną lub przynajmniej w inne niemiłe kłopoty. Późnym wieczorem przybywam na »Oxus«, który opuszcza port dopiero nad ranem.

Piękne Australki.



Buddhystyczny klasztor w Sikkimie.



Kamień z napisem. (Bhotan).



Hongkong.

V. Z COLOMBO DO HONGKONG. — KAWAŁEK  
CHIN. — Z HONGKONG DO YOKOHAMY.

29 i 30 kwietnia, 1 i 2 maja, na okręcie „Oxus”. — Dni pogodne, strawione w zadowoleniu na lekturze. Spokojne morze, okręt miernie obsadzony. »Oxus« jest większy od »Avy«, którą przed trzema miesiącami płynąłem do Colombo, ma zaś obecnie na pokładzie zaledwie trzecią część ilości podróżnych, jaką pomieścić może. Są między nimi Holendrzy i Hiszpanie płynący do Singapur albo Saïgon, aby następnie zawinąć do Jawy lub wysp Filipińskich. Toalety Hiszpanek krzyżące i niesmaczne do granic możliwości. Od 9 wieczór do 9 rano panuje, jak na wszystkich okrętach pod zwrotnikiem, zupełna swoboda kostymów. Boso, w *pan-jamá*, w nocnej toalecie, która tylko u kobiet przez dodanie spodnicy różni się od kostymu używanego w kąpielach morskich, przechadzają się mężczyźni i kobiety po nocnem i porannem powietrzu, czytają, bawią się robótką i rozmawiają. Ani o jednej ani o drugiej płci nie można powiedzieć, żeby się w tym wygodnym ale wcale niestrojnym kostymie przedstawiały bardzo korzystnie, a już wprost komicznie wyglądają późnym wieczorem śpiące Aryadny i Endymionowie, którzy spędzają noc w plecionych krzesłach na pokładzie. Ja spałem dotąd w mojej obszernej kajucie, przez której

Podróźni  
na okręcie  
»Oxus«.

lukę mam z pierwszej ręki świeży, południowo-zachodni wiatr, nieustannie wiejący. I za dnia upał nie jest przygnębiający, niema też porównania nietylko z temperaturą na morzu między Kalkuttą a Madras albo i z tą, jakiej doświadczyłem z końcem grudnia przed moją bytnością w Adenie i po niej.

Przywalony szaremi chmurami deszczowemi, które zasłaniały szczyty gór, zniknął nam z oczu zwolna Ceylon dnia 29. Jeszcze rano tegosamego dnia widziałem latarnię morską i małą zatokę Point de Galle wyraźniej aniżeli z pokładu »Tibre«. Skoro wydobyliśmy się z obrębu »Wyspy deszczowej«, wypogodziło się niebo, ale nigdy nie było całkiem jasne, zasłona wiotkich chmur zakrywała ustawicznie słońce i daremnie przez cały ten czas wieczorami wyglądałem jakichś efektów światła. Nie widząc lądu płynęliśmy, trzymając się zawsze tylko o jakie cztery stopnie na północ od równika w prostym kierunku na wschód i robiliśmy około 320 mil dziennie, aż 2 maja rano ukazał nam się północny krańiec Sumatry. Dość blisko objechaliśmy wyspę i zwróciliśmy się następnie na południowy wschód ku cieśninie Malacca. Pięknie zarysowane góry, częścią już wygasłe, częścią żywe jeszcze wulkany, z szczytami w chmurach, dalej niziny okryte gęstym lasem, w dalszym planie pasmem gór zamknięte.

Jakiś bogaty Francuz jadący z rodziną z Singapur do swej plantacyi tytoniu na północy wyspy, daje mi informacye o Sumatrze, która w ostatnim czasie przeszła znowu całkowicie na własność Holandyi. W okolicy mego Francuza jest dość wiele osad europejskich, na wybrzeżu małe miasta, w których się w najpotrzebniejsze rzeczy zaopatrzyć można. Singapur jest o 48 godzin drogi oddalony od jego posiadłości. Ma on kolej i telegrafy na usługi, lecz tuż obok jego plantacyi poczyna się nieprzebytejście jungle z tygrysami, węzami i innymi bestyami podobnego rodzaju. Mieszkańcy dzielą się na

osadników malajskich i tubylców, którzy także więcej okazują powinowactwa z Malajami niż z jakąkolwiek inną rasą.

*3 maja.* — Już wczesnym rankiem nie było nic widać z Sumatry, gęsta mgła zaledwie się pozwalała domyślać w dali brzegu, który nam zasłoniła. Przeciwnie po lewej ręce wynurzyło się wkrótce wybrzeże stałego lądu. Był to brzeg półwyspu Malacca, najdalej południowej kontynuacji Azji. Wkrótce płynęliśmy i mijaliśmy bardzo zbliżone miłe doliny i zielone góry, dalej wysunął się pomiędzy morze a góry płaski, gęsto drzewami okryty pas, potem następowały małe wysepki, także bujnie zalesione. Ani śladu osad ludzkich. Tem więcej ruchu na wodzie. Widać, że się znajdujemy na bardzo uczęszczanym wąskim gościńcu, jak podczas wyjazdu z Czerwonego morza. W niewielkich odstępach postępują za sobą parowce, potężne okręty żaglowe i małe malajskie handlowe statki z brudno pomarańczowymi żaglami, którym za podporę służycie mają giętkie bambusowe tyki, prostopadle do masztu ustawione. Po południu daleko wysunięty, gęsto zalesiony przylądek, Rasaka, z latarnią morską, w dwie godziny potem po raz drugi małe, okrągłe, zielone wyspy, cały szereg, Water Islands, na jednej z nich znowu biała latarnia. Za nimi na stałym lądzie obfity deszcz, któremu około zachodu słońca zawdzięczamy wspaniałe widowisko dwoistej tęczy. Pełniejszy łuk miał oś swoją prostopadle nad naszymi głowami, rozpinał się tedy jak olbrzymi most po nad cieśniną. Za nami zaś, na zachodzie, igrały promienie zapadającego słońca z chmurami o najrozmaitszych kształtach i z łagodnie poruszoną szybą wody, która na jakiś czas zabarwiła się brzoskwiniowym tonem.

Półwysep  
Malacca.

Podwójna tę-  
cza.

*4 maja.* —  $\frac{1}{2}$  7 rano. Stoimy na pomoście w wąskim kanale, naprzeciw lesistych wysp, jesteśmy w Singapur. Zupełnie jak w Adenie, otaczają okręt nasz niezliczonym rojem łodzie, z których nawołują nas małe

Wylądowanie  
w Singapur.

chłopcy, ofiarując nam popisy w sztuczkaeh nurkowania. Wychodzę na ląd i siadam do stojącego w pogotowiu bardzo schludnego fiakra; między dachem a ścianami przewiewać może swobodnie powietrze, małe konie dobrze wypasione. malajski woźnica daje znak głową, że dobrze rozumie, gdy mu powiadam, żeby mnie zawiózł do austryackiego konsulatu. Po moich doświadczeniach z wehikułami w Colombo, Madras i Kalkucie przecieram oczy, czy to nie sen. Jesteśmy dość daleko od miasta, droga wiedzie wzdłuż morza, od strony lądu średnie pagórki, po części dla wybierania piasku rozkopowane, wszędzie się buduje. Gościniec bardzo ożywiony od wozów i *jîn-riki-sha*, wózków ciągnionych przez ludzi, które po raz pierwszy widziałem w Colombo. Są tu jednak szersze i piękniejsze, z tyłu często lakierowane złocisto w rozmaite zwierzęta i kwiaty; jest to robota chińska, Chińczycy też ciągną te wózki. Silniej zbudowani niż wątli Singalezi i Tamilowie, porządniej odziani, prawie bez wyjątku z spiczastym kapeluszem słomkowym w rodzaju parasola na głowie, nie wzbudzają w nas litości jak owe biedne ludzkie zwierzęta pociągowe na Ceylonie.

Chińskie miasto.

Przybyliśmy wreszcie do chińskiego miasta i to do zupełnie nowej jego dzielnicy. Proste ulice, domy czynszowe, prawie takie brzydkie jak te, które w Rzymie i pod Rzymem wypierają najpiękniejsze ogrody jeden po drugim, na każdym domu kilka godeł kupieckich, prostopadle jak kulisy teatralne zawieszonych, o rozmaitych barwach, ale najczęściej czerwone, z góry do dołu zapisane olbrzymiemi chińskimi literami. Nagle w środku brzydkich domów grupa dachów, podobnych do okrętów z wygiętymi w górę końcami, nad nimi smoki i najrozmaitsze fantastyczne floresy, pod nimi postaci ludzi i zwierząt, kwiaty, ornamenta, wszystko z barwistej szklanej masy. Na prawo i na lewo dwa dość wysokie osmioboczne pawilony na kształt wież, z czterech niskich

Pagoda.



piętr złożone, każdy ma dach, portal w pośrodku również dachem pokryty, a na podwojach bram dwóch malowanych groźnych rycerzy jako strażników: z tyłu główny budynek, średniej wielkości, po obu stronach niskie budynki boczne. Wszystko to razem tworzy chińską świątynię czyli pagodę. Bez przeszkody mogę wejść do środka i znajduję w każdym z czterech budynków siedzące połączane figury z woniejącymi stoczkami z przodu. W głównej sali figury mają wielkość naturalną, przed nimi jako ich orszak, są mniejsze, jedna z nich wyobraża mężczyznę stojącego z podniesioną laską. Jedwabne tkaniny, olbrzymie napisy, malowane postaci naturalnej wielkości, silny zapach spalonego papieru. Spalić papier lub papierową imitację jakiegoś przedmiotu, znaczy, jak wiadomo, u Chińczyków tyle, co wysłać umarłym na tamten świat kartę korespondencyjną lub też sam ów przedmiot. W całości przypominają mi się bardzo świątynie w Sikkimie, zwłaszcza świątynia pod Kalimpong, tylko że tu wszystko bogatsze, większe, wspanialsze. Ale kogo jednak wyobrażają złociste figury? Czy jestem w świątyni Konfucjusza czy też Buddy? Strażnik, który mnie oprowadza, wymienia chińskie nazwisko, którego nie rozumiem, w angielskim mieście nie może mi nikt dać wyjaśnienia, a może też wierni i kapłani nie wiedzą sami, komu palą woniejące świece.

Obok pagody stoi biały budynek z wąskimi wieżami, służącymi za gołębniki, kwadratowy ostro zakończony dach ponad rodzajem kopuły, arabskie litery ponad wehodem. Jestto malajski meczet; gołębniki rojące się skrzydlatymi swymi mieszkańcami, to minarety; naprzeciw, po drugiej stronie gościńca, wielki budynek boczny. Malajczycy z Indyi Zagangesowych i archipelagu Indyjskiego religię swą i pismo zawdzięczają Arabom. Jestto rasa inteligentna, drobna, o skórze rze czy wiście żółtej, a nie tylko płowej, jaką właściwie

Malajski me-  
czet.

widziałem dotychczas u wszystkich Chińczyków. Ci Malajczycy są gorliwymi Mahometanami, małe arabskie kolonie pomiędzy nimi sięgają aż po Sumatrę i Jawę i podsycają fanatyzm religijny.

Siamski pomnik.

Staję w europejskiej dzielnicy; piękne, wielkie domy, drugi wewnętrzny port dla lżejszych statków. W pośrodku skweru nad wodą mały brązowy słoń na podstawie z poczwórnym napisem angielskim, chińskim, siamskim, malajskim, wzniesiony na pamiątkę bytności w Singapur króla Siamu, gdyż podróż ta, pierwsza, jaką kiedykolwiek odbył zagranicę władzca siamski, miała doniosłość wypadku.

Ogród botaniczny.

Konsula niema jeszcze w biurze, wyjeżdżam na wzniesienie, gdzie się znajduje zbiornik wody, wspinałe palmy wachlarzowe dokoła, trawniki i drogi znakomicie utrzymane, widok na rozległą, zieloną, podobną do parku równinę jak z terasy w Richmond. Niedaleko stamtąd ogród botaniczny, pełen takich drzew i roślin, jak w ogrodach w Kalkucie i Kandy, lecz daleko piękniej założony dokoła stawu z wyspą bujnie zarośniętą. Na wzgórzu z piękną plantacją mała menażerya, w której mnie uderzyła mnogość gatunków orła, osobliwie prawie zupełnie biała rybitwa z nieproporcjonalnie wielkimi i silnymi szponami, tem użyczonem jej przez naturę narzędziem. W okolicy ogrodu wyborne drogi, obsadzone gęstemi aleami, wśród pięknych will, otoczonych kwiatami i drzewami. Mieszkańcy ich jadą właśnie w eleganckich powozach do miasta, gdyż wkrótce poczynają się godziny biurowe.

Singapur.

Austryacki konsul, pan Brandt, szef jednego z pierwszych domów handlowych, udzielił mi kilku dat o stosunkach w Singapur. Miasto ma więcej niż 100.000 mieszkańców, z tego drobniutki ułamek Europejczyków, piąta część Malajczyków, reszta Chińczycy. Jak Bombaj zajmuje ono ostateczny kraniec wyspy, którą bardzo wąski kanał na północy dzieli od stałego lądu. Jest ono

siedzibą rządu wszystkich angielskich posiadłości na Malace, a podczas gdy państwowe finanse Ceylonu są w opłakanym stanie, opływają tu w dostatkach rząd i ludzie prywatni.

Małe państwa półwyspu odłączają się coraz częściej od Siamu i oddają się pod angielski protektorat. W takim razie panujący otrzymuje rezydenta, któremu taka sama przypada rola, jak jego kolegom w krajach Himalaya albo legatom starożytnego Rzymu na małych dworach Wschodu. Odkąd i Wyższa Burma stała się podwładną, wcielenie całych Indyi Zagangesowych do anglo-indyjskiego państwa byłoby już właściwie tylko kwestyą czasu. Uzupełniwszy w myśli jeszcze kilka ogniw łańcucha, otrzymalibyśmy jako rdzeń i jako główną część brytyjskiego olbrzymiego mocarstwa obszar jedynie kilku morskimi drogami przerwany, sięgający od stoków gór Hindukusz do Nowej Zelandyi. W wyższym jeszcze znaczeniu, aniżeli dzisiaj, możnaby powiedzieć o angielskim państwie to, co napisał o rzymskim mocarstwie pewien Hiszpan i gorliwy chrześcjanin w piątym wieku naszej ery: »Z najdalszych krajów, z wybrzeży morzami oddzielonych, idą sprawy przed tesame trybunały, słucha się praw tychsamych. Ludzie, obcy sobie urodzeniem, zgromadzają się na tychsamych miejscach, zwabieni handlem i sztukami, nawiązują stosunki kupieckie i zawierają małżeństwa z sobą. Tak łączy się różna pierwiastkowo krew, a z tak wielu plemion utworzył się jeden naród«. Ale w Anglii samej brak w obecnym czasie politycznej sprężystości, młodzieńczej wiary w własną siłę, tych głównych warunków dalszego rozwoju potęgi. Anglia dzisiejsza nie jestto już owo państwo obydwóch Pittów, nie jest już jej symboliczną postacią ów Henryk V z Szekspirowskiego dramatu, objęła raczej po Niemcach rolę Hamleta między narodami. W jej zamiarach jest już anemia myśli, a to, o co się kusi w dali lub w pobliżu, niegodne jest

Anglicy w Indyach Zagangesowych.

Anglia niegdys a dzisiaj.

Gladstone.

miana czynów. Chociażby przyszłość na naszym planecie należała do anglosaskiej rasy, to Anglia jako Anglia, kto wie, czy raczej nie uszczupli swoich posiadłości, aniżeli pomnoży. Z coraz szerszych warstw społecznych zasilana ogromna większość ludzi, którzy od dwóch czy trzech pokoleń biorą udział w decydowaniu losów państwa, poświęciłaby z lekkim sercem Indye i władztwo nad morzami, byle tylko o kilka szylingów mniej płacić podatku, i widzi ideał przyszłości dla Wielkiej Brytanii w roli, jaką dziś odgrywa na świecie Holandya. Tylko w ten sposób wytłómaczyć sobie można popularność Gladstone'a, której mimo potężnego talentu oratorskiego tego męża stanu, zrozumieć nie można. Jakby dziwnem igrzyskiem natury ideolog ten i napół mistyczny marzyciel stał się tubą milionów angielskich i szkockich mieszczuchów. Nie pamiętam już, gdzie to powiedział, czy to w którejś z mów swoich, czy też w jakim artykule, że Stany Zjednoczone poczynają ubiegać Anglię w licznych dziedzinach, i że sprawiedliwsi między Anglikami, dalecy od uczucia zazdrości z tego powodu, za rzecz zupełnie naturalną uznacby to musieli, gdyby ich ojczyznę wyparto z tego stanowiska, z którego ona dawniej wyparła inne narody. Niech podziwia, kto chce, filozoficzną wysokość takiego zapatrywania — mąż stanu, który swemu narodowi doradza, aby się z zupełnym spokojem duszy dał ubiedz innemu, robi na mnie wrażenie Romea, któryby radził swej Julii oddać rękę hrabiemu Parysowi. Byłaby to z pewnością propozycja roztropna, a Julia, gdyby jej była usłuchała, umarłaby była może jako prababka na uwiad schyłkowy, lecz w ustach kochanka taka rada byłaby śmieszna, bo właśnie zazdrośna wyłączność robi Romea kochankiem, a tak samo patriotę patriotą.

Dolary, ruble  
i złote reńskie.

Mieniam moje rupie na dolary, monetę, która w większej części Azji i Ameryki jest w kursie. Dolar i rubel, które rej wodzą dzisiaj na kuli ziemskiej, są

parweniuszami wśród monet: jak dostojnie wygląda przy nich nasz skromny złoty, *fiorino*, który wywodzi swój ród z najświetniejszej epoki najświetniejszego miasta Odrodzenia.

W Muzeum, okazałym budynku z salą kopułową w środku, piękne zbiory przyrodnicze, broń, kostyумы, instrumenta muzyczne, modele domów i okrętów stałego lądu i archipelagu Indyjskiego. Bogato ubrana Chinka oprowadza dzieci swoje pośród tych wspaniałości. Skinawszy głową uprzejmie powiada: *Tschin-tschin*, co po chińsku mniej więcej znaczy: »Mam zaszczyt życzyć panu dzień dobry«. *Tschin-tschin* — odpowiadam grzecznie i tak skończyła się moja pierwsza chińska rozmowa.

Wymownym dowodem zamożności tutejszych Europejczyków są uderzająco ładne kościoły. Prawie każde chrześcijańskie wyznanie ma swój dom Boży, chociażby się gmina tylko z kilku głów składała. Kościół presbiteryanów uderza fasadą renesansową w najlepszym smaku. Widok z balkonu klubu, wybornie urządzonego, przypomina widok z *Yacht-club'u* w Bombaju, ale jeszcze lepszy przegląd miasta i okolicy mam z fortecy. Zewnętrzny i wewnętrzny port, wiele basenów, pełnych statków rozmaitej wielkości i rodzaju, ceglami kryte dachy chińskiej dzielnicy, piękne wille Europejczyków, zielone brzegi i wyspy, liczne odnogi: obraz to nie wspaniały ale nadobny, który mimo że się to dziwnie wyda, żywo przypomina panoramę Chrystyanii. Dwie wysokie spiczaste wieże kościelne w mojem pobliżu, zwiększają jeszcze to podobieństwo. Już na Ceylonie uderzyło mnie to, że jeśli się zbliżka i z osobna nie ogląda roślin, to zwrotnikowe lasy i ogrody podobne są raczej do naszych, to jest północno- i środkowo-europejskich, aniżeli do wegetacji krajów morza Śródziemnego, z którymi u nas łączy się pojęcie Południa. Wielka wilgoć większej części okolic równikowych wytwarza tęsamą ostrą zieleń, jaką posiadają angielskie

Kościoty.

Widok  
z warowni.

Rośliny  
zwrotnikowe  
a wegetacja  
krajów Śród-  
ziemnego  
morza.

parki lub szwajcarskie doliny, podczas gdy południowa Europa, północna Afryka i zachodnia Azja są ojezyczną łagodnie szarej oliwki, ciemnej pinii, ciemnego dębu i cyprysu. Znajduję jednak, że drzewa te mają nie tylko barwę lecz także i formy szlachetniejsze, aniżeli drzewa północne i tutejsze, a palmy rosnące z osobna, jak się je tu i owdzie spotyka we Włoszech lub Azji Mniejszej, przenoszę nad lasy palmowe, zwłaszcza z oddali widziane.

Klimat  
w pobliżu  
równika.

Wszedłem o południowej porze na pozbawiony cienia, stromy, trawą porośnięty pagórek, dźwigający cytadelę, a słońce nie dokuczyło mi bardziej, jak gdzieś u nas w czerwcu. Jakaż różnica od Madrasu i Kalkuty! A przecież skarżą się mieszkańcy Singapuru na niezwykajny upał tej pory. Oddaleni jesteśmy tylko o  $1\frac{1}{4}$  stopnia od równika i zdaje się w istocie, że im bliżej niego, tem jednostajniejszy klimat i tem znośniejszy upał, podczas gdy okolice zbliżone do zwrotnika przez pewien przeciąg roku wydane są na pastwę niemiłosiernego słonecznego żaru.

Cieśnina Ma-  
lacca.

O godzinie 1 stanąłem znowu na »Oxus«, który też niebawem opuścił Singapur. Dwie godziny płynęliśmy teraz w ściśle wschodnim kierunku między miastem i portami, płaskim wybrzeżem i bujnymi lasami na północy, a pośród nie mniej bujnie zarosłych wysp na południu. Równikowy ten Bosfor, ożywiony licznymi statkami, ani pięknnością natury, ani historycznymi wspomnieniami nie może się równać z właściwym Bosforem, ale żegluga jest przyjemna, a kto wie, czy i ten gościniec morski, jeden z najważniejszych na świecie, nie otrzyma w przyszłości dziejowego znaczenia.

Morze  
Chińskie.

Około  $9\frac{1}{2}$  na północ od stałego lądu kilka zielonych wysepek, po każdej stronie wysoka góra, przed nami zaś otwarte morze Chińskie. Wybrzeża cofają się coraz bardziej i bardziej, po prawej stronie pozostawiamy za sobą małą skalistą wysepkę z latarnią morską, przepłynąwszy tuż obok niej; znaki ostrzegające

na żółtych ławicach piaskowych wskazują, jak trudno jest wjechać na ten gościniec światowy. W wielkiej dali na bezmiernej modrej powierzchni widniał parowiec, w pobliżu malajskie łodzie z szerokimi żaglami, za nami zaś w świetle zorzy wieczornej brunatne teraz brzegi, a między nimi jakby szeroka jaśniejsza brózda, cieśnina, którą przepłynęliśmy. Widocznie zmieniamy już kierunek, przekroczylem najdalszy południowy punkt mojej podróży, płyniemy w północno-północno-wschodnim kierunku, ku Saigon, pozostawiając na północnym zachodzie zatokę Siamską ze stolicą Bangkok, leżącą w najdalszem jej zagłębieniu. W nocy suche błyskawice, a księżyc na nowiu posuwa się po niebie całkiem horyzontalnie rogami do góry.

*5 maja.* — Cisza w powietrzu, morze tak gładkie, jak rzadko kiedy staw, a ma ową posepnie wspaniałą, żółtawo-fioletową barwę, z którą się niekiedy spotkać można pod Wenecją o zachodzie słońca, a której jeszcze żaden malarz nie oddał z całą wiernością. Małe latające rybki rozpierzchają się, przestraszone parowcem. Chmury w rozlicznych ciemnych tonach. Weale nie gorąco, dzień rozkoszny, zakłóca go tylko gruboziarnisty proch węglowy, który wskutek ciszy powietrznej jakby grad czarny osiada na pokładzie. Pod wieczór odbłask nisko stojącego słońca na gładkiej powierzchni razi oczy, nim osłabnie i nim przybierze w końcu kształt złocistego słupa. Zachód słońca ciemno-czerwony, atoli niezupełnie czysty. Nocą odzwierciedlają się wielokrotnie i gwiazdy i księżyc w jednostajnych fałdach, które tworzy woda, pruta spodem okrętu. Dziesięć księżyców tańczy fantastycznie po mokrej przestrzeni, a jak fosforescencya drżący blask gwiazd miga po morzu.

*6 maja.* — O godzinie 9 rano góry miernej wielkości wprost przed nami, na łysym pagórku latarnia, jest to Cap St. Jaques, brzeg jest francuską posiadłością. Wypaloną wegetacją okryte góry ciągną się na wschód

Cap St.  
Jacques.

Zegluga  
po rzece  
Don-nai.

od ujścia rzeki Don-nai, na zachód jest kraj płaski jak stół. U stóp gór hotel i kilka osad, lśniące białe francuskie okręty wojenne u wejścia do rzeki, która jest znaczna i szeroka, lecz bieg ma krótki. Główną rzeką kraju jest Me Khong, który wypływając z gór Tybetu, niedaleko stąd na zachód uchodzi do morza. Don-nai tworzy deltę; około 11 godziny wpływamy do jednego z ujść. Nieskończone na pozór błonia po obu stronach, rozliczne węzowate skręty ramienia rzeki, i wkrótce znajdujemy się w o wiele szerszej odnodze, może już w głównym strumieniu. Około 2 skręcamy do Rivière de Saigon, wkrótce potem okazuje się miasto, dość niepozorne zdaleka. O 3 stajemy na miejscu. Liczne statki, między nimi cztery lub pięć z niemiecką flagą.

Saigon.

*3 godzina po południu 6 maja do 4 godziny po południu 7 maja, Saigon.* — Ledwie się okręt opuści i stanie na szerokiej ulicy zasadzonej wysokimi drzewami z szeregiem okazałych domów i bogatych sklepów, a już niknie owo wrażenie czegoś niepokaznego, jakie miasto sprawia na pierwszy rzut oka. Niedługie lata, które upłynęły od zajęcia przez Francuzów, wystarczyły, aby stworzyć francuskie miasto prowincjonalne, którego wybitny narodowy charakter tak samo bije w oczy jak w Pondichéry. Tylko owo technienie minionego stulecia, unoszące się nad cichem indyjskim miastem kolonialnem, zastępuje tu najnowocześniejsza atmosfera, atmosfera Francyi po roku 1870. Czuć ją dziś najbardziej, bo właśnie wczoraj odsłonięto pomnik Gambetty i wszystkie domy okryte flagami, ulice udekorowane pękami trójkolorowych chorągwi, zupełnie na wzór paryski przy podobnych okazjach. Jeszcze nie rozjechali się goście świąteczni z okolicy i z Tonkinu, napróżno też szukam po hotelach pomieszczenia. Na okręcie nie chcę nocować z obawy komarów i hałasu, jaki sprawia ładowanie towarów, aż wreszcie znajduję całkiem schludny pokój u właściciela galanteryjnego



handlu: *Maison fondée à Paris en 1716*. Szczególnem jest na godle sklepowem to połączenie słowa »Paris« z rokiem poczynającej się regencyi, tu na południowo-wschodnim krańcu Azji w epoce Boulangera.

Główna ulica, *rue Calvat*, ma piękne sklepy, po większej części utrzymywane przez Chińczyków, z towarami z niebieskiego państwa i Japonii i z pięknymi wyrobami z drzewa, wykładanymi perłową macią, które się wyrabiają w Tonkinie. Przed sklepem siedzi niekiedy z pół tuzina obnażonych do pasa postaci z długimi warkoczami, które zapraszają cudzoziemca do wejścia lub też za ladą posilają się jadłem z ozdobnych miseczek, trzymając zręcznie patyczki między palcami. Dwa czy trzy razy czytam blisko obok siebie napisy *Coiffeur*. Nie jestto nigdy Chińczyk lecz zawsze Francuz, rzucony tu losami z Paryża lub Marsylii, tak samo jak w Petersburgu, Jassach, Suezie lub Konstantynie główny krzewiciel galskiej kultury. Nie brak też jego koleżanki; oto obok sklepu fryzjerskiego czytamy napis *Modes*, a cztery lub pięć Chinek siedzi na ziemi szyjąc i przykrawając według wskazówek Francuzki w średnim wieku, przejętej ważnością swej missyi. Główna ulica wiedzie do katedry, nowoczesnego paryskiego kościoła o romańskich formach z dwiema świątyniami wieżami, z wnętrzem bez fantazyi ale czysto utrzymanem. Szeroką *avenue* dochodzi się stąd do pięknego pałacu gubernatora, stojącego w środku wielkiego ogrodu. Otóż między katedrą a tym gmachem umieścili Francuzi w komiczny sposób swego spiżowego Gambette, który wskazuje na kościół, jakby go zburzyć polecał. Stoi on w zwykłej swojej retorskiej pozie, z długiego surduta spływa mu dłuższe jeszcze futro z węgierskimi sznurami. Przy najskromniejszej nawet dozie sympatyi dla Gambetty, litość zbiera, że w takim ubraniu biedak stać musi tu w miejscu najskwarniejszem na ziemi, pod wieczystym żarem słońca.

Posąg Gambetty.

Menażerya.

Bardzo piękny jest *Jardin public* z małą menażeryą. Bociany z ciemno-zieloną mieniącą się głową, czaple szare z ciemno-czerwoną szyją i takimże spodem głowy. Naprzeciw ptaków niedźwiedź w swej norze, a nad nim uczepiony jedną przednią i jedną tylną nogą u suchej gałęzi, kołysze się najwstrętniejszy orang-utang, jakiego kiedykolwiek oglądały moje oczy. Zakonnica w białej chustce na głowie, mała, żółta, skurczona Annamitka, stoi pod drzewem ze swymi mongolskimi wychowankami klasztorными. Cały obraz brzydki i dziwaczny, przypomina japońskie tuszowe rysunki. Wyborny obiad w *Hôtel de l'Univers*, znak to, że i artysta kulinarny przeprawił się tu z ojczystego kraju jako trzeci w przymierzu z treficielem włosów i modystką. Woźnice na kozłach bardzo porządnym wozów krytych lub otwartych, mają wszyscy olbrzymi chiński parasol ze słomy zamiast kapelusza na głowie. Natomiast krajowe annamickie wojska mają małe płaskie kapelusze drewniane w formie talerzy z metalowym ostrzem na środku, noszą je zaś ku czółu na bakier, jak francuskie *kepi*, włosy ich związane z tyłu czerwonymi wstążkami w olbrzymi szynion. Ci Annamici mają się bić wybornie, zwłaszcza przeciw Chińczykom, nowy to dowód tylekroć spostrzeżonej wrodzonej nienawiści blisko spowinowaconych plemion.

Wojska  
annamickie.

Na końcu jednej z bocznych ulic stoi zwrócony ku rzece na »Rond-Point« pomnik admirała Rigault. Przechadzając się po obiedzie na *quai* tam i nazad po pod ten pomnik, pytałem sam siebie, czy też rzeczywiście jestem w Kochinchinie a nie przypadkiem w pobliżu Trocadero. Ulica Catinat ma także coś paryżkiego i przypomina, zwłaszcza przy oświetleniu gazowym, Pola Elizejskie, gdzie przecież chińskie sklepy nie byłyby także na niewłaściwym miejscu.

Japońskie  
przedstawie-  
nie teatralne.

Wieczór japońskie przedstawienie w teatrze. Już za dnia spotkałem kilka powozów z żywymi lalkami,

ostro pomalowanymi mężczyznami i kobietami, z ogłoszeniami w ręku zapraszającymi na przedstawienie. Widowisko rozpoczął prolog, odśpiewany przez maskowanych aktorów, dalej nastąpiły popis akrobatyczne, wykonane przez dzieci między czwartym a dziewiątym rokiem życia z bajeczną karkołomną zręcznością. Nie mogłem patrzeć długo na to dręczenie dzieci i zasiadłem do szklanki *sherry* z wodą sodową w ogrodzie pobliskiej kawiarni, gdzie czeska damska orkiestra, w której zresztą są i mężczyźni, gromadzi każdego wieczora świat elegancki miasta. Wszędzie na bliższym i dalszym Wschodzie spotykać można takie grona austriackich współzmienników, a przynoszą one zaszczyt swej narodowości dobrem prowadzeniem się, które weszło w przysłowie. Mają one tylko platonicznych wielbicieli, a niejedna z nich została pocziwiona żoną lewantyńskiego kupca lub angielskiego kapitana okrętu. Dźwięki Straussowskiego walca przeniosły mnie do »Volksgartenu«. Wiedeńska muzyka na całej kuli ziemskiej jest lubiona, tak jak wiedeńskie bułki, od których w ogóle po za Austrią jest lepsza.

Czeska orkiestra damska.

Noc była straszliwie gorąca, a ponieważ nie wprawiono w ruch *pankhá*, cięższa nawet niż noce kalkuckie. Do tego rżęgotanie żab, jakie tylko w niezdrowym Alexandrette w Syrii słyszałem, znak febrycznego otoczenia miasta. Olbrzymi naturalny system kanałowy otacza Saigon, nieoceniony jako środek komunikacyjny, lecz zarazem nigdy nie wysychające źródło chorób.

Miasto liczy około 30.000 mieszkańców, wśród tego zaledwie 200 Europejczyków, reszta Annamici, a przede wszystkim Chińczycy. Jak wszędzie tak i tu okazują się Francuzi złymi osadnikami. Żadnej indywidualnej inicjatywy, wszystko powinien robić rząd, wszystkiego oczekuje się od rządu, za wszystko czyni się odpowiedzialnym rząd. Rzecz prawie nie do wiary, handel spoczywa głównie w ręku Niemców. Jak w Algierze spotykamy się tu z francuskim szykiem i polorem, lecz

Francuzi jako osadnicy.

brak przedsiębiorczego ducha, brak nieugiętej wytrwałości, które Anglosaksonom, Niemcom, a nawet dziś jeszcze Hiszpanom i Portugalczykom mimo ich narodowego upadku, niewolą szczęście w dalekich ziemiach.

Sholen.

Do Saigonu przytyka czysto chińskie miasto Sholen z 100.000 mieszkańców. Z powodu przecinających je kanałów przypomina ono niejedną holenderską miejscowość. Domy, pominąwszy godła sklepowe, nie mają oryginalniejszej cechy od domów w Singapur. Po sklepach nie brak prawie nigdy barwistego ołtarza przodków z woniejącymi świeczkami z przodu. W jednym sklepie widziałem sztychy z *Mony Lisy* Lionarda i z Maryi Antoinette Pawła Delaroche, tak niezrozumiałe właścicielowi jak nam chińskie obrazy, które w obywatelu państwa niebieskiego budzą również szereg wyobrażeń, choć mniej może skomplikowanych od tego, co nam mówią te dwa niewieście oblicza, wiszące tu na ścianie.

Domy bogatych Chińczyków.

Widziałem w Sholen wiele domostw bogatych Chińczyków, zawsze w ogrodzie lub *entre cour et jardin*. Między słupami u wejścia wisi regularnie jak na pagodach połączana rzeźba na drzewie, przeładowana figurami. Gdzie jest podwórze, tam na wysokości dachu widzimy pomalowane płaskorzeźby kamienne, znowu sceny obfitujące w figury lub postaci zwierzęce.

Dom jest zawsze parterowy, a jego rozkład podobny do rzymskiego, jak się też rzecz ma i z domem arabskim. Nie ulega to wątpliwości, choć może na razie dziwnie brzmieć będzie: przy całym oswojeniu się wewnętrznem z człowiekiem klasycznej starożytności, albo raczej przy całej naszej wysokiej opinii o stopniu tego oswojenia się z jego życiem i charakterem, życie zewnętrzne wschodniego Azyaty o wiele podobniejsze jest do życia Greka lub Rzymianina, niż życie nasze. W atrjum nie brak nigdy ołtarza przodków, często następuje jeszcze wewnętrzna komnata z drugim ołtarzem.

Pagody równają się w głównych zarysach tym domom znakomitszych obywateli, fasady jednych i drugich można zaledwie rozróżnić; jedne i drugie mają tychsamych groźnych strażników, namalowanych na podwojach bram, wewnątrz zachodzi tylko ta różnica, że w pagodzie sale przeznaczone do nabożeństwa zajmują cały budynek. Wielkie, złociste, brodate figury w ołtarzach, przed którymi palą się świecek woniejące, wyobrażają nie Konfucjusza albo Buddę, jak to w Singapur sądziłem, ale tak zwanych *josse* albo geniuszów: miasta, bogactwa, wojny i t. d. Obok nich stoją na straży trabanci, pomalowane figury z drzewa, również naturalnej wielkości, wykonane najczęściej z porywającym realizmem. W atryum spotykamy zwykle na prawo latającego smoka, na lewo tygrysa, fantastyczne płaskorzeźby z szarego kamienia. Przed wejściem do jednej pagody zobaczyłem rusztowanie, przeznaczone na teatralne widowisko. U Chińczyków więc związek między scenicznymi widowiskami a kultem religijnym, jak się zdaje, nie zupełnie jest zerwany. W jednej z tych świątyń ujrzałem za stołem z świeczkami małą dziewczynę, która klęcząc przed *josse* i zwyczajem dziecięcym na końcu każdego zdania głos podnosząc, przedkładała prośbę swą geniuszowi. Czy była to modlitwa o wyzdrowienie matki, czy też o nową sukienkę, nie mogłem niestety zbadać; w każdym razie była ona bardzo ważną dla dziewczynki, bo obecność moja nie zawadzała jej wcale w tej rozmowie ze szpetnym złotym mężczyzną.

Za Sholen, na jednej z dróg prowadzących do Saigon, przejeżdża się miejsce zasiane annamiickimi grobami. Są to szczególne małe budynki, skromnie ozdobione, z kilku szeregami chodników wśród całkiem niskich murów i z kamieniami o napisach, w pośrodku sarkofag, niekiedy nawet dwa obok siebie do środkowego muru przybudowane.

Pagody.

Annamiickie groby.

7 maja o 4 godzinie po południu opuścił >Oxus< Saigon; minawszy zakręty rzeki, powitaliśmy jak dobrodziejstwo stosunkowy chłód na otwartem morzu.

8 i 9 maja, na pokładzie okrętu „Oxus“. — 14 węzłów robiąc na godzinę, pędzimy przez lekko poruszone Chińskie morze. 8go trzymaliśmy się do południa całkiem blisko annamickiego wybrzeża. Dość wysokie ostre góry, tu i owdzie uwieńczone skałami w rodzaju wież, nikła wegetacya, liczne doliny rzeczne i wydmy piaskowe u ujść, wyspy skaliste w niewielkiej odległości od brzegu. Żywo przypomina mi się likijskie i kilikijskie wybrzeże. Brak tylko jako tła śnieżystych gór południowej Azji Mniejszej. Drugiego dnia po wyjeździe z Saigon upał dał się znowu uczuć dotkliwiej, niebo po południu bardzo było zachmurzone. Że się od równika oddalamy, widać po znacznie późniejszym zachodzie słońca i po ukośnem położeniu księżyca. Wzdłuż wybrzeża płynęliśmy wprost na północny wschód, teraz wiedzie nas droga, jak przed Saigon, na północno-północny wschód, wielką wyspę Hainan zostawiamy daleko na zachodzie, weale jej nie widziawszy.

10 maja. — Rano po lewej ręce szereg wysp średniej wielkości ze skałami, podobnemi z oddali do zamków i murów fortecznych. Są to Ladrone-Islands, tak zwane dla tego, że do niedawna były ulubionem schronieniem korsarzy. Wkrótce wyspy także po drugiej stronie, a wprost przed nami łyśa, ostra góra, około 1000 stóp wysoka, podobna do skały gibraltarskiej. Jest to góra Hongkongu. Przed 50 laty Hongkong było jeszcze nagą pustynią, aż je upatrzyli Anglicy na posterunek u jednego z najważniejszych wejść Chin. Płyniemy dokoła wyspy aż do cieśniny na jej północnej stronie i w obliczu miasta Victoria, zbudowanego amfiteatralnie pod górę, stajemy w pośrodku portu, liczącego się do najpiękniejszych na świecie. Tu stoją parowce wszystkich narodowości i małe statki w niezmiernej liczbie. Z za-

Annamickie  
wybrzeże.

Ladrone-  
Islands.

Hongkong.

dnej strony nie widać otwartego morza, dokoła wyspy i góry stałego lądu, możnaby sądzić, że się jest na którymś z włoskich jezior. W *steamlaunch* przyjeżdżam około godziny 11 przed południem do okazałego *quai*, zajmuję pokój w wielkim Hongkong-Hôtel, a po załatwieniu interesów winduję się na górę tak stromą koleją linową, jakiej dotąd nie widziałem. Dziwne jest wrażenie podczas tej jazdy, domy, kościoły, wszystko pochyla się, jakby podczas trzęsienia ziemi. Kolej wysadza mię na samym grzbiecie przełęczy, widok na oba morza, wyspy, przedgórze, jakby z wyżyn pod Sorrento, z których spogląda się równocześnie na zatokę Neapolitańską i Salerneńską. W lektyce każe się zanieść na najwyższy szczyt. Jakże cichy ten port na dole z niezliczonymi okrętami! Któżby uwierzył, że wprawdzie dość rzadko — Chińczycy twierdzą, że co siedm lat i oczekują znowu katastrofy tego lata — ponad tem wybrzeżem rozszałić się może orkan, co zrywa dachy, rwie łańcuchy kotwiczne, i rzuca okręty między domy! Jest to trąba powietrzna, »typhon«, postrach tutejszych wybrzeży i wód. Przyjście jego można przepowiedzieć, jakoż strażak działowy ostrzega przed nim w Hongkong mieszkańców domów i okrętów, a każdy ratuje się i chroni jak może; powietrze robi się żółte i nieprzeźroczyste, do szalejącego orkanu przybywa przerwanie chmury. Po straszliwym typhonie w r. 1874 wyłowiono w porcie tysiące trupów, a trudna do wiary ilość okrętów i towarów uległa zniszczeniu. Trąba powietrzna przychodzi zawsze od wysp Filipińskich, od wschodu, a główną jej porą roku są letnie miesiące, czerwiec do września.

11 maja. — 8 godzina rano. Znajduję się na »Po-Wan«, po polsku: »Stróż pokoju«, jednym z owych całkowicie na biało pomalowanych, eleganckich parowców, które kursują między Hongkongiem a Kantonem tam i napowrót. Okręty te są zbudowane na wzór sta-

Tyfony.

Jazda  
do Kantonu.Rzeczny pa-  
rowiec.

tków odbywających drogę w dół Mississipi; na spodzie, w tej wysokości, w której się zwykle znajduje jadalnia, olbrzymia przestrzeń na towary i dla kulisów, salony i kajuty na pokładzie z otwartą galerią dokoła i to wbrew zwyczajowi pierwsze miejsce na przedzie, co w każdym razie ma tę korzyść, że się ma więcej powietrza od morza a mniej pyłu węglowego. Dalej nad tem jeszcze drugi pokład pod namiotem. W salonie szafy pełne broni palnej z napisem: »Nabite, nie dotykać się«, a na przedzie u drzwi do schodów wiodących na spód okrętu, marynarz z gołą szablą na straży. W razie gdyby chińscy kulisi, których zawsze bardzo dużo mieści się na dole, chcieli wdrzeć się szturmem na górę, człowiek ten bronić ma wejścia na schody, aby europejskim podróżnym dać czas do schwycenia nabitych strzelb i rewolwerów. Przed 15 laty zamordowali kulisi kapitana jednego z tych parowców, a chociaż dzisiaj z Hongkong do Kantonu jedzie się tak bezpiecznie, jak z Wiednia do Preszburga, zatrzymali Anglię jako ludzie ostrożni i przyjaciele tradycyi nabite strzelby i żołnierza na straży z gołą szablą na tej linii parowców.

Płyniemy między wyspami a lądem do wielkiej zatoki, w którą się wlewają niezliczone ramiona płynącego z północy Canton River czyli Pearlrivier i dwóch innych rzek, tak zwanej Wschodniej i Zachodniej. Wielki obszar, złożony z ciągle zmieniających się wysepek, przecinają te skrzyżowane ramiona rzeki. Przy dzisiejszem chmurnem niebie możnaby sądzić, że się jest na norweskim fjordzie.

Pearlrivier.

Nieznacznie wpłynęliśmy w jedno z ramion, czarne wyspy skaliste, tu i owdzie rażącą oko murawą pokryte, zresztą pozbawione vegetacyi, przypominają mi coraz bardziej a bardziej moją podróż po wybrzeżach norweskich. Jak tam jedna wyspa nazywa się »Lew«, druga »Końska głowa«, tak tu spotykamy się z »Paszczą ty-



grysa\*. Dalej wyspy i góry z chińskimi warowniami i wysokim rusztowaniem, które zdaleka wygląda jak podwójna szubienica, a jest znakiem, że mandaryn ma tu swą siedzibę. Dziesięcio- albo dwunastopiętrowe wieże pagod na wyżynach, a dalej znowu mniejsze wieże na równinie, czworoboczne i bez ozdób, które nie są niczem innym, jak domami zastawniczymi.

O 4 $\frac{1}{2}$  ukazał się Kanton, las niskich dachów i roje łodzi, gotycka katolicka katedra, przewyższająca wszystko, wydaje się jeszcze bardziej obcą w świecie, który ją otacza, niż Aurangzebe'go meczet wśród świątyń i świętych krów i małp w Benares. O godzinie 5 jesteśmy przy pomoście: mister Alabaster, angielski i austriacki konsul, mały człowieczek z rozumnymi oczyma, w wysokim popielatym cylindrze przyjmuje mnie uprzejmie, wsadza mnie do lektyki, a sam także w lektyce poprzedza mnie w labiryntach ulic.

Kanton.

*11 maja po południu do 14 maja rano, Kanton.* — Wyobraźmy sobie Wenecję bez placu św. Marka i bez pałacu Dożów, ale trzy lub cztery razy większą i dziesięćkroć ludniejszą, z szeroką rzeką jako Canal-Grande, z mniejszą liczbą kanałów, z wirami ludzi na wąskich ulicach, na których podobnie jak w stolicy lagun, ruch powozów jest niemożliwy, spotęgowanym do nieuwierzenia, z niskimi drewnianymi pagodami i mieszkaniami mandarynów o wywijanych dachach zamiast kościołów i pałaców, z chińskimi wieżami zamiast kampanil, z tylu lektykami ile jest powozów we Wiedniu, z tylu i takiej wspaniałości sklepami jak w Londynie, z nieprzerwanym a tak szumnym jak w Paryżu potokiem ludzi, a będziemy mieli jakie takie wyobrażenie o Kantonie. Właściwe miasto leży na lewym brzegu Pearlriver, płynącego tu z zachodu na wschód, otoczone murem, który od strony rzeki jest nawet podwójny, wąskie zaś miejsce między rzeką a murem zewnętrznym, rozległe przestrzenie po obu stronach

Pięciopiętro-  
wa pagoda.

na brzegu i naprzeciw leżąca wyspa Honam są również pokryte budynkami. Tylko od strony północnej niema mieszkań ludzkich po za murem miejskim, który tu wdziera się na strome zielone wzgórza; za to morze grobów rozciąga się po pagórkach i dolinach. Na najwyższym punkcie wewnątrz muru wznosi się tak zwana pięciopiętrowa pagoda, niepozorny drewniany budynek, z drabiniastymi schodami, raczej wieża do używania widoku, niż cokolwiek innego, a na najwyższym piętrze jej można wypić herbatę z ciastkami w towarzystwie palących Chińczyków i dwóch szpetnych, pstro pomalowanych bożków drewnianych i ich trabantów. Jest to geniusz wojny i geniusz piśmiennictwa; siedzą tu poufale obok siebie i spoglądają na wieże i dachy Kantonu, podczas gdy przecież w życiu nie bardzo zgadzają się z sobą. Piękny stąd widok na mnóstwo grobów, na linię murów miejskich, na zielone wzgórza, błękitną rzekę i dalekie góry. Krajobraz ma coś z skromnych, a przecież wdzięcznych okolic frankońskich. Nieco niżej leży drewniana także wieża z zegarem wodnym.

Życie uliczne.

Gdy zstąpimy w wir uliczny, otoczy nas szalone, dziwaczne życie, w ogóle bardziej może odpychające niż pociągające. Najmniej przyjemną jest lektyka i ruch czterech bynajmniej nie woniejących tragarzy, podobny do twardego kłusu muła. Do tego krzyczą ci ludzie niestannie na przechodniów, a przechodnie nawzajem na nich, a nie podobna ich odwieść od tego, żeby ustawić z sobą nie papłali. I tak bolą uszy, nos i kości, a oczy mimo całej nieskończoności nowych widoków, nie opływają wcale w same tylko przyjemne wrażenia. Ilekroć chciałem konsula lub przewodnika poprzedzającego mnie w lektyce spytać o coś lub zatrzymać na chwilę, musiałem to skutecznie tylko straszliwym krzykiem moich i ich tragarzy, za czem poszło, że miąłem wiele ponętnych sklepów, nie wstąpiwszy do nich i że niejedno z tego, co widziałem, pozostało dla mnie

niewytlómaczonem. Ulice są tak wąskie, że z wielką biedą dwie lektyki wyminąć się mogą, większa część ulic biegnie między jednopiętrowymi domami, których cały front zajmuje jeden lub kilka sklepów, otwartych do ulicy. Z parterowej sali, w której prawie nigdy nie brak ołtarza domowego, tak jak w kącie rosyjskiej »izby« świętej ikony, wiodą schody do górnych również towarami zapchanych pokojów. Prostopadłe godła sklepowe we wszystkich barwach wiszą ponad sobą i obok siebie. Jak w bazarze w Damaszku rozwieszono są maty nad ulicą, które przepuszczając skąpo światło słoneczne, wywołują wielce malowniczą grę oświetlenia. W tych tysiącach a tysiącach sklepów znajduje się wszystko o czem tylko da się pomyśleć, począwszy od rzeczy służących do zaspokojenia pierwszych potrzeb, aż do przedmiotów najbardziej wyrafinowanego zbytku. Widzi się kowali bijących młotami przy ogniu, koszykarzy przy robocie, sklepy piekarskie i rzeźnicze wszelkiego rodzaju, niezliczone kramy zabawek, malowidła na jedwabiu, kapelusze wszelakich kształtów, broń, porcelanę i brzozy. Najczęściej spotyka się sklepy jednego i tego samego rodzaju obok siebie, zauważyłem całe ulice zajęte przez szewców, handlarzy owoców suszonych lub snycerzy. Ilekroć wszedłem do jakiegoś sklepu, otaczał go zaraz zbity tłum ciekawych i tamował przejście na ulicy. Podczas pobytu mego w Kantonie spotkałem się tylko z dwoma końmi, małymi tatarskimi kucami, z barwistymi obijanemi siodłami, które stajenni prowadzili przez ciżbę na uzdach. Dysząc i okrzykami drogę sobie torując wloką kulisi po dwóch na drągu największe ciężary, tuż obok roznoszą przekupnie wśród ciżby mnóstwo ptaków w klatkach. Wobec tej niesłychanej wrzawy nawet ruch w indyjskich stolicach jest ciszą, a ulica »Toledo« w Neapolu samotnym spacerem. W lektyce mej przebyłem wiele małych mostów i rzucałem spojrzenia w najponętniejsze dla malarza zaułki kanałów,

Sklepy.

Yamen kon-  
sula.

gdzie jednak nerwy powonienia narażone są na cięższe daleko próby, niż gdzie indziej w Wenecyi w sierpniu.

Wśród tego tłoku i huku znajduje się przystań spokoju i idyllicznej ciszy. Jest to *yamen* (pałac) angielskiego konsula. W wielkim ogrodzie, zaniedbanym, co tylko wdzięk jego podnosi, stoją zwaliska obszernego gmachu obok małego domu i pobocznych budynków, między którymi biegną mury ceglane z szczerochińskimi, całkiem okrągłymi otworami w miejscu bram. Wysoka wieża sąsiedniej pagody wyziera ponad mur otaczający, a daniele uganiają się po łąkach. Nad tem wszystkim unosi się jakieś niewypowiedziane uroczne technienie ruin, takie same, jakie otacza willę d'Este i Castell Fusano. Podczas wojny w siódmym dziesiątku tego wieku zburzyli tu Anglicy pałac mandaryna, zajęli cały obszar w posiadanie i płacą obecnie rządowi drobny czynsz roczny. Konsul nie mieszka tutaj stale, lecz tylko od czasu do czasu przybywa z dziećmi lub przyjaciółmi na kilka godzin. Mieszkanie i biuro ma on w europejskiej dzielnicy Sharmin, gdzie piastuje godność burmistrza. Sharmin leży na brzegu rzeki, na zachód od właściwego miasta Kantonu, tylko kanałem oddzielony od niego. Most wiodący ponad ten kanał łączy dwa światy przeciwne sobie jak ogień i woda. Z najbardziej chińskiego ze wszystkich chińskich miast — gdyż takim jest Kanton podług zdania wszystkich podróżnych w przeciwstawieniu do tatarskiego Pekingu, — wstępujemy w uroczystą ciszę, między obszerne trawniki, domy podobne do will zamożnej dzielnicy angielskiego prowincjonalnego miasta. Klub jest znakomicie utrzymany i posiada bogatą, dobrze uporządkowaną bibliotekę. Nocowałem na okrętach, które mnie do Kantonu przywiozły i stąd zabrały, zresztą zaś miałem główną kwaterę u Mr. Alabaster. Jego żona jest miłą, w Chinach urodzoną Angielką, dzieci, z których najstarszy chłopak ma lat jedenaście, wielce przyjemne. Wnet czułem się wśród tej

Sharmin.

rodziny jak w domu, a przy pożegnaniu ofiarowały mi dzieci swoje rysunki; jeden z chłopców ma stanowczo talent.

W dość znacznem oddaleniu od Sharmin, wewnątrz murów Kantonu, leży katolicka katedra, zwana tu bez wyjątku przez wszystkich »francuską«, podobnie jak kościoły w Ceylonie zowią się »portugalskimi«. Narodowość a wyznanie są w Azji równoznacznikami, a jak w Indjach Mahometanie, wyznawcy Brahmy, Buddyści, Jainowie uchodzą za tyleż narodowości, tak znowu tu wyznanie otrzymuje swą nazwę od narodowości misyjonarzy, którzy je propagują. Katedra, piękna francusko-gotycka budowa, lecz z ostremi wieżycami, jest może tak wielka, jak tum w Fryburgu, wewnątrz jej ma najszlachetniejsze wymiary, a nawet nowoczesne witraże, których zresztą nie jestem przyjacielem, nie czynią mi uszczerbku. Być może, że dobre wrażenie, jakie ta budowa na mnie wywarła, stąd w części pochodziło, iż był to pierwszy pomnik zachodniej sztuki w wielkim stylu, jaki po dłuższym czasie ujrzałem, że zatem po wszystkich owych meczetach, świątyniach indyjskich i pagodach chińskich tem przyjemniej i podniosłej na mnie oddziałał. Europa to przecież coś więcej niż Azya — to uspokajające i dumne uczucie, przejmowało mnie, gdy kroczyłem po wysokim, szlachetnym domu Bożym, porównywając go w duchu to z pustemi, to znowu dziwacznie lub potwornie przystrojonemi świątyniami Wschodu. Mimo to przecież, lub raczej właśnie dla tego, że między tą katedrą a tem, co się zresztą widzi w tej części naszego planety, leży przepaść prawdziwa, byłoby zdaniem mojem rzeczą roztropniejszą i właściwszą, dać inny styl katedrze w Chinach, niż ów najwybitniejszy zachodnio-północno-germański. Starochrześcijańska bazylika w rodzaju San Lorenzo *fuori le mura* w Rzymie wywierałaby zapewne równie podniosłe i czyste, a może jeszcze i czystsze wrażenie, a przemawiałaby zrozumiał-

Katolicka katedra.

Gotyka.

szym dla tego ludu, bo prostszym językiem, niż przedzierające niebo wieże, ostrołuki, sporniki i w malowanych szybach łamiące się światło. Gotyka jest widowym wyrazem tego, co chrześcijaństwo przed pół tysiącem lat uczynił z ludów germańskich i co one uczyniły z chrześcijaństwa. A nie mówi wcale przeciw temu fakt, że styl ten powstał we Francyi, wówczas bowiem można tam było jeszcze wyraźniej dostrzec krwi frankońskiej niż dzisiaj, a gotyka właśnie tak samo jak system lenny była czysto północno-germańskim wytworem, a co więcej reakcją przeciw południowemu, romańskiemu, klasycznemu duchowi. Gotyka jest w wyższym jeszcze stopniu stylem wyłącznie północno-zachodnio-europejskim niż stylem wyłącznie chrześcijańskim, a katedra w Kantonie zasługuje o wiele bardziej na nazwę »francuskiej« katedry, niżli sobie z tego zdawali sprawę jej pobożni założyciele. Znaczyłoby to wprost czynić ujmę uniwersalności chrystyanizmu, którego przewaga na tem polega, że się do wszystkich czasów, ras i do każdego stopnia cywilizacyi zastosować umie, gdyby się styl gotycki, jak to się często dzieje, poczytało za styl chrześcijański *par excellence*, za najwierniejszy wyraz chrześcijańskiej myśli. Kościół św. Marka, romańskie katedry w Spirze i Bambergu, wspaniałe kościoły z epoki odrodzenia we Włoszech, n. p. Santo Spirito we Florencyi lub też ów mały klejnot architektoniczny, kościół Madonny di San Biagio w Montepulciano, kościół św. Piotra albo któryś z hiszpańskich kościołów jezuickich — wszystkie one, każdy w swym rodzaju, niewątpliwie tak samo są wierną manifestacją religii Chrystusowej, jak katedry w Amiens lub Kolonii, Winchester lub Burgos. Gdybym atoli miał wymienić styl, który zdaniem mojem przemawia najwierniej językiem ewangelii albo przynajmniej językiem Ojców kościoła i wyraża chrześcijaństwo z najmniejszą przymieszką obcych mu pierwotnie żywiołów, to wskazywałbym zawsze tylko na bazylikę, jaka

Bazyliki.

się nam zachowała w kilku wspaniałych wzorach w Równie i Rzymie. A styl ten zaleca się nadto swoją prostotą i tem, że wymaga tylko małego nakładu środków. Z milionów zaś, które kosztowała katedra w Kantonie, można było niewątpliwie bardzo znaczną część obrócić korzystniej na szkoły i inne misyjne cele. Kościół nie jest jeszcze oddany do użytku, nabożeństwo odprawia się obecnie w dwóch kaplicach gmachu katolickiej szkoły misyjnej. Francuski zakonnik w chińskim stroju z wystrzyżonymi z przodu włosami i długim warkoczem, oprowadza mnie po nowej świątyni, po szkole, ogrodzie i księżym domie. Aby w okolicach, w których niema jeszcze gmin chrześcijańskich, niepostrzeżenie oddawać się pracy misyjnej i łatwiej ująć prześladowaniu, przywdziali francusey misyonarze strój krajowy, tak samo jak w Algierze, arabski. Poznaliśmy chińskiego duchownego, który nie zna żadnego europejskiego języka prócz łaciny i schludnie odzianą, dobrze wychowaną działawę szkolną.

Strój duchownych.

Do najbardziej charakteryzujących Chiny budynków należy w Kantonie gmach, gdzie dla południowych prowincyi, najsilniej zaludnionych w państwie, odbywają się wyższe egzamina. Dokoła niego wznosi się osobne miasto dla siebie, które właśnie teraz jeszcze się rozszerza, gdyż w ostatnich latach miejsce okazało się za szczupłe. W podwórcach widziałem łuczników, ćwiczących się w swej sztuce, jednym z przedmiotów nauki dla przyszłych oficerów. Belgia, Chiny i Japonia, o ile wiem, są jedynymi cywilizowanymi krajami, w których jeszcze strzelanie z łuku jako narodowy sport uprawianem bywa. Jak większa część gmachów w Kantonie, tak i budynki położone wewnątrz tego obmurowania, nie mają żadnych architektonicznych pretensyi. Tysiące małych, z cegieł wzniesionych cel, w których człowiek tylko z trudnością obrócić się i leżeć może, stoją w szeregach obok siebie przy ulicach założonych na kształt szachownicy. Nie są one numerami oznaczone, tylko

Gmach egzaminów.

Łucznicy.

słowami początkowych wierszy jednej z owych klasycznych chińskich ksiąg, które każdy człowiek z pretensją do oświaty na pamięć umieć powinien. W tych celach pozostają kandydaci dzień i noc pod kluczem, póki nie wykończą swych robót piśmiennych. Jadło gotuje się w garkuchniach wewnątrz obszaru budynków i przynosi im się do cel. Idąc dalej przybywamy do mnóstwa bud., które w czasie egzaminów zaopatrzone są w najrozmaitsze przybory, dalej do mieszkań profesorów, pisarzy i t. d. Właściwa sala, w której ogłasza się wynik egzaminów, jest mała i tylko poczwarnemi malowidłami ozdobiona. Znośne pokoiki tuż obok przeznaczone są dla egzaminatorów, którym w krytycznym czasie tak samo swych komnat opuszczać nie wolno, jak kardynałom podczas *conclave*. Nawet wicekról, przewodniczący całej tej procedurze, jest niejako więźniem przez ten czas cały. Według opowiadania, które mi się jednak wydaje przesadą, miało w zeszłym roku z przeszło 12.000 kandydatów tylko 80 otrzymać aprobatę. W każdym razie napływ jest ogromny, a odbyć szczęśliwie te egzamina tak samo prawie jest trudno, jak według słów ewangelii bogaczowi dostać się do królestwa niebieskiego. Uznani za nieuzdolnionych mogą po upływie roku znowu się zgłosić. Pomiędzy kandydatami spotyka się młodzieńki pachołeta i mężów z siwymi włosami. Kto ośmdziesiąty rok przekroczył, a przepadnie, tego *honoris causa* uważają za uzdolnionego. Egzamina te są furką do wszystkich urzędów państwowych i to tłumaczy ich doniosłość w życiu publicznem i prywatnem w tej ojczyźnie biurokratyzmu i pedanteryi.

Izba sądowa.

Zwróćmy się stąd do cięższych daleko egzaminów i pójdźmy o kilka ulic dalej do innej grupy budynków. W drewnianej otwartej hali siedzi sędzia przed stołem pełnym aktów, dokoła niego stoi kilku urzędników, a między nimi i tłumacz; rozprawy karne odbywają się bowiem w urzędowym północno - chińskim



języku i na ten też język tłumaczy się kantońskie narzecze oskarżonego. Klęczy on albo raczej przysiada na czworakach przed stołem, okuty, błagalnym głosem przedkładając swoją obronę. W półkolu widzowie, a z tyłu siepacz, trzymający trzeinę bambusową, aby na skinienie sędziego wypierających się winy zniewolić do zeznań. Jeden z przesłuchiowanych widocznie był już na torturach, bo nie mógł iść i musiano go odnieść do więzienia w siatce, zawieszanej u drąga, który spoczywał na ramionach dwóch mężczyzn. Na przedzie sali siedzą w łańcuchach skurczone, wynędzniałe, obdarte stworzenia, niekiedy z strasznymi twarzami, oczekując, aż na nich przyjdzie kolej przesłuchania. Do więzień rzuciłem tylko okiem, nędza i brud zniewoliły mnie do cofnięcia się ze wstrętem. Żaden dozorca więzienia nie bronił mnie i mego przewodnika przed biednymi mieszkańcami tej siedziby niedoli. Strasznie opuszczona postać ludzka sięgnęła do kieszeni mego surduta po chustkę do nosa, a przewodnika omal że nie udusili żebrzący więźniowie. Wyszedłszy na ulicę miałem wrażenie, jak gdybym wracał z piekła straszniejszego niż Dantejskie. Tracenie złoczyńców odbywa się za murami miasta, blisko brzegu rzeki na rodzaju podwórza, które zastawione było garncarskimi wyrobami. Z niektórych naczyń glinianych szczyrzyły się czaszki ściętych niedawno ludzi. Zbliżył się ku nam i kat i obnażył przedemną swój szeroki miecz. Amerykanie kupują regularnie to katowskie narzędzie.

Pagody w Kantonie właściwym nie odznaczają się niczem. W jednej z nich przechowują bardzo misternie wyrobiony, olbrzymi dzwon. We wszystkich widziny tak samo, jak w pałacach mandarynów i w gmachu egzaminatorskim, malowanych na skrzydłach bram dwóch strażników, wewnątrz zaś bram na prawo i na lewo dwóch dalszych olbrzymich w drzewie wyrzeźbionych i pstro pomalowanych, z których jeden, rzecz dziwna,

Więzienia.

Miejsce tracenia.

Pagody.

najczęściej gra na lutni. Potem druga brama, potem sala z właściwym *josse* czyli geniuszem. Widziałem tylko jeden portal pagodowy z czerwonego piaskowca, bogatymi ornamentami ozdobiony. W świątyni geniusza miast straszliwy ścisk, kramy jak w starej świątyni jerozolimskiej, w jednym pokoju obok głównego przybytku grupa małych bożków, w drugim mężczyźni czytający licznym słuchaczom ustępy z świętej księgi — i to całym biblijna scena.

Świątynia  
500 geniuszów.

Na zachodnim przedmieściu, na północ od Sharmín, znajduje się jedna z najważniejszych świątyń. Jestto świątynia 500 geniuszów. Przekroczywszy portal, trzeba się przewijać pomiędzy nagimi murami kilka razy to na prawo to na lewo, a nareszcie wchodzi się do niskiej, prostokątnej, niezbyt wielkiej sali. W pośrodku jednej ze ścian dłuższych stoi mała złocista *dagoba* z drzewa, z kilkakrotnym parasolem i niszami, w których stoją małe figurki. Całą zaś salę zajmują prostokątne przecinające się ulice, biegnące pomiędzy siedzącymi postaciami nadnaturalnej wielkości, ustawionymi na deskach, wysokości trzech stóp. Jestto 500 geniuszów, same męskie postaci z połączanego drzewa, każdy w innej postawie, wybornie wykonane. Jeden z nich ma usta otwarte i w zachwycie załamuje ręce nad głową, inny wskazuje na swą otwartą pierś, w której widać dziecię, większa część zaś siedzi w poważnej pozie nauczających.

Buddhystyczna świątynia.

Świątyń Buddy mało jest w Kantonie. Największa i najważniejsza leży na wyspie Honam na prawym brzegu rzeki i nazywa się świątynią »Flagi oceanu«. Ma trzy portale w wielkich odstępach, na drugim drewniani pomalowani strażnicy, z których jeden znówu z lutnią, większy i potworniejszy od wszystkich, jakich dotychczas widziałem. Z pierwszej świątyni dolatuje nas okropna muzyka, gdy wchodzimy do środka, defilują po przed nas bonzowie czyli kapłani; i tu żółto ubrani, ale w innym odcieniu niż kapłani cejlonscy i z szatą innej

barwy pod gładką jedwabną zarzutką. Muzyka milknie, nabożeństwo skończyło się niestety. W świątyni znajdują się trzy nadnaturalnej wielkości połączone posągi siedzącego Buddy, wyobrażające przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Tyłem obrócony do nich, a twarzą do przeciwległego wyjścia siedzi jeszcze inny Buddha. Za pierwszą świątynią leży druga, za tą trzecia. Druga jest nieco wyższa od pierwszej i nie zawiera nic prócz wielkiej *dagoby* z białego marmuru, ciekawej jako okaz zmian, którym ta typowa budowa uległa na chińskiej ziemi. Siedmiokrotny parasol wieńczy wysoką podstawę o kształcie kostki, z wierzchnimi krawędziami wywróconemi ku górze. Na każdej z czterech stron dobre płaskorzeźby, zwłaszcza jedna kobieta w chińskim stroju, jadąca na bajecznym zwierzęciu. Trzecia świątynia ukrywa zwykłego *josse* z orszakami. W jednym z bocznych budynków widziałem pół tuzina tłustych czarno- i biało nakrapianych świń. Zwierzęta te ulubione przez Chińczyków, całkiem odwrotnie jak u mahometan, bywają przez chorych lub inne osoby potrzebujące jakiejś łaski niebios, przyprowadzane do świątyni jako ofiary i spędzają tu następnie żywot wśród zbytków i rozkoszy, póki nie zginą naturalną śmiercią. Po drugiej stronie świątyni znajdujemy obszerny budynek klasztorny, mieszkanie bonzów. I tu wędruje się przez labirynt łysych murów, nim się dojdzie do otwartego refektorium, umeblowanego drewnianymi stołami i stołkami. Niedaleko stąd mały ogród warzywny i dość obszerny ogród ozdobny z ohydnie w ludzkie postaci strzyżonemi wielkimi drzewami i z długą aleją małych drzew bukszpanowych, którym podawano głowy, ręce i nogi z porcelany. Klasztor ten, jak wiele innych chrześcijańskich także klasztorów, jest zarazem gospodą dla wiernych.

Religijne stosunki w Chinach są gmatwaniną, w której trudno doszukać się wątku. Religia państwowa, polegająca na czci przodków i wielkich mężów, zdaje

Świnie jako ofiary.

Klasztor.

Religijne stosunki w Chinach.

się być czysto racjonalistyczną, a więc wcale nie religią w właściwym znaczeniu wyrazu. Do tego przyłącza się następnie cześć dla uosobień pewnych miejscowości i duchowych kierunków, atoli bez wszelkiego obowiązującego dogmatu. Buddyzm napotykamy w postaci z gruntu zmienionej, a wyznaje go zapewne większa część Chińczyków, o ile ich w ogóle obchodzi religia, zachowując zarazem inne formy kultu. W każdym razie nie jest prawdą, co w niektórych statystykach czytamy, aby buddyzm był wprost religią Chin.

Dom bogatego Chińczyka.

Na wyspie Honam leży także dom niejakiego How Gua, bogatego Chińczyka, którego odwiedziłem z konsulem i całą jego rodziną. Na zewnątrz, z murami bez okien, duże to obejście wygląda na więzienie. Nawet gdy się już przekroczyło niepozorne drzwi, idzie się jeszcze długo pomiędzy nagimi murami z cegły. Wreszcie stajemy w wysokiej sali gościnnej, skromnie drzewem wykładanej, krzesła także całe z drzewa, zwrócone są w dwóch rzędach ku sobie. Gospodarz wychodzi naprzeciw nas i wita nas rodzajem angielszczyzny, t. zw. *pidgin*. Ani słowa nie rozumiem z tego żargonu, na jaki sobie Chińczycy przykroili język angielski. Siedzimy uroczyście na krzesłach naprzeciw siebie, tak samo, jak mi się to tyle razy zdarzało na arabskim i tureckim wschodzie, gdzie także dość na tem etykiecie, jeśli się razem siedzi bez wymiany wielu słów. Przyнося każdemu filiżankę herbaty i stawiają na stoliczku obok krzesła. Filiżanka ma pokrywkę, która służy do czerpania i picia, herbata jest bardzo słabym wywarem, po którym pływają listki, podobnie jak turecką kawę pije się z osadem. Wreszcie powstaje gospodarz i wiodzie nas do sali z ołtarzem poświęconym jakimś *josse*. Kaplica antenatów, wysoka i przestronna znajduje się tuż obok. Przed obrazami przodków goreją świeczki, na ścianach wiszą obrazy dziadów i rodziców. Są to popiersia i wcale nie źle malowane, a antenatki wszystkie

Kaplica przodków.

nieładne. We drzwiach stoi służąca i ciekawie spogląda na cudzoziemców. Z kolei wchodzimy w otwartą drewnianą galeryę, wiodącą do właściwego domu mieszkalnego; widać z niej brudno-żółty staw, w połowie wielkimi liśćmi zakryty, z pomiędzy których za kilka tygodni wystrzelą białe i czerwone kwiaty. Wpółśród stawu leży zielona wyspa z altaną, do wyspy tej wiedzie wysoko rzucony most drewniany. Dom mieszkalny cały jest z drzewa. Podają nam znowu herbatę, na wysuniętej naprzód werandzie z widokiem na staw, z niewygodnymi kanapami, europejskimi lampami i zegarami ściennymi; te liche francuskie lub angielskie wyroby fabryczne, które szpecą tak samo Bardo tunetańskie, jak pałace indyjskich maharajów, są i w Chinach symbolem postępu i oświaty.

Staw z liśćmi lotosu.

W sąsiednim pokoju siedzi matka pana domu, miła stara kobietka, która przy podawaniu ręki długimi swymi paznokciami prawie nas do krwi podrapała. Młoda pani i dzieci są niewidzialne, za to cała rzesza kuzynek otacza matronę, a niektóre z nich wcale imponującej objętości. Biedaczki, wszystkie one za ledwie ruszyć się mogą, bo stopy ich od dzieciństwa niemiłosiernie wykoślawiono. Mieć nogi do chodzenia jest tylko przywilejem służ, których mnóstwo spotykamy na schodach i innych miejscach. Komfortu, tej północno-chrześcijańsko-germańskiej zdobyczy, nie znajdujemy ani śladu nawet w tym domu obfitości i dostatku. Łóżka są twarde i wąskie; nie widziałem żadnych przyborów do mycia, zapewne jedno tylko a może dwa lub trzy miejsca służą do toalety całym setkom mieszkańców tego ludzkiego ula. Siedzieć w otoczeniu rodziny na twardym stołku, palić fajkę mając przed oczyma staw okryty roślinami wodnymi, stanowi to nawet dla najbogatszego Chińczyka *non plus ultra* domowej przyjemności, chociażby nawet poznał europejskie urządzenia.

Skoślawione nogi kobiet.

Co w Kantonie najbardziej przypomina stolicę lagun, to wyspa Honam; odbijając z małego portu przed świątynią »Flagi oceanu«, aby się przeprawić przez rzekę, można sobie wyobrazić, że się płynie kanałem della Giudecca. Łodzie są wszystkie pod dachem, wyższym jednak, niż »felze« gondoli. W małej komórcie łodzi wiszą oleodruki, widoki Paryża i wzory mód z przed trzydziestu lat. Sampangi, tak się nazywają te łodzie, są dość ciężkie, a obsługują je najczęściej trzy osoby stojące i siedzące naprzemian, między nimi przynajmniej dwie kobiety. Ruch jest kołowy, bo wszystkie wiosła na wzór steru osadzone są w kierunku łodzi, a choćby kto nawet nigdy nie ulegał morskiej chorobie, może na sampangu doznać zbliżonego do niej uczucia. Przyptyw i odpływ dają się na rzece uczuwać bardzo znacznie, a przeprawa z jednego brzegu na drugi w czasie silnego prądu i wśród niezliczonych łodzi nie jest weale tak bezpieczną rzeczą.

Między temi łodziami jest pewien gatunek łodzi, który zawsze stoi nieruchomo. Są to tak zwane łodzie kwiatowe, które tworzą dzielnicę miejską na wodzie, jedna z najcharakterystyczniejszych osobliwości Kantonu. Tu koncentruje się noene życie miasta. Są to pływające restauracye, które uwarkoczonym światowcom zastępują nasze sale koncertowe, nasze kluby i wieczorne zebrania. Łodzie te połączone z sobą chwiejnymi deskami, tworzą chaos ulic i dziwić się trzeba, że się nie słyszy codziennie o jakiejś nieszczęśliwej przygodzie powracających do domu birbantów. Rzućmy okiem do wnętrza jednego z takich pokoi. Wonne kwiaty zwisają w koszach z pułapu. Europejskie lampy rzucają obfite światło. Dokoła okrągłego, oblicie zastawionego stołu siedzą weseli goście płci obojej. Kobiety z kwiatami w gładko uczesanych włosach, szkaradnie pomalowane, mężczyźni najczęściej goli po pas, co zresztą na całym Wschodzie nie jest rzeczą nieprzyzwoitą. Goście zajadają zręcznie

Sampangi.

Kwiatowe  
łodzie.

Uczta.

patyczkami z małych miseczek drobno posiekane łąkocie i piją wino lub inne silne napoje także z czarek porcelanowych, w podobny sposób, jak to czynili starożytni. Wśród głośnych okrzyków i żywych gestykulacyi gra młodzieniec z dziewczyną w morę, grę, która tu tak samo jest popularną, jak we Włoszech. Kto przegra, musi wychylić czarę wina. Wyznaję, że nie mi tak nie dawało wyobrażenia o ucztach Rzymian i Greków, jak te *parties fines* na wschodnio-azyatyckiej rzece. W tym samym pokoju, bliżej wchodu rozsiadła się partya graczy, karty są małe i wąskie, gra podobniejsza do naszego domina niż do wista lub taroka. Na sąsiedniej łądzi siedzą jacyś dwaj starsi panowie w kolosalnych, całkiem okrągłych okularach, zatopieni w partyi szachów, stół pokrywają jeszcze resztki obfitej wieczerzy. Z okrętu naprzeciw nam dolatuje nas muzyka, dwie kobiety i męczyzna przysiadło na ziemi, grając na skrzypcach i na lutni, a jedna z muzykantek śpiewa, podobnie jak śpiewają w Indjach i w Egipcie i jak niewątpliwie śpiewano u starożytnych. Dwa lub trzy grona przy stołach bawią się pieśniami i muzyką, jedno rozłożyło się na świeżem powietrzu i poczyna sobie jeszcze swawolniej od innych. Ale nigdzie nie masz prostactwa lub nieprzyzwoitości; konsul i ja wchodzimy wszędzie bez trudności, zapraszają nas, byśmy się rozgościli, przypijają do nas. Kobiety chichoczą wprawdzie tu i owdzie na widok długiego męczyzny obok małego, lecz ciekawość nasza nie żenuje ich bynajmniej. W tej drugiej budzie leżą na twardych, niewygodnych łożach dwaj męczyźni średniego wieku, trzymając przed ustami narzędzie na kształt fletu; nie obchodzi ich bynajmniej ani muzyka, przedzierająca się do nich z zewnątrz, ani zbyt głośnie towarzystwo hulackie w tym samym pokoju. Oto właśnie podnoszą się i siadają, aby wyczyścić swoje przyrządy; ich martwy, szklany wzrok tłumaczy nam, co robią; są to palacze opium.

Muzykanci.

Palacze  
opium.

Kształty ka-  
peluszków.

Strój  
dworski.

Podróż do  
Macao.

Macao.

Nakupiłem w Kantonie najrozmaitszych przedmiotów, są między nimi tarcze plecione ze słomy, na których namalowane są głowy tygrysie z otwartą paszczą, noszone przez żołnierzy i najróżnorodniejsze kapelusze, począwszy od niezmiernego, chroniącego przed słońcem i deszczem, czarno i czerwono pomalowanego kapelusza tragarza lektyki aż do małego czerwonego, krótkimi jakby aksamitnymi piórami przystrojonego kapelusika wysokich dostojników. Nabyłem także szatę dworską takiego mandaryna, ciemno-błękitną ze smokami haftowanymi złotem, rękawy u niej daleko dłuższe od ramion, kończą się rąbkami z czarnego jedwabiu, które mają kształt podków końskich. Jestto strój przepisany dla przyjęć dworskich, kiedy to magnaci państwa, leżąc na czworakach pozdrawiają Syna Nieba.

*14 maja.* — Parowcem »White Cloud« opuszczam o 6 rano Kanton i płynę aż do ujścia rzeki tąsamą drogą, którą tu przybyłem; stąd zaś płyniemy zamiast w północno-wschodnim kierunku ku Hongkong, wprost na południe do Macao. O 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> jesteśmy niedaleko celu, nie możemy jednak z powodu odpływu dostać się do cieśniny. Ostatecznie wpływamy, pędzimy siłą pary dookoła półwyspu Macao i zawijamy do portu. Chiński okręt wojenny, zupełnie na wzór europejskich, z piękną flagą, czarny smok na złotym polu, dwa portugalskie parowce i mnóstwo *djonków* stoi u wybrzeży chińskiego miasta. Mały skalisty półwysep, od przeszło 250 lat w posiadaniu Portugalczyków, wyskakuje wprost na południe w morze, małym tylko przesmykiem z lądem połączony. Tak tu jak po zachodniej stronie większe, od wschodu w oddali mniejsze wysepki w wielkiej zatoce w kierunku ku Hongkong. Dwie lub trzy warownie na wzgórzach, kraj pełen dobrze uprawnych ról i ogrodów, przecięty pięknie utrzymanymi drogami, szczyt półwyspu zajmuje miasto. Wschodnia jego dzielnica sprawia wrażenie, jak gdybyśmy się przenieśli do Portugalii i to



w początek XVII stulecia. Ładne pałace, wielkie kościoły; z katedry w stylu jezuickim utrzymała się tylko sama fasada, podczas gdy reszta budowy zniszczyła w ogniu. Te terasy i balkony, te wysokie portale i ciche słoneczne ulice przypominają wewnętrzne miasta Corfu, które bardziej niż greckiem, pozostało weneckiem, a więc romańskim miastem. Było zapewne wpływ tego wrażenia, że spoglądając także z przesmyku ku małym wysepkom, dopatrywałem się podobieństwa z Corfu. *Quai* jest zabudowane jednopiętrowymi, pstro pomalowanymi, najczęściej 200 przynajmniej lat liczącymi domami a oceniają je wielkie drzewa. Wszystko jakby wymarło, tu i owdzie przechadza się zażywny pater w kapeluszu o szerokich krysach, z laską w dłoni, którą ze czcią całuje jakies dziewczę po drodze, albo strojna dama o kawowej cerze, w *jin-riki-sha* — gdyż i w Macao niema koni do pociągu — za którą chińska służąca w drugim wózku wiezie ciemne *baby* na ręku, albo też kawowo-brunatny dandy, który pytany o drogę, wzrusza ramionami i odpowiada, że nie rozumie po angielsku. Jak w Goa, zmieszała się tu silnie krew przybyszów z krwią krajowców, a białymi są właściwie tylko nieliczni urzędnicy i żołnierze przysłani tu z Lizbony. W pysznie utrzymanym ogrodzie z pięknymi widokami jest grotta skalista, w której Camoëns stworzył swoje *epos*. Ustawione tu popiersie jednookiego poety, pod którym wryto wiersze z *Luzyadów*. Wszędzie dokoła na skale wiersze do Camoënsa we wszystkich językach, także sonet, pod którym znajduje się nazwisko Torquato Tasso; niestety prawie wszystkie napisy zatarte, litery już nieczytelne. Tak związała się pamięć największego duchowego bohatera Portugalii z tem miejscem, które samo jest znowu jakby szczątkiem i cieniem krótkiego peryodu światowego stanowiska tego kraju. Szczególny los narodu, który taką wielkość osiągnął, aby ją tak krótko utrzymać. Portugalia i Holandia obie równie

Grotta  
Camoënsa

nagle do równie wielkiej potęgi wzniesione, równym przez czas jakiś otoczyły się blaskiem, ale sława Niderlandczyków opierała się przecież na trwalszej podstawie, a ich upadek nie jest tak głęboki, jak upadek ziomków Camoënsa i Vasco da Gama.

Chińska  
dzielnica.

Kanał nie dzieli w Macao, tak jak w Kantonie, europejskiego miasta od dzielnicy chińskiej, a przecież różnica jest może jeszcze jaskrawszą, różnica między minioną wspaniałością, a dźwigającą się pracą, między martwością, a wzbierającym życiem, między przeszłością a przyszłością, a przyszłość w Macao to Chiny. W tej zachodniej dzielnicy miasta sklep obok sklepu, a każdy zapaśny, ruch towarów ze statków i na statki, wieczny potok ludzi i aż do późnej nocy rozgwar teatrów, kawiarni i domów gry. Te ostatnie, nazywane przez Chińczyków *sang-po*, co Portugalczycy przekręcili na *fantan*, są właściwą osobliwością Macao. Bogaci i biedni tracą tu grosz swój co nocy, a regularnie każdej soboty przywozi tu okręt angielską złotą młodzież z Hong-Kongu, stawki zaś dochodzą do bajecznej wysokości. Jest zapewne ze sto takich domów w chińskiej dzielnicy, a wszędzie gra jednakowa. Zielony stół, wielki stół małych okrągłych kawałków mosiądzu z czworoboczną dziurą w środku. Krupier z warkoczem chwyta garść tych marek i kładzie przed sobą na stole, następnie pałeczką usuwa zawsze po cztery, aż w końcu zostanie ich jeden, dwa, trzy lub cztery. Gracze stawiają na jeden z tych czterech numerów, a nawet na dwa naraz, z wygranej odciąga krupier ósmy procent.

Domy gry.

Chiński teatr.

Chiński teatr, który zwiedziłem, jest podobnie zbudowany jak teatry indyjskie i mahometańskie w Bombaju. Prosta budowa drewniana, bez łóż, u wejścia, już w obrębie miejsca dla widzów artykuły żywności na sprzedaż, oświetlona tylko scena, a mianowicie tylko jej środek. Po obu stronach tego oświetlonego miejsca publiczność, jak na scenie staroangielskiej lub Moliérow-

skiej, ale w fotelach nie dostojni ludzie jak tam, lecz hołota, która, zda się, w jakiś sposób darmo się tu dostała. Żadnych dekoracyi, role kobiet grane przez mężczyzn, wszystko jak za czasów Shakespearę'a, ale na scenie orkiestra, która albo towarzyszy słowom aktorów, albo je przygłusza, czego na Szekspirowskiej scenie zapewne nie było. Jak w teatrach w Bombaju, można było to, co tu widziałem, nazwać raczej operetką niż czem innym, i to operetką z postaciami z codziennego życia. Rzeźnik, który kilkakrotnie występował zachwalając swój towar, był prawdziwie komiczną figurą.

Wracając z teatru na parowiec, widziałem na jednym z placów deklamatora, który przysiadłszy na ziemi, głośno powieść swą recytował, ludzie głęboko zasłuchani siedzieli dokoła niego, a mały chłopak od czasu do czasu towarzyszył słowom uderzeniami w bęben.

Deklamator.

*15 maja.* — Od 8 do 11 godziny rano przeprawiłem się przy uroczym jasnym niebie z Macao do Hongkong. Oświetlone dziś pełnią blasków słonecznych, przypominały mi wyspy i wysepki już nie Norwegię lecz grecki Archipelag. Hongkong w oddali przedstawiał się zachwycająco.

*15 do 18 maja rano, Hongkong.* — Wkrótce po moim przybyciu miałem zajście dramatyczne. Służący mój z Bombaju, którego jeszcze ciągle miałem z sobą, rzucił się przedemną na ziemię i oznajmił mi łkając, że mu ojciec umarł, że matka i jedno z jego dzieci ciężko zachorowały, że żona domaga się jego powrotu; współziomek pewien miał mu właśnie przynieść tę wiadomość. Nie pozostawało mi nic innego jak tylko odprawić tego człowieka, jakkolwiek byłbym go chętnie zabrał z sobą przynajmniej do Japonii, bo chwilowo nie można tu znaleźć porządnego służącego do podróży. Ale poczciwy Mahadöh nie poprzestał na tem, chciał jeszcze stanowczo dowiedzieć się odemnie, gdzie dusza jego ojca obecnie przebywa i czy go znowu zobaczy. Pocięczałem

Scena z moim  
indyjskim  
służącym.

go jak umiałem, nie mogłem go jednak przekonać o zupełnej mojej niekompetencji w podobnych sprawach.

Chińczycy  
jako służący.

Kto się przyzwyczaił do uległości brunatnych mieszkańców Indyi dla białego człowieka, temu zachowanie się Chińczyków wydać się musi wielce dziwnem. Lepszy z nich są w służbie punktualni, sumienni i uczciwi, patrzą jednak na Europejczyka z góry w pełnem przeświadczeniu o wyższości żółtej rasy. Mój kelner pokojowy w Hongkong-Hôtel bawił mnie swemi protekcyjnymi manierami, ilekroć dawałem mu jakieś polecenie lub o coś pytałem. Skośnoocy Ganimedowie podają w jadalni gościowi skrzydełko kaczkę lub wodę sodową z wyrazem głębokiej pogardy. Obiady o niezliczonych daniach, z pomiędzy których wybierać można, są po stałych cenach, porceje jednak bardzo są skąpe, kuchnia nieszczególna.

Miasto  
Wiktorya.

Miasto Wiktorya leży mniej więcej pod stopniem szerokości Kalkuty, tak jak Saigon pod stopniem szerokości Pondichéry, ale temperatura jest bez porównania przyjemniejsza niż w mieście nad Hugli. Mogłem sądzić, że znajduję się w lecie we Włoszech i ani chwili nie było mi za gorąco. Europejskie i chińskie miasto zlewa się tu z sobą. Na 200.000 mieszkańców będzie zaledwie 2000 europejskiej ludności, a to obok Anglików także Włosi, Hiszpanie, Portugalczycy. Wielka, pięknie położona, lecz jako dzieło architektoniczne niewybitna katolicka katedra, nazywa się tu «włoskim kościołem», bo ksiądz z Medyolanu jest jej przełożonym. Hübner ma słuszość, nazywając europejską dzielnicę zwrotnikowem Ventnor lub Shanklin, lecz również tak często jak na wyspie White zdawało mi się, że się znajduję w Castellamare pod Neapolem, zwłaszcza gdy kazałem się nieść pod górę po stromo pnących się ulicach, pomiędzy murami ogrodów, z po za których przechylają się przepyszne drzewa. Położeniem swoim i roślinami celuje także

publiczny ogród, pełen pięknych widoków, jakie w równej różnorodności posiada tylko ogród Boboli we Florencji. Niezrównany i jedyny w swoim rodzaju miał nastrój ten park raz po zachodzie słońca, gdy ciemne jego cedry odcinały się od jasno zielonego nieba. Podczas wspaniałych nocy księżycowych widziałem z najwyższych ulic przez czarne konary drzew światła całego tysiąca wielkich i małych okrętów, jaśniejące na srebrzystej powierzchni wody. Tu i owdzie spotyka się na drogach w pobliżu miasta ładny prywatny powóz, cudzoziemiec jednak i tu poprzestać musi na lektykach i *jin-riki-sha*, które do niewierzenia są tanie, do których jednak jeszcze przyzwyczać się nie mogłem.

Ku zachodowi prowadzą z miasta piękne spacery na wzniesienie, z którego widać zatokę i zarazem otwarte morze. Daleko u stóp najwyższego szczytu wyspy, na którym niedawno stałem, na południowym stoku wąwozu leży obszerny chiński cmentarz, podobnie jak w Kantonie i jak tureckie cmentarze, murem nie otoczony, z tej strony wąwozu zaś z widokiem na ląd stały widać wśród niskich krzaków większe grobowce. Chińskie groby podobne są do annamickich. Po kilku stopniach wstępuje się do sarkofagu z napisem, a sarkofag ten tylną swą krawędzią przypiera wprost do muru, który go otacza w półkole. Jak rzędy ław w starożytnym teatrze, idą po sobie w niewielkich odstępach dalsze, coraz wyższe mury, dopóki mur najwyższy nie zamknie całości.

Groby wszystkich nie-Chińczyków leżą w takim samym prawie oddaleniu od miasta w przeciwnym, wschodnim kierunku, w pięknie nazwanej »Szczęśliwej dolinie« obok toru wyścigowego. W jednym rzędzie obok siebie spotykamy tu cmentarz mahometański, katolicki i angielski, a następnie cmentarz czcicieli ognia, którym w Hongkong nie wolno tak jak w Bombaju, zo-

Chińskie  
groby.

Szczęśliwa  
dolina.

Drogi  
spacerowe.

stawiać umarłych w wieżach milczenia na pastwę sępom. Angielski cmentarz jestto rozległy zwrotnikowy park, w którym wśród pysznych grup drzew rozrzucone są pomniki. Droga spacerowa, jak wszystkie drogi dookoła Wiktoryi z tak przesadną starannością utrzymana, że się prawie z przykrością odczuwa zbytnią opiekę człowieka nad naturą, wiedzie z doliny do zbiornika wody, a następnie przez mosty i wodociągi w znacznej wysokości napowrót do miasta, a drogę tę możnaby tak samo jak heidelberską »drogę filozofów«, odbywać codziennie bez uprzykrzenia jej sobie. Co sto kroków spotyka się jasno brunatnego, słusznego policyanta w czerwonym turbanie. Pochodzą oni z Panjabu, który dostarcza indyjskiemu państwu najdzielniejszych i najwierniejszych żołnierzy, a urząd ich w Hongkong nie jest wcale synekurą, gdyż każdy Chińczyk z okolic Kantonu, mający powody unikania bliskości tamtejszych więzień, osiada tu na tej angielskiej skale; żółta ludność tutejsza jest najprzewrotniejszą, jaką sobie tylko wyobrazić można, a kradzieże są tu stosunkowo jeszcze częstsze niż w Londynie. Późnym wieczorem 17go przeprawiliśmy się na łód stały, gdzie stał na kotwicy »General Werder«, należący do północno-niemieckiego Lloyd'a, który zawieść mnie ma do Yokohamy. Wdzięcznie oświecał księżyc cieśninę, piękne sylwety gór i oświetlone domy Wiktoryi, piętrzące się na stromem wzgórzu, jak domostwa miasta Syra na wyspie tegoż nazwiska w greckim Archipelagu. Z brzaskiem następnego dnia ruszyliśmy ku wschodowi z portu po stronie przeciwnej tej, którą przybyłem, i płynęliśmy jeszcze blisko godzinę wzdłuż wyspy, która prócz latarni morskiej na końcu, nie ma już żadnej osady ludzkiej i mało tylko posiada roślinności. Z kolei następują skały wychylające się po jednej z morza, podczas gdy po lewej ręce przez cały dzień widnieje brzeg chiński.

Odjazd do  
Yokohamy.

18—24 maja rano, na „General Werder“.

Na „General  
Werder“.

Okręt jest daleko mniejszy niż parowce *Messageries*, które zwiedzają te wody, daje mi jednak tę korzyść, że płynie wprost do Yokohamy, nie zatrzymując się nigdzie indziej w Japonii. Mało pasażerów, a co dla mnie jest zawsze rzeczą przyjemną Angloindowie, którzy wolą przepędzić gorącą porę roku na morzu i w umiarkowanym klimacie Japonii, aniżeli w jakiejś stacyi klimatycznej; pruski oficer, podobnie jak ja odbywający podróż dokoła ziemi, a niestety, także i niemieckie stadło małżeńskie z trzema rozpuszczonymi łobuzami, którym opędzić się trudno. Dozoruje ich bardzo niedostatecznie stara chińska służąca, chodząca, jak inwalid na drewnianych nogach, pochodzi bowiem ze znakomitej rodziny i dlatego już w dzieciństwie zdefigurowano jej stopy. Młodsza jej siostra uciekła od rodziców, aby uniknąć tych katuszy. Była ona równocześnie z dwiema innymi kobietami prawowitą małżonką mandaryna, po którego zgonie musiała szukać służby. Piszę i czytam przez dzień cały, a mimo złej kuchni, znowu mi tak dobrze na morzu jak mało gdzie.

Delfiny, fosforescencya, latające ryby, wreszcie mewy w pobliżu japońskiego wybrzeża, większa część brunatnych, tylko kilka białych z czarnymi ogonami. Drugiego dnia podróży widzimy na lewo stożkowatą wyspę Ochsö z latarnią morską przed górami chińskiego wybrzeża, które wkrótce zniknie na zawsze. Wstrzymuje nas nieco silny północno-wschodni *monsun*, przeciw któremu wprost płyniemy. Chłód jest dotkliwy, a że zwrotnik mamy po za sobą widać i po tem, iż chmury formacją swoją podobne są do chmur w naszym klimacie. Wyspa Formosa pozostała niestety daleko w mgłę na prawo. Po południu 21 przepływamy najdalej ku północy wysuniętą część wysp Liu-kiu, należących już do Japonii. Jedna z nich po prawej stronie, przypomina zarysami Ischię, i jest, jak się zdaje, niezamie-

Wyspy Liu-  
kiu.

szkaną, podobnie jak kilka innych, tylko na większej, Oshima, którą od lewej strony zbliża mijamy, muszą znajdować się ludzkie osady, sądząc po łodziach rybackich powracających ku niej i po uprawnej ziemi blisko brzegu, który dokładnie rozróżniamy. Nad najwyższym szczytem górskim na wyspie białe chmury, jak nad Wezuwiuszem. Całkiem świeże pokłady lawy świadczą, że góra ta rzeczywiście jest wulkanem.

23 ujrzeliśmy wybrzeże Japonii, ale niestety nie górę Fusijama, wulkan śnieżysty, Etnę dalekiego wschodu, którego widoku byłem tak chciwy, gdyż szary pokład chmur rozłożył się nad lądem. Płyniemy w znacznym oddaleniu wzdłuż wybrzeża. Szczególnie piękne zapanowanie słońca po za ostro profilowaną wyspę, której kontury wrzynają się w jaskrawo-czerwoną tarczę. Nazajutrz rano o 4 budzę się w obliczu Yokohamy.



Łódź kwiatowa w Kantonie.





Fusijama.

## VI. JAPONIA. — Z YOKOHAMY DO SAN FRANCISCO.

24 maja do 3 czerwca, *Yokohama, Tokio i okolica*. — »General Werder« zatrzymuje się w wielkiej zatoce tokijskiej, w którą wpłynęliśmy nocą przez cieśninę. Z brzegów jej widzimy tylko zdaleka otaczające nas półkole. Wybrzeże jest płaskie i zielone, z wyjątkiem tej części, gdzie się rozciąga po amerykańsku banalne *quai* joko-hamskie, poza którem po jednej stronie wznoszą się wzgórza z domami i willami. Są to *bluffs*, w których większa część tu rezydujących Europejczyków założyła swe domowe ognisko. Bezlik statków wszelkich rozmiarów i narodowości stoi w porcie, a ze wszystkich powiewają dziś flagi z powodu jakiejś uroczystości. Na ląd zawozi mnie japoński *sampang*, różniący się korzystnie od chińskich czystością, lecz niestety z równie nieprzyjemnym ruchem wiosł jak one.

Port w  
Yokohamie.

Tłum kulisów ciągnących małe wózki stacza walkę o mnie, aż wreszcie jeden z nich szybkim kłusem wiezie mnie wzdłuż *quai* do Grand Hôtel'u. Dom to całkiem europejski, wysoki włoski kelner z godnością przewodzi w jadalni japońskim karłom, którzy są pod jego komendą. Na *quai* kilka wielkich sklepów, bardzo ponętnych, z niezlicznymi starożytnymi, a przeważnie nowymi japońskimi towarami; ceny istnie kalifornijskie. Najmniejsza drobnostka kosztuje dziesięć japońskich dolarów czyli *yen* (20 i kilka złotych reńskich); chowam grosz i ochotę

Yokohama.

Konsul  
Kreitner.

do lepszej sposobności. Yokohama jest bardzo rozległym miastem i ma około 100.000 mieszkańców, proste ulice, bądź z europejskimi domami, bądź z niskimi drewnianymi budynkami i sklepami, kanały równoległe do *quai* liczne mosty drewniane. Stromo idzie się ku wzgórzom w północno-zachodniej stronie miasta. Tu mieszka w sąsiedztwie kolegów swoich austriacki konsul, kapitan Kreitner, znany uczestnik wyprawy Széchényi'ego do Chin, szczery żołnierz, szczery Austriak i wyborny człowiek. Jemu i jego przyjemnej, wesołej żonie zawdzięczam niezliczone dowody uprzejmości i niejedną wesołą godzinę w miłym domu z widokiem na lesiste pagórki, który mnie w myśli prznosił do pewnej znajomej mi gościnnej willi w okolicy Wiednia.

Do r. 1859 była Yokohama wsią rybacką, większa część domów powstała dopiero przed dwudziestu laty, kiedy to miasto padło ofiarą gwałtownego pożaru. Zaprzeczyć się tu nie da wpływ wielkiej republiki po drugim brzegu Cichego oceanu. Amerykanie zrobili sobie z Japonii cel letnich wycieczek jak Anglicy z Norwegii, i jak Bergen stało się miastem na pół angielskiem, tak samo zamerykanizowało się Kobe, a jeszcze więcej Yokohama.

Kolej do  
Tokio.

Zaraz po południu po przybyciu, pojechałem do stolicy Tokio, godzina jazdy koleją. Wąskotorowa droga żelazna, jak wszystkie w Japonii, eleganckie lecz niewygodne, zawsze przepelnione *coupés*, na podróźnych sześciu stóp wysokości tak mało liczono tu, jak w ogóle wszędzie w tym kraju. Jeśli na tym jednym punkcie porównanie wypada na korzyść Indyi, to pod innym względem rzecz się ma odwrotnie. Ruch podróźnych na kolejach japońskich prawie tak samo jest olbrzymi jak na indyjskich, ale nie masz tu wcale tego wrzasku i rwetesu, który na niejednej stacyi pod Bombajem albo Delhi budzi domysł, że musiała właśnie wybuchnąć wojna domowa; tylko nieskończone kleko-

tanie drewnianych trzewików, tu i owdzie zagłuszone piskliwym głosem kobiecym. Kolej biegnie równolegle z morzem, które jednak widać tylko miejscami: niderlandzka zieleń i niderlandzkie domy drewniane, tylko niestety pagórki zamiast równiny niderlandzkiej, tak, że wszystko jakoś drobniej się wydaje, niż w Holandyi. Jeszcze silniejszy klekot drewnianych trzewików zwiastuje mi, żeśmy stanęli w Tokio. Idąc za wskazówkami Kreitnera, usiłuję kulisa ciągnącego mnie w wózku skierować do austriackiego poselstwa, dokąd też po długim blakaniu się przybywamy.

Ale czyż to w istocie stolica wysoko cywilizowanego państwa o 35 milionach mieszkańców? Wszak to niezliczone galicyjskie miasteczka, jedno obok drugiego, nie nadto. Jednopiętrowe domy drewniane, sklepy wszędzie w parterze. Wielki ruch pieszych i *jin-riki-sha*, bardzo mało powozów i to należących do dworu, do najwyższych dostojników i do obcych posłów. Żadnego wybitnego gmachu, tylko mury forteczne z bezkształtnych jakby cyklopowych kamieni, otoczone rowami z wodą, dalej także mury, a nad nimi na zielonym stoku krzywe pinie, charakterystyczne drzewo Japonii, z szerokimi gałęziami, sięgającemi niżej korzeni. Dawny bowiem zamek shogunów, nie tylko mieszkalny ale zarazem obronny, który w innych japońskich miastach leży na jednym końcu, wznosi się tu w środku samego miasta i stanowi wielką zawadę w ruchu tokijskim. Po za zewnętrznymi murami mieli swe pałace daimiowie, starożytna feudalna szlachta, i byli obowiązani przebywać w nich przez sześć miesięcy roku; wewnątrz drugiego obmurowania rozciąga się znowuż murami przecięta, właściwa siedziba władcy, tu były domostwa i ogrody shoguna, jego urzędników i służby. Ten obszar był dawniej całkiem niedostępny, a na starych planach miasta Tokio, zamiast niego, jest tylko próżne miejsce: dzisiaj, kiedy po wielkich przewrotach z r. 1868 mikado

Tokio.

Pałac  
cesarski.

rezyduje w dawnym pałacu shogunów, oddano mniejszą część przestrzeni na użytek komunikacji, obszaru wszakże mniej więcej tejsamej objętości co śródmieście Wiednia, nie może jeszcze dotknąć stopa cudzoziemca, chyba przy uroczystych, wielce rzadkich sposobnościach. Obszar ten zajmuje pałac cesarski wraz z przynależnymi gmachami i rodzaj Prateru, dziki park, pełen przepysznych drzew, w którym zda ci się, że jesteś o sto mil po za stolicą. Nie zwiedzałem pałacu i parku, widziałem tylko stare drzewa sterczące ponad mury.

Nipponbashi.

Dokoła tego podwójnego pierścienia murów rozciąga się we wszystkich kierunkach morze małych drewnianych domów, tylko tu i owdzie przerywa jednostajność budowa z cegły. Rzeka Sumidagawa, na wschód od zamku z północy ku południowi płynąca, dzieli miasto na dwie nierówne części; nadto przecinają je liczne kanały, z którego to powodu mosty wielką tu rolę odgrywają. Najważniejszy z nich jest Nipponbashi, »most Japonii«, od którego liczą się odległości na dwóch wielkich gościńcach kraju, zachodnim i północnym. Największa bowiem z czterech głównych wysp, że tak powiem stały ląd Japonii, ma kształt krzywej szabli, a najskrajniejszy punkt jej wycięcia wypada prawie pod samem Tokio, czem się też tłumaczy, że stąd wychodzą gościńce do dwóch końców wyspy, jeden na zachód, drugi na północ. Lecz wróćmy do stolicy. Leży ona tak nad morzem, jak Wiedeń nad Dunajem, to znaczy, że właściwie nie uważa się tego położenia. Tylko z kilku wzgórz południowej części miasta spostrzega się zatokę i pół tuzina małych, zielonych wysepek. Blisko morza leży cesarski pałac letni, otoczony pięknym ogrodem, do którego wstęp za biletami jest dozwolony i Tsukiji, dzielnica wyznaczona Europejczykom; tylko dyplomatom i cudzoziemcom pozostającym w służbie państwowej wolno mieszkać także w samem mieście. Ozdobą miasta są dwa parki, park Shiba na południu i park Ujeno

Parki.

na północy z świątyniami i innymi publicznymi gmachami, zresztą wystrzela jeszcze ponad masę domów kilka większych świątyń i dość wielka liczba pałaców. Tokio nie liczy zapewne wiele więcej ponad milion mieszkańców, lecz więcej tu jest niezabudowanych gruntów, niż w któremkolwiek nawet anglo-indyjskiem mieście, a »wschodnio-azyatycki Londyn« zajmuje obszar równający się bez mała obszarowi właściwego Londynu.

Otwarto kilka linii tramwajowych, zresztą jedynym środkiem komunikacyi są wózki przez ludzi ciągnięne, *jin-riki-sha* zwane. Bez nich nie można wyobrazić sobie Japonii, a jednak istnieją one dopiero od 18 czy 20 lat i są wynalazkiem pewnego Amerykanina. Przedtem miało się do dyspozycyi tylko lektyki jak w Kantonie. W Tokio przeszło 20.000 kulisów utrzymywać się ma z *jin-riki-sha*, proszę sobie tedy wyobrazić, co by to była za rewolucya, gdyby nagle zaprowadzono doróżki! Aby prędzej jechać, bierze się zwykle dwóch kulisów, kolejno jeden z nich zaprzęga się sznurem od pasa przed drugiego, gdy zaś droga wiedzie pod górę jeden z nich na odmianę popycha wózek z tyłu. Trudno uwierzyć, jak szybko i nieznużenie ludzie ci wloką wózek po najbardziej stromych drogach, przebywając olbrzymie odległości miasta. A przytem, jak wszyscy Japończycy, zawsze są weseli i dobrej myśli i za najmniejszy datek ponad takse wdzięczni. Mają na sobie ubiór z niebieskiego, lekkiego sukna, chodzą boso lub co najwyżej w słomianych trzewikach i w słomianym kapeluszu, często białem płótnem okrytym, na którym namalowany jest smok lub coś podobnego. Jedyna ich wada, że cię prawie zawsze zawiozą najpierw gdzieindziej niż chciałeś, bo nazwy ulic są tu nieznanne, i tylko dzielnice oznaczone, ażeby w dzielnicy znaleźć dom jakiś, trzeba pytać i wędrować bez końca.

Życie uliczne mniej jest barwne niżby to sobie wyobrazić można, kobiety i większość mężczyzn nosi się

*Jin-riki-sha.*

*Stroje.*

jeszcze po japońsku w ciemnych nie wpadających w oczy kolorach; brudno-niebieski przeważa. Mężczyźni wyższych stanów w znacznej części po europejsku ubrani i zżyli się już poniekąd z tym strojem. Bardzo komicznie wyglądają żołnierze w mundurach naśladowujących pruskie, tylko kilka rodzajów wojska nosi francuskie *kepi*, które, szczególna rzecz, noszą także woźnice tramwajowi.

Nazwa Tokio.

Nazwa Tokio zastąpiła dopiero od lat 20 starodawną, historyczną nazwę Yedo i oznacza: stolica wschodu, tak jak nowe imię dla Kioto, Saikio, oznacza stolicę zachodu. Japończycy postąpili sobie w tem całkiem tak jak Francuzi przed stu laty, którzy nawet tam, gdzie rzeczy samej zmienić nie mogli, przynajmniej nazwę zmieniali, sądząc, że wielkiego dokonają dzieła, nazwawszy inaczej miesiące. Wogóle uderza podobieństwo przewrotu w Japonii anno 1868 do tego, jakiemu Francya uległa przy końcu zeszłego stulecia. W Japonii mniej krwi popłynęło, lecz skutki są tu i tam tesame. Niemożliwy nadal stan polityczny i społeczny, który zbyt długo trwał, został nagle przekształcony i z dziś na jutro zmieniono jedną ostateczność w drugą, nie zadawszy sobie trudu, aby zbadać, czy też znaczna część dawnych urzędzeń nie posiada jeszcze żywotności i czy służyć nie może za podstawę nowacyom? Rewolucya zamiast ewolucyi. Przytem jednak różni się proces przekształcenia Japonii pod dwoma względami od swego europejskiego pierwowzoru.

Przewrót  
w Japonii a  
rewolucya  
francuska.

Przywrócenie  
mikadzie peł-  
nych praw  
władzy.

Panujący nie został usunięty, przeciwnie mikado z pozornego władcy stał się rzeczywistym. Różnica to jednak w gruncie rzeczy raczej pozorną niż istotną, skoro bowiem shogunowie piastowali dziedzicznie rzeczywistą władzę w znaczeniu analogicznem do władzy staro-frakońskich majordomów, uchylene przeto shogunatu równało się uchyleniu rzeczywistej dynastyi. Prawidłowy historyczny rozwój byłby i tu, jak niegdyś

w starem państwie Franków, wyniósł dynastję shogunów na tron mikada i stan faktyczny zamienił w stan prawny. Stało się odwrotnie; władzę przeniesiono na tego, który dotychczas posiadał tylko zewnętrzne jej oznaki, a tak pod płaszczykiem legitymizmu w jednej chwili nadano napół barbarzyńskiemu feudalnemu państwu formę państwa nowożytnego. Przywrócenie mikada do pełni praw władzcy było tylko flagą, której użyli demokraci, aby pod jej osłoną, ze swemi niwelującemi nowacyami zawinąć do portu legalności. Związek stanu obecnego z przeszłością polega jedynie na osobie i dynastji mikada. Gdzie jednak w imię historycznego prawa puścić się zamierza odrazu w niepamięć dzieje całych generacyi, tam zbyt często używa się go tylko jako pokrywki dążeń, które wprost przeciwnie mają na celu zerwanie wszelkiej łączności dziejowej. Nie tylko w prawie prywatnem zachodzi zadawnienie, owszem, uświęcająca moc czasu stwierdza się tem silniej w dziedzinie prawa publicznego, że ustawodawstwo nigdy niczem innym tu nie było i być nie może, jak tylko zarejestrowaniem faktycznego stanu rzeczy.

Druga różnica między japońskim a francuskim przewrotem jest o wiele istotniejsza i głębsza niż dopiero co wspomniana. Polega ona na tem, że Japonia zmienić się miała nie tylko z państwa feudalnego na nowożytne, lecz także z azyatyckiego na europejskie. I tu spostrzegamy tesame anomalie, z któremi się w dzisiejszych Indiach spotykamy. Gimnazya, uniwersytety, szkoły sztuk pięknych, wolność prasy — jakiż pożytek z tych urządzeń Zachodu dla kraju wschodzącego słońca? One wzrosły na innej glebie; czyż wydadzą tu kiedy owoce? Teraz już nawet gmach uwieczniono i uszczęśliwiono Japonję konstytuującą z dwiema izbami i wszystkim, co do tego należy. Jeśli rzeczy pójdą dalej w temsamem tempie, to naród ten przebędzie w 20 latach szczęśliwie republikę i dotrze do anarchii. Sądzę przecież, że nastąpi

Japonia i europejskie  
urządzenia.

prąd przeciwny i że Japończycy i w tem także złożyli hołd modzie Zachodu, gdzie właśnie teraz w niektórych krajach poczyną się do właściwej wartości sprowadzać wiele z owych pseudopostępowych »zdobyczy« i rzucać je po części między historyczne rupiecie, które właśnie zapomocą tych zdobyczy miało być uprzątnięte.

Japończycy  
Francuzami  
Wschodu.

Nie tylko jednak w wielkiej rewolucyi (*mutatis mutandis*), naśladowali Japończycy Francuzów, okazują oni w ogóle wiele rysów wspólnych z tym narodem. W istocie są oni Francuzami Wschodu. Są waleczni i posiadają rodzaj junaetwa bardziej zbliżony do *furia francesse* niż do *furor teutonicus*. Wszeczhronnie uzdolnieni, lecz powierzchowni, zbyt łatwo przystępni ogólnym ideom; ochoczy i załotni, grzeczni i weseli, nadzwyczaj towarzyscy okazują w literaturze i sztuce więcej smaku niż głębokości i raczej przetwarzają obce idee niż tworzą własne. W wielu rzeczach są przeciwieństwem Chińczyków, uparcie wiernych tradycyi, którzy sami z siebie dobyli własną kulturę, opierającą się od tysięcy lat wszystkim obcym wpływom. Chińczycy obdarzyli mieszkańców Nipponu swą religią, literaturą, filozofią i sztuką, tak dalece, że język chiński znaczy w Japonii tyle, co znaczył grecki w starożytnym Rzymie, łaciński w chrześcijańskich, arabski w mahometańskich średnich wiekach, i sanskryt w Indjach. Rzecz naturalna, że ta grupa czterech wielkich i mnóstwa małych wysp z Chin otrzymała swą ludność, a następnie i cywilizację. Półwysep Korea był pomostem wiodącym tu ze stałego lądu i Koreę musiałby zbadać szczegółowo, ktoby chciał sobie bodaj w przybliżeniu złożyć dokładny obraz pierwotnego rozwoju Japonii. Tym pomostem wdarli się tu z Chin przybysze, a zmieszawszy się z tubylcami, tkwiącymi jeszcze w stanie natury, stali się szczepem japońskim, przez Koreę przyszły później do państwa wysp nauki Buddy i Konfucjusza, pismo i sztuki. Podobieństwo roli, jaką tu odgrywa wschodnio-azyatycki półwy-

Stosunek do  
Chin.

Korea.



sep do roli, jaką odegrała Azja Mniejsza jak łącznik między dwiema częściami świata, jest oczywiste, tylko że przez Azję Mniejszą spłynęło tyleż prądów z Grecyi do Azyi ile na odwrót, podczas gdy Japonia pozostała zawsze stroną tylko recepcyjną.

Cztery wielkie japońskie wyspy, tylko wąskimi cieśninami od siebie oddzielone, tworzą od południowego zachodu ku północnemu wschodowi łuk łagodnie wygięty, może około półtora raza tak długi jak oddalenie z Syrakuz do Werony, podczas gdy największa szerokość głównej wyspy mało co więcej wynosi niż szerokość Włoch gdzieś między Ankoną a Livorno. Najdalej na północ położona wyspa Yezo, zaludniona jest jeszcze przez pierwotną ludność, Ainów. Dalej na północ przypiera długa i wąska wyspa Saghalin, bardzo niedawno przez Japonię Rosyi odstąpiona, która od czasu, jak rząd chiński zrzekł się na jej korzyść obszaru nad Cichym oceanem na południe od Amuru, obszaru większego od połowy Francyi, równie chciwem okiem spogląda na świat kultury wschodnio-azyatyckiej, jak przez wąwozy Afganistanu na Indye albo z wybrzeży Varanger - fjordu przez Nordecap ku Tromsö i innym norweskim portom nad Atlantyckim oceanem. Jako sąsiednie państwo stara się Rosya także w Japonii zająć wybitne stanowisko i właśnie buduje się na okazałym wzgórzu w środku Tokio wielka rosyjska cerkiew, której złożone kopuły wysoko wzniosą się ponad dachy stolicy, tak jak znamieniem Kantonu są wieże katolickiej katedry. Wspaniała ta budowa mieścić będzie w dniach uroczystości kościelnych, najwyżej dwa tuziny wiernych, wliczywszy w to posła i jego rodzinę.

Wyspy japońskie.

Rosya jako sąsiednie mocarstwo.

Trzeciem państwem, które wpływ swój silnie zaznacza w Japonii, są Stany Zjednoczone, odkąd Wielki ocean przepłynąć można wygodnie, bezpiecznie i w krótkim stosunkowo czasie i dziś Japonia dla szerokich warstw ludności tego kraju jest eldoradem w wyż-

Wpływ Ameryki.

szym jeszcze stopniu niż nawet Anglia lub Niemcy. I tak widzimy, że azyatyckie państwo wyspiarskie nie geograficznie wprawdzie, ale faktycznie znalazło się między trzema olbrzymimi państwami: między Chinami, Rosją i Ameryką, w porównaniu z którymi nasz stary europejski półwysep z powodu otwarcia nowych linii komunikacyjnych na morzu i lądzie a skrócenia czasu jazdy na dawnych, coraz bardziej tracić musi na znaczeniu. Kolej sybirska, po której ukończeniu w niedalekiej przyszłości najkrótsza droga dokoła ziemi prowadzić będzie przez Moskwę i Władywostok, powołana jest zaiste do wywołania największych zmian w handlu i obrocie, a później także w wzajemnych stosunkach państw i ras i może właśnie japońskim wyspom przypadnie w udziale być w XX stuleciu widownią wypadków, które na całe pokolenia decydować będą o dziejach powszechnych.

Pałac austriackiego poselstwa.

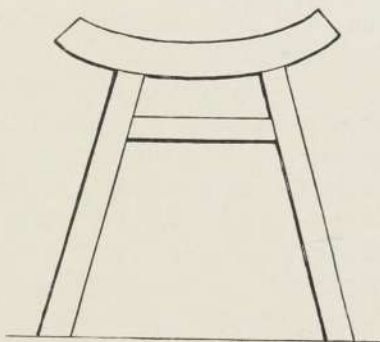
W pierwszych dniach po przybyciu mieszkałem w Yokohamie, później naprzemian bądź tu, bądź w hotelu w Tokio, aż wreszcie 2 czerwca sprowadziłem się tamże do domu mego przyjaciela, barona Biegeleben, posła austriackiego, który sam od niedawna dopiero dom ten zajmuje i dopiero do jego urzędzenia się zabiera. Dom ten odpowiada wybornie swemu celowi, a leży w małym, czysto japońskim ogródku z pagórkiem okrytym krzakami azalei, zasadzonymi wśród skał. O kwadrans drogi stąd znajduje się piękny plac pod budowę, który rząd tutejszy ofiarował austriackiemu rządowi, tak jak to uczynił wobec wszystkich innych rządów, mających tu swych reprezentantów. Niestety jedno tylko austriackie ministerstwo spraw zagranicznych nie może się zdecydować na budowę, chociaż jednorazowy wydatek wróciłby się już po kilku latach.

Wycieczka do Enoshima.

W niedzielę, 26 maja, o godzinie 11 wyjechałem z Yokohamy koleją o godzinę drogi w kierunku południowo-zachodnim do stacyi Fujisawa, a stamtąd w *jin-*

*riki-sha* po części złemi drogami, przez pola otoczone zielonymi pagórkami, pomiędzy wsi i świątynie aż do łąwicy piaskowej. Pieszko szedłem dalej i z wysokości łąwicy ujrzałem morze, wyspy i wąski przesmyk wiodący do półwyspu Enoshima, od czasu do czasu przez fale zalewany. Przechadzka po przesmyku wielce jest powabna, przedemną lesiste Enoshima z bramami i dachami świątyń, które wystrzelały z pomiędzy wierzchołków drzew, po lewej ręce otwarte morze, po prawej uroczą zatokę, z której przeciwległego brzegu witają nas wysokie góry. Stoję teraz u wejścia na półwysep, oznaczonego olbrzymią bramą z brązu, która wskazuje że tu na świętą wступujemy ziemię. Takie bramy, złożone z dwóch prostych

Bramy świą-  
tyń.



do środka pochylonych belek i z dwóch w górze poprzecznych, z których wyższa lekko do góry, jak dach chiński jest wygięta, znajdują się wszędzie w Japonii, bądź to z brązu, bądź z drzewa, bądź z kamienia, u wstępu do wszystkich prawie obejść świątyń, a nadto rozstawione są w niewielkich odstępach po wszystkich świętych wzgórzach. Zaraz za bramą poczynają się kramy, znajdujemy się bowiem w miejscu odpustowem, co się zowie. Sprzedają się tu różańce, naszyjniki i rozmaite przedmioty z muszel. Śniadam w herbaciarni, z widokiem na modrą zatokę i ciemne góry, w pokoju, w którym prosto stanąć nie mogę, a który za cały sprzęt ma tylko kilka prześlicznych instrumentów muzycznych. Służący mój liczy się jednak z mojemu europejskimi wymaganiami, zdobywa gdzieś krzesło wraz z stolikiem, i stawia je na

Zdejmowanie  
obuwia u wej-  
ścia do do-  
mów.

czystej macie, pozbywszy się wprzód obuwia. Kto narzekał na zdejmowanie obuwia w meczetach i świątyniach tureckich, arabskich i indyjskich, ten niech jedzie do Japonii, a gruntownie przyzwyczai się do tego. Dla zaszanowania pysznych mat słomianych nie wolno wejść w obuwiu nie tylko do żadnej świątyni, lecz także do żadnego pałacu albo prywatnego mieszkania w Japonii. W chrześcijańskim kościele zachowuje się obuwiu, a zdejmuje kapelusz, w meczecie zatrzymuje się kapelusz, a zdejmuje obuwiu, do japońskich świątyni ma się przystęp tylko z gołą głową i boso. Mój służący, który nie sięga mi nawet do ramion, prawdziwy Japończyk wzrostem, dobroduszością i wiecznie pogodnym humorem, jest właściwie z zawodu dentystą, a godło jego wisi na jednej z ulic w Yokohamie, dziwna zaprawdę kumulacja urzędów. Po krótkim odpoczynku odbywałem dalej wędrówkę przez »świętą ulicę« w Enoshima, która prowadzi wśród kramów i po pod bramy podobne do wyżej opisanych, a niebawem dość stromo wspina się po stopniach do świątyni shinto.

Religijne sto-  
sunki w Ja-  
ponii.

Religijne stosunki w Japonii prawie tak samo są powikłane jak w Chinach, a to dość powiedzieć. Buddyzm nie jest religią mikada tak jak nie wyznaje go i cesarz chiński, za to shogunowie byli gorliwymi jego zwolennikami i hojnymi donatorami. Przeważna większość ludności szła za nimi, choć do pewnego stopnia wierną pozostała także dawniejszej, urzędowej religii shinto. Nie jestto podobnie jak urzędowa chińska religia nic innego, jak rodzaj kultu przodków i wielkich mężów, którym nawet po śmierci przypisuje się moc oddziaływania na ludzkie sprawy, na których tedy zjednaniu sobie przez ofiary i modlitwy wiele zależy, choć nie obowiązuje to wcale do troski o obecny los tych zmarłych. Jak też niema dogmatu o życiu pozagrobowym, tak niemasz i przepisów moralności. W szóstym stuleciu według naszej rachuby czasu, 1100 lub

1200 lat po śmierci Buddy, dostał się buddyzm do Japonii i rozszerzył się wkrótce niesłychanie. Przeszedł przez Chiny i Koreę w postaci bardzo zmienionej biegiem czasu i wędrówką swą wśród obcej narodowości, tak jak strumień górski kryształowej pierwotnie czystości, zamąci się brudnym namulem, gdy go swą wodą zasilią rzeki równiny. Już w Chinach rozszepcony na kilka sekt rozpadł się na jeszcze większą ich liczbę na tym nowym gruncie. Współzawodnicząc z sobą, powznosili wyznawcy różnych sekt wspaniałe świątynie i bogate klasztory. W czasie przewrotu w r. 1868 »puryfikowano« liczne świątynie Buddy t. j. zmieniono je w świątynie shinto, kapłanów pozbawiono dochodów, pozoszono klasztory, zupełnie tak, jak to się gdzieindziej działo, i zupełnie też tak samo jak gdzieindziej poginęły i tu na wieki dla świata liczne, nieocenione dzieła sztuki jako ofiary na ołtarzu oświaty. Od tego czasu ostygł już zapal burzący świątynie i pomniki (znowuż tak samo jak gdzieindziej), i większą część tych budynków oddano napowrót do użytku buddhystycznemu kultowi, lecz nie przywrócono dotacyi kapłanom, których wspaniałe jedwabne szaty, mieniające się harmonijnie dostrojonemi barwami, wraz z obrazami i liturgijnymi sprzętami napełniają kramy antykwarskie i wędrują do Ameryki i Anglii.

Skutki przewrotu z r. 1868.

Jakkolwiek życie ludzkie, biorąc rzecz powierzchownie i ogólnikowo także i co do strony swej religijnej zawsze i wszędzie w podobny sposób się rozgrywa, to przecież bardzo wystrzegać się należy przenoszenia na Azyę wschodnią wyobrażeń naszych o wyłączności jednego wyznania. Tylko trzy wielkie monoteistyczne religie są religiami w naszym pojęciu rzeczy, zresztą wszędzie na ziemi, zupełnie tak jak to się działo w starożytności, znosi jeden kult całkiem wygodnie rozmaite inne obok siebie. Owa wyłączność jest właśnie tem, co chrześcijaństwo tak czyni niebezpiecznym w oczach niechrześcijańskich rządów

Chryścjanizm a pogańskie państwo.

i ona to sprawia, że państwo pogańskie, zezwalając na wszystkie inne religie, chrześcian jako buntowników prześladowuje. Pod tym względem wysoce charakterystyczną jest odpowiedź, której rząd mikada w roku 1870 udzielił mocarstwu protestującemu przeciw prześladowaniu miejscowych, japońskich chrześcian. Opis całego tego wypadku czytać można u Hübnera *Promenade autour du monde*, tom II, str. 141—157, osobiście usprawiedliwienie się rządu na stronie 146—148, i przekonać się stąd, że pobudki, jakie skłaniały naszych wschodnio-azyatyckich współczesników do prześladowania chrześcian, były prawie zupełnie te same, jak te, którymi się kierowali przed 1800 laty cesarowie rzymscy wobec Nazareńczyków.

Świątynie  
shinto i Bud-  
dhy.

Co do shintoizmu tedy i buddyzmu w Japonii, to znoszą się one wybornie z sobą, a ich świątynie tak są podobne do siebie, że się często jest w kłopotcie, mając orzec, czy się ma przed sobą świątynię jednej, czy też drugiej formy religijnej. Głównym symbolem wiary shinto jest zwierciadło, zewnątrz na świątyni i wewnątrz na ołtarzu umieszczone, lecz również wiele buddhystycznych sekt przybrało zwierciadło jako symbol ludzkiego serca i tak przestało ono być charakterystyczną cechą religii shinto.

Zamiast wyłącznej czci założyciela religii albo co najwyżej także i czci jedyne bóstwa, jaką spotykamy w grotach w Ajancie i Ellorze w Indjach, znajdujemy w Japonii cały buddhystyczny Panteon bożków i półbożków, w którym się bardzo trudno zorientować. Przeciwnie świątynie shinto mają w regule tylko dwie rzeźbione z drzewa i pomalowane postaci wojowników, naturalnej lub nadnaturalnej wielkości, siedzące bądźto na straży przed budynkiem, bądź też w tylnej jego części. Dwie takie wcale udatne postaci z potwornymi twarzami i narodowym układem włosów zawierała też i ta świątynia na Enoshima, pierwsza, w którą wstąpiłem, budowa

drewniana, jak wszystkie publiczne budynki w Japonii z wyjątkiem nielicznych budynków fortecznych.

Droga wiodła dalej do góry ciągle po pod herbarciarnie z pięknym widokiem do koła, po pod krzywe pinie i krzewy przepysznych azalei, tego szczerojapońskiego kwiatu, tak jak pinia jest szczerojapońskim drzewem. Potem znowu kramy, znowu świątynie, następnie strome zejście na dół do morza i uciążliwa, tylko w czasie odpływu przystępna ścieżka skalista do grotty z figurami świętych i rodzajem ołtarza, które prawie przenoszą widza do grotty Rozalii pod Monte Pellegrino. Gdy do domu wracałem, popisywali się nurkowie sztuczkami i wydobywali rozmaite muszle i zwierzątka morskie.

Grotty z figurami świętych.

Gdy się znalazł znowu na wyżynie półwyspu, okazał się nagle z po za chmur na przeciwległym brzegu zatoki oświetlony słońcem szczyt Fusijama, najwyższej i najświętszej góry w kraju. Jego regularna stożkowa forma, która nie pozostawia żadnej wątpliwości, że to wulkan mamy przed sobą, jego szczyt śniegiem pokryty, znany jest z tysięcznych rysunków na wachlarzach, pudełkach, meblach z laku, i możnaby nawet powiedzieć, że sylweta żadnej innej góry na ziemi nie jest tak rozpowszechniona, jak Fusijama. Nawet tak często portretowany Wezuwiusz pozostał daleko w tyle po za azyatyckim swym kolegą. Według podania, góra ta w trzecim stuleciu przed Chrystusem wyrósł miała przez noc z łona ziemi, a równocześnie o kilka dni drogi na zachód powstało jezioro Biwa, największe jezioro Japonii. Tylko do XIV wieku dymił ten wulkan, ale zdaniem niektórych nie wygasł dotąd i nowy wybuch nie jest wykluczony. Fuji, tak opiewa jego właściwe imię, ma przeszło 12.000 stóp wysokości i jest najświętszem wśród świętych miejsc pielgrzymich; dostać się nań stosunkowo łatwo, ale nie prędzej jak w lipcu.

Fusijama.

W godzinę później siadłem znów po tamtej stronie ławicy do mego wózka i potoczyłem się wzdłuż malowniczego wybrzeża do miasta Kamakura. Enoshima i w oddali wulkaniczna wyspa Oshima, jedna z wysp Vriesyjskich, nastęczały obrazy godne południowych Włoch. Teraz skręcamy w głąb kraju, stajemy niebawem w miejscowości Katasa, i po szerokich stopniach wchodzę do Nitchiwanso, świątyni Buddy. Dach ciężki, lecz w odróżnieniu od dachów chińskich, prosty, wspólny jej jest z wszystkimi świątyniami japońskimi, wewnątrz nie szczególnego oprócz niezliczonej liczby małych deszczulek, tworzących całą ścianę, z imionami osób, które się przyczyniły do odnowienia gmachu. Dalsza droga bardzo malownicza. Na stoku góry obok opuszczonej świątyni Buddy pięknie położony cmentarz. Japońskie cmentarze dużo mają podobieństwa do naszych, więcej niż chińskie, tureckie lub żydowskie. Blisko obok siebie stoją piękne, małe pomniki kamienne, wiele z nich ozdobionych jest figurami. Na groby nie wiele potrzeba tu miejsca, zmarłych chowa się bowiem w trumnach kształtu kostki, z kolanami dotykającymi brody.

Świątynia  
Nitchiwanso.

Cmentarze.

Daibutsu.

W uroczu zielonej dolinie leży miasteczko Kamakura, a tuż niedaleko przezierając z pomiędzy drzew wznosi się olbrzymi posąg, największy w Japonii, siedząca brązowa figura Amidy (jest to inna nazwa Buddy) z trzynastego wieku. Posąg ten zwykle Daibutsu zwany, ma 50 stóp wysokości, sama głowa mierzy ośm stóp, wyraz twarzy ospały, wrażenie całości oryginalne, ale już dla samej pospolitości zbyt cywilizowanego otoczenia nie wytrzyma porównania z wrażeniem, jakie sprawiają n. p. olbrzymie egipskie posągi. Wewnątrz urządzony jest posąg jako kaplica, w tyle zakratowane okna. Pojechałem jeszcze o kwadrans drogi do grupy bogato dekorowanych świątyń shinto, do świątyń *hashiman* z pięknie malowanymi rzeźbami z drzewa, stąd



zaś o 1 $\frac{1}{2}$  godziny drogi do stacji kolejowej Ofuna, a wieczorem stanąłem znowu w Yokohamie.

Jedno z najbardziej zajmujących popołudni w Tokio spędziłem na wystawie japońskich obrazów, które wszystkie należały do jednego właściciela, w budynku na ten cel przeznaczonym w parku Uyeno, w północnej części miasta.

Znam trzy rodzaje japońskich obrazów: 1) na drzewie, jako wota religijne i na przesuwalnych drzwiach po świątyniach i domach mieszkalnych; 2) na papierze, na parawanach, które składać można, i na przesuwalnych ścianach pokoi; 3) *kakemono*, to znaczy jedwabne zwoje na listewce szklanej lub z kości słoniowej, w środku których mieści się obraz na jedwabiu albo cienkim papierze.

Ponieważ w budynkach niema wcale murów lub tylko bardzo mało, nie może być oczywiście malowideł *al fresco*, a ponieważ wszystkie budynki, nawet świątynie, małe są i niskie, niema też wielkich obrazów na drzewie lub płótnie, które n. p. u Niderlandczyków XVII wieku, służą jako surogat malowideł ściennych. Podczas gdy tedy rzeźba w Japonii więcej niż gdziekolwiek indziej wykazuje dzieł olbrzymich pod gołym niebem, które przy małych budynkach tem kolosalniej się wydają, to siostrzanej jej sztuce malarstwu, brak wielkich płaszczyzn, a temsamem uzdolnionym w tym kierunku malarzom brak zachęty do puszczenia wodzów swemu talentowi i fantazyi. Nie chciałbym być fałszywie zrozumiany i zaliczony do ludzi, co wartość obrazu mierzą łokciem lub tematem, przeciwnie zawsze skłonniejszy jestem dobrze namalowanemu dzbanowi wina z dobrym efektem światła dać prym przed wielu olbrzymimi kompozycjami, jakimi n. p. Guido Reni i bolońscy jego rówieśnicy pokryli ściany pałaców i kościołów. Tak samo oddam niejednemu studyum ucha lub dłoni Dürera albo Rafaela palmę pierwszeństwa przed niektórymi rozgłoszonymi ich dziełami. Miniaturowy portret Holbeina

Wystawa obrazów w parku Uyeno.

Trzy rodzaje japońskich obrazów.

Brak wielkich ścian na malowidła.

albo Cloueta, malowany na desce wielkości dwóch dłoni, posiada tęsamą indywidualną prawdę, co wielkie z zapamiętałem mistrzostwem jakby wyczarowane na płótnie wizerunki Halsa lub Velazqueza, nie mniej przeto pewną jest rzeczą, że Hals i Velazquez potrzebowali właśnie tych wielkich powierzchni, aby najwyżej rozwinąć przed nami swój talent i że znacznie słabsze prace daliby nam byli na takiej przestrzeni, jaka Holbeinowi i Clouetowi wystarczyła do podziwienia godnych utworów. U japońskich malarzy religijnych najstarszej szkoły znajdują zalety, które bez wątpienia byłyby się jeszcze świetniej rozwinęły, gdyby ludzie ci rozporządzali byli wielkimi powierzchniami ścian, a także i z późniejszych niejeden może Paolo Veronese, niejeden Rubens albo Makart z Yedo lub Ozaka pozostał w cieniu dlatego tylko, że nie umiał na szmatce jedwabiu o szerokości sześciu cali wypowiedzieć nam, jak pojmuje świat i życie. Treść całej tragedii nie da się wcisnąć w ramy sonetu, chociaż ze stanowiska czystej sztuki doskonały sonet wart tyle, co doskonała tragedia.

Okio.

Większa część wystawionych w Uyeno *kakemonów*, (a tylko takie obrazy tam były) pochodziły z pod pędzla malarza Okio i jego szkoły. Okio słynął na końcu zeszłego i na początku naszego stulecia i był śmiałym naturalistycznym nowatorem. Malował mniej więcej wszystko, figury, krajobrazy, a przede wszystkim zwierzęta; jego sposób malowania jest raczej szkicowaniem skąpymi farbami, czasem tylko tuszem szaro na szarem. Anatomii ani śladu, tak samo jak u innych malujących ziomek jego, a choć niema prawidłowej perspektywy, to przecież więcej jest poczucia tejże, niż się go Japończykom przypisywać zwykło. Główna zasługa: drobnymi środkami rzucić nam przed oczy charakterystyczne rysy ludzkiego lub zwierzęcego indywidualium lub techną nastroj w krajobraz. A że w tem właśnie leży siła japońskiego malarstwa w ogóle, że to odpowiada normalnemu sma-

kowi publiczności, że najbardziej godzi się tak ze szczupłym miejscem, którem artyści rozporządzają jak i ze sposobem, w jaki klęcząc na kolanach malują na rozłożonym na podłodze kawałku papieru lub jedwabiu — więc możemy uważać Okia za reprezentanta tego artystycznego kierunku, który najbardziej charakteryzuje Japonię. Wiele z tych *kakemonów* składa się na rodzaj trylogii i dlatego wieszają się je po trzy razem i to zawsze na jednakim jedwabiu montowane. N. p. w środku nie prócz tarczy słonecznej na pomarańczowym niebie, na prawo białe kwieciste drzewa przez wiatr kołysane, na lewo kwiaty jak płatki śnieżne pędzone przez wiatr w powietrzu. Albo w środku liczna rodzina, dziadowie, rodzice, rzesza wnuków, na prawo grupa czapli, co oznacza życzenie stu lat życia, na lewo grupa żółwi, co oznacza życzenie tysiąca lat życia — a więc świąteczny upominek dla dziadostwa. Spotykamy wszakże i większą ilość obrazów w jeden cykl połączonych. Oto szereg dwunastu obrazów, które na tle krajobrazu pod figurą charakterystycznych zwierząt, wyobrażają dwanaście miesięcy; obok zaś małe szkice tychsamych utworów, jako dowód, że i te obrazy, tak jak i u nas niejedno dzieło sztuki i niejedna praca literacka, nie są wcale improwizacją, choć się improwizacją być zdają. Są liczne sceny z życia psów z humorem traktowane, największy atoli sukces stanowią ptaki i ryby. Czapli, bocianów, a zwłaszcza dzikich kaczek i gęsi, nikt nigdy i nigdzie nie malował tak wyśmienicie jak Okio. Dzikie gęsi, mówiąc nawiasem, należą do najbardziej ulubionych tematów w Japonii, nigdzie też, jak u tutejszych malarzy, nie widziałem tak trafnej obserwacji charakterystycznego ruchu tych ptaków n. p. podczas spadania. Tu na wybrzeżach mórz najrybniejszych na ziemi, ryby odgrywają bardzo wielką rolę, a Japończycy jak wszystkie inne ludy prześcigają w sztuce przyprawiania ryb, tak też górują i w używaniu ich za motyw artystyczny.

Kakemono po trzy razem zawieszono.

Cykle obrazów.

Obrazy zwierząt.

Okio umiał niezrównanie malować ryby w wodzie światłem słonecznym oblanej, często też obierał sobie za temat rybę płynącą w górę wodospadu, symbol wytrwałości, przedmiot drogi Japończykom.

Malarze japońscy a europejscy ideałsi, realiści i impresyoniści.

Jeżeli zwierzętom Okia należy się hołd uznania od każdego znawcy sztuki, to mniej to powiedziecby można o jego ludzkich postaciach. Zręczność jego zdumiewa tu może jeszcze bardziej, ale graniczy z karykaturą. Jak dzisiejszym paryskim impresyonistom, chodzi mu często tylko o to, co Francuzi zowią fałszywym podobieństwem. Człowiek nie jest oddany w wewnętrznej swej istocie jak u wielkich europejskich portrecistów i malarzy figur, lecz tylko tak, jak się przypadkowo przedstawiał artyście podczas malowania. Okio, a wraz z nim przeważna część wschodnio-azyatyckich malarzy zajmuje pod tym względem wspólnie z najnowszymi z najnowszych naszych artystów, że tak powiem, najskrajniejszą lewicę, podczas gdy starzy Niemcy, u których spotęgowany wewnętrzny indywidualizm z trudem na jaw się przedziera, stanowią najskrajniejszą prawicę. Prawe centrum: włoscy treceniści, Memling i van Eyck; lewe centrum: Włosi od Ucella do Botticellego i Carpaccia i wielej Niederlandczycey i Hiszpanie XVII wieku, w środku Lionardo, Rafael i Tyceyan, którym skoro głównie chodzi o portrety, przydać zapewne godzi się i Holbeina. Ale nie psujmy sobie analogiami rozkoszy, czerpanej z obrazów Okia. Jaey oni żywi, ci mężczyźni i te kobiety, co stoją i siedzą przed nami w przedziwnych starych strojach, z jakim humorem oddał artysta samym tylko tuszem brzuchatego kapłana Buddhy, jak wędruje w świat z węzełkiem na długim kiju!

Znakomite kostyumowe obrazy wszelkiego stanu, które tu oglądać można, mają być pędzla Sosena, ucznia Okia; domyślam się atoli w kilku tego rodzaju studyach autorstwa Hokusai'a i jego uczniów, którzy

Hokusai.

młodszy od Okia, stali się właściwymi malarzami japońskiej kobiety, ich też kompozycyji przypisać by można większą część owych starych, kolorowanych drzeworytów, za jakie się obecnie w Paryżu płaci wysokie ceny.

Smoki.

Ulubionym przedmiotem *kakemonów* są smoki, jak w ogóle potwór ten bajeczny dziwną gra rolę w Chinach i Japonii. W Chinach jest smok nawet cesarskim herbem i symbolem najwyższej potęgi, jak orzeł u nas; w obu krajach używają go bez końca, jako ornamentu w plastyce i malarstwie. Zmysł harmonii, który cechował Greków, nie przyznawał nigdy takiego znaczenia czemuś, co samo z siebie jest brzydkie, tak samo, jak dyabeł w chrześcijańskich wiekach u Włochów w literaturze i sztuce bardzo tylko drobną odgrywa rolę, w porównaniu z tą, jaką mu wyznaczyły północne ludy. Na wystawie było także kilka wysoce charakterystycznych, przez Okia malowanych smoków, a oglądając je, musiałem pomyśleć o wielkim, współczesnym nam Böcklinie, któremu dano jest wlewać prawdopodobieństwo w nadnaturalność obrazu, tak samo jak Goethe w „Fauście” dał rzeczywistość czarownicom, rusałkom, gryfom i syrenom.

Jakby w przeciwstawieniu do dzieł Okia zawierała wystawa w Uyeno także szereg miniaturowo wykonanych scen z chińskiego życia, może kopie chińskich oryginałów. Niejedna z nich jest pełna wdzięku i byłyby mi zapewne więcej sprawiły przyjemności, gdyby nie jaskrawy kontrast, jakie obrazy te tworzyły z otoczeniem.

Chińskie miniatury.

Właściciel obrazów, nieśmiały Japończyk, który niezgrabnie poruszał się w czarnym surducie, był obecny. Dziad jego zebrał majątek i dał początek zbiorowi, który teraz obejmować ma siedmdziesiąt tysięcy *kakemonów*. Europejski zwyczaj licytowania dzieł sztuki po śmierci zbieracza, śnać nie jest tu powszechnym. Po zwiedzeniu wystawy nastąpiła w rodzaju parlatorium przy japońskiej zielonej herbacie i japońskich ciastach

Zachodnio-  
wschodnia  
rozmowa  
o sztuce.

ciekawa konwersacya z dyrektorem tutejszej szkoły sztuk pięknych i baronem Sieboldem, sekretarzem austriackiego poselstwa jako tłumaczem. Między innymi spytałem dyrektora, który podczas wiedeńskiej wystawy podróżował po Europie, której z tamtejszych szkół malarskich oddałby pierwszeństwo. Długo nie mogłem wydobyć z niego odpowiedzi, wreszcie wyznał, że z wszystkich obrazów, jakie widział, największe wrażenie pozostało mu po sławnym byku naturalnej wielkości pędzla Pawła Pottera w Hadze.

Wymuszony  
szkie.

Korzystając z zaproszenia właściciela poszedłem z Neidhartem, malarzem austriackim osiadłym w Monachium, po dwóch dniach znowu na wystawę, kiedy już dla publiczności była zamknięta. Jak podczas mych pierwszych odwiedzin, tak i teraz kopiowałem kilka *kakemonów* w mojej szkicowej książce, i ofiarowałem jeden rysunek właścicielowi, który był o to prosił. Ale poczciwy syn Wschodu w niezgrabnym surducie tem się nie zadowolił, i zmusił mnie do odrysowania mu o wiele trudniejszego portretu kobiety. Daremnie protestowałem, że zadanie to przechodzi moje siły i daremnie wskazywałem na Neidharta, który znowu protestował ze swej strony. Ustawiono mi stół i krzesło przed japońską pięknoscią, i aby się pozbyć, musiałem wziąć się do dzieła. Nienasycony jednak miłośnik sztuki przyjąwszy niedostateczną moją kopię z przesadnymi pochwałami choć gorsza była jeszcze od innych moich rysunków, bo powstała *invita Minerva*, zapragnął mieć więcej jeszcze dowodów mej biegłości, co zniewoliło mnie pod pozorem pilnych interesów opuścić wystawę, na której byłbym chętnie dłużej jeszcze został.

Świątynia  
shinto w par-  
ku Uyeno.

W parku Uyeno, na wzgórzu, do którego prowadzą stopnie, aleją kamiennych latarni czyli *torii* dostajemy się do jednej z najpiękniejszych świątyni shinto w Japonii z bogatymi różnobarwnymi rzeźbami. Siedmiopiętrowa pagoda stoi obok jako dzwonicca, otoczona

wysokopiennemi kryptomeryami, rodzajem cedru, który rosnąć ma tylko w Japonii, a jest najszlachetniejszym drzewem szpilkowym, jakie znam. Nieco niżej świątyni znajdujemy olbrzymi posąg Amidy z wielką aureolą, mniej więcej do połowy tak wielki, jak Daibutsu pod Kamakurą, płaski nos i grube wargi nadają głowie typ prawie murzyński.

Niedaleko stąd do muzeum Uyeno, rodzaju muzeum dla sztuk i przemysłu z oddziałem przyrodniczym. Ustawienie przedmiotów pozostawia wiele do życzenia, a wobec olbrzymiego bogactwa kraju w dzieła artystyczne, łatwoby było rządowi zgromadzić cenniejsze daleko zbiory dla pouczenia publiczności. Bardzo mnie zajęły pięknie malowane lektyki, wozy do zaprzęgania wołów i niektóre wystawione materye. Tu także oglądać można prastare kamienne hermy z wyspy Yezo: na kłodzie, w której zaznaczone są zaledwie ramiona i rąbek kaftana, rzeźbiarz wykończył tylko głowę i pas, za którym tkwi krzywy nóż. Europejskie wybiórki pomieszano tu beładnie z dobrymi wyrobami krajowymi. Nad drzwiami rozpiera się lichy haft z austriackim orłem, nędzne portrety Bismarka i Napoleona I, również haftowane lub drukowane na chustkach, powtarzają się także. Napoleon I bardzo jest w Japonii popularny, tanie fotografie z jego wizerunkiem, ze sceną rozstania się z synem lub pożegnania z Fontainebleau, z rozmaitemi jego bitwami sprzedają się także na prowincyi, a w Ozaka widziałem jego portret, wielki druk kolorowany, nawet jako obraz *ex voto*, zawieszony w ofiarnej halli świątyni shinto.

Aż nadto czasu straciłem w Tokio i w innych zwiedzanych przezemnie japońskich miastach po magazynach osobliwości, czyli *curio-shops*, jak opiewa na to w skróceniu amerykańskim nazwa: *curiosity-shops*. W żadnym kraju nie odgrywa handel rzeczami sztuki albo zbytku tak wybitnej roli jak w Japonii, nigdzie

Muzeum  
Uyeno.

Kamienne  
hermy z wy-  
spy Yezo.

Wizerunki  
Napoleona I.

Handle  
osobliwości.

też, nawet we Włoszech, w Konstantynopolu albo Damaszku nie opanowuje każdego cudzoziemca bez wyjątku prawie taka mania kupowania. Cały kraj jest właściwie jednym tylko wielkim bazarem osobliwości, po którym biegają zgrabniutki, małe kobietki z olbrzymiemi szarfami i sztucznie napiętrzoną fryzurą jakby najwdzięczniejsze żywe lalki. W każdym mieście znajdują się długie ulice, w których nie niema prócz handlów osobliwości, *curio* sprzedaje się na ulicy pod gołębem niebem, a kto się oparł za dnia wabiącej pokusie, tego tem pewniej dopadnie handlarz wieczorem w hotelu, w krytycznej godzinie przy poobiednim cygarze.

Nigdzie, tak jak tu, nie dochodzi się do świadomości, że pierwiastkowo sztuka a zabawka to jedno. Wśród tych tysiącznych małych i wielkich przedmiotów z laku, bronzu, kości słoniowej, drzewa, któżby oznaczyć zdołał, gdzie się kończy igraszka a zaczyna dzieło sztuki? O Japończykach z ich mieszkaniem urządzonemi po spartańsku, w których zimą się marznie, aby piec się latem, z ich stołkami drewnianymi zamiast poduszek, z ich rogózkami zamiast krzesel, małymi patyczkami zamiast widełców, a obok tego z ich tysiącznymi fraszkami z porcelany, metalu, kości, z setkami figur rozmaitego rodzaju i wielkości, z ich *kakemonami*, których każdy zamożny taką mnogość posiada, że stosownie do pory roku, do humoru albo do oczekiwanych odwiedzin ustawicznie zmieniać je może — o Japończykach możnaby rzec z całą słusnością, że dla nich potrzeba jest zbytkiem, a zbytek potrzebą, lub jeszcze trafniej, że żadnych prawie innych potrzeb nie znają prócz niematerialnych, że tedy wiecznie w świątecznym żyją nastroju.

Jeśli, jak słusznie twierdzą, prawdziwy artysta całe swe życie poniekąd dzieckiem zostaje, to Japończycy górują nad innymi ludami szczęśliwem usposobieniem do sztuki, bo są narodem wielkich, albo lepiej mówiąc,

Nadmiar  
przedmiotów  
zbytkowych.



dorosłych małych dzieci. Najbardziej jeszcze, ale zawsze tylko w dalekim odstępie, możnaby ich pod tym względem porównać z Włochami, mimo, że pod każdym innym synowie Nipponu przypominają przede wszystkim Francuzów. Uważam Japończyków za najszczęśliwszy pod słońcem naród, który nie zna proletaryatu w naszym znaczeniu, któremu posępna myśl nie zatrąwa uciechy życia, który z wszystkiego się śmieje i nawet rzecz poważną w igraszkę obraca. Proszę wyobrazić sobie jakiegokolwiek Europejczyka: Hiszpana, Rosyana, Szkota, a choćby Włocha, wszystko jedno, któryby jak kulis wlec musiał w *jin-riki-sha* dziesięć godzin dziennie ciężar jednego albo często dwóch ludzi szybkim kłusem po błotnistych ulicach lub bez tehu po górach, czy nie szemrałby na los swój, czyż nie groziłby pięścią porządkowi świata, który go skazał na los jucznego bydłęcia? Japończyk nie zastanawia się nad tem, zawsze dobrej myśli, bawi się własnymi skokami, w których podczas słoty przebywać musi złe drogi. Tak samo pogodne zawsze i wesołe są kobiety każdego stanu, choćby najsmutniejszego. W ogóle mówiąc, niema w Japonii ludzkiej nędzy, bo nikt niema świadomości nędzy. Jak w ogóle u wszystkich ludów starej cywilizacji, żyjących głównie pod gołym niebem, czuć się tu daje daleko mniej niż u nas różnica stanów, a piękny węzeł uszlachetnionych obyczajów i dobrych manier łączy wielkich i małych. Że te dobre maniere mają także swoje śmieszne strony, wie o tem każdy podróżny, który w poczekalni dworca przypatrywał się witaniu dwóch rodzin i uważał, jak każdy i każda przed każdym i każdą dwa albo trzy razy składa się jak scyzoryk, tak, że kilka minut upływa, nim te grzeczne osóbkę przemówią coś do siebie. Jeszcze bardziej skomplikowane są dawniejsze formułki pozdrowienia z przyklękaniem, z dotykaniem głową ziemi i z szybkim przycupnięciem, skoro się spostrzegło, że druga osoba jeszcze się nie podniosła.

Dziecinny  
charakter  
ludu.

Pozdrawianie  
się.

Brak  
obrabiania  
szlachetnych  
kamieni.

Rzecz charakterystyczna, że wśród niezliczonych gałęzi artystycznego przemysłu tego kraju, zupełny brak obrabiania szlachetnych kamieni. Kobiety nie noszą klejnotów w właściwym słowa tego znaczeniu, niema też drogich kamieni na broni, z której tu robią się prawdziwe dzieła sztuki, a za którą dawniej Daimiowie a dziś Amerykanie płacą bajeczne sumy. Forma jest wszystkim dla tego narodu, coś, co ma tylko wartość materiału, nie ma żadnej wartości dla niego.

Malowane  
parawany.

Obok starych szat jedwabnych, których mieniącemu połyskowi rzadko tylko oprzeć się mogłem, głównie *kakemono* i malowane parawany, czyniły spustoszenia w mojej kasie podróźnej. Nadewszystko podobały mi się parawany. Cała starożytna Japonia mieści się na nich. Na złocistym tle, które najczęściej wyobraża chmury, widzimy tu polowania i bitwy, sceny z życia domowego i publicznego oddane z tą samą naiwnością, która w naszych oczach taką wartość nadaje predellom Pesellina i Filippina Lippi.

Kakemono.

*Kakemono* dzielą się na trzy główne rodzaje:

1) Obrazy religijne. Styl ich od dziewiątego wieku do dziś dnia pozostał niezmienny. Największy mistrz tego kierunku, Kanaoka, słynął około roku 860 naszej ery. Obok dziwacznych wizerunków brzydkich bogów, zapożyczonych często z zakresu indyjskich pojęć, spotyka się tu szlachetne, często bogato złotem nakładane wizerunki Amida-Buddhy i jego wniebowstąpienia, w którym towarzyszą mu aniołowie, a wewnętrzne pokrewieństwo tych utworów ze sztuką włoskiego *trecento* jest uderzające. W ogóle większe da się zawsze wykazać podobieństwo między jakimś japońskim a romańskim dziełem sztuki analogicznego kierunku, niż między temsamem romańskim, a współczesnem mu dziełem niemieckim albo niderlandzkim. Najczęstszym bogato figuralnym tematem jest wśród religijnych obrazów japońskich śmierć Buddhy, albo jak go tu często nazywają

Shaka, z żałobnymi postaciami ludzi i zwierząt dokoła. Nigdy nie brak na najpierwszym planie białego słonia, który się z rozpaczy tarza po ziemi. Pierwsze religijne obrazy były kopiami chińskich, a nawet po Kanaoce pozostał ten dział sztuki w wielostronnej zawisłości od Chin.

2) Sceny bojowe i sceny z domowego życia, podobne do tych, które znamy z parawanów tylko na mniejszej przestrzeni. Często świadome naśladowanie chińskich wzorów, nawet u wielkiego Motonobu, który, jako współczesny Rafaelowi, żył w czasie przełomu XV i XVI stulecia. Uprawiano także portrety w znacznej mierze; posiadam portret chłopea, zupełnie w rodzaju franeuskich malarzy XVI wieku.

3) Dzieła Okia i jego uczniów, o których już była mowa, a następnie sztuka nowożytna.

Pobyt w japońskim magazynie osobliwości to prawdziwa tortura dla każdego, kto nie jest takim karłem jak krajowcy; gorzej tu i niewygodniej niż w parterowej łoży paryskich teatrów, a to już dość powiedzieć. Trzeba się ciągle trzymać pochyło i ciągle drżeć o to, aby nie stłuc jakiejś kosztownej wazy za 1000 dolarów. Nadto nie mają Japończycy w swojej dziecinnej swobodzie najmniejszego pojęcia ani o porządku, ani o wartości czasu, co naturalnie nie wyklucza jeszcze tego, żeby handlarz nie dbał o swoją korzyść i to niekiedy bardziej, niż to kupującemu zdrowo. Przedmioty, które odłożyłeś sobie umyślnie, zabierają ci z pod boku, *kakemonów* wraz z ich drewnianymi pudełkami, z których je wydobyłeś dla rozwinięcia, szukać trzeba znowu kwadransami całymi, jeśli raz jeszcze chcesz je oglądnąć, a obliczanie przedmiotów i należytości przy pomocy nieuniknionej maszyny rachunkowej trwa bez końca.

I w Japonii chyli się produkcya artystyczna ku upadkowi — bo gdzież jest dzisiaj kraj, w którymby

Męki  
Europejczyka  
w handlu  
osobliwości.

Nowomodne  
wyroby  
artystyczne.

się to nie działo? mimo to w niektórych gałęziach, jak na polu jedwabnictwa i emalii *cloisonné*, świetne spotyka się wyroby, a że sztuka pozostała narodową w najwłaściwszem tego słowa znaczeniu, dowodzą tego kolorowane drzeworyty i wachlarze, po kilka centów tysiącami po całym kraju sprzedawane. Wachlarze, które mam na myśli, nie składają się, są to raczej kartki papieru obwiedzione trzećią i opatrzone rączką, a znajdują się na nich najczęściej krajobrazy w harmonijnych barwach, zwierzęta, figury, wszystko to prawie zawsze prawdziwie artystyczne kompozycje, rzadko tylko pozbawione humoru. Kolorowane obrazki są to ilustracje do romansów albo starych podań, albo też widoki miast, portrety mikada i jego rodziny, rady ministrów, parady wojskowe, przyczem europejskie stroje wyglądają zwykle bardzo komicznie. U handlarzy osobliwości dostać nadto można całe zeszyty z drzeworytami starymi o cudownych matowych tonach. Oprócz tego znajdujemy malowane parasole, papierowe latarnie i kapelusze *jin-riki-sha-coolies*.

Niemiecka  
muzyka.

Dnia pierwszego czerweca przygrywała muzyka podczas obiadu w hotelu w Yokohamie. Grała marynarska kapela z niemieckim kapelmistrzem na czele i wykonała między innymi marsz z *Tannhäusera* i kilka walców Lannera. Także dyrektor konserwatorium w Tokio szerzy tu niemiecką muzykę, a jest nim Wiedeńczyk, pan Dietrich, zaangażowany przez rząd na pięć lat; chwali on zmyślność i dobry słuch swoich uczniów.

Uroczystość  
jarmarczna.

W nocy po owym koncercie kiermasz na odległym przedmieściu Yokohamy, z niesłychaną obfitością wiszących lub ręcznych latarni papierowych, z kramami najprzeróżniejszych artykułów, z teatrami ludowymi, z cyrkowymi budami, w których odbywają się zdumiewające popisy siłaczy. Ulubioną bardzo rozrywką jest strzelanie z łuku do oświetlonych tarcz. I ja próbowałem łuku; mężczyzna który strzelał przedemną, zdjął surdut z siebie

i oto stoi w sukni o pięknych deseniach i barwach, której już nikt z niego nie zderze, bo to jego własna, na niebiesko i czerwono tatuowana skóra. Dniami całymi znosił on męczarnie, aby się mózdz przechadzać jako żyjące dzieło sztuki!

Tatuowanie.

Następującego dnia, ostatniego popołudnia przed moim odjazdem do Kioto, odwiedziłem teatr z Biegelebenem. Każde miasto Japonii ma ich dużo, jakoż namiętne zamiłowanie w dramatycznych widowiskach wpływa tu już z samego charakteru narodu. Wszystkie budynki teatralne są tu zupełnie skromne, drewniane, bez żadnych ozdób, takie, jakimi były zapewne teatry, w których sztuki Shakespeare'a i Lope'a grano po raz pierwszy. Na fasadzie, tak jak dziś w Londynie, wymalowane są główne sceny sztuki, która właśnie ma powodzenie, — olbrzymie ilustrowane afisze. Sztuka rozpoczyna się przed południem i trwa do późnej nocy. Dekoracye sięgają tylko do połowy wysokości sceny. Miejsce przeznaczone dla widzów składa się z rodzaju łóż, zajętych głównie przez tanecznicę, t. zw. *gesha* i z parteru, podzielonego na małe czworokątne przegrody, w których zasiadają razem całe rodziny albo grona przyjaciół. Podobne do podwyższonego chodnika przecinającego parter, na naszych kuglarskich widowiskach, wiodą tutaj ze sceny ponad owemi przegrodami dwie drogi w kształcie pomostu, któremi aktorowie często wchodzą i wychodzą. Podczas przedstawienia publiczność je i pali w najlepsze. Sztuka, którą widzieliśmy, wygląda na udratyzowany romans, a w scenach, na których byliśmy, ani jednej nie było roli kobiecej. Dekoracye skąpymi środkami świetnie wykonane. Jednego epizodu nie zapomnę tak łatwo. Ze sceny wyobrażającej otwartą okolicę, schodzi stary jegomość, zaglądając pilnie do flaszki *sake*. Za pomocą obrotu zmienia się przed nami dekoracya w krajobraz oblany światłem księżyca. Ów znany nam jegomość, zamroczony już nieco trunkiem, wstępuje na

Teatr.

jeden z pomostów wiodących ponad parter, zanim skrada się w dość znacznym oddaleniu człowiek uzbrojony lancą i kiedy tamten raz się obraca, rzuca się plackiem na ziemię. Odstęp między obydwojma coraz mniejszy, aż wreszcie stają na scenie; chmura zaciemnia księżyc, morderca uderza i chybia; stary chwyta drzewce lancy, które uważa za poręcz i chce się go trzymać. Znowu uderza dzidą i chybia ów napastnik, stary zaś mieczem, jak wszystkie japońskie, ostrym jak brzytwę, odcina grot dzidy, który pozostaje mu w rękę. Morderca zmyka a ocalony wybuch śmiechem wśród radości widzów i przy blasku księżycy wychylającego się znowu z po za chmur odczytuje imię swego wroga wypisane na broni. Aktor był znakomity, śmiech jego dźwięczał jak śmiech Ludwika Löwe za starych dobrych czasów *Burgteatru* w sztukach tego rodzaju jak *Powrót Karola XII*. Po tem efektownem zamknięciu aktu nastąpiła rozprawa sądowa, a dalej pewien rodzaj intermezza, w którym występowali chłopcy w rolach kobiecych. Na kurtynie namalowane są ogłoszenia, jak w niektórych małych teatrach paryskich.

Wycieczka do zachodnich prowincyi.

4 czerwca. — O 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> rano rozpocząłem kilkodniową wycieczkę do zachodnich prowincyi. Wyjazd z dworca w Tokio w południowo-zachodnim kierunku do Yokohama a stąd do Fujisawa. Przestrzeń znana. Kolej wiedzie stąd przeważnie wzdłuż wybrzeża. Zdała widnieje Fusijama stercząc z pomiędzy chmur. Około południa skręcamy w głąb kraju, objeżdżamy górę, mijamy tunele, doliny górskie z bujną zielenią, dzikie potoki, a jazda przypomina żywo przestrzeń kolei przez Abruzzi, między Salerno a Metapontem. O godz. 3 jesteśmy znowu nad morzem. Za nami piękny widok na zatokę z wioską malowniczo na górze rozłożoną, śniegiem okryty Fuji uwieńcza całość. Kolej długimi przestrzeniami idzie po groblach przez morze, jak między Mestre a Wenecją, następnie częściowo przez uprawne pola. Zboże, już

zżółkłe, do żniwa dojrzałe, uprawiane, jak warzywa po ogrodach w osobnych kępkach. Okolica w całości miła i mimo widoku na morze, ma raczej cechę środkowo-niż południowo-europejskiego krajobrazu. Kto wraca z olbrzymich równin i olbrzymich gór Indyi, dopiero przyzwyczaić się musi do tej natury. Jestto komedia po *Fauście* lub *Antygonie*, Terburg albo Watteau po stropie Sykstyńskiej kaplicy. A wszystko, budynki i ludzie, dostraja się tu do natury, tak wszystko schludne, nadobne i małe. W miastach i po wsiach uderza podobieństwo do Holandyi, przypuszczam wszakże, że polega ono właściwie nie tyle na wewnętrznym pokrewieństwie, ile raczej na świadomem czy też bezwiednym naśladownictwie ze strony Holendrów, na których Japonia rzeczywiście w doniosłej mierze wpływ wywarła. W dali widać zamek Nagoya, jeden z najlepiej utrzymanych w kraju. O 5 $\frac{1}{2}$  stacya Nagoya, gdzie wysiadam, aby zamek ten zwiedzić, a także dlatego, że do Kioto, celu mej podróży, nikt się wprost nie dostanie, bo koleje, jak w Szwajcaryi, tylko za dnia tu krążą. W *jîn-riki-sha* jadę przez główną ulicę do mej gospody. Tłum ludu przed dwupiętrowym rydwanem, z lalkami naturalnej wielkości u góry, z kostyumowanymi dziećmi, bijącymi w bębny u dołu. Uroczystość to na cześć bogów. Miasto ma średnie rozmiary, lecz ulice wszystkich miast japońskich tak są podobne do siebie, że je rozróżnić trudno. Hotel mój leży na bocznej ulicy, zamówiłem w nim pokój już naprzód, a trzy śmiejące się i dygające miniaturowe kobiety przyjmują mnie u drzwi domu. Zgarbiony idę po schodach, prowadzą mnie do mego pokoju, nie o wiele większego od kabiny okrętowej, lecz schludnego i zaopatrzonego we wszystko, co najniezbędniejsze dla Europejczyka. Jadę zaraz do zamku, który jak wszędzie, z wyjątkiem Tokio, leży na końcu miasta. Pierwsze obwarowanie z cyklopijskich murów; żołnierze w pruskich czapkach sylabizują mój paszport i wpu-

Charakter  
okolicy.

Nagoya.

Twierdza  
Nagoya.

szczają mnie do środka. Następuje wewnętrzne obwarowanie znowu z surowego kamiennego muru, otoczone wodną fosą, po rogach białe, szerokie wieże z licznymi zawijanymi dachami, na końcach dachów szczytowych delfiny. Ponad wszystkim góruje pięciopiętrowa główna wieża, której dach zdobią znowu dwa olbrzymie pozłacane delfiny. Jeden z nich figurował na powszechnej wystawie wiedeńskiej; okręt który go wiozł z powrotem, zatonął, lecz delfina ocalono i ku wielkiej radości Japończyków umieszczono na dawnym miejscu. Odźwierny nie chce mnie wpuścić, posyłam tedy mego służącego z paszportem do komendanta. Po dziesięciu minutach nowa trudność ze strażnikiem, który wbrew rozkazowi utrzymuje, że już za późno. Idę przecież pierwszy do twierdzy, za mną postępuje mrucząc strażnik, który wzbrania się otworzyć mi główną wieżę, aż mu to nadchodzący oficer nakazuje. Doświadczyłem tego i gdzieś indziej, że strażnicy, kapłani, urzędnicy dworscy nie żyli się jeszcze w tym kraju z nowym porządkiem rzeczy i że tylko niechętnie puszczają cudzoziemców do budynków, powierzonych ich pieczy. Z wieży widok na miasto i góry, podobny do niejednego z galicyjskich, z Karpatami jako tłem. A teraz dokoła pomiędzy oba wały; mury, rowy, wieże z pięknymi czarnymi, starymi piniami, które doskonale się dostrajają do otoczenia; wszystko to składa się na zajmujący obraz, ale bardziej jeszcze zajmującą jest objażdżka całej warowni w *jirikishi-sha* przy zapadającej już nocy.

5 czerwca. — O 6 $\frac{3}{4}$  siedziałem w *coupé* kolei żelaznej i po dwóch godzinach jazdy w kierunku północno-zachodnim dostałem się na wybrzeże jeziora Biwa. Po drodze miasto z wieżą forteczną na sposób wieży w Nagoya, tylko mniejszą, a na kilku domach innej miejscowości wielkie powietrzem wydęte ryby z papieru zamiast chorągwi, na znak, jak powiadają, że się mieszkańcom syn urodził. W Nagahama mieniam pociąg

Papierowe  
ryby.



na miniaturowy parowiec, nabity Japończykami i z trudem tylko zdobywam sobie miejsce gdzieś całkiem z tyłu. Ani pod rozpiętym namiotem na pokładzie, ani w niższych częściach okrętu nie mogę stać wyprostowany. Jezioro Biwa równa się zupełnie niektórym alpejskim; wybrzeża miłe, nie są nigdzie wspaniałe; piękne wyspy i przedgórze. Niebawem jesteśmy w Hikone, gdzie wsiadają na okręt książę Paweł Sapieha, który bawi już od pewnego czasu w Japonii i baron Siebold. Przybywają właśnie z starego zamczyska, które wysoko z lesistego wzgórza spogląda na jezioro. Jest to rodzinny zamek książąt Inokami, którego ostatni właściciel zamordowany został w Tokio przed dwudziestu laty, a więc tuż przed zwycięstwem nowych idei, za sympatyje swoje dla Europejczyków. Polityczne morderstwa były zawsze w Japonii na porządku dziennym, a niedawno, bo dopiero przed kilku tygodniami, padł ofiarą takiego zamachu minister oświaty, rzekomo za to, że w trzewikach wszedł do *sanctissimum* jakiejś świątyni shinto. Mordercę, który zabierając się do dzieła wiedział dobrze, tak, jak większa część jego poprzedników, że i jego samego śmierć nie minie, rozsiekała na miejscu służba ministra, ale lud ubóstwia go jako narodowego męczennika. Widać, że starojapoński duch żyje jeszcze i że nowe instytucje nie zapuściły w tym gruncie tak silnych korzeni, jakby się to na pierwszy rzut oka zdawało.

Jezioro Biwa.

Polityczne morderstwa.

O 12<sup>1/2</sup> Otsu, piękna miejscina na południowym wybrzeżu jeziora. Włóczymy się po niej i oczywiście kupujemy znowu osobliwości; niestety nie mogę dobić targu z handlarzem trumien w kształcie lektyk, które podobne do lektyk dla żyjących i bogato ozdobione, bardzo mi się podobały.

Otsu.

Wzgardzamy koleją wiodącą do Kioto i wyruszamy tam w *jin-riki-sha* o godzinie 3<sup>1/2</sup>. Droga wiedzie częściowo stromo niską przełęczą, góry często zalesione, możnaby myśleć, że się jest w Styrii. Po godzinie wi-

Jazda do Kioto.

dok na szeroką równinę otaczającą Kioto z dachami świętego miasta. Mijamy świątynię na długim przedmieściu, dalej jedziemy pod górę do hotelu Yaami, najlepszego w Japonii, ze wspaniałym widokiem i z stereotypowym ogrodem pełnym krzewów azalei wśród skał, który przypiera do lesistej góry. Ożyweże świeże powietrze.

Kioto.

5 czerwca po południu do 8 rano, Kioto. — Kioto leży w szerokiej dolinie rzeki Kamogawa, przepływającej miasto z północy na południe. Dolina między lesistymi górami średniej wysokości przypomina florencką, a jak pod Florencją wille i kościoły, tak tu gubią się domy i gmachy świątyni w otaczającym powabnym krajobrazie. Liczba mieszkańców 200.000 do 300.000. Kioto jeszcze przed 20 laty było rezydencją mikada, który pośród *kugów*, swojej dworskiej szlachty, ukryty w labiryncie swego pałacu, wiódł tu żywot bezczynny, podczas gdy *shogun* rządził krajem z Yedo i rozstrzygał o wojnie i pokoju, tylko dla pozoru zasięgając przyzwolenia cesarza. Kioto jest nadto świętem miastem buddyzmu, Rzym albo Benares Japonii, co dziwną jest rzeczą wobec faktu, że było niegdyś siedzibą mikadów, po wszystkie czasy wyłącznych wyznawców wiary shinto. Świątynie Buddy sekt różnych liczniejsze tu niż gdziekolwiek. Ulice są proste i przecinają się pod kątem prostym, życie, rozgrywające się na nich, jest różnobarwniejsze niż w Tokio. Wszystko tehnie wesołością i ochotą bytu. Rzeka, obecnie prawie wyschnięta, ma się jesienią roić od łodzi, a wtedy odbywają się na wodzie wesołe festyny nocne.

Pałac mikada.

Największe zajęcie budzi w Kioto pałac mikada, który zwiedziłem nazajutrz po mojem przybyciu. Leży on w północnej części miasta, mieszkania *kugów*, które go przedtem otaczały, zburzono w ostatnich latach, robiąc miejsce publicznym ogrodom i otwartym placom. Na jednym z tych ostatnich, w bezpośredniem pobliżu pałacu, wznosi się pagórek z dwoma drzewami, a między

niemi wspaniała bronzowa latarnia. Pałac, jak wszystkie mieszkania orientalnych władców i świątynie Wschodu, a zwłaszcza japońskie, nie stanowi jednej budowy, lecz jest całym miastem budynków połączonych z sobą gankami. W odróżnieniu od masywnych obwarowań twierdz shogunów, otacza go tylko mur z gliny. Dzisiejsze budynki stoją dopiero od 40—50 lat; odbudowano je dokładnie według pierwotnego planu po zniszczeniu starych przez pożar. Brama wchodowa nie odznacza się niczem. Mój towarzysz, urzędnik publiczny, dodany mi przez gubernatora, prezentuje wśród ciągłych pokłonów mój certyfikat wstępu gronu dozorców, siedzących razem w małym budynku koło bramy. Po długim studyowaniu pisma i ponownych ukłonach, decyduje się jeden z dozorców pójść z nami. Stoimy przed długim, niewysokim drewnianym budynkiem bez ozdób, pomalowanym na biało, z ciężkim dachem z kory drzewnej, co mu daje podobieństwo do słomianej strzechy, a na prawo i lewo podobne budynki. Pozbywszy się obuwia szliśmy po pięknych słomianych rogożkach długim korytarzem, również bez ozdób; kilkoro przesuwalnych drzwi drewnianych, z obrazami dzikich zwierząt na tle zimowych krajobrazów, prowadzi do sal wewnętrznych. W jednym z pokoiów stoją krzesła dokoła okrągłego stołu, na stole leży księga gości, atrament i pióro. Urządzenie tego pokoju to jedyna koncesja na rzecz zachodnich zwyczajów, jaką spotykamy w tych murach. Znowu długie korytarze i wступujemy do sali tronowej, dość obszernej i wysokiej; okna na dwie strony, jak wszystkie w pałacu, nie ze szkła, lecz z białego papieru, na pięknej rogożce tron, rodzaj łoża pod baldachimem — nie zresztą. Jedną ze ścian podłużnych zajmuje dziesięć wizerunków chińskich mędrców w naturalnej wielkości, bardzo ciekawych z powodu wyrazu twarzy i kostiumu, a zwłaszcza okrycia głowy. W Japonii jeszcze trudniej prawie niż na mahometańskim wschodzie otrzymać stanowczą, jasną

Sala tronowa.

Malowidła.

odpowiedź na zapytanie, nie mogłem tedy dowiedzieć się, czy mam przed sobą stare portrety, ocalone z pożaru, czy też ich kopie. I znowu korytarze i drzwi przesuwalne, a korytarzami droga do innych budynków. Pokoje średniej wielkości całkiem puste, precudne maty słomiane, przesuwalne ściany z papieru do dołu malowidłami okryte. W jednej komnacie same dzikie gęsi w wszelkich możliwych postawach, w drugiej inne okazy zwierząt, w dalszych chińskie sceny z domowego życia, niekiedy domy z jedną ścianą wyjętą, tak, że się widzi ich wnętrze, otoczone dzikimi krajobrazami górskimi, a w nich zawsze złocenie wyobraża mgłę, z której się wyłaniają budynki. Dalej wodospady, dalej sceny z dworskiego życia Japonii, ciekawe z powodu starych strojów dworskich, ciemnych, z małymi czapczkami osobliwego kroju. W jednym długim korytarzu ściana naprzeciw okien pełna obrazów, na jednym z nich japończy dworzanie zajęci malowaniem wśród krajobrazu. U głównych wejść zawsze drewniane drzwi, a na wszystkich namalowane są ludzkie postaci naturalnej wielkości albo zwierzęta większych rozmiarów i to w ten sposób, że jedna kompozycya zajmuje oba zasuwalne skrzydła drzwi. Sufity całkiem bez ozdób.

Ogród.

Prowadzą mnie do małego ogrodu z pięknymi drzewami, nieuniknionymi krzakami azalei wśród skał, z małym strumykiem i mostami z jednego kamienia. Kamień jest sam przez się rzadkością w Japonii, wielkie płyty, dowożone z Korei, uchodzą za nadzwyczaj kosztowny przedmiot zbytku. »Co jest za tym niskim murem?« pytam moich towarzyszków. »Prywatny ogród Mikada«. »A ów budynek połączony gankiem z tym, z którego właśnie wyszliśmy?« »Prywatne mieszkanie Mikada«. »Któż więc mieszkał w tych wszystkich komnatach, które zwiedziłem?« »Panowie i damy dworu«. »Chcę widzieć prywatne mieszkanie cesarza«. »Niepodobna!«. »Jeśli mi go zaraz nie pokażecie, zatelegrafuję

do Tokio o osobne zezwolenie na to. Będzie to tylko stratą czasu, i nie więcej\*. Moi Japończycy zmiękli, jeden ze służby dworskiej pozostał przy mnie, dla pilnowania, abym przypadkiem nie wziął czego z pustych pokoiów lub nie uszkodził ogrodu, a dwaj przewodnicy poszli po pozwolenie do najwyższego dozorca pałacu. Długo ich niema; wracają dopiero po 20 minutach. „*All right!*“ wiodą mnie do najświętszych przybytków. Nie różnią się one niczem od komnat, które już przeszedłem, może tylko malowidła są jeszcze delikatniejsze i troskliwiej wykończone. Na drewnianych drzwiach obrazy kostyumowe przedstawiające taniec *No* wykonany w maskach. Tańce *No* są rodzajem baletu, przedstawianego przed mikadem; kostyумы i pozycje przypominają niekiedy Longhi'ego weneckie sceny zapustne z zeszłego stulecia. W jednym pokoju ciekawe obrazy, przedstawiające pochody koronacyjne. W innych sceny chińskie. W dość wielkiej sali nie oprócz tygrysów naturalnej wielkości, gotowych do skoku czy też czatujących na zdobycz. Była to sypialnia cesarza. Jeśli kiedy w łóżku leżał i miał gorączkę, to rodzaj ten dekoracji nie bardzo się przyczyniać musiał do ukojenia chorego. Wszystkie obrazy, z wyjątkiem portretów w sali tronowej, mają być pędzla współczesnych malarzy, większa część polega zapewne na dawniejszych wzorach. Artystyczna wartość malowideł jest bardzo rozmaita; niektóre obrazy zwierząt, n. p. dzikie gęsi są mistrzowskie; także większość innych jest wyborna, procesye pełne życia, sceny dworskie dobrze obserwowane, chińskie tematy wykonane z ową miniaturową dokładnością, która widocznie tradycyjonalną jest we wszystkim, co pochodzi z »niebieskiego państwa«. Prywatny ogród mikada całkiem taki sam jak ów już wspomniany, z tamtej strony wewnętrzznego muru.

Po dwóch godzinach opuściłem ten labirynt podobnych do siebie budynków i komnat i pojechałem do

Prywatne  
mieszkanie  
mikada.

Pałac  
shogunów.

pałacu shogunów na zachodnim końcu miasta. Fizyognomia zewnętrzna podobna zupełnie do zamku Nagoya. Wał, rowy, wieże narożne z wywiniętymi dachami, we wszystkim widać antytezę pałacu mikada. Zamek shogunów w Kioto pochodzi z początku XVII, a jak niektórzy sądzą, nawet z XVI stulecia i dzisiaj, kiedy już z zamku w Ozaka pozostały tylko obwodowe mury, jest najznacniejszą świecką budową starej daty, jaka

Bramy.

się w Japonii dochowała w całości. Bramy wchodowe z cudownie wykonanemi kolorowanemi płasko-rzeźbami, wyobrażającemi czaple i inne wszelkiego rodzaju ptaki. I tu labirynt budynków, ale więcej charakteru odosobnienia i niedostępności niż w pałacu mikada. Choć rogózki nie okrywają posadzek, musiałem i tu zdjąć obuwie. Pokój obok pokoju, korytarze i znowu pokoje, niektóre znacznych rozmiarów, na ścianach malowidła na tle złotem, na poły już zatartem i brudnem, a temsamem bardzo dostrojonem w tonie, a wszystko to prawie obrazy mistrzowskie zwierząt, tylko kilka kraj-obrazów, żadnych postaci ludzkich. Czem zaś komnaty te górują nad pokojami cesarskiego pałacu, to wspianiałymi sufitami z polichromicznym, rzeźbionem kasetowaniem, któremu za motyw służą najczęściej dwa heraldyczno-ornamentalne pawie rozmaicie naprzeciw siebie ustawione, które przypominają niektóre motywa renesansu.

Sufity.

Świątynie  
w Kioto.

Niewiele tylko świątyni świętego miasta zwiedzić mogłem, i tu bowiem tak dalece opanowała mnie i moich towarzyszków ochota kupowania, że większą część czasu spędziliśmy po sklepach osobliwości. Pierwszego wieczora aż do północy zabawiliśmy u takiego handlarza. Pocieszam się zresztą tem, że w Japonii wszystkie świątynie z małymi wyjątkami bardzo podobne są do siebie. Trzebaby było mieć więcej czasu, i systematyczniej poznać sztukę i historję kraju, aniżeli to w tych kilku tygodniach było dla mnie możliwem, aby zwiedzając świątynię jedną po drugiej, nie doznać wra-

żenia monotoności. Zabudowania świątyni w Kioto, najrozleglejsze, chociaż pod względem artystycznym nie najwybitniejsze w kraju, przypominają po części bardzo dobrze zabudowany i starannie utrzymany folwark, przyczem główna świątynia wyobraża stodołę. Mała wysokość wszystkich budynków i ciężkie dachy z kory drzewnej przyczyniają się głównie do tego wrażenia. Dachy te, potrzebne z powodu licznych trzęsień ziemi, stanowczo są nieestetyczne, a osobliwie, jeśli ich drewniane ściany z powodu subtelnych rzeźb swoich wydają się jeszcze węższe, aniżeli są w istocie. Ciemne pinie i kryptomerye, otaczające większą część tych budynków, dają im najprzedniejsze, jakie się da pomyśleć, obramienie i jako dzieła przyrody łagodzą dziwactwo dzieł ręki ludzkiej. Wprawdzie nie zawsze i im darowali ludzie, jak n. p. wspinałemu cedrowi obok sławnej świątyni Kinkakuji w okolicy Kioto, który przystrzyżono nakształt okrętu. Do tej świątyni, leżącej o pół godziny drogi przed miastem, pielgrzymują Kiotanie przez lasy i pola wiejskimi drogami. Różne świątynie rozprószone są po obszernym parku, jedna z nich leży na pięknej wyspie wśród stawu. Ciekawe parawany i *kakemono* napełniają pokoje obok miejsc poświęconych służbie Bożej. Między nimi jest portret jednego z założycieli, może jakiego shoguna, z czarną brodą, z nabrzmałymi oczyma i policzkami, przypominający niektóre Cranachowskie portrety książąt, lecz jeszcze bardziej zbliżony do karykatury niż one. Z dwóch wielkich, na zachodzie miasta obok siebie leżących świątyni, zwanych Nishi-Hongwanji, wspomnę tylko o nadzwyczaj pięknie rzeźbionym, bardzo starym portalu, bez jakiegokolwiek malowania, z jeźdźcami, smokami, ptakami, zaliczającymi się do najlepszych w swoim rodzaju.

W drodze do mego hotelu przechodziłem zawsze przez podwórze świątyni shinto obok wiernych modlących się do bóstwa. Inna, znacznie większa świątynia

Świątynia  
Kinkakuji.

Portal świątyni  
Nishi-Hongwanji.

Świątynia  
shinto.

tego rodzaju, leży w kierunku świątyni Kinkakuji. W jej ogrodzie widziałem więcej kamiennych latarni czyli *torii*, niż w ogóle przy jakimkolwiek domu Bożym w Japonii, i co mnie uderzało szczególnie, kilka byków z brązu, które wywoływały we mnie iluzję, jakoby znalazł się w obrębie indyjskiej świątyni Sivy. Sala do składania ofiar *ex voto*, właściwość świątyni shinto, obfituje w cenne obrazy na drzewie. Może i owa galerya obrazów, sławna Poikile na Akropoli ateńskiej, była także pierwotnie salą takich darów *ex voto*.

Tańce miko.

Szóstego wieczorem urządził nam Siebold w pewnej herbaciarni małą zabawę, która odbyła się w uroczy sposób. Leżąc bez obuwia na matach, łokciami wsparci na skórzanych poduszkach, przypatrywaliśmy się tańcowi pięciu prześlicznych małych *miko*. Tak nazywają tu dziewczątka między 14 a 17 rokiem życia, które są kandydatkami na *gesha* (japoński równoznacznik indyjskich *nachgirl*). *Gesha* są zarazem i spiewaczkami i tańcznicami, *miko* tylko tańczą. Ale jak, z jaką gracyą i jak przystojnie, z jaką werwą i jakim szykiem, o tem wyobrażenie ma tylko, kto je widział. W przystankach przysiadają nadobne dzieci najczęściej nieruchomo na ziemi, połykając bez przerwy małe kawałeczki lodu który zdawał się im smakować jak cukier. Strój ich i fryzura były najlepszego smaku, jaki się da pomyśleć, brwi i usta pomalowane, a jedna z nich ćwiczyła się z zamięłowaniem w sztuce malowania także naszych twarzy na czarno i czerwono. Jak tylko co popsuło się w ich toalecie, dobywały zaraz małych zwierciadełek z olbrzymiej przepaski i malowały się i przystrajały jak zgrabne koteczki. Potrawy, które nam podano, były wyborne, nigdy nie jadłem tak pysznie przyrządzonych ryb. Ale władać patyczkami to trudne zadanie, królestwo za widelec! Tańce byłyto dawne tańce z Kioto, po części religijne, najslawniejszy z nich zwany *miko odori*. Nie są to ani skoki, ani sztuczki na końcach palców,



w które się nasz balet wyrodził, ani kureczowe drgania ciała przy nieruchomości nóg, jak w większej części arabskich i indyjskich tańców, lecz harmonijne posuwanie, kołysanie i pochylanie się; gracia w każdym calu, muzyka dla oka. Pląsy na placu targowym w Megarze, w Grecyi, ze wszystkiego, co kiedykolwiek widziałem, najbardziej jeszcze zbliżały się do ruchów dziewczątek w Kioto.

8 czerwca. — O 6<sup>3</sup>/<sub>4</sub> rano siedziałem w *coupé*, jadąc w południowo-zachodnim kierunku, popod wielkie miasto Ozaka, a w trzy godziny przybyłem do Kobe, jednego z tak zwanych *treaty ports*, t. j. portów, otwartych mocą traktatów dla okrętów wszystkich narodów. Takimi portami są: Nagasaki na wyspie Kiushiu, Kobe, Yokohama na wschodniem, Niigata na zachodniem wybrzeżu głównej wyspy, Hakodate na Yezo. Poza temi miejscami i dokładnie oznaczoną ich okolicą cudzoziemiec tylko jeszcze w Tokio i Ozaka zatrzymywać się może bez japońskiego paszportu, o który zresztą pytają go wszędzie zaraz po przybyciu do hotelu. Mówią właśnie teraz o usunięciu tych przepisów i otwarciu całego kraju.

Treaty ports.

Zupełnie europejskie miasto Kobe leży, podobnie jak Genua, między morzem a spadzistemi zielonemi górami o szlachetnych konturach, stare zaś miasto krajowców, Hiogo, przytyka do niego bezpośrednio od południowego zachodu. Zwiedzam świątynię shinto pod wspaniałemi drzewami, dokoła których wznoszą się małe osobliwsze kapliczki z drzewa, i wodospad, o pół godziny drogi od miasta odległy. Po drodze pewnie z dziesięć herbaciarni, nawet pod Ischl niema tylu mleczarni obok siebie. Kupuję kosze i inne wyroby ze słomy z pobliskiego Arima, niektóre z tych robót to prawdziwe dzieła sztuki, najdelikatniejsze na świecie. Po południu Siebold i ja odprowadziliśmy na parowiec Sapiehę, który jedzie do Pekingu. Ze stolicy Chin zamierza sprężysty młody mój przyjaciel wracać do Europy na Syberję uciążliwą drogą

Kobe.

lądowną, i niepodobna go żadnemi perswazyami odwieść od tego zamiaru. W kilka godzin potem i ja już byłem na małym parowcu, który krąży po wewnętrznym morzu Japonii i używałem pięknego widoku na Kobe i Hiogo.

*9 czerwca.* — Przez całą noc płynął mój statek w kierunku zachodnim i zatrzymał się o 5 godz. rano przed Tadotsu na wyspie Shikoku, która wraz z sąsiednią wyspą Kiushiu zamyka od południa morze wewnętrzne. Markotny wylazłem z mojej ciasnej celi, bo deszcz lał strumieniami i przesiadłem się na jeszcze mniejszy parowiec, który mnie miał zawieść napowrót do Kobe. Gdyby nie brakło było pogody i słońca, byłbym może dalej przedłużył jazdę aż do Shimonoseki, gdzie wąska droga wodna prowadzi z morza wewnętrznego do Korejskiego kanału. Szukałem najpierw schronienia na dole mego nowego parowca i bawiłem się widokiem kilku japońskich podróżnych jedzących śniadanie, które składało się z ryżu i rozmaitego rodzaju jarzyn, przyczem zazdrościłem im zręczności w posługiwaniu się patyczkami. Pocziwy kapitan odstąpił mi swojej kajuty na pokładzie, w której się zaraz wygodnie rozlasowałem do pisania. Do południa trwała niepogoda; jak cienie prześlizgiwały się obok mnie szare wyspy i przedgórza. Wreszcie przedarło się słońce zwycięsko i oświeciło najwdzięczniejsze obrazy; wyspy, na których uprawa zboża sięga do znacznych wyżyn, naprzemian z lasami, miłe przystanie, pyszne wielkie żaglowce kołysane modrą falą. Wewnętrzne morze to koryncka zatoka Japonii, podobne jest do niej nie tylko geograficznie ale i jako pejzaż. Przed nami, obok nas, za nami secina łodzi żeglarskich, o czworobocznych białych żaglach, jakby mleczną drogą znaczy się na wodzie. Teraz rozszerza się morze, brzegi umykają od północy i południa, i wynurza się przed nami po pewnym czasie wyspa Awagi, która od wschodu oddziela

Podróż po  
morzu we-  
wewnętrznym.

*Inland-sea* od zatoki Kobijskiej. Objeżdżam teraz i tę wyspę od północy i jeszcze przed zachodem słońca wyśiadam w Kobe. Wieczorem zwiedzam świątynię Nanko w Hiogo, gdzie się właśnie odbywa jarmark. Piękny efekt rozłożonych na sprzedaż kwiatów w świetle papierowych latarni. Śliczne małe drewniane zabawki i niewypowiedzianie misterne ryby z cukru. Każdy jarmarczny cukiernik w Japonii jest artystą.

10 czerwca. — Wczesnym rankiem do Hiogo i do wzgórza na sztucznie utworzonej wyspie Tsukijima. Tu stoi grobowiec Kiyomori'ego, jednego z największych bohaterów i polityków Japonii, założyciela miasta Hiogo, który żył w XII wieku. Piękne pinie i latarnie kamienne dokoła kamiennego pomnika, wysokości czterech mężczyzn — około 12 lub 14 czworobocznych płyt kamiennych naprzemian z tyłuż mniejszemi, uwieczonych takim szczytem jak buddhystyczne *dagoby*. W ogóle wygląda ten monument jakby wariant *dagoby*, czworoboczne płyty są widocznie odmienną imitacją siedmiokrotnego kamiennego parasola. Widok na morze i góry cudowny, a całość to prawdziwy grób bohatera. Ale czemuż jest dla człowieka z zachodu Kiyomori, którego imię spotkał dopiero w swoim podróżnym podręczniku, o którego życiu następnie przeczyta kilka dat w jakiejś książce historycznej? Kiedy staniemy przed grobem Agamemnona w Mykenach, przed grobem Teodoryka w Rawennie, przed grobami królów pod Jerozolimą, umysł nasz bierze udział w tem, eo oglądamy; odkąd bowiem myśleć umiemy, imiona te łączą się dla nas z postaciami, dla których w duchu czujemy sympatyę lub antypatyę. Do pewnego stopnia ma się rzecz tak samo jeszcze w obec egipskich, assyryjskich, mahometańskich władców i bohaterów. Pośrednio czy bezpośrednio przyspieszyli oni lub powstrzymali prąd wypadków, które w historycznej konsekwencji złożyły się na sytuację świata, w jakiej żyjemy. Każdy z nas wszędzie szuka tylko siebie, tylko

Grób Kiyomori'ego.

Nasz stosunek do historycznych postaci Japonii.

Pojęcie dzie-  
jów powsze-  
chnych.

tego, co się doń odnosi, tylko tego, co jego obchodzi. Miara tej sfery zainteresowania jest prawdziwą miarą duchów i sere. Dla takich postaci, jak Kiyomori, jak Iyeyasu i tym podobnych wielkich mężów Japonii, mało kto z nas wzbudzi w sobie udział prawdziwy, raz dlatego, że z postaciami temi nie oswoiliśmy się zaraz w młodości, powtóre i głównie dlatego, że to, co działy lub czego zaniechały, nie wywarło żadnego widocznego choćby tylko pośredniego wpływu na nasze wierzenia, uczucia, czyny, myśli. O tyle też tylko słusznie czyni większa część dziejopisów i historyków cywilizacji i sztuki, jeżeli wypuszcza z zakresu swych roztrząsań historię rozwoju wschodnio-azyatyckich ludów, nie jest atoli słuszną rzeczą, nazywać dziejami powszechnemi historię tych jedynie ludów, które wywarły wpływ na naszą cywilizację, jak to jeszcze niedawno uczynił Ranke w ostatniem swem dziele, Renan w swych »Dziejach ludu izraelskiego«, gdzie obaj wyraźnie oświadczają, że dzieje powszechne nie mają nic wspólnego z Chińczykami i Indami. Dziejów tego rodzaju, zamkniętych granicami jednego choćby najbardziej rozległego obszaru cywilizacji, nie można nazwać dziejami powszechnemi, tak samo jak nie jest uzasadnionem antropocentryczne stanowisko, z jakiego prawie wszyscy filozofowie ciągle jeszcze wychodzą w swych uwagach o wartości lub nicości świata i życia, chociaż teoretycznie sami wyszydzą tę metodę, o ile ją przed nimi ktoś inny wyznawał. Nie! Świat nie wyłącznie dla nas ludzi istnieje, nie nie uprawnia nas do przypuszczania, że ponad nasz mózg niema doskonalszych machin, w którychby wszechświat doskonałej się nie odzwierciedlał; indywidualna czy zbiorowa doła lub niedoła nasza bardzo mało ma do czynienia z losami świata w ogóle, a równie śmieszną jak zuchwałą jest rzeczą, chcieć sięgać po nieskończoność dla naszych drobnych, znikomych celów. I nie na to znowu planeta nasz stworzony, aby

dzień w dzień na niezliczonych, czernidłem drukarskiem zamazanych arkuszach lichego papieru, tysiące półmędrków z niewielkiem sumieniem podawały za prawdę milionom prostaczków coś, czego same nie wiedzą, i ażeby dzień w dzień na niezliczonych placach musztry od Madrytu po Moskwę wszystkich młodych i silnych ludzi z pomiędzy tych milionów ćwiczone w mordowaniu bliźnich najprędszą i najpewniejszą metodą — a niestety oprzeć się prawie nie można pokusie, aby w jednym i drugim tym objawie czasu, nie upatrywać jedyne go czystego zysku naszego przechwalanego cywilizacyjnego rozwoju.

Przedmiotowo rzecz biorąc, historia Chin, Japonii i n. p. starożytnych amerykańskich cywilizowanych ludów, o ilebyśmy o tych ostatnich w przyszłości więcej dowiedzieć się mieli, ma to samo znaczenie, jak każda inna; tylko podmiotowo dla nas mniej ma wartości, bo losy tych odłamów ludzkości nie wywierały na nas żadnego wpływu albo tylko bardzo mały. Jeśli jednak mówimy o dziejach świata, t. j. o dziejach całego rodzaju ludzkiego, to winna się w nich mieścić tak samo historia wschodnich Azyatów, jak Chaldejczyków, Celtów, Niemców albo Polaków.

Lecz drugi jeszcze błąd popełniają prawie wszyscy nasi dziejopisarze, wyjąwszy tylko historyków literatury, których przed błędem tym ustrzegła gramatyka porównawcza, a mianowicie, że równie mało uwzględniają Indye, jak właściwą Azyę wschodnią. Indye należą pod każdym względem do zakresu naszej kultury. Bez tego kraju spowitego w baśnię, przez który płyną Indus i Ganges, historia najdawniejszej starożytności będzie już niezupełną. Aleksander zdobył nam później duchowo Indye, tak samo jak Krzyżowcy duchowo zdobyli bliższy Wschód, chociaż materialnie obie wyprawy spełzły na niczem. Bez Indyi nie można również pisać dziejów mahometańskich ludów, jak bez objęcia buddyzmu nie

Indye ogniwem łączące  
dwa światy.

da się napisać prawdziwa historia religii. Ów kawał świata od Himalaya do Ceylonu należy wprawdzie także do Azji wschodniej, dla której stał się tem, czem dla nas Palestyna i Grecya razem wzięwszy, i której wpływów na odwrót pod niejednym doznawał względem, lecz jego dzieje, jego kultura i sztuka obchodzą i nas w tysamym, a po części w większym stopniu niż dzieje starożytnych Egipcyan, Etrusków i Arabów. Indyę są ogniwem łączącym dwa światy, bez którego żaden z nich nie da się pomyśleć. *Et voilà pourquoi votre fille est muette* — powiada *le Médecin malgré lui* — to wszystko sprawia, że z serdecznym udziałem badamy ślady króla Asoki, przyjaciela ludzi i zwierząt i wielkiego Akbara, podczas gdy Kiyomori i Iyeyasu są nam obojętni, a pozostałe świadectwa ich działalności budzą w nas co najwyżej zaciekawienie.

Buddhystyczny pielgrzym.

Po oglądnięciu grobu i widoku ledwie co usiadłem znowu w wózku, gdy spostrzegłem mężczyznę w olbrzymim, w części niebieskiem suknie pokrytym słomkowym kapeluszu, opatrzonym z przodu w płytę mosiężną, który mnie zajął, mimo że się tu na dziwaczne nakrycia głowy spogląda z czasem zupełnie obojętnie. Był to buddhystyczny pielgrzym, który po wierzchu niebieskiej swej sukni miał dwa białe rzemienie na barkach, na jednym wisiała żebracza puszcza czworokątna, z wąskim otworem na grosze, jak puszczy po naszych kościołach, drugi miał na wewnętrznej swej stronie wypisane modlitwy. Przepasany był trzecim rzemieniem, do którego przy-mocowany był mosiężny aparat dzwonekowy, podobny do dzwoneków wędrujących paryskich handlarzy limoniady, lewa ręka owinięta różańcem, nogi w białych kamaszach. Odrysowałem go w moim szkicowym karnecie, wśród niezmiernego natłoku ludu, którego uciecha nie miała granic, gdy w końcu kupiłem u pielgrzymia kapelusz, rzemienie, przyrząd dzwonekowy, puszcę żebracza i różaniec, zabierając tę zdobycz z sobą.

Hiogo posiada w świątyni Shingoji ciekawą świątynię Buddy; prócz nieodzownych budynków pobocznych znajduje się za nią także szkoła i wiele mieszkań kapłańskich. Na samym przedzie właściwej świątyni mały, delikatnie wykonany posązek z drzewa, starzec bez brody, w magistralnej postawie, siedzący na krześle, a zawieszono mu na ramiona z kilku kryz złożoną czerwono-białą sukienną pelerynkę, nakształt owych, jakie u nas noszą ministranci w kościołach. Jestto posąg przedstawiający Binzuru-samę, z którym się jeszcze kilkakrotnie spotkałem. Jest on patronem w chorobach. Japończycy pocierają najpierw dłonią tę część korpusu na posągu, która im dolega, następnie chorą część swego ciała i twierdzą, że w ten sposób pozbywają się swych cierpień. Przed świątynią brązowy Amida mniej kolosalny od innych, może tylko potrójnej naturalnej wielkości, lecz właśnie dlatego ładniejszy od wszystkich innych, które widziałem, tuż obok niego azalie i inne niskie krzaki, przed nim mały staw, a jako tło piękne pinie i gmachy świątyni, obraz w całości doskonale zestrojony.

Po południu dostałem się na górę Takatori, jeden ze szczytów łańcucha gór, która w półkolu ujmuję oba siostrzane miasta. Leży on na północny zachód od Hiogo; jechałem w *jin-riki-sha* pół godziny za miasto przez pola, obok herbaciarni z pięknie utrzymanym ogrodem, aż do świątyni shinto. Stąd wiodła droga godzinę pod górę, po części bardzo stromo. I to wzgórze jest celem pielgrzymek, a tak samo jak herbaciarni nie brak tu zwykłych w takich miejscach bram, które tu jednak są z drzewa. Na szczycie mała kaplica z kamienia, przed nią dwa lisy kamienne na straży; lis jest dla wyznawców shintoizmu świętem zwierzęciem, bywają kaplice, gdzie się ich 6—8 widzi, jak n. p. w ogrodzie mego hotelu w Kioto. Najczęściej jednak stawiają po dwa lisy naprzeciw siebie, jeden trzyma w pysku małą kulę,

Świątynia  
Shingoji.

Posązek po-  
mocnika  
w chorobach.

Góra będąca  
celem piel-  
grzymek wy-  
znawców  
shinto.

Posągi świę-  
tych lisów.

drugi rodzaj klucza. Oba tutejsze lisy miały nadto prawdziwe pelerynki sukienne dokoła szyi, tak samo jak ów drewniany uzdrowiciel, którego rano oglądałem. Widok ze szczytu góry na przepyszną okolicę, na wyspę Awagi, a ponad nią na wyspy wewnętrznego morza wpołył we mnie do reszty przekonanie, że okolice Japonii pod względem piękności krajobrazów isć mogą w zawody z każdym innym krajem na świecie.

Ozaka.

*11 czerwca.* — Pociąg kolei wiodącej do Kioto zawiózł mnie przed południem do Ozaki, gdzie stanąłem po pięciokwadransowej jeździe około 11 godziny. Ozaka, główny punkt handlowy Japonii w wewnętrznym obrocie, leży na równinie otoczonej w półkolu przez góry, w niewielkiem oddaleniu od wybrzeża, nad rzeką Yodogawa, która łączy jezioro Biwa z morzem, a do której wpada Kamogawa, rzeka przepływająca przez Kioto. Jest to bogate miasto pełne życia, liczące około 300.000 mieszkańców. Stąd też odchodzi każdego dnia parowiec, którym w kilku godzinach jest się w Ozaka, a Kobe jest miastem portowem dla Ozaki, tak jak Yokohama dla Tokio. Z zamku shogunów, pięknie położonego w pobliżu rzeki na zachodnim krańcu miasta, zostały tylko zewnętrzne wały, podobne do wałów zamkowych w Nagoya i Kioto, tylko że wszystko jest na większe rozmiary założone. Zamek, spalony w r. 1868 własnymi rękami zwyciężonych stronników shoguna, miał być najpiękniejszym w Japonii.

Portrety  
poetek.

Świątyni obu religii mnóstwo i tu. W świątyni shinto »Tenjin Sama«, w przybytku darów *ex voto* ciekawe po części obrazy, a w głównym gmachu samej świątyni portrety poetów i poetek. Szczególnie zajmujące są portrety poetek. Jedna z nich, tonąca w morzu fałdów sukni usiadła do nas plecami, aby pokazać obfitość spływających włosów, lecz zwraca ku nam ponad ramię kokieteryjnie twarzą, poza którą trzyma rozpięty wachlarz. Druga spi za kotarą, która zabiera pra-



wie cały obraz, tak że tylko część głowy spoczywającej na poduszkach, wygląda z poza niej. Przeszedł mi na myśl ulubiony mój obraz, św. Urszula spiąca Carpaccia, w akademii weneckiej.

Dokoła świątyni Buddy Shi-tenno-ji, leżącej już prawie za miastem, znajdujemy liczniejszą prawie grupę budynków, niż w rozległych aglomeratach świątyń w Kioto i pod Kioto. Najosobliwsze i jakich gdzieindziej nie widziałem, są małe świątynie wypełnione od dołu do stropu lalkami i innymi zabawkami, podobnie jak nasze kaplice z cudownymi obrazami obwieszane są mnóstwem woskowych figurek i członków ludzkiego ciała. Jest tu także staw pełen świętych żółwi, a po rozmaitych kapliczkach posągi bogów wszelkich rozmiarów. Obserwuję pielgrzyma, który zupełnie tak ubrany jak ów pielgrzym w Hiogo, trzyma olbrzymi kapelusz w rękę i modli się przed małą kapliczką. Strój ten podobny nieco do stroju dolnowłoskich chłopów i przypomina pielgrzymów z Monte Sant-Angelo na dzikim przedgórzu Garganus, powyżej równiny Foggia. Religia tych ludzi, zasadzająca się na tem, żeby do jakiegoś świętego patrona — na Monte Sant-Angelo do św. Michała, gdzieindziej zaś do Madonny albo do św. Antoniego — zanieść jakąś wyraźnie określoną, najczęściej materialną prośbę bardzo ziemskiej natury, podobniejsza jest także do religii tego buddhystycznego pielgrzyma aniżeli do katolicyzmu Nadreńczyka albo Litwina. Kapłani, których spotykam, mają na sobie przejrzyste, czarne zarzutki z gazy, jak wogóle kapłani Buddy w Japonii; w Kantonie po raz ostatni widziałem ich w tradycyjnych żółtych szatach.

W obrębie świątyni Shi-tenno-ji wznosi się obok głównego budynku pięciopiętrowa wieża pagody. Na dole zawiera ona cztery małe ołtarze z posągami bogów, spoglądających na cztery strony świata. Po drabiniastych schodach dostałem się na najwyższe piętro; otwory,

Świątynia  
Buddy Shi-  
tenno-ji.

Widok ponad  
Ozake.

wiodące na balkonowe galerye, są niskie i szerokie. Nie pozostało mi nic innego do zrobienia jak dosłownie stoczyć się na galeryę. Widok stąd uderzającej piękności. Wogóle żaden krajobraz nie może się mierzyć z równiną ujętą w ramy gór, którą nadto z jednej strony oblewa morze. Za przykład posłużyć może w Azji Mniejszej równina pamfilijska i Issusu, we Włoszech Campagna Felice i rzymska Campagna. Właściwie i Ateny leżą na takiej płaszczyźnie, z pośród której wystrzela skała Akropolii. Do tych wspaniałych obrazów przyłącza się godnie widok ponad Ozakę, a zatoka Kobijaska, połyskująca wesoło przedemną w dali, pod względem harmonijnego uroku nie ustępuje weale najbardziej podziwianym zatokom Śródziemnego morza. Kto patrzy na tę daleką, żyzną równinę i na potężną jej rzekę, na jaśniejącą pogodnie zatokę i na bujne, życiem i ruchem kipiące miasto, temu nasunąć się musi przekonanie, że ma przed sobą przyrodzoną stolicę tego kraju. Daleko niekorzystniej położone i od najbogatszych, najżyźniejszych okolic oddalone Tokio obrali na stolicę shogunowie, bo bliższe było północnych prowincyi, które podlegały bezpośrednio ich władzy, a temsamem stanowiły ich siłę domową, mikado zaś po wypadkach z r. 1868 przesiedlił się do miasta, w którem od wieków koncentrowało się polityczne życie. Zresztą wszystko przemawiałoby było za tem, aby cesarz nadal rezydował w Tokio, a z pobliskiej Ozaki dorobił sobie Paryż do tego Wersalu. Tak więc i w Japonii północ panuje teraz nad południem, podobnie jak w Ameryce, w Rosyi i w Niemczech, jak Paryż panuje nad Lugdunem i Marsylią, Peking nad Kantonem i jak południowe Indye były podległe północnym. Moźnaby niemal przypuszczać, że istnieje w tem jakieś zagadkowe prawo, którego wyjątki stwierdzają tylko regułę, jak w szczególnym fakcie, że prawie wszystkie większe miasta rozszerzają się w kierunku zachodnim.

U wyjścia z obrębu świątyni ofiarowała mi gromadka pomysłowych synów Nipponu małe klatki, z których każda zawierała po dwa, po sześć albo po ośm wróbli. Gdy je kupiłem obkoczyli mnie zaraz inni handlarze ptactwa. Darowałem wolność wszystkim skrzydlatym więźniom, a zabawny to był widok, kiedy wróble, rzucane po kilka naraz w powietrze, jak żywe rakiety wzbijały się do góry.

Oswobodzenie schwytych wróbli.

W Ozace także spędzałem całe godziny po sklepach osobliwości, a mianowicie w najlepszych i najbogatszych składach Japonii, należących do dwóch Yamanaków. Niechaj sobie czytelnicy moi, którymby może zdarzyło się być kiedyś w tem mieście, zanotują obu tych kupców wujaszka i siostrzeńca, a to dla zachęty i dla przestrogi zarazem, według tego ile chcą wydać pieniędzy, dużo czy mało. Kto raz przestąpił próg jednego z tych dzielnych posiadaczy broni, kobierców i parawanów, ten się już nie wyśliźnie bez złożenia wysokiego okupu.

Sklepy dwóch Yamanaka.

W innych miastach rozproszone są teatry po mieście, w Ozace jest cała ulica teatrów; jest ich 30, 40, Bóg wie ile, a wszystkie prześcigają się nawzajem, jaskrawą przesadą malowanych godeł. Ulica ta roiła się od ludzi, którzy tłoczyli się przed tymi obrazami — ale także i na wszystkich innych ulicach spotykałem całe potoki ludzi, złożone, jak to poznać można było, po części z przejezdnych. Wielkie, czerwone latarnie papierowe już za dnia nadawały domom pozór uroczysty, a po świątyniach cisnęły się pielgrzymi. Powodem tego była uroczystość, którą się tylko co lat 20 obchodzi, a która trwa blisko cały tydzień. Gdy noc zapadła, płynęły i falowały tłumy po ulicach jaśniejących fantastycznym blaskiem, wydawano radośne okrzyki, śmiano się i żartowano, i to jeszcze uczciwiej i przystojniej niż podczas włoskiego karnawału, który właśnie dlatego jest zawsze zagadką dla północnego barbarzyńcy. Z nisz

Ulica teatrów.

Uliczna zabawa w nocy.

urządzonych umyślnie w tym celu spoglądają na tłum jaskrawo oświetlone olbrzymie lalki, najczęściej groźne postacie wojowników. Na otwartych miejscach zawieszono są panwie, w których płonące łączywo trzeszczy wesoło, a przesliczne dziewczęta z świetlanemi latarniami z papieru na główkach, przeciągają wśród śpiewu małemi grupami przez miasto. Potem znowu zdążają rozmaite rydwany, strojne kwieciami i światłem, z chłopcami i mężczyznami, którzy albo je ciągną sami albo w nich stoją lub siedzą w oryginalnych kostymach. To wszakże najbardziej nadaje igrzysku cechę swobodnej wesołości, że nie jestto uroczystość dużych lecz także i małych dzieci, które najgłośniejszy w niej biorą udział, a najczęściej zabawnie postrojone, nadają sobie ton właściwych przewodców. I to trwa przez cały tydzień noc w noc, wśród radości i żartów i śmiechów, bez bójek i bez potrzeby mieszania się policyi.

Podróż parowcem do Yokohamy.

12 czerwca. — Późno w nocy powróciłem do Kobe, a około południa byłem już na pokładzie „Omi-maru”, dużego parowca, należącego do japońskiej spółki, którego wszyscy oficerowie są Anglikami i płynąłem do Yokohamy, gdzie miałem stanąć po 27 godzinach żeglugi. Statek kursujący tylko między Yokohamą a Kobe, urządzony jest z takim zbytkiem, jaki pamiętam tylko na pewnym rosyjskim statku, który mnie z Odesy wiozł do Krymu. Wolałoby się wszystkich tych przyjemności używać w czasie dłuższej podróży. Pogoda pyszna, jeszcze bardziej niż na *Inland-sea* przypominają mi się greckie wody. Konfiguracya wybrzeży po tej stronie głównej wyspy Japonii równa się prawie wybrzeżom wschodniej Grecyi i zachodniej Azyi Mniejszej, podczas gdy brzeg północno-zachodni zwrócony ku Chinom, prawie tak samo jak wschodnie wybrzeże Włoch, ubogi jest w zatoki i porty. Płyniemy zrazu w prostym kierunku na południe mimo wyspy Awagi i przez cieśninę, wiodącą z zatoki Kobijskiej, dalej między Shikoku a wiel-

kim półwyspem, który na południe od Ozaki wybiega daleko w morze, i dokoła niego. Krańcowe jego przedgórza, najdalej na południe wysunięty punkt głównej wyspy Japonii długo widać zdala, jak Cap Chelidonia w pobliżu zatoki Pamfilijskiej. Wyspy, przedgórza, morze ożywione niezliczoną liczbą małych żaglowców, wszystko tchnie wesołością. Pod wieczór powstrzymuje nas silny wiatr północno-wschodni — robi się dotkliwie zimno.

*13 czerwca.* — Przez całą noc dął wiatr przeciwny, nim wreszcie ustał. Silne kołysanie. Rankiem przy pogodnym niebie wygląda z chmur szczyt Fusijama z wierzchołka ubyłoby już wiele śniegu. Powietrze jeszcze świeże, wybrzeże znacznie oddalone. Po południu minęliśmy wulkaniczną Oshima, a następnie wpłynęliśmy w zatokę Tokijską. Bardziej jeszcze niż zatoka Kobijska wygląda ona na morze wewnętrzne. Wskutek przeciwnego wiatru minionej nocy stanąłem dopiero o godzinie 7 wieczór w Yokohamie, a w godzinę później w Tokio.

*14 i 15 czerwca, Tokio.* — Tokio, a także Yokohama, gdzie dla interesów spędziłem kilka godzin, wydały mi się dosyć monotonne i bezbarwne po wesołych miastach południa. Wprawdzie i w stolicy obchodzą właśnie festyn z nieuniknionemi latarniami z papieru i z olbrzymimi manekinami bożków na dwupiętrowych wozach, lecz brak tu życia, przebiegającej wesołości, które w Nagoya i Ozaka same przez się udzielały się widzowi przy takiej sposobności. Jedna z lalek wpadła mi w oko: siedzący mężczyzna o pięknych rysach, czarnych lokach i czarnej brodzie, trzymający pęk strzał w ręku, podobny zupełnie do gromowładnego Jowisza.

*16 czerwca.* — O 6<sup>3</sup>/<sub>4</sub> rano wyjazd z dworca Ujeno, na północnej stronie Tokio, do stacji Utsunomiya. Jedzie się prawie wprost na północ z bardzo nieznacznym zбочeniem ku zachodowi. Okolica przyjemna,

Uroczystość  
uliczna  
w Tokio.

Podróż do  
Nikko.

równina z niewielkimi grupami drzew uprawna zbożem, możnaby sądzić, że się jest w środku Francji, gdzieś koło Chartres. I tu uderzyły mnie łany zboża uprawiane jakby ogrody. Piękna gra obłoków, a około godziny 9 pokazują się góry na północnym zachodzie. Godzina 10. Utsunomiya, wielka miejscowość, składająca się prawie tylko z jednej, bardzo długiej ulicy, na wzniesieniu szczątki murów zamkowych.

Czeka na mnie wóz w rodzaju indyjskich *tonga*, a więc także o formie starożytnej, aby mnie zawieść do Nikko. Konie nędzne, na każdym skřęćie, na każdego mijającego nas przechodnia, na każdą *jin-riki-sha*, trąbi chłopak stojący z tyłu na desce, tak że aż uszy bołą. Droga bardzo zła, zato prawie bez przerwy widzisz po obu jej stronach odwieczne cedry i *cryptomeria Japonica*. Tą najpiękniejszą aleją, jaką znam, jedzie się ku góróm. Kilka stacyi pocztowych, na jednej z nich zmiana koni, na każdej herbaciarnia, obok niej prawie zawsze krzaki azalei, miniaturowe wodotryski i figle wodne. Spotykamy kilku mężczyzn z jasełkami na plecach. Muszą oni w Japonii szeroką mieć publiczność! Dziwi mnie, że się ich więcej nie widzi. Po czterogodzinnej jeździe zdążyliśmy o godzinie 2 do pierwszych domków w Nikko.

Nikko.

*16 czerwca po południu do 17 czerwca rano, Nikko.* — Przez jedną ulicę, z której się i ta miejscowość prawie wyłącznie składa, dochodzi się do wartkiego górskiego strumienia, ku któremu po tej stronie, od której przybywamy, spada stromo ciemno-zielona ściana górskiego stoku. Ponad rwącą wodą wiedzie śmiałym łukiem most drewniany, czerwono malowany i zamknięty. Tylko shogunom i dwa razy do roku pielgrzymom wolno go było przekroczyć. Potrzebom komunikacyi służy inny niepokazny most tuż obok. Wzgórza okryte kryptomeryami zasłaniają widok przed nami. Poza rzeką zwracamy się na lewo, w górę doliny. Niebawem minęliśmy wzgórza

i widzimy wysokie szczyty poza ciemno-zielonym, łągodnie wznoszącym się łańcuchem gór. Dolina nie jest szerszą, jak dolina Trauny między Ischl a Ebensee, a panuje nad nią Nantaisan, wygasły wulkan 8000 stóp wysokości, górskie jezioro Yumoto leży u jego podnóża. Dostać się tam można w kilku godzinach drogą wiodącą w górę doliny rzeki, ale brakło mi na to czasu. Uszedłem tylko mały kawałek w tym kierunku popod wiejską świątynię shinto, a następnie przez jakiś most. Tu, na prawym brzegu górskiego strumienia, między nim a bliską ścianą skalistą jest alea z czterdziestu przeszło małych posązków Buddy, podobnie jak w Egipcie są aleje z kamiennych sfinksów albo kotów. W środku pomiędzy nimi stoi wielki posąg Buddy, również z kamienia. Wróciwszy przez most, i idąc w dół doliny dostaniemy się wkrótce do hotelu, w wiejskim otoczeniu, przypierającego do łańcucha gór. Las olbrzymich kryptomeryi rozciąga się poza nim i obok niego. Drzewa te zakrywają przed naszym okiem grupę świątyń, arcydzieł sztuki japońskiej.

Już w odwiecznej przeszłości uważano to miejsce za szczególnie ulubione bogom, a w VIII. wieku naszej ery wznosił tu wielki buddhystyczny świątyni, Shodoshonin, świątynię i założył klasztor, który liczył się później do najbardziej wpływowych i najpotężniejszych. Dzisiejsze sławne świątynie pochodzą z połowy XVII stulecia. Za dwiema z pomiędzy nich leży grób wielkiego shoguna Iyeyasu, założyciela dynastii Tokugawa, która rządziła Japonią do r. 1868, i grób wnuka jego Jyemitsu. Syn Iyeyasu i większa część jego następców, a także ojciec pozbawionego władzy przed 20 laty, obecnie jeszcze żyjącego shoguna, pogrzebani są w tokijskim parku Shiba, inni w parku Uyeno.

Pierwszą wielką świątynią, do której w Nikko wstąpiłem, był Sambodzudo, czyli hala trzech posągów Buddy o bardzo harmonijnych barwach i rozmiarach.

Alea z kamiennych posągów Buddy.

Dzieje.

Hala trzech Buddów.

Zawiera on trzy olbrzymie statuy bogów z połączanego bronzu, z których jedna ma 40 rąk, i dwa małe arcydzieła, drewniane figury świętego Shodoshonina i jakiegoś późniejszego kapłana, a ta ostatnia statua jest bez wątpienia portretem. Dokoła świątyni piękny ogród, w nim wpadł mi w oko młody dąb z liściem dwa lub trzy razy większym niż u naszych dębów. Za wielką świątynią jest mała, a nieco z boku na niskim pagórku czarniawa kolumna 42 stóp wysokości z miedzi, otoczona mniejszemi kolumnami z tego samego materiału, które połączone są z nią sztabami. U góry złożony metalowy kwiat lotosu, z którego zwisają małe dzwonki. Kolumna ta stała początkowo obok świątyni poświęconej pamięci Iyeyasu, i miała być widocznie słupem pamiątkowym. Pięć podobnych ma się jeszcze znajdować w Japonii.

Kolumna  
pamiątkowa.

Idąc dalej pod górę aleą kryptomeryi dostajemy się do obrębu świątyni Toshogu, od imienia przyznanego po śmierci założycielowi dynastji Tokugawa, gdyż zmarli bohaterowie japońscy otrzymują jakby urzędowe nazwiska niebieskie, pod któremi odbierają cześć jako całe bogi lub półbogi. Widać stąd, jak dalece nawet potomkowie Iyeyasu, którzy przecież byli najhojniejszymi opiekunami buddyzmu, trzymali się shintoistycznego kultu przodków, a więc jak trudno jest oznaczyć granicę między obydwoma formami religijnymi.

Świątynia  
Toshogu.

Jest to najciekawszy kompleks świątyni w tym kraju, a cała ta grupa budynków zespolonych w lesie cedrowym w Nikko, jest dla Japończyków tem, czem Alhambra była dla Maurów, świątynie tebańskie dla starożytnych Egipcyan, świątynia na Akropoli ateńskiej dla Greków: najznakomitszym pomnikiem ich narodowej sztuki, która uświetnia ich dzieje pospołu z ich wiarą. Jak z pewnością niktby sobie nie życzył, aby która ze wspomnianych grup architektonicznych znajdowała się gdzieindziej niż tam, gdzie się znajduje, bo każda

Świątynie  
w Nikko jako  
narodowe  
świętości.



z nich tkwi organicznie w krajobrazie i nawzajem krajobraz uzupełnia, tak znowu niepodobnaby wymyślić dla tych różnobarwnych drewnianych gmachów o najdelikatniejszym i najdrobniejszym wykończeniu w szczegółach lepszego otoczenia, jak precudowne niebotyczne cedry, które ujmują je w poważne i ścisłe ramy. Tak jak gotyckie dzieła architektury, sprawiają one efekt nie tyle rytmem swych proporcji w całości, ile raczej różnaitością i wdziękiem swych szczegółów, a jak wbrew dzisiejszej modzie, która domaga się rozszerzenia dawnych placów katedralnych, kościołowi gotyckiemu najlepiej jest w półkryciu między wysokimi starymi domami, tak samo dobrze jest tym świątyniom pod tem ciemnem sklepieniem drzewrozposcierających nad nimi swe konary. Japońska bowiem architektura tem właśnie różni się od gotyckiej, która właściwie nie znosi bezpośredniego otoczenia przyrody, że przeciwnie bez otaczającej zieleni wywierałaby zawsze tylko połowiczne wrażenie.

Przypatrzmy się teraz bliżej zabudowaniom świątyni przed grobem Iyeyasu. Przed główną bramą stoi na lewo pięciopiętrowa pagoda w kształcie wieży, jaśniejąca czerwonym lakiem i bogato ozdobiona rzezbami. Przez wielką bramę wchodzimy na podwórze pełne większych i mniejszych budynków. Zaraz na lewo stajnia dla świętego białego kuca, którego tu niegdyś utrzymywano. Pod dachem fryz z wysmienitych małpich grup w drzewie rzeźbionych, malowany, jak wszystkie rzeźby w Nikko. Rzeźbiarz traktował zwierzęta te z takim samem życiem i humorem, jak Sosen, wielki malarz małp, na swych obrazach. Dalej idą domy na skład bębnow, lektyk, dzwonów, a na lewo mała świątynia z siedzącymi figurami z drzewa, nieco dalej pralnia. Z kolei następuje balustrada z przepysznymi ptakami snycerskiej roboty w drzewie: czaple, feniksy, pawie, a datują się one z tegosamego czasu, i może z pod

Kryptomerye  
jako ramy dla  
budowli.

Fryz z małpami w drzewie rzeźbionymi.

Tańczące ka-  
płanki.

Główna  
świątynia.

tejsamej wyszły dłoni, co ptaki na bramie wchodowej do pałacu shogunów w Kioto. W środku tej balustrady otwiera się tak zwana »piękna brama«, ze zbytkiem ozdobiona, fryz, w postaci chińskich mędrców jadących na bajecznych zwierzętach, pełen życia. Stajemy na drugim podwórzu i pośród drugiej grupy budynków. W jednym z nich siedzi podżyła niewiasta, a gdy się jej rzuci miedziak, tańcuje z wielką gracyą i zarazem ręce wznosi do modlitwy. Drugą podobną, nawet jeszcze starszą tanecznicę spotkałem niedaleko stąd obok jednej z mniejszych świątyń, ulokowaną także w podobnym budynku. Tu na drugim podwórzu świątyni Toshogu, przechowuje się pod drewnianym dachem cudownie piękna olbrzymia żelazna latarnia, pobożna ofiara mieszkańców Korei, lecz zapewne nie koreańska robota, chciałoby się prawie uważać ją za dzieło włoskie. Dalej idzie trzecia brama, tak zwana chińska, mniejsza od tamtych obydwu, cała biało malowana, na niej rzeźbione grupy dzieci, a wreszcie stajemy przed świątynią główną, której największa wewnętrzna sala posiada za ledwie rozmiary pokoju średniej wielkości. Dokoła prowadzi otwarta galerya najwspanialszym lakiem ozdobiona. W pierwszej sali portrety poetów i poetek, podobnie jak w świątyni w Ozaka, znowu poznaję tu ową śpiącą poetkę, ukrytą prawie całkiem za kotarą. Honory domu robi kapłan w szczególnym czarnym czepecu z papieru i w zielonej zarzutce z gazy. Jestto kapłan shinto. Do r. 1868 były tu wszystkie świątynie buddhystyczne i dopiero wskutek wielkiego przewrotu oddano je na usługi shintoizmowi. Resztę świątyń zwrócono przed niedawnym czasem zwolennikom Buddy, tylko świątynię Toshogu pozostawiono drugiemu wyznaniu. Rano po mojem przybyciu słyszałem z zewnątrz psalmodyczne melodye kapłanów, przy których nabożeństwie nie wolno mi było być obecnym. Zato wpuszczono mnie potem za osobnem pismem polecającem do *San-*

*clissimum*. Minęliśmy ciemną salę z pięknym fryzem malowanych ptaków, która leży poza opisaną powyżej, i weszliśmy do jeszcze ciemniejszej, gdzie pod szklaną pokrywą przechowuje się zbroja Iyeyasu i, jak mi się zdaje, szaty jego. Kapłanom nawet nie wolno dotknąć się tych relikwii, a w niedostatecznym oświetleniu prawie nie z tych przedmiotów nie było widać. Korytarz łączy ze świątynią galeryę, w której oglądać można broń i materye wielkiej historycznej i artystycznej wartości. Na ścianach *kakemono*, sokoły w najrozmaitszych pozycjach, wyśmienicie malowane, pamiątka zamitowania Iyeyasu w polowaniu z sokołami. Opuszczamy właściwy obszar świątyni bramą, nad którą znajduje się kot takiej samej wybornej snycerskiej roboty, jak mały na stajni dla kucyka i stromą ścieżką popod olbrzymie drzewa udajemy się na górę, do grobu shoguna. Mała

Miejsce naj-  
świętsze.

świątynia, a wewnątrz brązowego okratowania grób podobny do wielkiego brązowego dzwonu. Niezwyczajnie jasną barwę kruszczu osiągnąć miano za pomocą domieszki złota. Przed grobem bocian z świecznikiem w dzióbku, naczynie z kwiatami lotosu i drugie do palenia kadzidła, wszystko z brązu.

Idąc od wejścia do świątyni Toshogu i pozostawwszy w tyle za sobą halę trzech Buddhów, dostajemy się, minawszy cztery czy pięć mniejszych świątyni, z których wszystkie zawierają więcej lub mniej ważne budhystyczne figury, do świątyni i mauzoleum Iyemitsu. Dwa cięte w drzewie olbrzymie posągi bogów, które pierwiej stały obok głównej bramy świątyni Toshogu i nie wiem dlaczego stamtąd zostały usunięte, z groźną miną i z wyszczerzonymi zębami strzegą wstępu do obejścia, w którego środku leżą niskie domki, służące za mieszkanie kapłanom. Aleja latarni kamiennych wiedzie do nich. Do świątyni prowadzi stroma droga na lewo, pod górę. Tu stoją jeszcze na straży przed główną bramą oba groźne i fantastyczne olbrzymy z drze-

Grób Iyeyasu.

Świątynia  
i grobowiec  
Iyemitsu.

wa. Bóg wiatru, pomalowany na zielono, z miechem na barkach, z którego wydyma powietrze i purpurowy bóg gromów z piorunem w dłoni. Niema tu pagody wieżowej, liczba budynków mniejsza niż koło świątyni Toshogu, a bramy także nie są takimi dziełami sztuki jak tam, zato główny budynek wewnątrz o wiele bogaciej wyposażony, a najświętsze miejsce w tyle jest komnatą dostatecznie oświetloną z dwoma pięknymi *kakemono*, które wyobrażają Apsary unoszące się na falach z kwiatami lotosu. Apsary, które możeby porównać można z mahometańskimi hurysami lub z *Wunschmädchen* Walhalli, zleciały, jak tyle innych bogów i półbogów, z indyjskiego Olimpu na japoński. Grób, podobnie jak grobowiec Iyeyasu, leży w niewielkim oddaleniu od obrębu świątyni i ma także oratorium obok siebie. Odrębność stanowi znowu tylko to, że nieopodal grobu znajduje się całkiem podobny mu schowek z brązu, który zawierać ma szaty Iyemitsu.

Apsary.

Gromady turystów i przewodnicy cudzoziemców.

W obydwóch tych dniach, w których zwiedzałem świątynię, spotykałem tłumy krajowców, którzy idąc za przewodnikiem, kazali mu sobie objaśniać przedmioty zupełnie tak jak turyści w Rzymie w czasie wielkanocnym kupią się około skrzeczącego *Baedekera*, ażeby zwiedzić ogrody Cezarów albo kościół św. Piotra i tym sposobem oszczędzić sobie trudu czytania *Baedekera* drukowanego. Nie nowego pod słońcem; wszędzie jednak się dzieje. Nawet w owej powszechnej pladze wrzaskliwych przewodników i trzód turystowskich nie wyprzedziliśmy »dalekiego Wschodu«.

Wejście na wzgórze Toyama.

Aby mieć widok na Nikko i okolice, wszedłem na odosobniony, niezbyt wysoki stożek górski, zwany Toyama, na północ od miasta, na wschód od świątyni. Z świętego lakowanego mostu udałem się w kierunku przeciwnym drodze do hotelu i dostałem się do skromnej świątyni Buddhy, a stąd przez płytką rzekę do bujnej gęstwiny, z której tylko tu i owdzie wysterczały

stereotypowe bramy, zapowiedź, że i na tem wzgórzach znaję świątynię. Wszystko było w kwiecie, a między innymi ujrzałem przepyszne dzikie azalee głębokiej ciemnobrunatnej barwy, jakich nigdy w ogrodach ani cieplarniach nie spotykałem. Daremnie szukałem ścieżki na górę i znalazłem się nagle przed wielkim napół zapadniętym kamiennym posągiem Buddy, pod wysokimi drzewami liściastymi, nad rwącym strumieniem. Naprzeciw mnie pojawił się stary wieśniak na znużonej szkapie; zranił on sobie nogę i miał ją obwiązaną, za nim szła jego córka, hoża piętnastoletnia dziewczeczka. Stary wskazał mi właściwą drogę, która wiedzie stromo pod górę. Niespełna w pół godziny byłem już na szczycie, na którym rzeczywiście stoi kilka małych kapliczek shinto. Widok bardzo się opłacał: na północnym zachodzie Nantaisan i reszta wysokich gór, otaczających jezioro Yumoto. Świątynie kryją się za wzgórzami i drzewami, ku wschodowi lesiste góry, na południe jedyna długa ulica miasta Nikko i kraj falowaty, który sięga aż do Utsunomiya. Dobrze zrobiłem udając się na ten wzgórek zaraz po przybyciu, gdyż cały następny dzień padał deszcz prawie bez przerwy, zato zaświtał 18 przepyszny poranek, który mi utrudnił rozstanie się z Nikko. W tensam sposób, jak tu przybyłem, powróciłem do Tokio, a w *coupé* kolei żelaznej znalazłem temperaturę duszną nie do zniesienia. Popołudniu stanąłem z powrotem w domu Biegelebena.

*18 czerwca popołudniu do 24 rano, Tokio i Yokohama.* — Były to moje ostatnie dni w Japonii, a zajęły je znowu jazdy między stolicą a Yokohamą, zakupna i sprawunki. Upał, który dotychczas tylko przelotnie dokuczał mi nieco w Kioto, począł dojmywać silnie a 19 wieczór, siedząc w salonie z Biegelebenem i Sieboldem uczułem także kilka podziemnych rzutów jakby w pamięć tego, że przebywam w klasycznej ojczyźnie trzęsień ziemi,

Ostatni pobyt  
w Tokio.

Trzęsienia  
ziemi.

Świątynie  
w parku Shi-  
ba.

Widziałem w tym czasie w Tokio niejedną jeszcze rzecz dla mnie nową, niejedno też oglądałem po raz drugi. Przedewszystkiem świątynie w parku Shiba, które teraz, po powrocie z Nikko, z wcale innym oglądałem zajęciem, niż w pierwszych dniach mego tutejszego pobytu. Park, publiczny obecnie, był do r. 1877 własnością wielkiej świątyni Buddy Zozoji, którego klasztor, założony przy końcu XIV stulecia, przeniesiono tu w 200 lat później. Główny budynek spalił się w dniu Nowego Roku 1874 i teraz właśnie odbudowują go w mniejszych rozmiarach. Obok nowej budowy mnóstwo drewnianych tabliczek z nazwiskami ofiarodawców, jak obok owej świątyni między Enoshima a Kamakura. Większa część budynków w Japonii jest z drzewa, przypadkowe więc lub podłożone pożary odgrywają tu daleko większą rolę, niż gdziekolwiek indziej, możnaby je wraz z politycznymi morderstwami zaliczać do »uprawnionych właściwości« tego kraju.

Grób Hideo-  
tady.

Oprócz tej budującej się właśnie jest w Shiba siedm większych i mniejszych świątyń, z których pięć są grobowcami kaplicami siedmiu shogunów, czterech małżonek shogunów i ojca jednego z nich. Same groby shogunów leżą tak jak w Nikko, poza dotyczącymi świątyniami, a i tu także budynki przynajmniej z dwóch stron otoczone są drzewami. Są to szpilkowe drzewa rozmaitych rodzajów, nie można ich jednak ani w przybliżeniu porównać z kryptomeryami dokoła grobu Iyeyasu i Iyemitsu. Najbogatszą z tutejszych świątyń jest najstarsza, poświęcona pamięci Hidetady, drugiego shoguna z dynastji Tokugawa. Do grobu idzie się z boku stromą ścieżką pod górę. Różni się on od wszystkich grobów w Nikko i od tutejszych; samoistna ośmioboczna budowa nad skrzynią wewnątrz do zbytku złocistym lakiem ozdobiona, ze wspaniałymi rzeźbami, wyobrażającymi unoszące się Apsary. Te kobiety rzeźbione *en relief* na drzwiach i ścianach ze swemi powłoczystemi szatami o ostrych

fałdach, mają coś z owych niemieckich renesansowych świeczników w formie niewiasty, która bądźto opatrzona w jelenie rogi, bądź bez tego dodatku, trzymając świece zwiesza się z drewnianych pułapów starych winiarni lub też i nowoczesnych restauracyi. W pobliżu grobu niskie szare kamienie pamiątkowe z buddhystycznymi płaskorzeźbami, rzadkość w tem miejscu, która widza przenosi do obszaru świątyń Buddha-Gayá. Z później pogrzebanych tu shogunów zajmuje po dwóch lub po trzech jedną świątynię, a groby ich z brązu nie różnią się niczem istotnem od grobów w Nikko. Wszystkie świątynie ozdobione są wielce bogato lakiem czarnym i złotym, rzeźbami, niektóre i *kakemonami*. W lakowanych skrzyniach przechowują się drewniane posągi Shogunów, których niestety nie pokazują zwiedzającym, a na niskich stołach, w osobnych schowkach kryją się święte, buddhystyczne pisma. Spotykamy piękne bramy i całe aleje latarni z kamienia i brązu, lecz brak owych małych budynków rozmaitego rodzaju i owych darów ofiarnych, które otaczają świątynię Toshogu, nadając jej piętno prawdziwie narodowego przybytku.

Na drugim końcu miasta, w kierunku wprost przeciwnym od parku Shiba, leży świątynia Asakusa, jedna z najpopularniejszych świątyń buddhystycznych. Wąską ulicą, pełną przeróżnych sklepów i bud z lalkami, wiktuałami, latarniami, kapeluszami, sztucznymi kwiatami, dochodzi się do wielkiej bramy, a potem do rozległego obszaru świątyń, zasianego budynkami. Jak w Shiba oddycha się powietrzem dworskiem, tak tu znowu wszystko jest ludowe. Główna świątynia jest nadzwyczaj wielka, zbudowana w XVII. wieku na miejscu dawniejszej, także przez pożar zniszczonej. Do wielkiej i wysokiej hali można wejść w obuwiu, jedynyto wyjątek od reguły, jaki w Japonii spotkałem. Hala jest cała obwieszona starymi i nowymi obrazami na drze-

Świątynia  
Asakusa.

wie, między którymi są i dobre. Drewniana statua patrona od chorób Binzuru-sama, która ma mieć szczególną moc cudotwórczą, i rozliczne inne posągi stoją dokoła, a między nimi małe pulpity z wystawionymi na sprzedaż wizerunkami świętych, odpustowymi obrazkami i widokami świątyni. Za balustradą siedzą w światłocieniu kapłani zatopieni w księgach, lub tak przynajmniej wyglądający, dokoła zaś ciągły ruch wchodzących i wychodzących pobożnych, kupujących, ciekawych, po największej części z niższych klas ludności. Z innych budynków miałem czas zwiedzić tylko jeden mały, niepozorny, który, rzecz szczególna, zawiera w środku pokój po europejsku umeblowany. Cały zresztą budynek składa się tylko z kurytarza w kształcie podkowy, w którym ustawiono obok siebie na deskach mnóstwo małych posązków, widocznie buddhystycznych świętych. Niektóre są z gliny, przeważna część z drzewa. Jeden z nich uderzył mnie przedewszystkiem: mężczyzna w długiej szacie, ze spiczastymi uszama i nadmiernie wysoką czaszką, jak to często widzimy na chińskich porcelanowych figurach, trzyma lewą rękę przy skroni, na prawej opiera brodę. Niepodobna trafniej, a zarazem z lekką ironią oddać natężonego myślenia. Całość jest miniaturową kopią sali 500 mędrców w Kantonie.

Jeszcze przed zwiedzeniem tego celu pielgrzymek  
 47. Roninów. odbyłem sam pielgrzymkę do grobów 47 Roninów, najpopularniejszych może ludowych bohaterów Japonii. Wzruszającą ich historję, która posłużyła za temat do dramatycznych utworów i do pieśni, znanych po części z niemieckich i angielskich przekładów, opisał obszernie Hübner w *Voyage autour du monde*, tom I., stronica 538—547. Jestto najbardziej wzruszający przykład lenniczej wierności jaki znam, a gdyby zamiast przed 185 laty w Yedo, zdarzył się był z podrzędnymi różnicami, przez inne czasy i inną miejscowość spowodowanemi, przed 700 laty gdziekolwiek nad Renem albo



w Turynii, wielbiliby go z pewnością jako dowód pragermańskiej wierności nie tylko dziejopisarze ale i historycy literatury, albowiem niewątpliwie i w pieśniach byłby opiewany. Ale jak w rozmaitych czasach i w rozmaitych strefach powtarzają się w ogólnych przynajmniej zarysach okoliczności i stosunki, wśród których ludzie żyją, tak też powtarzają się i ludzkie cnoty i wady. Zamało pamiętamy o tem, jak dużo jest wspólnych cech u wszystkich narodów, i zbyt często wspólne te cechy bierzemy za charakterystyczne znamiona pewnego tylko narodu. Zanadto tkwimy jeszcze w bardzo usprawiedliwionej do pewnego stopnia reakcyi przeciw dziecinnyim teoryom o absolutnym człowieku, które w ubiegłym stuleciu były w obiegu, a tyle złego nabroiły. Popadamy jednak przytem zbyt często w przeciwną, niemniej fałszywą ostateczność, i uważamy narody i indywidua wyłącznie i jedynie za wynik okoliczności, które byt ich warunkują. Historia owych 47 wiernych wazalów, którzy sprzysięgli się, aby pomścić śmierć swego pana, choć dobrze o tem wiedzieli, że w tej akcyi sami zginąć muszą, i którzy, gdy im po długoletniem wyczekiwaniu szczęśliwej sposobności i po niesłychanych dowodach zaparcia powiodło się złożyć na grobie swego pana głowę jego wroga, sami się oddają w ręce sądu — historia ta dowodzi, że niejedna z najbardziej cenionych przez nas zalet nie jest wyłącznym przywilejem rasy kaukaskiej.

Poczucie honoru u Japończyków jest, albo było przynajmniej za czasów państwa feudalnego drażliwsze jeszcze i subtelniejsze, a w konsekwencyach swych bardziej stanowcze, niż nawet u Hiszpanów w średnich wiekach. Gdy bowiem poczucie honoru u Hiszpanów głównie tytułem zemsty albo kary wymagało krwi obcej, to obrażony Japończyk równie często jak obce i własne życie skracał uroczystem samobójstwem *harakiri*, t. j. rozpruciem brzucha. Żelazny upor i pogarda śmierci, gdzie

Poczucie honoru u Japończyków.

tego wymagają rzeczywiste czy też urojone przykazania honoru albo miłości ojczyzny, są niejako uzupełnieniem dziecinnie wesołego, pogodnego charakteru, który widzimy u Japończyków. *Le sacrifice joyeux qui meurt en souriant* wielbi Sully - Prudhomme w swojej odzie jako enotę starożytnych Ateńczyków. Wiersz ten da się może odnieść jeszcze do tego lub owego narodu, lecz zaiste do żadnego słuszniej niż do Japończyków, którzy najdłużej z pośród wszystkich ludów pozostali narodem rycerskim w najwybitniejszym słowa tego znaczeniu.

Świątynie  
z posażkami  
47.

Obok kamieni grobowych czterdziestu siedmiu i ich władzy, które leżą w bardzo dostrojonym otoczeniu daleko poza parkiem Shiba w jednej z licznych, napół wiejskich dzielnic miasta Tokio, znajduje się mała świątynia, a w niej ustawione są ich posągi portretowe, z fantazyi tylko wykonane w drzewie, ale pełne życia. Większa część tych posągów odznacza się wyborym ruchem i wyrazem; są one dla widza prawdziwem wychnieniem po owych olbrzymich świętych potworach, z którymi się codzień spotykał u wejścia do świątyń.

Buddhystyczna  
służba  
Boża.

Byłem też w tych ostatnich dniach na buddhystycznym nabożeństwie w niepozornej świątyni niedaleko od domu Biegelebena. Pięciu kapłanów w pysznie lśniących szatach śpiewało modły na kłęczkach, przed rodzajem ołtarza, czterech z nich w jednym rzędzie, starszy kapłan na przedzie. Dorzucał on od czasu do czasu drew do ognia pryskającego wesoło w miedzianem naczyniu. Ruchy rąk podczas modlitwy i śpiew stłumiony bardzo przypominają nasze nabożeństwa.

Malowanie na  
prędce.

Innym razem spędziliśmy popołudniowe godziny bardzo wesoło na przypatrywaniu się pracy dwóch z najgłośniejszych malarzy. Artysci nie mają tu żadnych pracowni a obrazy malują tylko na zamówienie, nie pozostawało nam tedy nic innego jak dwóch z nich zaprosić do siebie. Dostarczono wszystkiego, czego im potrzeba do pracy, a gdy już goście byli zebrani, poczęli obaj artyści

kłęcząc malować tuszem na długim a wąskim kawałku papieru, który leżał przed nimi na ziemi. Zwłaszcza młodszy z nich rozwinął w robocie szybkość nie do uwierzenia. Zaczynał bociana od dzioba, dziką gęś od koniuszka skrzydeł, a nimeśmy się spostrzegli już cały ptak stał albo leciał tak żywo przed nami, że wątpię czy najręczniejsi malarze zwierząt z Monachium albo Paryża stworzyliby coś równie dobrego, choćby im na to dano dwa razy tyle czasu.

Okręt «Gaelic», który miał mnie zawieść do San Francisco, należący do *Occidental and Oriental Steamship Company*, spóźnił się o jeden dzień i odpłynął z Yokohamy, zamiast, jak był powinien, w niedzielę 23, dopiero w poniedziałek 24 rano. Wśród strumieni ulewy popływałem w *sampangu* o 9 godzinie rano do parowca, stojącego daleko w zatoce Yokohamskiej. Zapewne rozpoczął się był właśnie okres słoty, która według wszelkich doświadczeń już od tygodnia powinna była panować w Japonii.

Wejście na  
«Gaelic».

*Od 24 czerwca do 8 lipca, podróż z Yokohamy do San Francisco na parowcu „Gaelic“.* Wstąpiwszy na okręt doznałem nieprzyjemnego rozczarowania. Przedstawiono mi «Gaelic» nietylko jako najszybszy i najpewniejszy statek na tej linii, lecz także jako jeden z najpiękniejszych i z wszelkim komfortem urządzonych. Znalazłem zaś okręt, który ma wprawdzie rozmiary wielkich parowców *Messageries*, lecz bez dostatecznej przestrzeni do przechadzki na pokładzie, ponieważ sala jadalna nad pokładem jest umieszczona; sama zaś sala mała, jedło mierne, usługa i urządzenie kabin niedostateczne. Gdybym sobie nie był zapewnił celi, wyłącznie dla siebie, nie miałbym był gdzie pisać, a zaledwie czytać. Okręt ma bardzo ciężki ładunek jedwabiów i beczek z opium, a jest nas około 50 pasażerów, za wielu tedy aby módz wygodnie siedzieć przy stole i poruszać się na otwartem miejscu. Wszystko obliczone na transport

towarów, który jest główną rzeczą na tej linii, podróżnym pozostawiono tylko środek parowca. Codzienne życie podróżnych upływa podczas długiej podróży na trzech piątrach. Wieczne drapanie się po schodach uprzykrzy się wkrótce, a nie mając otwartego widoku na wszystkie strony, nie miałem prawie wrażenia morskiej podróży, lecz przechadzając się przed jadalnią tam i napowrót, mogłem sądzić, że znajduję się na balkonie małego hotelu w Ostendzie albo Scheveningen.

Temperatura. Nie jedziemy wprost na wschód, lecz w północno-wschodnim kierunku, dlatego też pierwszego dnia widać jeszcze wybrzeże Japonii. Pod monotonnem, dżdżystem niebem widzimy w wielkiem oddaleniu góry, latarnie morskie i małe wyspy, bardzo mało okrętów. Drugiego dnia jeszcze deszcz, szare niebo i szara, zaledwie ruszająca się woda. Coraz chłodniej, płyniemy pod coraz wyższe szerokości dla skrócenia drogi. Na mapie tego nie widać, ale na globusie widzi się dobrze, między dwoma punktami kuli ziemskiej, dalekimi od siebie, ale prawie tejsamej odległości od równika, najkrótszą drogą jest linia, która w kształcie łuku oddala się od równika, aby się znowu zbliżyć do niego. Deszcz ustał, zimno się wzmagą. Europa ma szczególnie korzystny klimat dzięki prądowi Golfu. Przepływamy zaledwie 47 stopień, a zatem mniej więcej wysokość Wiednia, a już marzniemy co się zowie, mimo pełnego lata, i wszystko co żyje, kaszle jak najęte. Najodważniejsze nawet Angielki boją się mimo swych płaszców instalować się na otwartem miejscu ze swoim tomem Ouidy albo Wilkie Collins'a, a podróżni przy 5<sup>o</sup> Réaumura odbywają na małym pokładzie energiczną deptaninę, dość zbliżoną do ruchów niedźwiedzi w klatkach po ogrodach zoologicznych.

Przebywamy codziennie przeciętnie nieco więcej niż 300 mil morskich, około dwunastu węzłów na godzinę, płyniemy zatem wolniej od parowców *Message*

*ries* kursujących między Marsylią a Yokohamą, a z chylnością przynajmniej o trzecią część mniejszą niż pocztowe statki na Atlantyckim oceanie. Raz ustajemy; maszyna zagrzała się; przerwa w ruchu tylko dziesięć minut, lecz chwila ta wydaje się wiecznością; kobiety pytają strwożone, co się dzieje. To ustanie ruchu wśród martwej wodnej pustyni uwydatnia mi tem lepiej nieskończoność dokoła. Wiecznie tesame ołowiane chmury, zaledwie raz jedyny przy zachodzie słońca ognisty rąbek pod tą jednostajną osłoną. Za dnia przelotne błyski słońca, wieczorem zato wilgotna mgła, że na krok nie widać przed sobą. Maszyna wydaje trwożliwe sygnały, jak zwierzę wietrzące niebezpieczeństwo, »nie nam teraz po oczach — powiada kapitan — możemy polegać tylko na słuchu«.

Cisza kilkominutowa.

W niedzielę 30 nabożeństwo w jadalni, podróżujący z nami *clergyman* ze Stanów Zjednoczonych odczytuje ustęp z Biblii, rozłożonej na amerykańskiej fladze (dlaczego amerykańskiej, skoro płyniemy pod angielską?) i wygłasza następnie kazanie. Kobiety i dzieci śpiewają hymny, wtóruje im tylko niewielu mężczyzn. Niektóre teksty są rzeczywiście poetyczne, całość przemawia sympatycznie do duszy, jak drzeworyt Ludwika Richtera.

Nabożeństwo niedzielne.

Nazajutrz mamy ciągle jeszcze niedzielę, 30 czerwea, gdyż w nocy przepłynęliśmy 180 stopień długości, a więc granicę dat. W czasie jazdy w przeciwnym kierunku przeskakuje się w tem miejscu dzień jeden. Gdyby się tak nie działo, to ktoś płynący z Europy w zachodnim kierunku dokoła świata przybyłby do swego punktu wyjścia o jeden dzień później, a ktoś, co tęsamą drogę odbywa we wschodnim kierunku, o jeden dzień wcześniej od istotnego dnia kalendarzowego. Już od Marsylii musiałem z małemi tylko przerwami posuwać mój zegarek ciągle naprzód za słońcem i tak ostatecznie z niedzieli zrobił mi się poniedziałek, tu zaś na »końcu świata«,

Granica dat.

Ostateczny  
wschód i osta-  
teczny za-  
chód.

trzeba wsunąć cały jeden dzień, aby się wyrównał deficyt czasu, jaki ma wobec mnie cała reszta ludzkości. Rzeczywiście jest tu koniec świata, punkt, gdzie »ostateczny wschód« graniczy z »ostatecznym zachodem«, i tu lepiej niż gdziekolwiek indziej przychodzi się do poznania, że wszystko na naszym planecie jest tylko subiektywne i relatywne. Zimno wszędzie jest niestety na zachodniej półkuli takie samo jak na drugiej, a wieczorem miał nawet śnieg padać, czego ja jednak poświadczycie nie mogę, bo po obiedzie pozostałem w mojej celi. Sam jednak widziałem wielką brunatną mewę, która nam jeszcze następnego dnia towarzyszyła, a musiała się tu dostać zapewne z Aleutów, leżących stąd w odległości tylko około stu mil na północ. Następnych dni przedarło się wreszcie słońce nieco przez chmury, a morze jaśnieje tu i ówdzie jako srebrzysta płaszczyzna, wieczorem okazuje się na krańcach widnokregu przybierający księżyc, jak czerwona japońska latarnia.

Amerykańskie  
święto  
narodowe.

Pasażerowie.

Czwartego lipca widać żagiel w niewielkim oddaleniu; od japońskich wybrzeży, a więc od dni jedenastu, pierwszy ślad ludzkiego życia poza naszym parowcem. Jadalnię przyozdobiono dziś najrozmaitszemi flagami. Przy stole pyta się ktoś swego sąsiada, starszego jego mości, co to ma oznaczać, czy to dzień urodzin królowej? Stary odpowiada: »To więcej niż urodziny królowej, to urodziny narodu całego«. Jestto rocznica ogłoszenia niezawisłości Stanów Zjednoczonych. Przy deserze toast kapitana (Anglika) o znaczeniu dnia, lekarz jako Amerykanin odpowiada i dziękuje. Wieczorem gry i tańce wielkich i małych dzieci. Małe bliźniaczki, córki *clergyman'a*, biegają dokoła jak jasnowłose lalki w japońskim stroju. Matka ich, niemłoda już kobieta ze śladami wielkiej niegdyś piękności, ma przy sobie także dorosłe już prawie córki z pierwszego małżeństwa. O swą drobną dziatwę troszczy się ona o wiele mniej od swego męża, który w zupełności odgrywa rolę nianki.

Wogóle mało przyjemnych towarzyszy podróży, korzystny wyjątek stanowi tylko eleganckie stadło małżeńskie z Irlandyi, istna para *globtrotterów*, t. j. włóczęgów po globie, i dwóch oficerów angielskich z żonami, przebywających w Indjach. Australski pierwiastek przeważa, jak w ogóle mało który naród tyle podróżuje, co nasi antypodowie z południowej półkuli. Niemieccy komiwojażerowie na pokładzie nie przyczyniają się do podniesienia pod obcą strefą dobrej opinii o kulturze swego narodu.

Jednego z następnych dni chwyta nas z boku bryza z półnoocy i rozwijamy wszystkie żagle, pędząc naprzód w południowo-wschodnim kierunku. Okręt położył się całkiem na bok, tak, że pisanie wymaga akrobatycznej zręczności. Niebawem miotają nami fale co się zowie, i rad jestem temu, bo teraz dopiero doznaję rzeczywiście uczucia, że płynę po Oceanie a nie po błotnistym, nieskończonym stawie. Temperatura pozostawia jeszcze wiele do życzenia, chociaż posunęliśmy się znacznie dalej na południe, a niebo znowu tak nieustannie szare, jakiego nigdy nie widziałem w mojej podróży do przyłądka Północnego. Ostatnich wieczorów fosforescencya morza. Towarzyszą nam stada brunatnych mew, na znak, że zbliżamy się do brzegu; wynurzają się także na widok statki. Nie jesteśmy już daleko od amerykańskich brzegów, a po tem wszystkiem, co mówiłem wyżej, może to dziwnie brzmieć będzie, gdy powiem, że bynajmniej nie oczekuję z niecierpliwością chwili, w której opuszczę »Gaelic«. Kajuta moja stała mi się drogą, jak Trapiście cela. Codziennie pisałem kilka godzin na przewróconej skrzyni zamiast biurka, lub czytałem rozciągnięty na łożku. Byłem pewny, że żadna uprzykrzona wizyta nie oderwie mnie od zajęć, że spokoju mego nie zakłóci żadna niemiła depesza, żadna sprawa, wymagająca szybkiego załatwienia, a tak wielka jest moc przyzwyczajenia, że ciasna izdebka wydała mi się w ostatnich dniach prawie przestronną.

Przykre  
rozłączenie  
się z moją  
kajutą.



Kakemono.





Wybrzeże pod Monterey.

## VII. PRZEZ PÓŁNOCNĄ AMERYKĘ. — Z NEW-YORK DO SOUTHAMPTON.

8—17 lipca wieczór, *San Francisco i okolica.*—  
Również 7go jeszcze, dzięki szaremu niebu, nie było nie widać lądu, 8go o godzinie 4 rano zbudzono mnie wieścią, że wpłynęliśmy do »Złotej bramy« Kalifornii. Na pokładzie są już inni ciekawi towarzysze podróży. Na prawo i na lewo w dość znacznem oddaleniu nagie brzegi i wyspy, latarnie morskie. Mało ludzkich osad tak samo jak i roślinności, zresztą jednak przypomina ta cieśnina cieśninę pod Singapur. Dopiero po dwóch godzinach obraz nabiera życia. Na południe na prawo od nas maszty okrętów, za nimi na licznych wzgórzach rozłożone miasto. Wszelkiego rodzaju formalności, lekarze kwarantanny, wykazy pakunków każdego podróżnego dla przygotowania rewizyi cłowej psują mi przybycie do »kraju wolności«, który stał się schroniskiem upadłych istot z wszystkich stron świata, co owe środki ostrożności tłómaczy, ale przyjemniejszymi ich nie czyni. Nie wylądowując wstępujemy bezpośrednio przez most pod olbrzymią szopę drewnianą, gdzie w największym nieładzie leżą wszystkie pakunki i ulegają rewizyi urzędników cłowych, wobec których najdokuczliwsi z ich rosyjskich i tureckich kolegów w urzędzie nainwnymi są nowicyuszami. W kufrach moich, mimo zapału godnego lepszej sprawy, nie mogli zgoła nie

Złota brama  
Kalifornii.

Przybycie do  
San Franci-  
sco.

Rewizya  
cłowa.

znaleść, gdyż przestrzeżony w Japonii, odesłałem stamtąd do domu wszystko, czego niezbędnie nie potrzebo-  
 wałem. Wreszcie, po godzinie pobytu w tym czyściu, wolno mi pojechać do hotelu; mój wielki kufer może dopiero w kilka godzin później przybyć. Przekonywam się, że amerykańskie urządzenia co do transportu pakunków nie są ani praktyczne ani przyjemne. Za wysoką cenę 2 dolarów (4 do 5 złr.) zawozi ciężki landauer do Palace Hôtel mnie, mego służącego Hashimoto, dentystę z Yokohamy, który szczęśliwym się czuje, że osiągnął cel swych życzeń i Amerykę objedzie, nasze kołdry i torby ręczne. Ulice, przez które przejeżdżamy, mogłyby tak samo należeć do Bordeaux albo Liverpool, jak do San Francisco, z wyjątkiem niewypowiedzianie nędznego bruku, najgorszego, jaki znam, nie pomijając bruku warszawskiego.

Palace Hôtel.

Palace Hôtel ma być największy na świecie. Jest na sześć piątr wysoki i ma kryte, bardzo wielkie podwórze z kolumnadami, których motywa wzięte z pałacu Cancellaria w Rzymie. Cztery windy, które są elegancjami pokojami z miejscem na 12 osób, jeżdżą bez przerwy dzień i noc na górę i na dół. Usługa taka, jakby jej wcale nie było. W moim pokoju wielkie fotografie z obrazów Defreggera, które tu w pobliżu Cichego oceanu miłe na mnie robią wrażenie, choć zresztą nie jestem wcale gorącym zwolennikiem tego malarza; w dolnych salach naturalnej wielkości kopie Kaulbacha »Alexisa i Dory« i innych ilustracyi Goethego, które wyglądają, jakby olbrzymie karykatury. Nabawiłem się na »Gaelic« silnej chrypki i byłem w najsmutniejszym usposobieniu z powodu kilku blisko mnie obchodzących żałobnych wieści, które doszły mnie tutaj, na drugiej stronie kuli ziemskiej, spóźnione, lecz zawsze jeszcze zbyt wcześnie. W trzy dni po mojem przybyciu pojechałem do odległego o parę godzin Monterey, aby załatwić w spokoju moją korespondencję i powróciwszy

do San Francisco po kilkodniowej nieobecności zjechałem do mniej olbrzymiego Occidental Hôtel, przypominającego bardziej nasze europejskie hotele.

Co mnie na wybrzeżu Kalifornii bardziej niż wszystko uderzyło, to klimat. Spodziewałem się gorszych upałów niż w Japonii, a zastałem temperaturę 11—14 stopni Réaumura, niekiedy nawet mniej, i ogień na kominku bardzo pożądanym, nadto prawie nieustanny wiatr, a co najprzykrzejsza, ciężką, brzydką mgłę. Istnieje tu w miesiącach letnich zimny prąd Golfowy, który porę tę czyni najnieprzyjemniejszą w roku. Przeciwnie w zimie cieszą się mieszkańcy San Francisco temperaturą taką, jak Florencia w kwietniu. Na wiosnę i w jesieni krótki czas deszczów, o śniegu tu nie słyszano. Kilka mil w głąb kraju są zimy ostrzejsze, a teraz w pełni lata panują tam zwrotnikowe upały.

Pierwszymi europejskimi osadnikami na wybrzeżu byli przed 120 laty hiszpańscy Franciszkanie, od imienia też wielkiego świętego z Assisi nazwali oni jedną z dwóch wsi, które na tem miejscu stały, gdzie dziś wznosi się potężne miasto handlowe. Wieś ta dała miastu nazwę, którą skracający wszystkie wyrazy Yankiesy w codziennem używaniu zeszpecili na Frisco. Do 1822, gdy Meksyk niezawisłość uzyskał, było to wybrzeże czyli Wyższa Kalifornia odrębnie od dalej na południe leżącego półwyspu, właściwej albo Niższej-Kalifornii, sielankowem teokratycznym państwem pod protektoratem Hiszpanii. Mnisi opanowali ze swych siedzib, tak zwanych misyi, prawie 90 procent Indyan obejmującą ludność, a wszystkie świadectwa zgadzają się na to, że roztropnie i życzliwie wywiązali się z swego zadania. Rząd meksykański odebrał im wsparcie państwowe, a w r. 1835 sekularyzowano misye. Następných lat jedenaście wypełniły ustawiczne drobne rewolucye i wewnętrzne walki, a ofiarą padli ostatecznie biedni czerwonoskórey, którzy coraz więcej i więcej nikteli z kraju.

Klimat.

Misye Franciszkanów.

Pierwsze  
związki ze  
Zjednoczonymi  
Stanami.

Poszukiwa-  
cze złota.

Dzieje San  
Francisco.

Coraz większego znaczenia nabierał żywiół nowy, żywiół kupców i awanturników ze Stanów Zjednoczonych, które oddzielała wówczas prawie cała szerokość kontynentu od tego wybrzeża. Już na końcu zeszłego stulecia odwiedzały je żaglowce z New-Yorku i Bostonu, a gdy wskutek upadku rządów hiszpańskich porty stały otworem dla handlu, odnieśli z tego korzyści prawie wyłącznie tylko obywatele Unii. W ostatnich latach dwudziestu wtargnęła pierwsza gromada trapperów łodem do Kalifornii, w r. 1844 nastąpiła pierwsza wyprawa emigracyjna już z taborem wozów, a w r. 1846 zatknęto w Monterey bez zbyt wielkiego oporu gwiazdzistą banderę. Rok 1848 przyniósł i temu nadbrzeżnemu pasmu dwa ważne w skutkach wypadki: prawne odstąpienie go przez Meksyk Stanom Zjednoczonym i odkrycie złota w Coloma. Złoto było hasłem, które wywołało istną wędrówkę ludów do Kalifornii, 80.000 nowych osadników w roku 1849, po 40.000 w każdym z następnych dwóch lat. Zasób złota w ziemi wyczerpał się w krótkim czasie, lecz wnet spostrzegli przybysze, że żądza szybkiego wzbogacenia się zawiodła ich do jednej z najżyźniejszych krain świata, i że ziemia ta zwolna, lecz aż do zbytku użycza pracy rolnika i winiarza tego, czego odmówiła nieokiełzanej żądzy awanturnika. Z osady upadłych ludzi, widowni walki wszystkich przeciw wszystkim, czem była przed 40 laty, stała się Kalifornia ogrodem i spichrzem Ameryki, tym może Stanem Unii, do którego największe nadzieje na przyszłość są przywiązane. Z tutejszymi przybyszami rzecz się miała podobnie jak z Saulem, który wyruszył szukać oślicy ojca swego, a znalazł królestwo.

W dziejach San Francisco odzwierciedla się historia całego kraju. Aż do końca meksykańskich rządów stały tu dwie wsie wyżej wspomniane, w roku 1848 połączyły się, a powiększona miejscowość liczyła 500 mieszkańców. Zdaje mi się, że jestem stary jak Metuzalem,

gdy tonąc w nieprzebranym potoku ludzi, przechadzam się po mieście wielkości mniej więcej Hamburga lub Budapesztu o ośmiopiętrowych domach i wspaniałych sklepach i rozważam, że miasto to, gdy na świat przyszedłem, składało się z jedynej ulicy, którą tworzyły nędzne drewniane domy, a zamieszkiwała szajka złodziejska. Dziś liczy San Francisco około 400.000 mieszkańców, należących do najrozmaitszych narodowości. Jestto najbardziej kosmopolityczne miasto na świecie. Chińczyków jest 40.000, mniej więcej tyluż Niemców. Meksykanie, o niskim wzroście i ciemnej barwie skóry, dostarczają znacznego zastępu, dalej idą liczne osady Czechów, Kroatów, Irlandczyków, Francuzów i Włochów, całą dzielnicę zamieszkuje Żydzi, których naturalnie braknąć nie może na tej schadzce wszystkich narodowości. Jeśli się nadto zważy, że żyją tu tysiące ludzi, pochodzących albo po ojcu albo po matce od Indian lub Murzynów, to czujemy się tu, jak na neutralnym punkcie, gdzie stykają się wszystkie rasy i poddziały ras, które za swój volapük obrały popsutą angielszczyznę, język, który z wszystkich innych najlepiej nadaje się do tego, ponieważ sam jest mieszanym językiem i wszystkie obce słowa najłatwiej sobie przyswaja.

Cieśnina »Złotej bramy« wiedzie do fiordu z bogatą formacją wybrzeżną i wielu wyspami, który rozpada się na dwie zatoki, Bai San Pablo na północy, tworzącą kolano, z ujściami rzek Sacramento i San Joaquin i większą Bai San Francisco na południu. Na górzystym klinie, dzielącym tę zatokę od oceanu króluje miasto. Co kwadrans dojeżdża parowiec w kilku minutach przez zatokę do Oakland, punktu wyjścia kolei do południowych stanów, dobrze zabudowanego miasta o 40.000 mieszkańców, ulubionego przez bogatych jako miejsce pobytu z powodu lepszego klimatu i większego spokoju. To wewnętrzne morze mogłoby pod modrem niebem zimowem przypominać włoskie jezioro, obecnie pod

Różnorodny skład mieszkańców jego.

Położenie miasta.

Oakland.

kłębami chmur, wichrem smaganych, używa się na niem malowniczych efektów światła, a z szarej mgły sterczą fantastycznie maszty okrętów i spiętrzone ponad sobą domy miasta.

Wsiadłszy w San Francisco do jednego z licznych wagonów kolei linowej, krzyżujących się we wszystkich kierunkach, przybywam zwróciwszy się na zachód, wprost do pięknych, rozległych ogrodów Golden Gate-park. które na niewdzięcznym piaszczystym gruncie półwyspu powstać mogły tylko z wielkim nakładem pracy i trudu. Ozdobione są one mniej lub więcej ładnymi pomnikami nieznanymi mi generałów i tak samo nieznanego mi twórcy amerykańskiego hymnu narodowego. W cieplarni przepyszne okazy pływającej *Victoria-Regia*. Przez wydmy piaskowe, mimo pięknych ementarzy, które tu dziwnym sposobem według narodów się dzielą, jak gdyby ci, którzy za życia zatracili swą narodowość w czarnoksięskim kotle światowego miasta, po śmierci znowu zapewnić ją sobie cheieli, zawozi nas kolej żelazna w 30 minutach aż nad Cichy ocean. Tu, w otoczeniu szpetnych will, stoi Cliffhouse, główne miejsce rozrywek mieszkańców Frisco, drewniany hotel z terasami nad morzem. Przed nami nie prócz nieskończonego morza, a blisko brzegu białe jak śnieg skaliste wysepki. Niektóre z nich okrywają niezliczone mewy i inne wodne ptaki, jak wyspy w pobliżu Północnego przylądka, na bliższych zaś i niższych wygrzewa się i tarza szczekając i rycząc cały tłum ciemnych psów i złocistych lwów morskich, niektóre z nich prawdziwe potwory. Spokojnie mogą one cieszyć się swym jednostajnym bytem, gdyż strzelać na nie nie wolno pod grozą ciężkich kar. Na samym brzegu uganiają morskie szczury wielkości zajęcy.

Jeżeli Rzym jest miastem o siedmiu pagórkach, to San Francisco można nazwać miastem o stu pagórkach. Widoki z bezdrzewnych, domami obsadzonych łąwie

Golden Gate-park.

Cliffhouse.

Psy i lwy morskie.

Widoki.

piaskowych i z dachu Palace Hôtel'u są rozmaite i pełne wdzięku. Jakby tu były na miejscu piękne budowy! Ale i to, co jest, nie razi, a jeśli się uwzględni krótkie istnienie miasta, nawet dość jest wspaniałe. Buduje się katolicka katedra, niestety w niezbyt szczęśliwie obranym mieszanym gotycko-romańskim stylu; surowe cegły, obramienia okien i bram z kamienia. Starą katedrę, małą gotycką budowę z drzewa, prześciga bardzo piękny, również drewniany kościół jezuicki. Więcej typową, niż obie te budowy, jest tak zwany hiszpański kościół, z wielkimi obrazami, poświęconymi czci Madonny z Guadelupe. We wszystkich kościołach ruchome kazalnice, które podobnie jak schodki w niektórych bibliotekach przesuwane można na szynach z miejsca na miejsce. Ze świątyń innych wyznań najwybitniejsza jest synagoga i stoi na daleko patrzącem wzgórzu. Między prywatnymi domami kilka tak zwanych domów renaissance, z fasadami z nieociosanych kamieni i nieszczęśliwie naśladowanymi ornamentami niemieckiego lub włoskiego *cinquecento*.

Następne pokolenie będzie już prawdopodobnie z większym budować smakiem, nie brak bowiem śladów rzeczywistego zrozumienia sztuki. Przepyszny sklep z bronzami Barbedienne'a, pięknem angielskiem naczyniem ze srebra i porcelaną w najlepszym gatunku świadczy nie tylko, że mieszka tu wielu bogatych ludzi, ale także że ludzie ci bogactw swych używać umieją. Zdumiony byłem atoli bardzo, gdy na wystawie artystycznego sklepu ujrzałem fotografie i *aqua-forty* podług Burne-Jones i innych angielskich Prae-Rafaelistów. Wstąpiłem i znalazłem się w pokoju, który bardziej, aniżeli do sklepu, podobny był do pracowni urządzonej z najdelikatniejszym smakiem. Na matowo żółtych ścianach druki kolorowe *Arundel-Society*, fotografie starożytnych dzieł sztuki, po stołach i w oszklonych szafkach książki w pięknych starożytnych oprawach i odlewy

Budowle.

Skład  
artystyczny.

gipsowe podług głów Donatella i Mino da Fiesole; szaroniebieska aksamitna zasłona zakrywała schody wiodące do dolnych pokojów, na jednym ze stołów kwiaty na długich łądygach w wazie z cienką szyjką. Wszystko wskazywało na dłoń kobiecą, której też nie potrzebowiałem szukać daleko. Honory sklepu robiła piękna ciemnowłosa dziewczyna z Bostonu, tych amerykańskich Aten, w wdzięcznym skromnym ubraniu, które angielskie wielbicielki Gabryela Rossettiego i jego szkoły przejęły z postaci na obrazach tych malarzy. Tak to w mieście, nosząc imię największego świętego średnich wieków, szerzą się reprodukcje fresków, na których Giotto w umbryjskiem górskim mieście, przed 600 niebawem laty, uświetnił życie właśnie tego świętego, a których chyba nie znali owi poczciwi mnisi jego zakonu, co niegdyś na tem wybrzeżu głosili ewangelię wśród dzikich. Ziemia jest małą, a dziwnie stykają się z sobą i przenikają nawzajem ludy, kraje i czasy.

Chińska  
dzielnica.

Sądziłem, że chińska dzielnica leży na kociu miasta, a przekonałem się ku memu zdziwieniu, że zajmuje jego środek i zewnętrznie niewiele się różni od innych dzielnic. Wielu też z mieszkających tu Chińczyków nosi zupełnie zwykłe sukienne bluzy i miękkie kapelusze pilśniowe, tylko warkocz świadczyłby o ich pochodzeniu, gdyby i bez tego nie odróżniał ich tak widocznie typ twarzy. Jest tu obecnie mniej synów niebieskiego państwa, niż przed dziesięciu laty, a jeśli rząd kalifornijski nie zmieni wobec nich swego stanowiska, to może, przynajmniej na czas pewien, znikną oni z wolna. Zazdrość białych zarobników, zwłaszcza Irlandczyków, pracujących za zapłatę o wiele wyższą, sprawiła, że żółtych ludzi ogłoszono prawie za wyjętych z pod prawa i że jednostronnie unieważniono kontrakty, które miały na celu sprowadzenie dalszych przybyszów z Chin. Najbrudniejsza zawiść o chleb, będąca podstawą antychińskiego ruchu, osłania się płaszczykiem wszelkich możli-

Ruch anti-  
chiński.



wych narodowych, religijnych i moralnych pozorów, a niektóre z nich śmieszna swą potwornością równają się niemal przesądom, które w Chinach wywołały zamachy na misjonarzy i siostry Miłosierdzia, z tą wszakże różnicą, że większość tu osiadłych białych nie tak silnie wierzy w te bajki, jak mieszkańcy miast chińskich w baśni tam rozpowszechnione. Bez siły roboczej Chińczyków nie byłoby San Francisco, nie byłaby Kalifornia i za 20 lat tem, czem jest dzisiaj. Oni zrównali ziemię, założyli ogrody, pobudowali koleje. Ubytek tej siły roboczej równałby się i dziś jeszcze strasznej ekonomicznej klęsce kraju.

Nienawiść rasowa jest hasłem umierającego stulecia, które walkę o byt z teorii Darwina przenieść usiłuje w dziką praktykę wśród szczepów ludzkich. Nienawiść rasowa zastąpiła nienawiść religijną dawniejszych czasów, która dziś co najwyżej jeszcze tylko u pewnej części Mahometan żyje w dawnej sile, i rozkiełżaną we francuskiej rewolucyi nienawiść zwalczających się nawzajem pojęć różnych ustrojów państwowych. Atoli przesąd rasowy w stosunku do religijnego, rewolucyjnego i reakcyjnego jest stanowczo krokiem wstecz, gdyż nie zawiera żadnego idealnego pierwiastka, jak one, i ponieważ brudne namiętności, które wzięły sobie za hasło okrzyk: *Ote-toi de là, pour que je n'y mette*, a które także w wyprawach krzyżowych, w wojnach Albigensów, w prześladowaniach Maurów i kacerzy w Hiszpanii, w walkach husyckich, reformacyjnych i rewolucyjnych wielką grały rolę, pod wpływem tego przesądu w daleko otwartzszej występują nagości i z większą swobodą rozpierać się mogą. Jeszcze gorsze skutki, niż ślepy antysemityzm w Europie, może w Ameryce i Australii pociągnąć za sobą prześladowanie Chińczyków, a osiedli w Hongkong i na innych punktach Azji wschodniej »Aryjczycy« (jakieżto nadużycia wyprawia dziś zarozumiałe nieuctwo z temi określeniami pochodzenia ple-

Przesady  
rasowe.

miennego, co do którego istotnej definicyi najuczciwiejsi z naszych współczesnych jeszcze się nie zgodzili!) poczyna już obawiać się odwetu za ten ruch fanatyczny.

Z zarzutów czynionych Chińczykom jedynie słusznym jest ten, że kapitał, zarobiony na obcej ziemi, prawie bez wyjątku zabierają lub odsyłają do Chin. Obwiniają ich również o to, że nie zlewają się z resztą ludności, lecz zawsze odrębny tworzą żywioł, w czem niema konsekwencyi, gdyż inny znowu zarzut tyczy się psucia białej rasy przez żółtą, przyczem i to przysparza niechęci, że dzieci małżeństw mieszanych zawsze więcej mają w sobie z chińskiej rasy. Grozi to Kalifornii, że chińska kwestya stanie się dla niej tem, czem była kwestya niewolnicza dla południowych Stanów. Oby ją łatwiej od tamtej rozwiązano i oby rany, które prawdopodobnie rozwiązanie pociągnie za sobą, szybciej się zagoiły niż tam.

Rzekome  
psucie białej  
rasy przez  
żółtą.

Chińska dzielnica okrzyczana jest za niebezpieczną w nocy, pragnąłem jednak poznać jej teatry, jaskinie gry i opium, i wieczorem w wigilię wyjazdu do Chicago powierzyłem się przewodnictwu słynnego w mieście detektywa Jacksona, który zwykł, jeśli mordercy nie śledzi, wtajemniczać cudzoziemców w nocne życie chińskiego miasta. Spelunki, w których się opium pali, są ohydne z powodu brudu i smrodów, a jaskinie gry, gdzie grywają namiętnie w *pokera* i pewien rodzaj domina, nie o wiele więcej są lepsze. Zwiedziliśmy również *jossehouse*, to jest dom, na którego pierwszym piętrze jest sala do modlitwy, gdzie bogowie i półbogowie o obwisłych wąsach z taką samą znudzoną miną, jak w Singapur lub w Kantonie, spoglądają na stoliki z dymiącymi świeczkami. Uderzyła mnie jakaś restauracya swojemi rzezbionymi w Chinach, lecz zupełnie europejskimi meblami i chińskimi wyśmienitemi złotoconemi rzezbami w drzewie, które umieszczone były na otwartym łuku, dzielącym dwie sale. Odwiedziliśmy także

Chińska  
dzielnica  
w nocy.

teatr; weszliśmy doń przez garderobę, po której uganiali się aktorowie w najdziwaczniejszych kostymach. Jak dandysi za czasów króla Jakóba i eleganci za Ludwika XIV zasiedliśmy następnie na samej scenie naprzeciw czcigodnej amerykańskiej rodziny, ojca, matki i córek. Między nami przy ustawicznym akompaniamencie orkiestry, grającej na scenie, rzucali się i krzyczeli jak szaleni, ustrojeni w niesłychane pióropusze i pstro pomalowani mężczyźni i chłopcy, przebrani za kobiety. Nie mogłem dowiedzieć się o treści sztuki, widziałem tylko, że przychodziła w niej rozprawa sądowa, w której występowali więźniowie z rękami poprzetykanymi przez deski. Miejsce dla widzów, bez wszelkiej ozdoby, nabite było palącymi gośćmi z warkoczami. Przed kilku dniami wszczęli widzowie w jednym z tych teatrów spór między sobą i częstowali się tak ni z tego ni z owego strzałami rewolwerowymi, ku wielkiemu zdziwieniu *ladies i gentlemen*, siedzących na scenie. Widać z tego, iż Amerykanie niesłusznie obwiniają Chińczyków o to, że ich zwyczajów nie przyjmują. W publicznych lokalach strzelają oni z rewolwerów na siebie, co jest w każdym razie skromnym początkiem.

Jackson wyprowadził mnie na świeże powietrze przez labirynt ciemnych korytarzy, wzdłuż których znajduje się niezliczona liczba wąskich celek. I tu leżało w każdej z nich po kilku palaczy opium, wstrętne obrazy ludzkiego upadku. Wstąpiliśmy na podwórze, a dopiero potem, po wędrowce przez rozliczne cuchnące zakręty i zakątki na ulicę. Łatwo pojąć, że Chinatown jest klasyczną ziemią zbrodniarzy i detektywów. Jeśli żyje jeszcze Gaboriau, autor sławnego romansu *Monsieur Lecoq*, polecam mu tę dzielnicę Frisco jako widownię najbliższej powieści. Po drodze do hotelu wskazał mi mój przewodnik miejsce, gdzie wczoraj pochwycił złoczyńcę, który stoi pod zarzutem morderstwa. »Cóż się z nim stanie, jeśli mu zbrodni będzie można dowieść?« —

Kryjówki  
zbrodniarzy

zapytałem. »Będzie wisiał« brzmiała odpowiedź. Widać, że wolni, lecz praktyczni Amerykanie nie znajdują czasu na sentymentalne rozważania o zniesieniu kary śmierci.

Droga do  
Monterey.

W trzech godzinach przebywa się z San Francisco koleją do Monterey. Pociągi składają się z szeregu wagonów, podobnych do wozów naszych kolei konnych; tylko jedna klasa, coupés dla palących tytoń niema. Jedziemy w południowo-wschodnim kierunku blisko zatoki, lecz nie widać jej, do Santa Clara (znowu franciszkańskie imię) na południowym jej końcu, dalej wprost na południe do Santa Cruz nad zatoką Monterey, następnie oddalając się od morza, zakreślamy łuk dokoła zatoki, aż wreszcie wysiadamy w parku wielkiego hotelu del Monte. Jazda niebardzo interesująca, zwłaszcza o tej porze mgły wiecznej. Łyse wzgórza z pastwiskami i otaczające je parkany przypominają mi często Kampanię rzymską. Monterey, kilka tysięcy mieszkańców liczące miasteczko nad jedną z najpiękniejszych zatok Cichego oceanu, jest dawną stolicą Wyższej Kalifornii.

Hôtel del  
Monte.

O milę angielską w głąb kraju od tej miejscowości, leży pośrodku wspaniałego parku Hôtel del Monte, wzgórzami piaskowemi od burz zasłonięty, najbardziej elegancki ze znanych mi hotelów. Jestto olbrzymia budowla z drzewa w kształcie podkowy, środkowy gmach, korytarzami z gmachami pobocznymi połączony, w podwórzu kuchnia i pralnia parowa. 500 pokoi z 600 łózkami, wszystko zbytkownie urządzone, stopnie schodów mosiądzem okute. W hali tak wielkiej jak kościół, co wieczora w czasie miesięcy letnich płonie wesoły ogień na kominku. Park byłby godny wielkopańskiej angielskiej rezydencji, a utrzymanie jego kosztuje podobno rocznie 20.000 dolarów. Wspaniałe, zawsze za pomocą maszyn skrapiane trawniki, prastare olbrzymie drzewa, najpiękniejsze i najrzadsze kwiaty, staw z żółtymi liliami, małe łodzie, *lawn tennis*, croquet, boiska gimnastyczne, kręgielnie, tak zwany budynek klubowy z nieuniknioną w Ameryce

*bar*, bufetem, w którym się cały dzień szynkują wszystkie możliwe i niemożliwe, najczęściej bardzo niezdrowe napoje. Hotel należy do akcyjnego towarzystwa i ma się świetnie opłacać. Ze spalonego od słońca wnętrza kraju ściągają się tu rodziny, szukające jesieni w pełni lata podobnie jak Włosi, którzy w lipcu i sierpniu tłumnie pielgrzymują do Engadynu. Usługa i jedzenie pozostawiają dość do życzenia, lecz, ogółem rzecz biorąc, jest to najświetniejsze i najwięcej urozmaicone miejsce pobytu, którego przyjemności za niewiele dolarów kilka dni używać można.

Wąski, na północ wyskakujący półwysep dzieli południową część zatoki miasta Monterey od Cichego oceanu. Przecinając ten półwysep u podstawy, przekracza się las pini, w którego środku leży miejscowość z eleganckimi domami drewnianymi i znowu z okazałym hotelem. Wybrzeże oceanu jest piękne z powodu lasów piniowych, ciągnących się po części aż do morza. W nędznych chatach Chińczycy w ubraniach rybackich do złudzenia do Lapończyków podobni, sprzedają muszle i inne żyjątka morskie. W ładnym wózku myśliwskim, zaprzężonym dwoma wybornymi końmi, jadę jeszcze kawałek na południe aż do przedgórza, *Cypresse point*, jedyne w okolicy, a zwanego tak od cyprysów, rosnących na niem. Nie posiadają one zwykłego kształtu tych drzew, podobne są raczej do cedrów, lecz drzewo i gałęzie wskazują przecież, że mamy cyprysy przed sobą. Wielkie stado popielatych pelikanów przeleciało nademną, a przedemną na jednej z białych wysp, które tu, jak przed Cliffhouse, z wody się wznoszą, siedziały one setkami, na drugiej wyspie mowy, na innej znowu lwy i psy morskie, i tu powietrze rykiem i szczekaniem napełniające.

Monterey w kraju tym jest już miejscowością sędziwą, ma bowiem dzieje, sięgające do przeszłego stulecia. Na wzgórzu pod miastem stoją zwaliska hiszpań-

Wybrzeże Cichego oceanu.

Kościół  
misyjny z ze-  
szłego stule-  
cia.

skiej warowni, a niedaleko od nich jeden, w niezbyt wielkiem zaś oddaleniu od *Cypress-point* drugi kościół misyjny Franciszkanów. Ten drugi jest starszy i pochodzi z r. 1770. Tylko raz w roku odprawia się tu nabożeństwo. Dokoła okolica febryczna. W ubogiem wnętrzu napół zamazane hiszpańskie napisy. Obydwa kościoły są niskie i bardzo skromne, kształtem wież zaś i ornamentów u bram i okien ujawniają pochodzenie swych założycieli. Mniej więcej tak samo wyglądają kościoły wiejskie między Ronda a Gibraltarem.

Meksykanie.

Na drodze z kościoła do hotelu spotkałem meksykańską parę: ona w ciężkim wozie, obładowanym rozmaitemi pakami i węzłkami, on obok na koniu, bardzo podobny do pasterza z rzymskiej Kampanii, oboje ciemno-brunatni. Należą oni do plemienia, które wyparło Indyan z tego wybrzeża, a teraz samo straciło władzę. Silnie dawała mi się uczuć bliskość Meksyku i czułem tęsknotę za bardziej południową, kreolską Ameryką, o tyle ciekawszą niż Ameryka Yankiesów. Wszystkie konie wierzchowe są tu już na meksykański sposób osiodłane, z malowniczymi strzemionami ze skóry, w które się nogi wsuwa jak w kalosze.

Uroczysty  
nastrój kraj-  
obrazu.

Widok z ławicy między parkiem hotelowym a zatoką miasta Monterey. Łyse, wysokie góry na wschodzie, zatoka aż do samego brzegu piniami zasadzona, a nawet i tego jedyne, prawdziwie letniego dnia o ciemno-błękitnem niebie, którego tu zaznałem, miał ten krajobraz coś poważnie uroczystego, do czego wybornie dostrajają się hiszpańskie nazwy miejscowości, jakby wydęte pompatyczną grandezzą.

17 lipca o 6 wieczorem znajdowałem się ze służącym i pakunkami na »Ferryboat«, jadącym z San Francisco do Oakland. Zpod ciężkich chmur przedarło się słońce i oświeciło jaskrawo wyspy i przedgórza zatoki; jakby *fata morgana*, szare jak mgła, co je otaczała, leżało za mną wielkie miasto z masztami okrę-

towymi i wieżycami kościołów. O 6<sup>1/2</sup> pędziłem z dworca w Oakland ku Chicago. Sypialny wagon systemu Pullmana jest przepełniony, ale dwie trzecie odjeżdżających obecnie są to żegnający się, którzy na najbliższej stacji wśród łez i uściśnień opuszczają wagon. Aż do tego przystanku jedziemy po grobli jeszcze przez jedną odnogę, dopiero potem w północnym, później we wschodnim kierunku wzdłuż zatoki San Pablo. Pięknie zabarwione wieczorne niebo ponad łańcuchem gór na drugim brzegu. Zapewniam sobie *stateroom*, to jest mały pokój wyłącznie dla mnie w Pullman-car, podczas gdy największa część tego wagonu tylko w nocy dzieli się na sypialne kompartymenta, za dnia zaś tworzy zwykłe, długie amerykańskie *coupé*, w którym z powodu hałasu i niepokoju czytać nie można. W mojej celi pluszowe kotary i inne ozdoby\* bez smaku; mógłbym prawie sądzić, że znajduję się w łoży nowego wiedeńskiego Burgteatru. Atoli moja komórka jest na szczęście większa i mogę się w niej ruszać swobodnie.

18 lipca. — Dziś tyle jest dróg żelaznych na poprzek Ameryki, że podróżnego wybór wprawia w kłopot. Tak jak za nami leżą już w mrocznej dali owe czasy, kiedy to się wozem pocztowym jechało pięć dni z Wiednia do Pragi, tak samo leżą poza szybciej żyjącym mieszkańcem Nowego świata owe czasy pierwszej linii kolejowej między New-Yorkiem a San Francisco, której otwarcie podobnie jak zaatlantycki kabel święcono jako zdobycz stulecia. Często burzyli ją Indianie, którzy również napadali pociągi po stacjach i obdzierali podróżnych. Jak biali ich koledzy w okolicach Rzymu, tak i zbójcecy Indianie należą już do przeszłości (chciałoby się prawie zawołać: niestety), a synów czerwonoskórych Fra Diavolów oglądać można, jak w filisterskich modnych kurtkach, w popielatych piłśniowych kapeluszach na głowie, ofiarują przed budynkami stacyjnymi owoce i fotografie na sprzedaż, lwy, które nauczyły się

Odjazd do  
Chicago

Koleje  
Pacific.

Indianie.

apportować. Mają też posępny wyraz twarzy zwierząt drapieżnych w klatkach menażeryj i ras skazanych nieodwoalnie na zniknięcie.

Pierwotnie chciałem z San Francisco pojechać do Vancouver, kanadyjskiego portowego miasta nad Cichym Oceanem a stamtąd kanadyjską linią Pacyfiku do Montreal i Quebec. W pobliżu Winnipeg zatrzymałbym się był dni kilka, aby mózż jeszcze zapoznać się z rozbitkami napół wolnych Indyan, atoli najświeższe wiadomości z domu zmusiły mnie rychłej wrócić niż zamierałem, tak więc obrałem najkrótszą, chociażaj najmniej zajmującą linię do Chicago.

Rano 18 zbudzono mnie wiadomością, że przejechalismy trzy czy cztery woły. Aby ustrzedz kolej przed usuwaniem się gór, urządzono brzydkie oparkanienia, które powodują nieznośny stukot. 8<sup>1</sup>/<sub>2</sub> stacya Truckee. Jesteśmy jeszcze ciągle w stanie Kalifornia; w nocy mineliśmy Sacramento, polityczną jego stolicę, nad rzeką tegoż nazwiska. Mądrzy Amerykanie przenoszą chętnie siedzibę rządu daleko od wielkomiejskich ognisk handlu i fabryk, przykład, który w istocie zasługuje na to, aby go w niejednym kraju starego świata uwzględniono. Ponieważ nie potrzebują bronić swej wolności przeciw nadużyciom z góry, używają wszelkich środków ostrożności, ażeby ją zabezpieczyć przed gorszą tyranią z dołu. Okolica dokoła Truckee: średnio wysokie lesiste góry. Indyanki w jasnych europejskich sukniach przechadzają się i prawie podobne są w nich do Singalezek z Colombo, spacerujących w niedzielnym stroju. W pogotowiu stoją wozy pocztowe do jeziora Tahoe, ulubionego celu wycieczek. Wozy te, jak i niektóre w San Francisco, wyglądają, jak gdyby je przed stu laty zrobiono, i spoczywają niekształtnie na olbrzymich resorach.

Staroświeckie  
wozy  
pocztowe.

Przybywamy teraz do stanu Nevada, a w południe zatrzymujemy się w Wadsworth. Upał daje się uczuwać



dotkliwie, przejeżdżamy spaloną pustynią, przypominającą żywo niektóre części Algeryi, zwłaszcza okolice Batny na północ od Złotej bramy Sahary. Piasek wciska się przez otwory wentylacyjne aż do coupé. Stacya Humboldt, dom samotnie stojący; jedziemy wzdłuż zupełnie obecnie wyschniętego Humboldtriver a następnie przezeń przejeżdżamy. Piękne rozległe widoki na pozbawiony wegetacyi krajobraz z szlachetnymi konturami gór; wciąż jeszcze mógłbym mniemać, że jestem w północnej Afryce lub raczej w Syrii. Wspaniała gra barw podczas zachodu słońca powiększa jeszcze to złudzenie. Stacya Battle-Mountain na pamiątkę bitwy z Indyanami, stoczonyj w tem miejscu.

19 lipca. — 8 $\frac{1}{2}$  rano. Od dzisiejszej nocy znajdujemy się w stanie Utah, w krainie Mormonów i jedziemy wzdłuż często wspomnianego Słonego Jeziora. Okolice przypomina nadbrzeże Morza Martwego. W każdym razie dziwne jest podobieństwo ojczyzny najnowocześniejszych proroków i »świętych późnych dni« do najbardziej znanej i najważniejszej na ziemi krainy proroków. Stacya Ogden, stąd idzie boczna gałąź kolei do Salt-lake-City, stolicy Mormonów. Garbaty kupiec ma na składzie mormońskie biblie i traktaciki, lecz również fotografie Brigham Jounga i karykatury działalności »świętych.« Kupuję broszurę pod tytułem: »Czy biblia zezwala na wielożeństwo?«

Po opuszczeniu Ogden okolica jeszcze czas jakiś jest wspaniała, dalej jednak staje się smutną; brzydki step; nieznośna kurzawa wciska się do mego wagonu, który jest ostatnim w pociągu, co jest o tyle korzystnem, że z tylnej platformy ma się wolny widok dokoła. Kolej zaledwie skończona, albo raczej tylko prowizoryczna, wśród oparkanienia, przez które przejeżdżamy, pracują nad ostatecznymi fundamentami. Jesteśmy w stanie Wyoming i toczymy się przez Green River, wpadający do rzeki Colorado, jednej z najpotężniejszych w północno-

Kraina  
Mormonów.

Kurz  
stepowy.

Castle Rock. zachodniej Ameryce. Stacja Castle Rock, otoczona łysemi, prostopadłymi skałami, podobnymi do olbrzymich fortec, dalej znowu smutna wyżyna. Jadło po bardzo prymitywnych restauracjach kolejowych pozostawia wiele do życzenia. Utrzymują je sami Niemcy, a szczególny sposób rozrębywania drobiu zamiast rozbie-rania go podług anatomii, jałowe mięso, wечно powtarzający się wodnisty biały sos, każą mi się domyślać, że kołyska gotujących tu kucharek lub ich matek stała gdzieś między Wrocławiem a Lipskiem. Że żądam szklanki piwa, moralne oburzenie, jak gdybym chciał fajki opium, gdyż dzierżawcy restauracyi są apostołami wstrzemię-żliwości i dają jedynie wodę, herbatę lub kawę do picia. Szczęście, że wagony Pullmana zaopatrzone są w wino i zimną kuchnię. Przekroczyliśmy już dział wodny obydwóch Oceanów, zdaje mi się, że jestem bliżej Europy, pomyślawszy, że wody które widzę, wlewają się do Missis-sipi, a ten je do zatoki Meksykańskiej niesie.

Dział wodny  
obydwóch  
Oceanów.

Prerye.

20 lipca. — Rano przejeżdżamy przez niezmie-rzone, wysoką trawą zarośnięte przestrzenie, są to pier-wsze prerye, jakie widzę. Jesteśmy w Nebraska i pędzimy wzdłuż Platte River. Uprawne pola zastępują niebawem prerye, czarna jak węgiel rola, błogosławiona egipska ziemia. Miejscowości mają bardzo odmienny cha-rakter od przebytego wczoraj kraju. Wszystko świadczy o bogactwie i dawniejszem osiedleniu. Obok niektórych stacji piękne wille, któreby tak samo dobrze w Anglii stać mogły. 12 $\frac{1}{2}$  Kearny, wielka miejscowość, jak inne pobudowana wzdłuż drogi, która krzyżując się z koleją, gubi się w nieskończoności po obu stronach. Wszędzie czarna ziemia deszczami rozpulchniona. Uprawa kuku-rudzy. 2 godzina Grand Island, miasto z licznymi ko-ściołami i tramwajem. Rzęsisty deszcz orzeźwia nas po skwarnej podróży. 4 godzina Columbus. Okolice coraz więcej zaludniona, mógłbym sądzić, że jestem we wscho-dniej Galicyi albo na Szląsku. Zachodzące słońce oświetla miły krajobraz.

8 godzina wieczór Omaha, wielki dworzec, znaczne miasto, elektryczne oświetlenie, turkot wozów. Teraz wiedzie droga przez niezbyt silnie wyglądający most drewniany na Missouri, który ma tu mniej więcej szerokość Elby pod Dreznem. Stacya Councill-Bluffs na drugim brzegu rzeki, tworzącej granicę między stanem Nebraska a Jowa. Pociąg, który mię tu przywiózł, powraca do San Francisco. Urządzam się jak najwygodniej w innym wagonie, który przyczepiono do pociągu idącego do Chicago. Jazda o wiele prędsza, straszliwe wstrząśnienia przez całą noc.

21 lipca. — Już o 5 godzinie byłem na nogach. Obawa, aby przypadkiem nie stracić widoku Mississipi, wygnała mnie z łóżka, z którego i tak z powodu wstrząśnień w każdej chwili wypaść mogłem. Pędzimy szalenie naprzód robiąc 40 mil na godzinę. Zapomniałem, ile mil na godzinę robi błyskawiczny pociąg między Londynem a Edynburgiem, albo też tak zwany indyjski pociąg pocztowy, który raz na tydzień od Calais do Brindisi przebiega Europę, lecz sędzę, że oba te najszybsze pociągi na naszym starym kontynencie nie osiągną takiej chyżości. W każdym razie jedzie się nimi przyjemniej. Od chwili, gdy przekroczyłem Missouri, pewnie ze sto razy myślałem o Aleksandrze Villers, który, nie wiem już w którym ze swych listów ogłoszonych przed kilku laty, porównywał jazdę nocną na włoskiej kolei z nieustanną operacją u dentysty. Ale Villers'owi dokuczało tylko trzęsienie, gdyż w Europie gwiżdżą o wiele mniej na kolejach niż tutaj, i nie dzwonią podczas jazdy. Tu zaś każda lokomotywa ma dzwon, który prawie nieustannie jęczy na bardzo ożywionych przestrzeniach, ciągle też mijamy się z pociągami, na których również dzwonią. Oszalećby można; jestto jakby nieustanne dzwonienie pogrzebowe. Olbrzymia szybkość zmusza służbę pociągową do robienia ogromnego hałasu, tem bardziej, że w miejscach, gdzie drogi lub gościńce z torem się

Missouri.

Szybkość  
jazdy.

Dzwonienie  
podczas ja-  
zdy.

krzyżują, nie ma, jak u nas, baryer, które się zamykają za zbliżaniem pociągu, są tylko wielkie drewniane słupy w kształcie krzyża św. Andrzeja z malowanymi przestrogami.

Mississippi.

O 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godzinie przystanek w pięknym miasteczku Burlington. Minawszy je toczy się pociąg przez most na Mississippi. Jest on z żelaza, i w każdym względzie wzbudza więcej zaufania niż most na Missouri. Wagon mój jest ostatni w pociągu, mogę więc dość dobrze wbić sobie w pamięć rzekę i okolicę. »Ojciec strumieni« jest tu jeszcze młodzieńcem i nie przejął jeszcze Missouri, który zupełnie jak Jumna w swym dalszym biegu, szerszy jest od głównej rzeki. Mississippi zatacza powyżej mostu łuk, przy którym od północnej strony leży na zachodnim brzegu miasto Burlington, otoczone miłemi zielonemi wzgórzami, prawie w całości zbudowane z czerwonych cegieł, z wieżami kościelnymi i pałacem sprawiedliwości w starożytnym stylu. Podobieństwo do Aschaffenburga nad Menem jest uderzające. Od południa bujno zarosnięte zielone brzegi i także wyspy, przypominające mi rzekę na Ceylonie, którą przed sześciu miesiącami płynąłem na tratwie o dachu z sitowia. Z większą jeszcze słusznością niżli nazwano Austryę państwem naddunajskiem, można Stany Zjednoczone nazwać państwem nad Mississippi, gdyż rzeka ta przepływa je w całej rozciągłości z północy na południe, a jej dorzecze, jedno z największych na ziemi, obejmuje przynajmniej dwie trzecie całego ich obszaru. Jest on dla północnej Ameryki tem czem Ganges dla Indyi, rzeką podań, dziejów i poezyi. Wzdłuż niego i po nim żeglując, przybyli Indianie do zatoki Meksykańskiej, przeprawiwszy się prawdopodobnie około roku 1000 naszej ery z Kamczatki przez cieśninę Berynga i przewędrowawszy Kanadę. Jak Elba dzieli północne Niemcy na dwie połowy, zachodnią, której brzegi zmywa Północne Morze, z starożytnemi ogniskami kultury wczesnego średniowiecza, i wschodnią, sięgającą

do Bałtyku, przez którą w prastarych czasach przeciągali Germani, a która przez ciąg stuleci była słowiańskim krajem, tak też dzieli Mississippi, na którego prawym brzegu przez długi czas »dziki zachód« się poczynał, obszar Unii na dawniejszy i nowszy. W całym prawie swym biegu tworzy on wciąż granicę dwóch stanów, tutaj stanu Jowa i Illinois.

Z kolei pędzimy przez wesołe, przyjemne, silnie zaludnione okolice, osady następują coraz gęściej po sobie. Koło południa las z kominów fabrycznych, prawie jak pod Manchester, zbliżamy się do Chicago.

*21 od południa do 22 wieczór, Chicago.*

Chicago.

Blisko południowego końca wielkiego jeziora Michigan, na zachodnim brzegu, leży miasto, przez które przepływa wąska Chicagoriver, dzieląca się na kilka ramion. Liczy ono dziś więcej niż 100 mil angielskich obwodu i jest drugim co do wielkości miastem Unii. Wzrost jego tworzy pendant do rozwoju San Francisco. Chicago jest o kilkadziesiąt lat starsze, ale za to rozwój jego w ostatnich czasach jest jeszcze kolosalniejszy. W r. 1804 pierwsza stała osada, budowa twierdzy przez rząd Stanów, którą przed 33 laty zburzono. Jeszcze jednak w r. 1830 składało się Chicago z 15 domów ze 100 białymi i czarnymi mieszkańcami; w r. 1837: 4000 mieszkańców; 1850: 30000; 1860: 112000; 1870: 300000; w październiku 1871 wielki pożar, który pochłoniął przeszło 17000 domów miejskich, po większej części z drzewa wybudowanych, około 100000 ludzi pozbawił dachu i zniszczył majątek wartości 190 milionów dolarów, z których tylko 30 milionów było ubezpieczonych. Leez już w kilka tygodni po pożarze począł się handel znowu ożywiać i podobnie jak w Hamburgu powstało piękniejsze miasto na miejscu zniszczonego. 1874 nastąpił drugi, o wiele zresztą mniej niszczący pożar; 1880 mieściło Chicago w kamiennych przeważnie i żelaznych domach przeszło 500000 mieszkańców, dziś ma już

Dzieje.

przeszło milion, z tego 200000 Niemców, a około 100000 należących do innych obcych narodowości.

W przeciwieństwie do San Francisco, miasta o stu pagórkach, leży Chicago zupełnie na równinie. Wszystkie ulice przecinają się pod kątem prostym. Milami jedzie się często między dziewięcio- lub dziesięciopiętrowymi domami (które jednak nie są o wiele wyższe niż pięć lub sześciopiętrowe w Europie) z wszelkimi możliwymi godłami lub ogłoszeniami. Najwyżej umieszczone z nich składają się z olbrzymich liter metalowych na drucianych kratkach, które, prostopadle do dachu przytwierdzone, odbijają się na tle nieba. Na północ i południe od jądra miasta, w pobliżu jeziora, które okiem nieobjęte jakby morze leży, lecz również i na zachodzie rozciągają się dzielnice zamożnych. Z wielkich miast mógłbym jeszcze tylko Wiedeń wymienić jako takie, w którym napotykały podobne rozrzucenie w rozmaitych kierunkach mieszkań ludzi, unikających zgiełku handlowego miasta.

Spichrze  
na zboże.

Niebrak mniej lub więcej pomnikowych budowli, lecz rzeczywiście oryginalnymi, charakteryzującymi miasto są olbrzymie gmachy bez wszelkich ozdób, o szeroki, do trzeciej części wysokości sięgającym podmurowaniu, z którego sterczą ku niebu czworoboczne, masywne, prawie zupełnie okien pozbawione, dachem uwieńczone wieże. Spotykamy je zwłaszcza w pobliżu jeziora i u ramion rzecznych. To spichrze na zboże, a są one dla Chicago tem, czem były katedry i ratusze dla średniowiecznych miast niemieckich i włoskich, gmachami, w które charakter municypalnego życia najwybitniej się wcielił. Z zachodnich stanów, z Illinois i Michigan, z żywej południowej Kanady gromadzą się tu nigdzie dotąd niewidziane masy pszenicy, kukurudzy i innych płodów polnych, które Chicago dalej rozsyła i którymi zalewa Europę. Spichrze te, to warownie,

z których toczy się zwycięzka ekonomiczna walka ze starym światem; europejscy właściciele ziemscy okupują rozkwit tego miasta ubytkiem w swych dochodach.

Chicago ma kilka pięknych parków; miałem czas zwiedzić tylko park Lincoln nad brzegiem jeziora, na północno-wschodnim krańcu miasta. Jest on rozległy, bardzo dobrze rozłożony i ma zwierzyńiec. Zaraz na wstępie posąg wywierający komiczne wrażenie. Dokoła platformy biegnie w półkolu ławka kamienna, na której poręczy stoi napisano wielkimi literami »Abraham Lincoln.« Na platformie postać sławnego prezydenta w stojącej pozycji z brązu, wcale niezła, lecz z tyłu za nią, również z brązu, olbrzymie krzesło z egipskim ornamentem, które widocznie dlatego postawiono, ażeby wielki mąż mógł odpocząć, gdy mu się wreszcie sprzykrzy to wieczne stanie. Lepiej wypadł pomnik Schillera, wzniesiony przez tutejszych Niemców w pośród parku, z drzewami jako tłem tylnem i widokiem na łąkę i grządki z kwiatami. Postać znakomita, o wiele lepsza od większej części posągów Schillera po niemieckich miastach. Cokuł pełen prostoty stanowi przyjemny kontrast z tem, co się dziś wyprawia z płaskorzeźbami i pobocznymi figurami na postumentach. Nie uwłaczając pomnikom, pomyslanym architektonicznie, jak pomnik Fryderyka II lub Maryi Teresy, kolumna Vendôme lub Tegetthoffa, chwałę sobie zresztą artystów starożytności lub odrodzenia, którzy nie lubili umniejszać wrażenia głównej postaci przez zbyt bogatą ornamentykę cokołu, podobnie jak się przytłacza niekiedy obraz zbytnią bujnością ram. Także i na cześć szczepu Indyan, którzy zamieszkiwali niegdyś brzegi tego jeziora, na cześć »przyjaciół swjej młodości« wznosił pewien stary obywatel miasta pomnik w parku Lincoln, wcale nie celującą grupę dwóch figur z brązu, z płaskorzeźbami na temat życia indyjskiego u podstawy. Zresztą już tylko drewniane figury Indyan z pióropuszcami, które przed

Park  
Lincolna.

Posągi.

handlami cygar zastępują naszych tradycyjnych Turków z fajkami, przypominają nam, że znajdujemy się w kraju po którym jeszcze przed kilku pokoleniami uganiali czerwonoskórcy na swych mustangach, podczas gdy znowu wypchane niedźwiedzie przed licznymi handlami futer przypominają przechadzającemu się po mieście srogość tutejszej zimy.

Budowle  
publiczne  
i prywatne.

Zamiłowanie  
do romań-  
skiego stylu.

Bardzo wiele jest w Chicago gmachów publicznych i prywatnych architektonicznie niepospolitych, i dziwić się tylko można, jeśli się pomyśli, że cały ten świat kamienny wyczarowany został w ostatnich 18 latach. Największym gmachem mniej więcej w środku wielkiego quais nad jeziorem Michigan, jest tak zwane Auditoryum, prawdziwy »zamek« w romańskim stylu z dość wysoką wieżą. Służy ono zarazem do celów rządowych jak i do zabawy, zawiera biura, salę koncertową i operową. W ogóle nadzwyczaj uwagi godne jest zamiłowanie tego najnowocześniejszego z wszystkich nowoczesnych miast do średniowiecznych form architektonicznych, zwłaszcza zaś do romańskiego stylu. Milami jedzie się w eleganckich dzielnicach między prywatnymi domami wpośród troskliwie utrzymanych ogrodów, dowód to niewątpliwie dobrego smaku zamożnych mieszkańców w tem mieście, z których każdy zamiast koszar czynszowych woli zamieszkiwać dom własny, chociażby mały. Obok will, zbyt koźnie budowanych spotykamy parterowe, zupełnie skromne domki drewniane, najczęściej zaś małe istne warownie z romańskimi łukami i ozdobami. Takie domki wiejskie o 8—12 może pokojach, przebrane, że tak powiem, za rycerskie zamki, są śmieszne, z drugiej atoli strony uderza to przyjemnie, że tak niesprawiedliwie zresztą zaniedbany styl przed-gotycki znajduje uwzględnienie. Katolicki kościół główny, i tu, podobnie jak we wszystkich amerykańskich miastach, które zwiedziłem, największa ze wszystkich świątyn miejscowych, nie jest romańską



lecz gwoli tradycyi gotycką budową, w której do cienkich filarów użyto szczęśliwie żelaznej konstrukcyi. Również inne średniowieczne style są reprezentowane, dom jeden n. p. jest dość dokładną kopią toskańskiego ratusza z XIV w. z blankami i wieżą. Ta namiętność do starych form architektonicznych, odpowiada bardzo dobrze innej, w Nowym Świecie tak rozpowszechnionej namiętności do prawdziwych czy też fałszywych rodowodów i herbów i zgadza się doskonale z firmą krawczyńi na jednej z najpierwszych ulic Chicaga: »*Madame X. de Paris, Robes et Manteaux de Cour.*»

Publiczna biblioteka jest wybornie prowadzoną instytucją, w której każdy gość bez poprzedniego zgłoszenia się lub polecenia tyłu książek żądać i tak długo czytać może, ile mu się podoba. Wyobrażam sobie jednak, że bibliotekę w zimie nie sami tylko cheiwi wiedzy przepełniają bo zapewne dobrze musi być opalana. Jej zawiazek powstał po wielkim pożarze z darów, nadsyłanych z Anglii. Podział i urządzenie są znakomite i mogłyby służyć za wzór niejednej bibliotece w Europie. Muzeum sztuki, znowu romańska budowa w pobliżu Audytorium, zawiera prócz licznych gipsowych odlewów zapisany miastu prywatny zbiór dobrych nowoczesnych obrazów, a na innem piętrze jeszcze drugą galerję takich samych dzieł, których liczba wciąż wzrasta. Jest też kilka wcale znakomych krajobrazów młodych amerykańskich malarzy. Olbrzymie i bardzo obficie zaopatrzone są księgarnie i handle sztuki; zbytłowne wydania, fotografie i odlewy gipsowe z Europy, po bajecznych cenach z powodu wysokich ceł dowozu. Wielka wszakże liczba podobnych sklepów i ich obfite zapasy świadczą, że chętnie się tu płacą takie ceny, podobnie jak restauracya małego, eleganckiego hotelu Richelieu, gdzie jedzenie i usługa są takie, jak w Café Anglais w Paryżu, dowodzi, że nie brak tu ludzi, którzy się na dobrej kuchni rozumieją.

Publiczna  
biblioteka.

Muzeum  
sztuki.

Syesta  
na schodach  
i terasach.

Przejeżdżając wieczorem między 6 a 7 godziną przez jedną z wspomnianych powyżej dzielnic „Cottage”, można oglądać właścicieli will i domów siedzących na terasach swych domostw lub też na schodach, które w każdym z nich wiodą do bramy wchodowej. Damy przeważają, atoli i mężczyźni, nietylko starsi panowie, lecz nawet młodzi ludzie nie gardzą tą spokojną, kontemplacyjną rozrywką, która wobec małego ruchu na tych ulicach niewiele następuje, a której zresztą nigdzie zauważyć nie miałem sposobności.

Teatr.

Odwiedziłem w Chicago dwa teatry; sztuki nie przedstawiały nic godnego uwagi, żadna też z nich nie zatrzymała mnie dłużej niż półgodziny na miejscu, podobno mi się jednak urządzenie i przyozdobienie miejsce dla widzów. Parter i galerye wznoszą się amfiteatralnie jak w teatrze Wagnera w Baireuth, tak że się z wszystkich miejsc dobrze widzi. Łoże są tylko po dwie po każdej stronie na trzech piątrach, rodzaj łóż w proscenium, gustownie ozdobionych. 22-go o godzinie 10 wieczór pędziłem pociągiem ku granicy Kanady.

Granica  
Kanady.

23. lipca. — Budzę się o 8 $\frac{1}{2}$  rano niedaleko granicy przed Detroit, które należy jeszcze do stanu Michigan. Wzięło ono swą nazwę od wąskiego gościńca wodnego, prowadzącego z jeziora Hurońskiego do małego jeziora pod miastem, a stąd znów dalej na południe do jeziora Erie. Sześć wielkich jezior północno-amerykańskich, otoczonych kilku małemi, a połączonych z sobą cienkimi liniami wodnymi, ma podobieństwo pewne do jezior południowej Szwecyi. Pomiędzy jeziorem Jerzego i Hurońskim na północnym zachodzie a jeziorem Erie i Ontario na południowym wschodzie wybiega z obszaru Kanady półwysep daleko na południe, małe zaś jezioro Detroit tworzy granicę między brytyjską Ameryką a posiadłościami Unii. Pociąg nasz rozprzężono, wagony postawiono obok siebie i na tratwie płynie ku drugiemu brzegowi. Malowniczo, jakby średniowieczne miasteczko

leży z wieżami swemi Detroit za nami; podczas jazdy badają kanadyjscy celnicy nasze pakunki. Wkrótce stajemy na przeciwnym brzegu. Okolica lesista, miła, mnogie kościoły, należące do nich domy ukryte poza pagórkami. W pobliżu leży Londyn, płynie Tamiza, atoli zgoła ich nie widzimy. Przed stu laty nadali osadnicy te dumne nazwy małej mieścinie i nieznaczej rzece.

O 4 po południu zatrzymuje się pociąg na pięć minut, aby nam dać sposobność podziwiania wodospadów Niagary. Spoglądamy z wzniesienia na modrą, bardzo szeroką rzekę, która z hukiem pędząc pośród lesistych brzegów tworzy liczne progi, i tuż pod nami w dwóch olbrzymich, oddzielnych masach rzuca się w przepaść 160 stóp głęboką. Całość widoku ztąd z góry nie da się z niczem porównać, a w wspaniałym ogromie swoim ma coś harmonijnego. Nie ma się uczucia trwogi ale wewnętrzznego wyzwolenia. Jeszcze kilka minut kolejną i wysiadam na stacyi o kwadrans drogi oddalanej od Cliftonhouse, hotelu, w którym przemocować zamierzam. Jest to wielka gospoda, po której poznać, że już kilka dziesiątek lat stoi tutaj, w miejscu z którego się wybornie obejmuje okiem oba wodospady.

Rzeka Niagara odprowadza masy wód jeziora Erie, do którego się wszystkie cztery górne jeziora wlewają, do szóstego, mianowicie jeziora Ontario, które znowu zapomocą rzeki św. Wawrzyńca do Atlantyckiego Oceanu wylewa swe wody. Wschodnie brzegi jezior Erie i Ontario, jako też rzeki św. Wawrzyńca ku Montreal, należą do stanów Ohio, Pensylwania i New-York, zachodnie do Kanady. Cliftonhouse leży po kanadyjskiej stronie rzeki Niagara, płynącej tu między prostopadłymi murami skalnymi, wprost naprzeciw stacza się jeden z wodospadów, nieco na południe drugi, jeszcze potężniejszy w półkolu, stąd nazwa wodospadu Horseshoe (podkowa). Nieco poniżej hotelu łączą oba brzegi

Pierwszy  
rzut oka na  
wodospady  
Niagary.

Położenie  
i charakter  
wodospadów.

most łańcuchowy, przypominający żywo most we Fryburgu szwajcarskim. Żałuję że nie mogłem dostać porządnego planu, aby go tu odrysować i uprzytomnić lepiej czytelnikowi położenie wodospadów. Łoskot, o którym tyle się mówi, nie wydał mi się silniejszym od szumu wielkich wodospadów szwajcarskich. Wyspa i wogóle brzegi powyżej mostu są gęsto lasami okryte, poniżej mostu wpada do rzeki pod miejscowością Clifton kilka młynówek jako małe wodospady. Ogółem rzecz biorąc troszkę w tem Renu pod Schaffuzą, troszkę Tauber pod Rothenburgiem, nieco Fryburga, a bardzo wiele Tivoli — oczywiście bez słońca italskiego — atoli wszystko na wielkie, olbrzymie rozmiary.

Wędrówka  
popod je-  
dnym z  
wodospadów.

Rzeka  
Niagara.

Z mostu widok bardzo urozmaicony, można też małym parowcem podpłynąć tuż pod wodospady, do czego mi jednak czasu nie stało. Zato od stóp do głowy w nieprzemakalne ubranie odziany (właściwie jedynie odpowiednim byłby tu kostyum używany w kąpielach morskich) zszedłem wiedziony przez przewodnika po drewnianych schodach nadół aż pod pierwszy wodospad. Na dole wspinając się i skacząc po skałach, ogłuszony hukiem, otoczony pianą, zlewany licznymi tuszami, oglądałem małe tęcze, które często zamykają się w zupełne koła, co wątpię, aby gdzieindziej oglądać się zdarzało. Gdyby Goethe był odbył tę wędrówkę, byłby stworzył pendant do strof na początku drugiej części Fausta, natchnionych widokiem Staubbachu. A jednak, mamże wyznać? miłszą, niż same wodospady, jest mi rzeka powyżej nich ze wspaniałymi lesistymi brzegami i wyspami, z których trzy małe obok siebie zowią się »siostrzanemi« i z pysznymi swemi progami. Jest ona szeroką jak jezioro i szumi i huczy i pieni się i pryska jak przybierające morze. Nie zawsze chciałbym mieć wodospady przed sobą, są one czemś zbyt osobliwym, ażeby ich używać jako codziennego zwykłego widoku,

tak jak rzeźbiarz nie powinien stawić nam przed oczy pozycyi, które tylko chwilę trwać mogą, a więc przy dłuższej obserwacyi stają się nieprawdopodobnemi. Tu wszakże, pod drzewami brzeg ocieniającemi, rad zbudowałbym sobie chatę z widokiem na pędzący bez wytchnienia, krok za krokiem drogę sobie torujący olbrzymi strumień, który dlatego właśnie, jak wodospad Fausta, »jest ludzkich dążeń zwierciadłem«.

Lecz wracajmy do mostu łańcuchowego. Wody Niagary nie idą niestety tylko na młyny Cliftona, lecz także na młyny rozlicznych przekupniów, szynkarzy i szarlatanów wszelkiego rodzaju. Jak te wodospady przewyższają szwajcarskie, tak też to, co tu zrobiono dla wyzyskania ich i cudzoziemców, przewyższa nawet najśmielsze kombinacye dzielnych »Szwyczerów« w berneńskim Oberlandzie i na Rigi, co zaprawdę nie mało znaczy. Przyczynia się zapewne do tego poniekąd i to, że się tu w kilku godzinach z New-Yorku dostać można, że więc wodospady tworzą najulubieńszą *great sensation* dla mieszkańców milionowego miasta, którzy przy tej sposobności radzi są zwiedzić kilka panoram, karuzeli, popisów akrobatycznych i tak zwanych muzeów, i kontenci są, gdy się w piwiarniach i szynkach lub w sklepach z prawdziwymi i fałszywymi towarami indyjskimi pozbędą swoich dolarów. Po obu brzegach przy obu końcach mostu odbywają się tu najgwałtowniejsze wyścigi w szlachetnem usiłowaniu obdarcia dobrodusznego pielgrzyma »wodospadowego«. Kupiłem parę mokassynów (trzewiki indyjskie) i wachlarze z piór wyrobu czerwonoskórców, którzy o kilka mil stąd żyć mają zupełnie »ułaskawieni« i tak szpetnie odziani jak my. Piękny jest park Victoria, poczynający się zaraz powyżej Cliftonhouse, a ciągnący się nad brzegiem aż do wodospadu Horseshoe, a piękny tak z powodu zmieniających się widoków jak i dlatego, że go nie szpecą ani targi ani żadna piwiarniana gospoda.

Gospody  
i budy z wi-  
dowiskami.

Jazda  
do Toronto.

24 lipca. — O 9 $\frac{1}{2}$  przed południem siedziałem w coupé pociągu, mającego mnie zawieść do Toronto. Było to wielkie coupé dla palących, jak wszystkie tu, z przejściem przez środek. Krzesła obracają się dokoła swej osi, jak wogóle nie ma prawie innych stołków w tej części świata, jak tylko krzesła do kręcenia i do kołysania. Oprócz mnie kilku tylko poważnie dymiących i uroczyście plujących Kanadyjczyków. Nagle na jednej ze stacji wpada pół tuzina pensjonarek 13 do 16 letnich, które zresztą nigdzie w pociągu miejsca dla siebie znaleźć nie mogły, i paplają i chichocą się i kręcą na stołkach, jak gdyby do nich należał świat cały, a więc i kawałek świata między ścianami tego coupé. Na najbliższym przystanku znika gromada z takim hałasem, z jakim się zjawiała. Okolica lesista, na prawo ku północy i wschodowi prawie nieprzerwany widok na jezioro Ontario.

Toronto.

12. godzina Toronto. Mam zamiar okrętem, który stąd o 1 $\frac{1}{2}$  odchodzi, popłynąć do Montreal, dość więc czasu do zwiedzenia miasta w przelocie. Piękne, po największej części drzewami obsadzone ulice, ładne skwery, Queenspark, wielki publiczny ogród z mniej więcej gustownymi pomnikami, imponujące kościoły rozmaitych wyznań, olbrzymi gmach uniwersytecki w romańskim stylu wpośród zieleni, podobny raczej do brytyjskiego książęcego zamku niż do naukowego zakładu, dość wiele życia, w ogóle charakter angielskiego miasta prowincjonalnego — to jest Toronto. Założone prawie przed 100 laty, ma dziś około 120000 mieszkańców, z których, w przeciwieństwie do innych ważnych miast dominium, znaczna większość używa języka angielskiego jako ojczystego, i prowadzi bardzo ruchliwy handel. Nazwa ma pochodzenie indyańskie i znaczy miejsce schadzki.

Na zielonem błoniu wśród starych drzew wznosi się kilka budynków szkolnych, obok zaś »Educational-

Museum«. Zawiera ono piękną bibliotekę, zbiór gipsowych odlewów, a na schodach i w dwóch salach wcale dobre obrazy, między nimi wiele kopii z zeszłego stulecia podług Rafaela, Guida Beni, Domenichina, a także oryginały niderlandzkiej szkoły, jak wielki, bardzo dobry obraz z martwą naturą i z postacią Marty na pierwszym planie, podczas gdy Jezusa i u stóp jego nad słuchującą Maryę widać w oddaleniu. Odlewy assyryjskie i okazy assyryjskiej kultury zapełniają całą salę, podczas gdy hala festynowa zawiera historyczne portrety i popiersia. Obok biustów królewskiej rodziny i Elżbiety, Maryi Stuart i Karola I. nie brak też Washingtona i Franklina, jak w ogóle bezstronność wobec przeszłości miłe w całej Kanadzie sprawia wrażenie. Na popiersiu Byrona zwiędły wieniec, podobnie jak na świętych w katolickich kościołach, a na wieńcu bardzo piękny wiersz.

Educational-  
Museum.

O 2 godzinie opuszcza Toronto parowiec mój »Algerian«. W porcie spoczywa drugi, noszący nazwę *Modjeska*, na cześć pięknej, znakomitej naszej artystki Modrzejewskiej, która grając w angielskim języku, jak wiadomo, corocznie mieszkańców New-Jorku, Bostonu, Toronto i Montreal oczarowuje głównie Szekspirowskimi rolami i do entuzjastycznych zmusza hołdów. Zbyt trudne dla nich do wymówienia nazwisko skrócili Amerykanie, którzy prześcigają w tem nawet Anglików, o jedną zgłoskę i o kilka spółgłosek, podobnie jak mówią i piszą *photo* zamiast *photographie*, *curio* zamiast *curiosity*, *gent* zamiast *gentleman*, *Frisco* zamiast *San Francisco*. Parowiec mój jest mały i pod każdym względem nędznie urządony. Pierwsze usprawiedliwia się progami św. Wawrzyńca, które jutro przepłyniemy, a których większe okręty przebyć nie mogły. Toronto rozciąga się pięknie przed nami; nie jedna, lecz nawet dwie wieże kształtu wieży św. Szczepana wystrzelają z pośród mnóstwa domów. Płyniemy wciąż blisko kanadyjskiego,

Parowiec  
»Modjeska.«

Jazda  
na rzece św.  
Wawrzyńca.

północno-zachodniego brzegu jeziora, tak że oko nie dosięga przeciwnego brzegu. Wybrzeże po największej części płaskie, bogato uprawne zbożem, które przyjemnie zieleni przeplata. Przystajemy w Bowmanville, Port Hope, Cobourg. Sąto malownicze miasteczka z pięknymi kościołami i spichrzami na zboże, podobnymi, lecz mniejszymi, niż w Chicago. Zła kolacya przyprawia mnie niestety o stratę zachodu słońca, widzę tylko ostatnie odbłaski gasnącej zorzy wieczornej ponad czarniawym brzegiem.

25 lipca. — O 4 godzinie rano wstępuję na platformę okrętu. Spoczywamy przed starożytnie wyglądającym Kingston przy końcu jeziora, u wejścia do rzeki św. Wawrzyńca. Pierwsze brzaski świtu, niebo delikatnie zielone z sierpem ubywającego księżycy i z wielką i błyszczącą jasno jak gwiazda poranna Venus, która z wszystkich gwiazd jedyna jeszcze jest widzialna. Pod tem czarne miasto z wieżami i światłami. Podczas gdy okręt w ruch się wprawia, kładę się raz jeszcze do łóżka a po dwóch godzinach pojawia się znowu, gdy przepływamy przez Thousand Islands, archipelag na rzece; brzegi i wyspy bujnie drzewami zarośnięte. Przypomnienie okolicy Chrystyanii.

Po kilku nieznacznych progach przybywamy około pierwszej do silniejszych Long Sault Rapids, które kołyszą nami już dość silnie; zielone, płaskie brzegi cofają się po obu stronach coraz dalej. Tu i owdzie dobrze zabudowana miejscowość, przy której się zatrzymujemy, wyspy i pobrzeże gęstymi krzakami zarośnięte, jak nad Dunajem, a dalekie góry na południowym wschodzie przypominają miękkimi zarysami przedgórze Karpat. Przed nami płynie drugi parowiec i poczynają się wyścigi wśród okrzyków podróżnych z jednego i drugiego pokładu. Przegoniwszy statek sterujemy ku olbrzymiemu mostowi kolejowemu. Całkiem tak jak w balecie »Excelsior«, goni pociąg górą, podczas gdy my dołem



przeptywamy. Około 4½ rozszerza się rzeka w jezioro i wśród gęsto zarosłych wysp pędzi po potężnych skałach, pieniać się i białe bałwany wzdymając. Są to sławne Larchine Rapids. Żegluga jest uciążliwa, kapitan upomina podróżnych, ażeby nie stali wszyscy po jednej stronie, a to dla utrzymania równowagi na statku; tańczymy jak podczas burzy na morzu.

Larchine  
Rapids.

Już od dość długiego czasu widzimy przed sobą średniej wysokości górę pod miastem Montreal, skracamy i płyniemy obok wielkiego gmachu z kościołem obok domu poprawy, teraz mamy górę po lewej ręce, a u jej stóp piękne miasto z wieżami i kopułą rozpoczętej katedry, naśladującą kopułę św. Piotra w Rzymie. 6 godzina. Przejeżdżamy znowu popod most i wkrótce lądujemy na pięknym *quai*. W kwadrans potem zajmuję wygodny pokój w wspaniałym hotelu Windsor.

25 lipca do 30 wieczór. *Montreal i okolica.* — Montreal położone jest na wyspie, utworzonej przez rzekę św. Wawrzyńca i dwa ramiona Ottawy, wlewającej się do niej, u stóp góry takiegoż nazwiska, które otrzymała jeszcze w r. 1535 od Jacques'a Cartier. Pierwsza osada powstała około 100 lat później, a nazwa miasta była Ville Marie, którą znowu zarzucono w zeszłym stuleciu. 1760 kapitulacya i oddanie całego dominium Anglikom. Miasto, najliczniejsze w Kanadzie i najważniejszy jej punkt handlowy, liczy dziś więcej niż 200.000 mieszkańców. Większość mieszkańców używa języka francuskiego jako ojczystego i jest katolicka, w przeciwieństwie do przeważnie angielskiego i protestanckiego Toronto. Płynąc w górę przypływającej z południowego zachodu rzeki Ottawa mniej więcej dzień jeden, przybywa się do Ottawy, politycznej stolicy dominium, z nowym budynkiem parlamentu w stylu londyńskiego parlamentarnego gmachu, który jak zamek królewski w Krakowie wznosi się na wzgórzu ponad rzeką.

Montreal.

Kanada.

Cały olbrzymi obszar Kanady liczy nieco tylko więcej nad pięć milionów mieszkańców i rozpada się na pięć lub sześć prowincyi z własnymi sejmami i rządem własnym, podobnie jak w stanach Unii. Czuje się dobrze, że tu życie powolniej pulsuje niż poza granicą; podobnie jak w Norwegii i Szwecyi, do których ten kraj ma tyle podobieństwa, spostrzega się tu, że się jest na uboczu od wielkiego ruchu światowego, lecz podobnie jak tam wpośród inteligentnego, pracowitego, dzielnego plemienia. Miasta przypominają pod pewnym względem miejscowości francuskiej Szwajcaryi, jak n. p. Lozannę, i jak one, zachowały w sobie cechę rzetelnie mieszczańską i jakby staroświecką.

Tylko kilka ulic Montrealu leży na równinie, blisko rzeki, tam też ześrodkowuje się ruch handlowy; tu stoją piękne gmachy banków, inne publiczne budynki i kilka kościołów, najznacniejszy z nich Notre Dame, gotycki, budowa po części z kamienia, po części z drzewa. Na najbardziej ożywionym placu dolnej części miasta wznosi się skromny, lecz godny pomnik królowej Wiktorii, czyniący dobre wrażenie idealnym strojem i dostojną postawą. Co prawda, stoi on już kilka dziesiątków lat; z dzisiejszych rzeźbiarzy mała częśćka tylko pojmuje, że przyszłym pokoleniom, dla których współczesną osobistość oddają w bronzie albo marmurze, zupełnie obojętnym będzie moda z tego roku, w którym dzieło powstało. Dość stromo idzie się z dolnej części miasta do górnej. W miejscu, gdzie się krzyżują dwie główne ulice, stoją tuż przy sobie trzy kościoły trzech rozmaitych sekt protestanckich, każdy z nich zaopatrzony tablicą, na której wymienione jest wyznanie, imię duchownego i czas nabożeństwa. W Rzymie także spotykamy na forum Trajana i na Piazza del Popolo kilka kościołów obok siebie, lecz kościoły te — podobne w tem do pogańskich świątyń — pomyślane są przedewszystkiem jako mieszkania świętych, których

Protestanckie  
kościóły ro-  
zmaitych  
sekt obok  
siebie.

imię im nadano, a więc zupełnie dobrze znoszą swe wzajemne sąsiedztwo, ale tutejsze rywalizujące Domy Boże z »plakatami«, które wyglądają prawie jak teatralne afisze, robią niemal komiczne wrażenie. Środkowy punkt górnego, młodszego miasta, którego ulice prawie wszystkie drzewami są zasadzone, stanowi niezupełnie jeszcze wykończona katedra katolicka, zredukowana kopia ścioła św. Piotra, której kopuła miastu i całej okolicy nadaje poważne piętno. Czyż nie powinienby ten przykład znaleźć naśladowania, i czy nie powinniśmy, my, którzy wieszamy kopie znakomitych obrazów nad ołtarzami, kopiować raczej sławnych kościołów, niż wznosić nieładne oryginalne gmachy?

Katedra,  
kopia kościoła  
św. Piotra.

Rozległa dzielnica z przyjemnymi domami wśród małych ogródków ciągnie się pod górę. Uderzył mnie tu piękny dom narożny w niemieckim stylu odrodzenia, również Megyll College jest udatną obszerną budową.

Montreal posiada bardzo piękne muzeum sztuki, założone przez człowieka prywatnego i w odpowiednim budynku umieszczone. Dobre kopie podług Rafaela i Andrea del Sarto, wyborne akwarele, obszerna sala, z góry oświetlona z nowoczesnymi malowidłami olejnymi. Z pomiędzy nich wyróżnia się krajobraz leśny z małym stawem na przedzie, silne efekta światła. Malarz nazywał się Blissbacker, pochodził z Filadelfii i umarł niedawno, w 28 roku życia. Wobec tego znakomitego płótna wszystkie inne w tej sali wydają się konwencyonalnymi i nudnymi, tylko drugi widok leśny Polaka, Kowalskiego, wytrzymuje niebezpieczne sąsiedztwo. Myśliwy przejeżdża galopem jesienny, na pół nagi już las bukowy; za nim pędzą psy. Z przyjemnością skonstatowałem szkołę Brandta i pewne podobieństwo do prac mego przyjaciela Malezewskiego. Od Brandta też przejął niestety artysta owo zbyt wierne wyzyskanie momentalnych zdjęć fotograficznych, w ruchach konia, które niemile uderza na wielu znakomitych

Muzeum  
sztuki.

zresztą obrazach żyjącego w Monachium polskiego mistrza. Nie każdy błyskawicznym aparatem pochwycony ruch nadaje się do tego, ażeby go pochwycił także pędzel. I tu także stwierdza się teza, że prawda nie zawsze jest prawdopodobna, a że dzieło sztuki powinno przede wszystkim wzbudzać w widzu wiarę, musi tedy unikać wszystkiego, co tej wiary sobie nie zdobywa.

Kolej linowa wiedzie na górę Mont Royal za miastem. Chcąc lepiej poznać okolicę, wolę odbyć tę drogę powozem. W północno-wschodnim kierunku wiedzie droga z miasta, widok na rzekę i przedmieścia przypomina widok na Brigittenau z Ober-Döbling pod Wiedniem. Jedziemy dokoła góry i dostajemy się do cmentarza, założonego w kształcie parku na tylnym jej stoku. Pomniki pięknie ugrupowane, dobrze poprowadzone drogi, piękne drzewa. U wejścia na cmentarz uprasza angielski i francuski napis żałobnych uczestników pogrzebu, ażeby zdjęli krepę, jeśli chcą po skończonem pogrzebie przechadzać się (!) po innych częściach parku. Niebawem znajdujemy się bezpośrednio nad miastem w miejscu, skąd się na nie widok otwiera. I tu podobieństwo rzeki św. Wawrzyńca do Dunaju, n. p. pod Pressburgiem. Domy w Montreal przeważnie z surowej cegły o dachach z niebieskiego łupku, leżą skupione u stóp naszych. Dalej przez lasy i krzaki na właściwy szczyt góry, na którym stoi drewniana wieża dla widoków. Z miasta widać tu tylko część tuż nad rzeką położoną, lecz za to na wszystkie strony w głąb kraju rozległy widok na wiele mil. Na południe i wschód poza wspaniałą rzekę, która tu zakręt tworzy, i na ładnie zarysowane szczyty, Ste Thérèse, Beloeil, Rougemont, za którymi się ciągnie niski łańcuch Laurentydów. Na północ na żyzną, dobrze uprawną równinę, przypominającą dolinę Renu pod Baden-Baden, na wschód ponad lesiste pagórki na jeziora i deltę, utworzoną tu u końca biegu przez rzekę Ottawa. Zjeżdżam krótszą drogą na dół do miasta i spostrzegam

Cmentarz.

Widok  
z Mont-Royal

w połowie wysokości na zakręcie kopułę nowej katedry, która góruje ponad wieże i dachy, odstając od tła, utworzonego przez rzekę i góry. W tem oddaleniu budzi ona prawie zupełną illuzję swego wielkiego rzymskiego pierwowzoru, tak że mogę, niestety na chwilę tylko, wyobrazić sobie, iż przechadzam się po Villa Pamfili.

Klimat w Montreal jest podczas miesięcy letnich bardzo zmienny, czego sam doświadczyłem, gdyż w przeciągu kilku dni doczekałem się po indyjskich upałach jak lód zimnej ulewy. Najzdrowszą a zarazem najcharakterystyczniejszą porą roku w Kanadzie jest długa zima z suchymi mrozami i obfitym śniegiem, który na ulicach sięga do wysokości domów. Wtenczas to budują się po wszystkich miastach pałace z lodu i urządzają się w nich zabawy, a na porządku dziennym bywa sanna w dół z gór lodowych.

30 lipca o 6 wieczór stałem na pokładzie wielkiego, do hotelu podobnego parowca, który miał mnie zawieść do Quebec; olbrzymia to, trzypiętrowa arka, niestety przepełniona pasażerami. Wielka przestrzeń z wewnętrznym krużgankiem dokoła, zajmująca prawie całą długość i szerokość okrętu, wcale przyjemnie wygląda z powodu wywieszonych na sprzedaż pięknych futer i kołder. Meble i ramy zwierciadeł ze środka tego stulecia. Ten styl Ludwika Filipa wydaje nam się już dziś o wiele mniej śmieszny niż przed 20 laty; jak wówczas styl *empire*, tak on dzisiaj jest w stadyum stawania się >historycznym.< Tylko moda dopiero co porzucona, bywa ofiarą naszego szyderstwa, niejako w zemstę za to, żeśmy jej tak długo hołdowali, późniejsze pokolenie występuje wobec niej już przedmiotowo. Tak samo też prawda wczorajsza, właśnie dla tego, że nie jest nią już dzisiaj, może stać się prawdą jutrzejszą. Jedną rzecz tylko miałbym do zarzucenia tej pięknej pływającej hali, a mianowicie, że mieścił się w niej fortepian, z którego

Kanadyjska  
zima.

Odjazd  
do Quebec.

Styl Ludwika  
Filipa.

niestrudzone młode adeptki sztuki aż do północy dobywały tonów.

*31 lipca.* — O 5 godzinie rano płyniemy wśród daleko od siebie leżących lesistych brzegów. Słońca długo wcale nie widać, a nareszcie tylko przez mgłę, jako ciemnoczerwoną tarczę, której odbłask na falach ze skaczącymi gwiazdami porównaćby można. Po obu brzegach miejscowości, znowu przypominające bardzo Norwegię. O 6<sup>1/2</sup> okazuje się na prawym brzegu Levis, znaczne miasto; rzeka zwęża się tam i zakreśla łuk dokoła skały zamkowej Quebecu, którą tuż wprost siebie spostrzegamy; miasto leży za nią ukryte. 7 godzina, wylądowujemy najpierw w Levis, ponad które wznosi się wielki klasztor z kopułą kościoła, a stąd spostrzegamy po raz pierwszy stromo i małowniczo z brzegu rzeki wznoszące się Quebec. Niebawem znajdujemy się na drugiej stronie rzeki, a koń ciągnący mój powóz, pnie się mozolnie ulicami pod górę do hotelu.

Quebec

Angielski  
i francuski  
język jako  
języki towa-  
rzyskie.

Miasto jest starsze niż Montreal, założył je Champlain w r. 1608, po odkryciu przez Jakóba Cartier także i tej skały. Jak na Amerykę, wiek to nadzwyczaj już poważny; znaczy to mniej więcej tyle, jak gdyby europejskie miasto początek swój wywieść mogło od Rzymian. Quebec było przez półtora wieku kością niezgody między Francuzami i Anglikami. 1629 zdobyli je ci ostatni, po upływie trzech lat odstąpili je znowu Francuzom; 1690 i 1711 napróżno przez Anglików oblegane, w roku 1759 przez nich, a w rok potem znowu przez Francuzów zajęte, dostało się ostatecznie 1763 na zawsze pod angielskie panowanie. Quebec liczy dzisiaj około 70.000 mieszkańców, z czego więcej niż pięć szóstych francuskiego pochodzenia. W przelotnym jednak pobycie nie wiele znać tego; jak w Montreal tak i tu nie zdarzyło mi się nigdy, ażeby mnie nie zrozumiano, gdy kogoś po angielsku zagadnąłem, natomiast natrafiałem najczęściej na zakłopotane twarze, skoro mówiłem po fran-

cusku. Wytlómaczyć to się da po części tem, że woźnicami są prawie sami Irlandczycy, lepsze zaś hotele są dla angielskich gości urządzone, a więc mają angielską służbę. Nadto jest rzeczą wcale niezwykłą dla kanadyjskich Francuzów, gdy ich cudzoziemcy zagadną w ich własnym języku, którego popsutym tylko dyalektem sami mówią.

«Amerykański Gibraltar» zasługuje na swoją światową sławę jako jeden z najpiękniejszych punktów w północnych stronach. Gdy się stanie na twierdzy, która wieńczy skałę, wznoszącą się od południa i wschodu prostopadle z rzeki, to rzeka, wyspy, góry, osady i równina ku zachodowi składają się na panoramę, której nikt nie zapomni, kto je raz widział. Mgła niestety popsła mi po części widok w dal. Poniżej twierdzy na północ panuje jeszcze nad miastem w znacznej wysokości Dufferin-terrace, długa na ówieré mili angielskiej, a więc znacznie dłuższa od Brühlowskiej terasy w Dreźnie, do której zresztą najwięcej ma podobieństwa, chociaż ją przewyższa wysokością położenia i rozmaitością widoków.

Za Dufferin-terrace, otoczony skwerem, który dawniej tworzył ogród gubernatora, stoi bardzo ciekawy pomnik, wzniesiony w r. 1827 przez ówczesnego namiestnika, lorda Dalhousie. Pomnik ten jest obeliskiem 65 stóp wysokim, a poświęcony jest pamięci generała Wolfe, który jako zwycięzca padł w r. 1759 pod Quebec, a zarazem pamięci wodza francuskiego Montcalme'a, który po kilku dniach uległ ranom, rzekomo w tej samej bitwie odniesionym. Na jednej stronie wyryte imię Wolfe, na drugiej Montcalme, z przodu napis: *Mortem virtus communem, famam historia, monumentum posteritas dedit.* Chętnie spytałbym fanatyków, którzy radziby wygnać łacinę zarówno ze szkół jak i z publicznych pomników, w jakim innym języku da się powiedzieć tyle w ośmiu tylko słowach, i jaki inny

Dufferin-terrace.

Pomnik Wolfe'a i Montcalme'a.

język byłby odpowiedni, ażeby w tym wypadku uświęcić zarazem pamięć zwycięzcy i zwyciężonego? Na ten drugi punkt odpowiedzą mi, że trudno zaprawdę, aby podobne pomniki gdziekolwiek jeszcze powstać mogły, w czem niestety słuszność chyba po ich stronie.

Notre Dame  
des Victoires.

Tu w Quebec jednak, obelisk ten nie jest jedynym przykładem daleko idącego obiektywizmu wobec przeszłości. Najstarszy kościół w mieście nazywa się Notre Dame des Victoires od obrazu Maryi, którego cudownemu działaniu przypisują dwukrotną zwycięską obronę miasta od Anglików. Kościółek ten odrestaurowano z gruntu w ostatnich czasach, a wielkie francuskie napisy na ścianach przywodzą na pamięć daty jego zbudowania i obydwu odpartych szturmów; nad wielkim ołtarzem widzi się warownię Quebec i chroniącą ją Matkę Boską. Że rząd angielski nie wystąpił przeciw tym napisom, było bez wątpienia objawem roztropności i dowodem, że się dość silnym czuje, aby się miał lękać reminiscencji podobnego rodzaju. Gdy to piszę, przychodzi mi na myśl, że Prusacy, których pewnie nie można winić o zbyt wielkie poszanowanie polskich tradycji, kazali na odnowionych bramach miejskich w Gdańsku umieścić znowu herby Polski i Litwy. Prawda, że Gdańsk jest dziś zupełnie niemieckiem miastem, i że w Poznaniu lub Gnieźnie coś podobnego pewnieby nie uszło. Mniej logicznem od zachowania się Anglików podczas powtórnego uroczystego poświęcenia kościółka Maryi wyda się zachowanie francusko-katolickiej ludności i katolickiego kleru, gdyż nie sami tylko sceptycy mogą zadać sobie pytanie, dlaczego Matka Boska użyczywszy już raz miastu Quebec swojej szczególnej opieki, pozwoliła mu przecież dostać się ostatecznie pod panowanie ówczesnych najezdników i dłużej już niż wiek cały pozostawać pod ich władzą, pomijając tę okoliczność, że



przecież kanadyjscy Francuzi są dzisiaj wiernymi i zadowolonymi poddanymi królowej Wiktoryi, za czem idzie, że nieszczęście, jakie wówczas od miasta odwrócone zostało, weale już nie przedstawia się jako nieszczęście.

Kościół i klasztor spotyka się tu na każdym miejscu. Kaplica seminarjum duchownego spaliła się niestety niedawno z kilku cennymi religijnymi obrazami francuskiej szkoły. Katedra zwana bazyliką w Quebec, w najprostszym stylu Ludwika XIV zbudowana, wewnątrz z bogatemi złoceniami, zawiera nad ołtarzami kilka obrazów tejsamej szkoły i pięknego Chrystusa na krzyżu, którego słusznie Van-Dyckowi przypisują, na tle wspaniałego krajobrazu z płaczącym aniołkiem u stóp krzyża. Jestto nieco odmienne powtórzenie obrazu z wiedeńskiego Belwederu, którego wiele replik istnieje; obraz wisi niestety tak źle, że nie można go dostatecznie oglądać, mogłem tylko stwierdzić, że anioł i ton całości jest godnym mistrza.

Chrystus na krzyżu Van-Dyck'a.

Ten północno-amerykański Rzym, siedziba nawet kardynała, posiada katolicki uniwersytet, nazwany od założyciela swego Monseigneur de Laval, pierwszego biskupa Quebecu, który umarł 1708 r. W r. 1852 uniwersytet został na nowo odbudowany w swej terażniejszej postaci a przez Piusa IX w r. 1876 potwierdzony. Dzieli się on na cztery wydziały: teologię, prawo, medycynę i sztuki piękne i cieszy się licznymi słuchaczami z Kanady i Stanów Zjednoczonych. Obszerny gmach uniwersytecki leży niedaleko od Dufferin-terrace w górnem mieście i zawiera bogaty liczbą, lecz ubogi w dobre obrazy zbiór po największej części francuskich obrazów z epoki przejścia ośmnastego stulecia w dziewiętnaste, wielką bibliotekę, między rękopisami książkę do nabożeństwa rzekomo Maryi Stuart, — w którymże księgozbiornie angielskich krajów mogłoby jej braknąć! —

Uniwersytet Laval.

z cennymi miniaturami, dalej przyrodnicze muzeum i fizyczny gabinet. Można tu widzieć także piękny zbiór japońskich i chińskich osobliwości, najpiękniejszym jednak jest widok z dachu budynku na rzekę św. Wawrzyńca i dopływ jego St. Charles-River.

Pole  
Abrahama.

Jadąc popod wielki nowy budynek, w którym obraduje parlament prowincyi, ku południowi, i trzymając się ciągle na wysokości górnego miasta, znajdujemy się, opuściwszy miasto, na historycznem polu Abrahama, na którem rozegrała się walka między Wolfe a Montcalme. Kolumna pamiątkowa oznacza miejsce, gdzie padł Wolfe. Armia obronna Francuzów liczyła 13.000. Z takimi to armiami staczano jeszcze przed 130 laty rozstrzygające bitwy.

Zabawny  
anons o cy-  
garetach

Piękne widoki z innych części górnego miasta na leżące na dole dzielnice z kościołami i na przedmieścia, gubiące się na równinie ku zachodowi. Na jednym, nie pamiętam już którym z publicznych budynków, niedaleko uniwersytetu, herb miasta z piękną dewizą: „*Je me souviens.*“ Muszę jeszcze wspomnieć o kiosku na tarasie, gdzie podają napoje, ale tylko takie, które przeszły przez cenzurę towarzystw wstrzemięźliwości. Podczas gdy mi podają wodę Apollinaris, oglądam na ścianie anons o cygaretach z przed kilku lat, na którym ku memu zdumieniu spostrzegam lichy druk kolorowy, przedstawiający rodzaj balu Mabilie: w środku rozmawia księżę Wali z prezydentem Grévy, na prawo Bismarek zaleca się kilku damom, na lewo cesarz austriacki i ówczesny niemiecki następca tronu tańczą walca z młodemi pięknościami. Tak to wesoło w starej Europie według wyobrażenia Kanadyjczyków.

Stara  
dzielnica.

Najstarsze ulice leżą w dolnem mieście, tuż nad rzeką, a prastarymi karkołomnymi schodami można stąd dostać się na stromą rampę. Te schody i niektóre z wąskich uliczek są prawdziwie malownicze, lecz zawiodłem się w oczekiwaniu odkrycia charakterystycznych starych

domów. Jedyłą rzeczą, przypominającą mocno dawne czasy, są olbrzymie godła sklepowe, niektóre malowane, z prawdziwym humorem, przeważnie jednak plastyczne, wystające ze ściany domu: olbrzymie klucze, lwy, konie, najczęściej zaś kolosalne buty, tak że sądząc po ich ilości, należałoby wnioskować, iż Quebec całą Amerykę zaopatruje w obuwie.

Po południu pojechałem przez rzekę St. Charles, oblewającą miasto od północnego zachodu i wpadającą tu do wielkiej rzeki, a potem dalej na lewym brzegu św. Wawrzyńca, przez miłe miasteczko Beauport. Przeganiam kilka jednokonných przedpotopowych wozów na resorach. Beauport jest miejscowością, szeroko rozciągającą się wśród pól i ogrodów. Okazały gotycki kościół z drzewa jest nowoczesny, lecz domy zatrzymały prawie wszystkie charakter rządów *du Grand Roi*. Tylu małych domów ze stosunkowo bardzo wielkimi mansardami chyba się nigdzie nie znajdzie w francuskich krajach. Zabawił mnie jeden z napisów, bo wskrzesza przedemną Francję z przed lat 200. Znajduje się znowu nad sklepem szewskim i opiewa: *Ici l'on fait des bolles sauvages*, co ma znaczyć buty z surowej skóry. Jestto pierwotna francuszczyzna współczesników Moliëra i Lafontaine'a, zwracam na ten napis uwagę dyrektora *Théâtre Français*, aby go kazał umieścić na dekoracyi komedyi *Menteur*, która wyobraża starą Place Royale w Paryżu.

W okolicy Quebecu, tak samo jak w Kalifornii, jeziora, rzeki, góry, wsi, miasta mają prawie bez wyjątku imiona świętych. Jak miejscowość Beauport, tak też wyjątkiem jest od tej reguły rzeka Montmorency, na której właśnie most przebywam, za to nazwa jej jest znowu pozostałością minionych czasów. Średniej szerokości, pędzi ona bardzo malowniczo przez skały wśród bujnie zalesionych brzegów. W jednym z leżących przy drodze hotelów — sąsiedzi Niagary są prze-

Beauport.

Napis  
w starej fran-  
cuszczyźnie.

Wodospad  
Montmorency.

cież tylko naiwnymi dziećmi — muszę kupić bilet, ażeby mózż w oddali stu kroków podziwiać wodospad utworzony przez rzekę Montmorency, wlewającą się do rzeki św. Wawrzyńca. Bardziej to imponujące widowisko, aniżeli widok któregośkolwiek z oddziałów Giessbachu w Szwajcaryi, większa tu bowiem masa wody, a może i wysokość spad. Potężny, biało spieniony wał wody, przewalający się z szumem w dół po stoku góry, okrytej bujnemi liściastemi drzewami, przypomniiał mi obrazy Jakóba Ruisdaela, który, jeśli się nie mylę, motywa swoje czerpał w Norwegii, nowy dowód podobieństwa obydwu krajów. Lecz mimo zielonych drzew, białej piany, skał i Ruisdaela, z punktu, na którym stałem, nie sam wodospad najbardziej był porywającym widokiem, był nim raczej widok w górę rzeki ku Quebec. Przedemną wielka zalesiona wyspa Orléans, zwana niegdyś wyspą Bachusa lub Czarownicy, dzieląca na dwa ramiona rzekę św. Wawrzyńca, która zaraz poniżej Quebec rozlewa się w jezioro; ku południowemu zachodowi zaś ponad wspaniała, w popołudniowym słońcu iskrzącą się rzeką zamykający ją zupełnie dla oka, uwieńczony twierdzą przylądek skalisty o śmiałych zarysach.

Podczas drogi z powrotem wysiadłem niedaleko hotelu i szedłem, przesadzając kilka płotów, drożyną polną w pośród dojrzałego już prawie zboża ku lasowi, okrywającemu oba brzegi Montmorency. Dalej wilgotną, śliską ścieżką pod drzewami nadół między krzaki do rzeki, która tu, znaczny kawał powyżej mostu, toruje sobie drogę wśród skalistych kamieni, spiętrzonych w kształcie teras. Są to tak zwane *Natural steps*, naturalne stopnie, które spieszącego się wędrowca zapraszają do zatrzymania się, gdyż walka pieniacego się żywiołu z brunatną, dziwnie uformowaną, nieugiętą masą kamieni, ujęta w ramy leśnej zieloności, daje wspianiały i osobliwy obraz.

Wieczorem w hotelu St. Louis w Quebec — jest to nowoczesno-angielski hotel, z *Ancien Régime* zatrzymał tylko nazwę — sąsiadem moim przy stole był poseł kanadyjski, który mi udzielił niejednego szczegółu o urządzeniach i stanie kraju. Uskarżał się, że utrudnione są czynności rządowe z powodu równouprawnienia obu języków krajowych, i zdumiał się bardzo, gdy usłyszał odemnie, że w Europie jest monarchia o tuzinie języków krajowych, z których każdy równych praw dla siebie żąda w urzędzie, szkole i sądzie.

O 8 $\frac{1}{2}$  wieczór przeprowiam się na Ferryboat przez rzekę do Levis i wkrótce pędzę w wagonie Quebec-Central-Railway na południe ku granicy Zjednoczonych Stanów.

31 lipca. — O 8 godzinie rano bardzo łagodna rewizya pakunków w pociągu, miła okolica leśna; stajemy w Newport, granicznej miejscowości Kanady i stanu Vermont. Tu zatrzymujemy się 1 $\frac{1}{2}$  godziny, czekając na drugi pociąg. Newport jest ulubionem miejscem letniego pobytu mieszkańców Bostonu i Montreal i leży nad wielkim jeziorem z wdzięcznymi pagórkowatymi brzegami, które ma barbarzyńską nazwę indyjską Memphremagog. Miejscowość składa się ze schludnych domów i will, a wszystko to z drzewa, po części wpośród ładnych ogrodów. Pełne różnaitości widoki na jezioro, przypominające niektóre widoki na Attersee. O 9 $\frac{1}{2}$  pędzimy dalej i przybywamy wkrótce do stanu New-Hampshire. Bez przerwy miła, bogata w drzewa okolica. Godzina 1 Plymouth, którego nie należy brać za port tegoż imienia na wybrzeżu Massachusetts, gdzie pierwsi »Pilgrims« wylądowali. Bufet na dworcu kolei. Przy długim wąskim stole od strony wewnętrznej służba, po stronie zewnętrznej do stoła przytwierdzone małe ruchome stołki bez poręczy, na których podróżni siedzą jak na koniach w karuzelu. Po każdej potrawie dostaje się markę miedzianą, na której umieszczona jest ogólna

Newport nad jeziorem Memphremagog.

Demokratyczne urządzenie buffetu.

cena tego, co się dotychczas zjadło. Również w restauracji hotelu, w którym w Bostonie mieszkałem, przynosi przy końcu kelner taką markę zamiast rachunku.

Wkrótce po opuszczeniu Plymouth spostrzegamy po lewej ręce wielkie jezioro Winnipissoegee o płaskich lesistych brzegach i licznych, parowcami ożywionych zatokach. Zaraz potem na prawo mniejsze jezioro o zupełnie podobnym charakterze. 3 godzina Concord, dość wielkie miasto. Jest również drugie Concord w Massachusetts, będące jednym z przedmieść Bostonu. Słaby ten talent wynalazczy Amerykanów w nadawaniu nazw miastom co chwila staje się powodem pomyłek. Dalej jedna stacya po drugiej, toczymy się przez granicę Massachusetts, o 5 godzinie odnogi morza, wieże kościołów, mnóstwo wjeżdżających i wyjeżdżających pociągów, jesteśmy w Bostonie.

Boston.

*31 lipca po południu do 2 sierpnia rano, Boston.* — Co przybywającego do Bostonu przede wszystkim uderza, to podobieństwo niektórych części miasta do pewnych dzielnic Londynu. Jeśli się przejeżdża obok »Common«, publicznego parku, to przychodzi Hyde Park na myśl, a plątanina starych ulic, które należą do wyjątkowo krzywych w Stanach Zjednoczonych, podobna jest łądząco do niejednej części City. W innych wprawdzie dzielnicach wypada porównanie zupełnie na korzyść stolicy stanu Massachusetts, a szerokie, piękne ulice najcelniejszej części miasta, nie posiadające nie z jednostajności londyńskiego Westend, wynagradzają stokrotnie za to, że Boston niema ani »Clubland« ani Regent-Street, tak jak sto przynajmniej słonecznych dni więcej w roku jest bez wątpienia miłym odszkodowaniem za mniejszą o parę milionów ilość mieszkańców.

Miasto zajmuje daleko wysunięty półwysep w najgłębszym kącie zatoki o licznych załamaniach i pokryto zbiegami czasu domami także sąsiednie półwyspy i wyspy.

Charlestown, nazwa jednego z tych przedmieść, przenosi nas w czasy Stuartów. Boston pochodzi z czwartego dziesiątka 17 wieku i górował długi czas w każdym względzie nad Nowym Yorkiem; tu rozegrały się ważne wypadki, które wywołały wojnę o niepodległość, tu też oddycha się historyczną atmosferą. Nawet dziś jeszcze rości sobie piękne miasto, liczące około 500.000 mieszkańców, pretensje do duchowego przewodnictwa Unii, wdzięk mieszkanek jego wszedł w przysłowie, a niektóre bostońskie koterye, bardziej zamknięte w sobie niż najbardziej ekskluzywne koła europejskich stolic, szczycą się tem, że lepiej przestrzegają tradycyi dobrego towarzystwa, niż to się dzieje w Filadelfii lub Nowym Yorku. O tej porze roku stoją puste gustowne domy z fasadami, pokrytymi bluszczem na Commonwealthavenue, wiodącej z miasta na północny zachód: elegancki świat bawi w kąpielach morskich w Newport i Saratoga albo w Europie. Przy tej ulicy i w bezpośrednim jej pobliżu bardzo elegancki klub, piękne hotele, posągi, pomiędzy nimi również w ostatnich czasach wzniesiony posąg Leifa Normana, który około roku 1000 po Chr. miał odkryć to wybrzeże, postać Siegfriedowska na postumencie, którego górną część stanowi okręt w kształcie smoka. Z kościołów tej dzielnicy największa jest katolicka katedra, najpiękniejszy zaś kościół episkopalny, Trinity church, obydwą gotyckie.

Commonwealthavenue

Miła budowa z cegły z płaskorzeźbami w terrakocie zawiera zbiory *Museum of fine Arts*, czysto prywatnego przedsiębiorstwa, które zaledwie dziesiątek lat istnieje, lecz jak wszystkie tego rodzaju instytucje z tej strony Atlantyckiego Oceanu, z bajeczną rozwija się szybkością. Podział dobry, sale i klatka schodowa jasne i pięknych proporcji. Gipsowe odlewy. Z oryginalnych antyków godne są uwagi zwłaszcza dwie płaskorzeźby z Assos w Azji Mniejszej, fragmenty, pochodzące zapewne nie z sarkofagów, lecz prawdopodobnie

Museum of fine Arts.

Antyki.

z jakiejś większej budowy. Na jednej dwa sfinksy, podtrzymujące wspólnie jedną z przednich łap przedmiot jakiś, oparty na rodzaju drzewca, którego atoli dolnej części brak niestety. Na drugiej nadzy mężczyźni z napiętymi łukami, strzelają na uciekające Centaury, które, odmiennie od wszystkich innych wizerunków Centaurów, składają się z całego ciała ludzkiego z przyczepioną z tyłu połową ciała zwierzęcego. Uważam te rzeźby za starsze niż rzeźby z Gjölbaschi, które prawie w tym samym czasie, jak te tutaj, sprowadzono do Wiednia. Wyszczególnić należy etruskie sarkofagi, z których każdy na swej pokrywie ma leżącą parę małżeńską, dzieła tak pełne swobody w umodelowaniu ludzkiego ciała, tak bliskie sztuce rzymskiego cesarstwa, że chciałoby się nie uważać ich wcale za etruskie, gdyby to określenie, jak go się dzisiaj używa, miało w ogóle więcej niż geograficzne znaczenie, a nie było raczej zbiorową nazwą dla wszelkich możliwych odcieni stylu. Dwa psy z gliny, w Naukrates pod Aleksandryą znalezione, są okazami bardzo starej greckiej sztuki na egipskiej ziemi. Mnóstwo małych terakot, między nimi wysoce interesujące. Dobre biusty portretowe rzymskich cesarzy i inne, starożytne naczynia z okolicy Tyflisu, wielka assyryjska postać w płaskorzeźbie, bogaty zbiór egipski, w którym pierwsze miejsce zajmuje piękny profil władcy *en relief*, marmur z późniejszego czasu.

Obrazy amerykańskich mistrzów.

Z obrazów zainteresowały mnie przedewszystkiem prace amerykańskich mistrzów. Przy tej sposobności dowiedziałem się także, że Benjamin West, nudno-akademicki malarz nadworny Jerzego III, był z pochodzenia Amerykaninem. Jego portret przez sir Tomasza Lawrence malowany wiszący w jednej z sal tutejszych, przedstawia życzliwie spoglądającego, dość pospolitego starego jego mościa. Trzech portrecistów odznaczyło się około czasów walki o niepodległość, Copley, Stewart i Alston; mamy tu dzieła wszystkich trzech, a obrazy ich jakoteż niektóre



wielkie kompozycje postaci młodszych artystów, świadczą wyraźnie o związku z angielską szkołą, na której czele stali sir Joshua Reynolds i Gainsborough. Stewart malował kilkakrotnie Washingtona, a zawieszono go tu szkicu do portretu nie powstydziliby się żaden z wymienionych właśnie londyńskich mistrzów.

Nowoczesne obrazy w wielkiej ilości, wiele z nich pożyczonych tylko. Spotykamy pierwsze francuskie imiona, między innymi Millet, Rousseau, Regnault. Znajduje się tu także oryginał tysiącrotnie reprodukowanego obrazu, Ary Scheffera *Dante i Beatrice*, robi zaś wrażenie jakby malowany był na wosku, bez wypukłości i głębi, w słodkawo-mdłym kolorycie. A jakże podziwiano tę kompozycję i inne podobne tegoż malarza! My dziś przecież już do lepszych przyzwyczailiśmy się rzeczy, a postępująca wciąż znajomość szkół malarskich z przed XVI wieku, zwłaszcza włoskich, nauczyła nas, jak tego rodzaju tematy pojmowane być mają, nauka, z której w Anglii skorzystali Gabryel Rossetti i jego towarzysze.

Nowoczesne  
obrazy.

Nikt w Bostonie nie będzie się spodziewał wielkiego zbioru znakomitych starych obrazów, nie brak tu przecież dobrych dzieł. Do takich należy znakomity obraz ołtarzowy Vivariniego z licznymi oddziałami, z postaciami świętych trzeciej części naturalnej wielkości na tle złotem, nad który lepszego nie znaleźć w Wenecyi, i fragment, dwaj fundatorowie ze swymi patronami, prawdopodobnie szwabskiej szkoły, dzieło współczesnika Holbeina. Rzekomego Van der Weydęna: św. Łukasz, malujący Matkę Boską, uważam za bardzo piękną i bardzo starą kopię obrazu z monachijskiej pinakoteki. Nadzwyczaj obfity jest oddział japoński, zwłaszcza w miecze, brzozy i materye.

Stare obrazy.

Postępując dalej długą Avenue, główną arterią tej dzielnicy, wychodzi się niespodzianie z miasta pomiędzy wille, których doskonale utrzymanych ogrodów nie otacza żaden rów, ani płot, a wreszcie na wzgórze, z którego

- Widoki. oglądać można cały Boston i przecinające go odnogi morskie. Z drewnianej połączanej kopuły Statehouse, leżącego w pośród starego miasta na wzgórzu, możnaby jeszcze lepszego zażyć widoku, gdyby okna małej kopułowej latarni niestety nie były zawsze hermetycznie zamknięte. W przedsionku Statehouse marmurowe posągi Washingtona i innych mężów stanu i liczne sztandary.
- Athenaeum. Niedaleko stamtąd leży Athenaeum, wielka publiczna biblioteka, po staroświecku bardzo mile urządzone, kolorowe druki *Arundel Society* na ścianach, a na obu piętach liczne marmurowe popiersia sławnych mężów. Obok biustu Chrystusa stoi popiersie gentlemana z zakrzywionym spiczastym nosem i wyciągniętymi w górę brwiami, na podstawie napis: »Satan«. Widzimy, jak mieszane towarzystwo spotyka się w Athenaeum. Jest jeszcze druga publiczna biblioteka w Bostonie, później założona, o wiele większa i we wszelkie najnowsze wygody zaopatrzona.
- Faneuil-Hall. Faneuil-Hall, wielki budynek, podobny do starożytnych sukiennic po niemieckich miastach, »kółka wolności«, ma dla Zjednoczonych Stanów to samo znaczenie, co dom balowy w Wersalu dla nowoczesnej Francji. Tu zgromadzili się 1773 oburzeni ogłoszeniem cła od herbaty patryoci i postanowili wrzucić w morze nadeszłe z Indyi ładunki herbaty, co stało się hasłem oporu przeciw Anglii.
- Stare Statehouse. Niedaleko stamtąd wznosi się skromne stare Statehouse, na przesadnie udekorowanym przyozdoku dachu stoi jeszcze lew i jednorożec, angielskie godła herbowe, których zdrowo i praktycznie myślącym Yankesom nie śniło się usuwać. Jakże inaczej niż we Francji, gdzie emblemata i inicjały na publicznych gmachach co dwa dziesiątki lat się zmieniają, i gdzie z posągu Ludwika XIV w Lyonie przed kilku laty usunięto napis, bo chciano mieć w posągu tylko dzieło sztuki a nie pomnik historyczny. Wygląda to tak, jak gdyby ci z pomiędzy Francuzów, którzy wyznają Ewangelię z 1789, chcieli kłam

zadać słowom poety, »że przeszłość wiecznie stoi niewzruszona«. Rzecz tylko dziwna, jak cisami ludzie, którzy nietylko zapierają się własnej przeszłości ale ją nawet za nigdy nie była uważaćby radzi, mogą mieć pretensję stworzenia czegoś dla przyszłości, co przecież pod tym tylko warunkiem jest rzeczą możliwą, że przyszłe pokolenia uszanują dzieło terażniejszej doby, która wówczas już przeszłością się stanie.

Wogóle niema zapewne nie mylniejszego nad upatrywanie w republice Unii i francuskiej dwóch podobnych sobie historycznych zjawisk. Podobieństwa są zewnętrzne, różnice głęboko wewnętrzne. Chcąc właściwie ocenić walkę Amerykanów przeciw Anglii należy ją uważać za coś pokrewnego wojnom o niepodległość szwajcarskich kantonów i Niderlandów, a ustroj państwowy sądzić z tegosamego punktu widzenia, co konstytucję ówczesnych Niderlandów i Szwajcaryi, jaką ona dziś jeszcze jest. We wszystkich trzech wypadkach grupy drobnych społeczeństw, różniących się między sobą, a zazdrośnych o swą samoistność, jednoczą się równym interesem bytu, a przedewszystkiem oporem przeciw obcemu panowaniu, które w Pensylwanii i Massachusetts, dzięki odmiennym od Anglii geograficznym i społecznym czynnikom tychże kolonii, prawie tak samo odczuwano jak panowanie Austrii i Hiszpanii w tamtych krajach. Dopiero co wspomniane wojny były walkami ludów, które chciały zostać panami w własnym domu. Były to w pierwszym rzędzie narodowe wojny. Amerykanie tak dobrze jak Niderlandczycy i Szwajcarowie wiedzieli, czego chcieli, Francuzi przed stu laty nie wiedzieli. Francuska rewolucya nie była walką o świętą ziemię ojczystą, tylko okropnem wyrodzeniem koniecznej, lecz od początku pod wpływem fałszywych ogólnych teoryi przewrotnie pojmowanej państwowej i społecznej reformy. A to wyrodzenie nawet dziś jeszcze nie doprowadziło do niczego innego,

Północno-  
amerykańska  
walka o  
niepodległość  
a francuska  
rewolucya.

jak tylko do tego, że dwie dusze, mieszkające w piersi francuskiego, tak samo jak każdego innego narodu, z których jedna oburącz trzyma się tradycyi, druga zaś gwałtownie prze naprzód, wcieliły się w reakcyjnej i rewolucyjnej Francyi, i że każda z nich usiłuje naprzemian stłumić drugą i pozbawić wpływu na kierunek nawy państwowej. Było to oddawna nieszczęściem Francuzów, że stwarzali sobie najpierw abstrakcye, a potem z najgwałtowniejszą namiętnością usiłowali życiem je natchnąć. Noc św. Bartłomieja jest tak samo jaskrawym tego dowodem, jak rządy terrorystów. Wskutek tego stali się oni typowym ludem Europy, który wszystko, co tę część świata poruszało, przykładowo w wielkich zarysach przedstawiał. Anglosasi zaś zdobywają kulę ziemską, ponieważ umieli zawsze odłączyć teorię od praktyki i przyznać względną wartość wszystkiemu, co istnieje, właśnie dlatego, że ją tylko za względną uznawali.

Rzeczpospolita w Ameryce Północnej a we Francyi.

Jeśli się zastanowimy nad teraźniejszą francuską i północno-amerykańską republiką, to nie ma między nimi wiele więcej spólnego oprócz imienia. We Francyi centralizm, który można nazwać chorobliwym, w Ameryce konstytucya związkowa; we Francyi aż do najświeższej przeszłości próby najwstrętniejszej i najbezmyślniejszej ze wszystkich nietolerancyi, to jest nietolerancyi niewiary, w Ameryce wolność sumienia na wybitnie chrześcijańskiej zasadzie; we Francyi burzenie, tak że z trudnością odbudowywać można, w Ameryce spokojne dobudowywanie na prawidłowej podstawie. Jeśli więc w wielkiej republice nowego świata o tyle lepiej się dzieje niż na »naszym, starym lądzie«, to dzieje się to nadto z tego jeszcze powodu, że z dwóch tych ludów, które w tej sprawie idą za głównym rysem swego charakteru, amerykański stawia wolność ponad równość, podczas gdy Francuzi odwrotnie równość przenoszą nad wolność. Dwa te bowiem do zbytku nadużywane wy-

razy odpowiadają dwom negatywnym pojęciom, które w pełnym swem znaczeniu wzięte, znoszą się nawzajem. Wolność znaczy różnaitość, równość znaczy brak wolności.

Czy chcemy przez to powiedzieć, że w rzeczypospolitej, którą oba wielkie Oceany opłukują, wszystko idzie jak najlepiej, że stosunki jej nie pozostawiają do życzenia? Dalecy jesteśmy od tego, a poważni patryoci niedawno, przy sposobności stuletniego jubileuszu w Washingtonie, wyrazili obawę, że amerykańska konstytucya, która z taką giętkością zastosowała się do tak różnych warunków w biegu stu lat swego istnienia i z tak niebezpiecznych dla bytu swego przesileni wyszła zwycięsko, chyba już nie przetrwa drugiego stulecia. Przekupstwo, ów rak toczący zarówno demokratyczne jak i źle rządzone despotyczne państwa, trawi organizm Unii, a nieskazitelne charaktery, które się rzuciły w wir publicznego życia, nie równoważą dostatecznie sprzedajności, grasującej podczas wyborów, a niestety nawet po urzędach i izbach sądowych. Przeważna ilość najlepszych w narodzie trzyma się na uboczu od polityki, w obawie, ażeby się nie zbrukać, gdyby w tak mętnej wodzie pływać spróbowali, i w tem leży w każdym razie smutne podobieństwo do stosunków w dzisiejszej Francyi. Atoli jakiekolwiek jeszcze losy czekają Amerykanów, właściwości silnej ich rasy jakoteż inne podstawy ich istoty narodowej ustrzegą ich prawdopodobnie przed ostatecznościami, pomiędzy którymi naród francuski, że użyję tu obrazu Danta, jak chory w gorączce niespokojnie na swem łożu to tu to tam się rzuca.

W parterze starego Statehouse znajdują się kantory, na dwóch górnych zaś piątrach wielce godny widzenia zbiór portretów, karykatur, książek i t. p., odnoszących się do walki o niepodległość.

Dzisiejsze  
amerykańskie  
stosunki.

Posągi.

Publicznych posągów nie brak też w starych dzielnicach Bostonu, atoli jedynie do konnej postaci Washingtona można, jak mi się zdaje, surowszą przyłożyć miarę. Pomnik dla poległych podczas wielkiej wojny obywatelskiej ma cztery figury u podstawy, dwóch żołnierzy ściśle podług przepisu uniformowanych, przedzielonych kolejno dwiema alegorycznymi niewieściami postaciami. Trudno zaiste o większy brak smaku.

2 sierpnia. — O 9 rano odjazd do New-Yorku. Zielony krajobraz, okazałe rzeki, wspaniałe miasta, Worcester, Springfield, Hartford. Z ostatniego, stolicy Connecticut, wyrzela nowe, wspaniałe Statehouse, z potężną kopułą. Później Newhaven, ożywione miasto portowe. 3 godzina popołudniu New-York.

New-York.

2 do 7 sierpnia popołudniu, New-York i okolica.

Położenie Nowego Yorku ma wiele podobieństwa do położenia Bostonu. Tu jak tam zajmuje miasto koniec półwyspu i zwolna rozszerzyło się także na leżące dokoła brzegi i wyspy. Potężny z północy na południe płynący Hudson wpada do morza śródziemnego, najważniejszego dziś portu na świecie. Przeszło cztery miliony ludzi mieszkają dokoła tego portu lub w jego najbliższem otoczeniu. Gromada domów na prawym brzegu Hudsonu nazywa się: Hoboken i Jersey-City, na Long-Island: Brooklyn. Z właściwego Nowego Yorku do Brooklynu prowadzi ponad odnogą morską wielki most łańcuchowy, prawdziwy cud świata i bezsprzecznie najważniejsza budowa Zjednoczonych Stanów. Żadne zapewne miejsce na naszym planecie nie nastrocza widoku, równego temu, jakiego się używa ze środka mostu na odkryte domami przestrzenie ziemi i okrętami pokryte odnogi morza. Na północy Brooklynu spostrzegam wieże jakby jakiejś średniowiecznej warowni; należą one do rafinerji cukru austriackiego generalnego konsula Havemeyera.

Wielki most łańcuchowy.

Właściwe miasto Nowy York jest zapewne sześć razy tak długie jak szerokie, a rozumie się, że główna

arterya jego ruchu leży w podłużnej jego osi. Jest nią w dolnej części miasta Broadway, dalej ku górze, nieco na zachód posunięta, lecz całkiem jak Broadway ku północnemu wschodowi biegnąca sławna piąta Avenue. To położenie pociąga też za sobą, że najcelniejsza dzielnica nie tak jak w Londynie, Bostonie, Paryżu i Berlinie na zachód, lecz na północny wschód od portu się utworzyła, i niegdyś koniec miasta stanowiąc, zajmuje teraz prawie środek jego. Poza nią ciągną się nieskończenie nudne nowe ulice, co sprawia, że piąta Avenue, ulica eleganckiego świata, podobnie jak ulica „Pod lipami” w Berlinie, bardziej jest ożywiona i hałaśliwa niż inne tego rodzaju.

Piąta Avenue.

Nowojorskim Bois de Bologne jest Central Park, tak pięknie założony, jak jego pierwowzór; leży bezpośrednio za najświetniejszą częścią piątej Avenue, i milami wzdłuż niej ciągnie się ku zachodowi. Jedno z wzgórz jego zdobi sprowadzony niedawno z Aleksandryi obelisk, a naprzeciw niego leży pośród zieleni Metropolitan Museum of Art. Jak Museum of fine Arts w Bostonie, powstało ono również z prywatnej inicjatywy; jestto na zewnątrz nie bardzo udatna, wewnątrz na wzór Kensington-Museum wzniesiona budowa, która już teraz, w niewiele lat po ukończeniu, okazuje się niedostateczną dla mnóstwa nagromadzonych przedmiotów. Sposobności do założenia instytutu nastąpiło zakupno bogatego zbioru wykopanych na Cyprze rzeźb i innych przedmiotów sztuki, które tamtejszy amerykański konsul Cesnola podczas długoletniej swej czynności nabył, a które najpierw bez skutku British Museum na sprzedaż ofiarował. Te głowy i figury, sarkofagi i płaskorzeźby uodwadniają raz jeszcze, że w sztuce, tak jak w naturze, nie masz skoków, są one bowiem ważnymi pomnikami połączenia greckiego i semickiego stylu, w którym jednak semicki pierwiastek przeważa. W wielkiej głównej sali Museum powitałem »Polowanie Dyany« Makarta, który

Metropolitan  
Museum of  
Art.Cypryjskie  
starożytności.

w Nowym-Yorku przez kilka obrazów jest reprezentowany. Również widziałem w mieszkaniu austriackiego generalnego konsula nieznaną mi jego krajobraz z figurami, obok obrazów Czermaka i Kanona. Jak w Kensington Museum, stoją w kilku dolnych salach gmachu w Centralpark bezładnie gipsowe odlewy i oryginalne rzeźby, te ostatnie po największej części nowoczesne.

Stare obrazy. Na górnem piętrze meksykańskie wykopaliska, przedmioty po części cenne, odnoszące się do dziejów Unii, w kilku salach dobrze ustawione, okazy japońskiej sztuki, wiele dobrych nowoczesnych i wiele starych obrazów. Pomiędzy tymi ostatnimi oprowadza mnie znany rzeźbiarz Story. Podczas gdy podpisy pod obrazami umieszczone często wymagały sprostowania, niespodzianką była dla mnie wielka liczba znakomitych dzieł. Jeśli nie osłabnie ofiarność bogatych obywateli Nowego-Yorku, to za kilka lat my Europejczycy będziemy musieli jednej z najważniejszych galerii na świecie szukać za Oceanem. Prawdziwy Antonio Pollaiuolo, ciekawy podwójny portret Masacciowi przypisywany, a przypominający bardziej Piero della Francesca, chociaż nie pochodzi od niego, mała Madonna, bardzo zbliżona do dzieł Jana Van Eyck, jeden z najpiękniejszych Van Dycków, portret siostrzeńca Karola I, cała postać z chartem, kilka Rembrandtów, najważniejszy z nich mała Święta Rodzina, najlepszy, jaki znam, Hoogstraten (uczeń Rembrandta), podwójny portret pary małżeńskiej, wspaniałe okazy Franciszka Halsy i Velazqueza, wreszcie jedna z najznakomitszych grup naturalnej wielkości sir Jozuego Reynolds.

Wszystkie inne publiczne zbiory i biblioteki są niestety zamknięte, martwy sezon daje się tu jeszcze bardziej uczuć niż w Bostonie, a większa część prywatnych galerii nieprzystępna jest podczas nieobecności właścicieli. Chętnie byłbym także oglądał wnętrze jednego z domów »dynastyi« Vanderbiltów, który, zbu-



dowany ściśle w stylu Ludwika XII, główną jest ozdobą piątej Avenue. Przy tej ulicy stoi też w kierunku do Central park 10—12 kościołów tuż przy sobie; te z nich, które należą do protestanckich sekt, i tu mają napisy ogłaszające wyznanie, imię kaznodziei i godziny nabożeństwa; gotycka o dwu wieżach, lśniąc biała, nowa katolicka katedra przewyższająca wszystko, jest bez napisu, zato z herbem: infulą biskupią pod kardynańskim kapeluszem i z dewizą: „*Claudita apparuit*“.

Kościoły.

Bardzo ciekawy byłem usłyszeć fonograf, najnowszy wynalazek, który tak wielką rolę odegra w przyszłości. Obecnie mówi aparat jeszcze chrapliwym głosem, jak gryfy klasycznej nocy Walpurgii w drugiej części Fausta, co zapewne z łatwością da się poprawić.

Fonograf.

Obrazy Makarta i Canona to nie wszystko jeszcze, co mi w Nowym-Yorku Wiedeń przypominało; widziałem akt operetki Suppégo w małym teatrze, a napisy Wiedeńska kawiarnia, Wiedeńska piekarnia, Wiedeńskie (a także prawdziwe Budziejowickie) piwo czyta się tu, tak jak i w innych amerykańskich miastach, co druga ulica. Amerykański mieszczuch musi myśleć, że Wiedeń jest stolicą Europy.

Przypomnienie Wiednia w New-Yorku.

Gdy mieszkańcy Nowego-Yorku chcą na krótki czas zaczerpnąć świeżego powietrza, to wsiadają na jeden z licznych parowców, płynących w górę Hudsonu. Widziałem tę rzekę tylko z okna wagonu, ponieważ rozporządzałem krótkim czasem a chciałem odwiedzić znajomą rodzinę w Fishkill, leżącą na prawym brzegu dość daleko w górę rzeki. Hudson nazywa się słusznie amerykańskim Renem, nie odzwierciadlają się wprawdzie w jego falach ani zamki ani tury, lecz natura użytyła mu może więcej jeszcze, niż jego niemieckiemu rywalowi. Pięknie rysujące się łańcuchy gór i skały, błonia i wyspy tworzą po części wdzięczne, po części wspaniałe obrazy. Blisko jednej ze stacyi pod Nowym-Yorkiem

Hudson.

most z cegieł i kamienia, nie dla pociągów kolejowych, tylko dla ruchu wozowego zbudowany, przypomina wspaniały most na wąwozie pod Ariccia

W środę 7 sierpnia, o godzinie 1 opuściłem mój hotel i chciałem, mając jeszcze niejedno do załatwienia, dostać się zbaczając do miejsca lądowania parowca »Aller« północno-niemieckiego Lloyd'a, na którym o godzinie 2 stanąć miałem, ażeby odpłynąć do Southampton. Na środku Broadway złamało się koło u powozu, potrwało to chwilę, nim się pakunki na inny przeniosło, a ponieważ »Aller« z Hoboken odpływała, miałem u przeprawy przez Hudson jeszcze jeden niepożądany przestanek. Gdyśmy się dostali na drugą stronę, zaciął woznica konie, i ledwie zdążyłem w czas na okręt, który w kilka minut po mojem przybyciu podniósł kotwicę. Płacząc stał na miejscu lądowania mój japoński służący, którego eksploracyjna podróż po Ameryce tu się skończyła.

Wspaniały dzień letni użyczał odpowiedniego nastroju do pysznej panoramy, która się podczas wyjazdu z portu przed oczyma memi rozwinęła. Nie brakło też prawdziwie amerykańskiego *intermezza*. Za nami płynął mały parowiec nabitý ludźmi, byli to polityczni przyjaciele jednego z pasażerów, Amerykanina-Niemca, tworzący orszak jego. Muzyka, powiewanie chustkami, »Cheers«, wreszcie wręczenie żegnanemu kwiatów ułożonych w kształcie okrętu, gdy mały parowiec nas dogonił, a my się na chwilę zatrzymali. Jeszcze raz ujrzałem zdaleka olbrzymi most łańcuchowy i przepłynęliśmy tuż popod brązowy posąg wolności, który, mniej więcej tak wielki jak monachijska Bawarya, w jednej ręce trzyma pochodnię, nocą elektrycznem światłem jaśniejącą. Figura, dopiero przed kilku laty wzniesiona, jest dziełem francuskiego Alzatzczyka, piękna w proporcjach i udatna w pozie. Stoi ona na małej skalistej wysepce i milami widoczny jest dla odpływających. Dopiero po

Posąg  
wolności.

dwóch godzinach minęliśmy ostatni przylądek i dostaliśmy się na zupełnie otwarte morze.

7 do 15 sierpnia na parowcu „Aller.“ — Aller jest najlepiej urządzonym wielkim parowcem, na jakim dotychczas jechałem, urządzony z komfortem, a nawet ze zbytkiem. Niech żyje konkurencya! Amerykańskie, angielskie, francuskie towarzystwa idą w zawody z północno-niemieckim Lloydem, ażeby podróżujących do Europy jak najprędzej, najwygodniej i najtaniej zawieść do Liverpool, Southampton, Havre, a rezultatem jest, że nigdzie się tak przyjemnie morza nie przebywa, jak na najbardziej uczęszczanej z wszystkich oceanickich linii. Brak mi tylko i tutaj wielkiego pokładu parowców starego stylu; jadalnię i kajuty pierwszej klasy przeniesiono, tak jak na *Gaelic*, do środka okrętu, a wzniesienie z pomostem oficerskim i pokojami do palenia nie dozwala oku tak samo, jak tam, pobujać swobodnie na wszystkie strony. Na przednim końcu parowca przebywać nie wolno, a jeśli się kto chce nacieszyć nieskończonością Oceanu, musi tam i nazad chodzić po małym tylnym pokładzie, przeznaczonym dla podróżnych drugiej klasy.

Obiady mijają wesoło, moje *vis-à-vis*, bankier z Nowego-Yorku, posiadający pod Nowym-Orleanem wielkie plantacye, opowiada mi rozmaite rzeczy o życiu w południowych Stanach. Był on przed wojną właścicielem więcej niż tysiąca murzynów i walczył jako »colonel« w południowej armii. Rozumie się samo przez się, że jest namiętym stronnikiem »demokratów«, a przeciwnikiem obecnego »republikańskiego« rządu. Znośna muzyka przy stole gra lekkie utwory, lecz także Mozarta i Wagnera. Ilekroć tylko zabrzmi walec »Nad modrym Dunajem« biją goście oklaski, zwłaszcza Amerykanki.

W Niedzielę o 11 kazanie płynącego z nami *clergyman'a*, którego głos dochodzi aż do mojej kajuty, po południu śpiewa się hymny. W tej łatwości budowania się wzajemnego wszędzie i wśród wszelkich stosunków

Życie  
na okręcie  
»Aller.«

Nabożeństwo.

mają protestanci odszkodowanie za swoje zimne, tylko w pewnych godzinach przystępne domy Boże, w przeciwieństwie do bogato ozdobionych, zawsze otwartych katolickich kościołów. Katolicki kościół jest świętym i uświęconym przybytkiem, gdzie wszechobecny Bóg jeszcze z osobna, że tak powiem: namacalnie jest obecnym, protestancki jest gmachem przeznaczonym dla służby Bożej, którą tak samo wszędzie indziej odprawiać można.

Robimy dziennie przeciętnie 380 mil i płyniemy początkowo w północno-wschodnim kierunku, dalej wprost na wschód i dopiero w pobliżu Anglii skręcamy jeszcze raz lekko na północny wschód. Choć przebywamy wyższe szerokości niż podczas jazdy między Yokohama a St. Francisco, to przecież skutkiem prądu Gólfowego wcale nie czuć zimna, które mi się dało we znaki na Spokojnym Oceanie, ale też słońce widzimy i tu nadzwyczaj rzadko, znaki ostrzegawcze w czasie mgły odzywają się częściej, niżby to przyjemnem było, a co się tyczy pogody, to mamy i teraz melancholijną podróż. Małe wieloryby, podobne do delfinów, wyprawiły drugiego dnia skoki swe koło okrętu, a na całej linii spotykaliśmy parowce i statki żaglowe, lecz wcale nie w takiej ilości, jak się spodziewałem.

Południowe  
wybrzeże  
Anglii.

15 sierpnia — 10 godzina rano, płyniemy wzdłuż południowego wybrzeża Anglii; niema wcale skał kredowych, nudne żółte skaliste pobrzeże. Minęliśmy o wschodzie słońca Scilly-Islands i Cap Lizard-Head, południowo-zachodni cypel Anglii, i znajdujemy się z kolei naprzeciw Start Point. Dużo okrętów wszelkiego rodzaju i wielkości. Teraz cofa się znowu wybrzeże ku północy. Po południu staję na pomoście kapitana, jestto od Nowego-Yorku pierwszy prawdziwy dzień letni, błękitne niebo i błękitne morze, a na widnokręgu biała wyspa Wight, ku której wprost płyniemy. Dopiero gdyśmy się tuż przy niej znaleźli, wznoszą się z pod

ściany brzegów trzy małe skaliste wysepki Needles. Przed dwoma laty przepływałem pomiędzy niemi łodzią, i tu oto na najbardziej wysuniętej z pomiędzy nich, stoi pomalowana w białe i czarne pasy mała latarnia morska, na którą wówczas wszedłem. Oto zatoka, przez którą płynąłem. Myślę o wszystkim, radosnem i smutnem, co od owego czasu przeżyłem.

Na wąskiej cieśninie między stałym lądem a wyspą wypływa naprzeciw nam mały parowiec, pełen pasażerów, i aż do ujścia Test-River płynie za nami. O 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> stajemy, podróżni z tamtego parowca przesiadają się do nas, towary z naszego przeładowuje się na tamten, między innymi olbrzymie sztaby srebra z Meksyku, przeznaczone do Londynu. I my wstępujemy na mały okręt. Rozlegają się okrzyki hurra! i *Cheers!* na cześć »Aller« i jej kapitana, powiewają chustki i kapelusze i wpływamy do rzeki, podczas gdy *Aller* udaje się w dalszą drogę do Bremy. Przepyszny za chód słońca i nastrój wieczoru jak na południu. 6<sup>1</sup>/<sub>2</sub> w Southampton; wysiadając stąpamy po sztabach srebra a więc po posadzce, jaka mogła być w pałacu Nerona. Po północy stanąłem w Londynie, gdzie dla indyjskich i japońskich zbiorów po muzeach cztery dni spędziłem. Dopiero po drugiej stronie kanału uczułem się zupełnie w Europie, gdyż Londyn należy właściwie do wszystkich pięciu części świata.

Wylądowanie  
w Southam-  
pton.



Niagara.

## SPIS NAZW GEOGRAFICZNYCH.

- |                             |                                       |
|-----------------------------|---------------------------------------|
| Abrahama pole 316.          | Atlantycki ocean 332—335.             |
| Abu-Roadstation 53.         | Attock 67, 70, 71.                    |
| Adama most 29, 153.         | Aurangabad 49.                        |
| Adamspik (góra) 24, 28.     | Awagi (wyspa) 244, 250, 254.          |
| Aden 6—9.                   |                                       |
| Adeńska zatoka 6—9.         | <b>Baba Atal</b> (jezioro) 78.        |
| Afganistan 69 i n.          | Bab-el-Mandeb (cieśnina) 6.           |
| Afrydowie (szczep) 70.      | Bangipur 113, 118.                    |
| Agra 82, 87, 88, 97, 99.    | Barhut 119.                           |
| Ahmedabad 52.               | Battle-Mountain 291.                  |
| Ainowie (szczep) 211.       | Beauport 317.                         |
| Ajanta 45—48.               | Beloeil (góra) 310.                   |
| Ajmere 57, 58.              | Benares 109—113.                      |
| Akaba (zatoka) 4.           | Bereniki łańcuch (góry) 5.            |
| Aleuty (wyspy) 272.         | Betva (rzeka) 105.                    |
| Aleksandrya 4.              | Bhartpur 97—99.                       |
| Ali Mazjid (warownia) 70.   | Bhotan 126, 132, 135.                 |
| Allahabad 45, 82, 107, 108. | Bijapur 42.                           |
| Alu Vihara 14.              | Bindraban 85.                         |
| Amber 64.                   | Biwa (jezioro) 217, 234, 235,<br>250. |
| Amritsar 78, 79.            | Bombay 42—45, 52, 118.                |
| Anglia 334, 335.            | Boston 319, 320—328.                  |
| Annam, Annamici 172 i n.    | Bowmanville 306.                      |
| Anuradhapura 16—19.         | Brahmaputra 129.                      |
| Arabskie wybrzeże 5—6.      | Brooklyn 328.                         |
| Arima 243.                  | Buddha-Gaya 113—119.                  |
| Assam (kraj) 129.           |                                       |

- Bundelkhand (kraj) 105.  
 Burlington 294.  
 Burma 114, 124, 148,  
 165.  
 Calcutta p. Kalkutta.  
 Canada p. Kanada.  
 Canton p. Kanton.  
 Canton River p. Pearlliver.  
 Capraja (wyspa) 2.  
 Castle Rock 292.  
 Cawnpore 107.  
 Ceylon 10—31, 153—157,  
 162, 165.  
 Chenab (rzeka) 67.  
 Chicago 295—300.  
 Chicagoriver 295.  
 Chiny 126, 179—194.  
 Chińczyey 162—164, 167,  
 172—200, 282—286.  
 Chińskie morze 168 i n., 176  
 i n.  
 Cichy Ocean p. Spokojny Ocean.  
 Cliffhouse 280.  
 Clifton 302, 303.  
 Cobourg (miejsowość) 306.  
 Cochinchina 161 i n.  
 Colombo 10—12, 26—30,  
 155—157.  
 Colorado (rzeka) 291.  
 Columbus (miejsowość) 292.  
 Comorin (przylądek) 10.  
 Concord 320.  
 Connecticut (stan) 328.  
 Councill-Bluffs (stacya kolei)  
 293.  
 Cuddalore 38.  
 Cypresse-point 287, 288.  
 Czerwone morze 4—6.  
 Dallila 74.  
 Dambul 16, 20, 21.  
 Darjiling 123—127, 143—146.  
 Dekan 40 i n., 53.  
 Delhi 81—84.  
 Detroit (miasto) 300, 301.  
 Detroit (jezioro) 300.  
 Dholpur 99.  
 Djedda (port) 5.  
 Domson (góra) 137, 138.  
 Domukdia 123.  
 Don-nai (rzeka) 170.  
 Egipt 4.  
 Elba 2.  
 Elephanta (Elefanta) wyspa 44.  
 Ellora 45, 49—51.  
 Enoshima (półwysep) 213—  
 218.  
 Erie (jezioro) 300, 301.  
 Etna 3.  
 Fatehpur Sikri 88, 90, 91.  
 Fishkill 331.  
 Fordapur 46.  
 Formosa 201.  
 Frederik (fort) 153.  
 Fuji p. Fusijama.  
 Fujisawa 212, 232.  
 Fusijama 202, 217, 232, 255.  
 Galta 63, 64.  
 Gandak (rzeka) 147.  
 Ganges 82, 107—109, 146—  
 148.  
 Gaya 113, 117, 118.  
 Gebel Teir (wyspa) 6.  
 Gogra (rzeka) 147.  
 Gozzo 3.  
 Grand Island 292.  
 Green River 291.  
 Guardafu (przylądek) 9.  
 Guindy 39.  
 Gurkhowie (szczepek) 130, 134.  
 Gwalior 99—103.



- Haidarabad** (kraj) 45 i n.  
**Haïnan** (wyspa) 176.  
**Hakodate** 243.  
**Hardford** 328.  
**Hari** (warowny obóz) 134.  
**Hatras** 84.  
**Hatton** 24, 26.  
**Hikone** 235.  
**Himálaya** 123 i n.  
**Hindukusch** (Hindukusz) 68.  
**Hindus** 11 i w. i.  
**Hindustan** 53 i n.  
**Hiogo** 243—245.  
**Hoboken** 328, 332.  
**Honam** (wyspa) 188, 190—192.  
**Hongkong** 176, 177, 197—200.  
**Hospet** 40, 42.  
**Hudson** 328, 331.  
**Hugli** (rzeka) 118, 123, 147—149.  
**Humboldt** (miejscowość) 291.  
**Humboldtriver** 291.  
**Hurońskie jezioro** 300.
- Ihãnsi** 104, 106.  
**Ihelum** (rzeka) 67.  
**Illinois** (stan) 295 i n.  
**Indrapat** 82.  
**Indus** 67.  
**Indyanie** 298 i n.  
**Indye** 33—157, 247, 248.  
**Indye Tylne** 161 i n.  
**Indyjski Ocean** 9.  
**Inland soa** 245.
- Jáipur** 58—65.  
**Jamalgiri** 74.  
**Jamród** (warownia) 68—70.  
**Japonia, Japończycy** 203—269.  
**Jedo** p. Tokio.
- Jersey-City** 328.  
**Jerzego jezioro** 300.  
**Jezo** p. Yezo.  
**Jodhpur** 52—55, 60.  
**Jodogawa** p. Yodogawa.  
**Jokohama** p. Yokohama.  
**Jowa** 293, 295.  
**Jumna** (rzeka) 82, 85, 88, 92, 105, 107.  
**Jumoto** (jezioro) p. Yuinoto.
- Kalabrya** 3.  
**Kalifornia** 275—290.  
**Kalimpong** 130, 131, 139, 141.  
**Kalkutta** 28, 45, 118—121, 147—149.  
**Kaltura** 28.  
**Kaluganga** (rzeka) 28.  
**Kamakura** 218.  
**Kamalapur** 40.  
**Kamogawa** (rzeka) 236, 250.  
**Kanada** 300—319.  
**Kandy** 13, 22—24.  
**Kanton** 177—194.  
**Kanton-River** p. Pearlriver.  
**Katasa** 218.  
**Kearny** 292.  
**Kekorava** 20.  
**Kelani** 29.  
**Kháibar** (wąwóz, przełęcz) 68—70.  
**Kinchinjanga** 125, 144.  
**Kingston** 306.  
**Kioto** 208, 235—243, 249—251.  
**Kiushiu** (wyspa) 243, 244.  
**Kobe** 243—245, 250, 254.  
**Kobijska zatoka** 245, 252, 254.  
**Korea** 210.  
**Korsyka** 2.

- Kreta 3.  
 Kuch-Behar (kraj) 120, 129.  
 Kutab 81.  
  
 Ladrone Islands 176.  
 Lahore 65, 66, 76—78, 119.  
 Landi Kotál 69.  
 Larchin Rapids 307.  
 Lashkar 100.  
 Laurentydy (góry) 310.  
 Lepchowie (szczep) 124, 130.  
 Levis 312, 319.  
 Liguryjskie wybrzeże 1, 2.  
 Liliya (rzeka) 116.  
 Lingtu (góra) 135.  
 Liparyjskie wyspy 3.  
 Liu-Kiu (wyspy) 201.  
 Lizard Head Cap (przylądek) 334.  
 Londyn 335.  
 Londyn (Kanada) 301.  
 Long-Island 328.  
 Long-Sault Rapids 306.  
  
**M**  
 Macao 194—197.  
 Madhya Desha (kraj) 82.  
 Madras 28, 39, 40, 150.  
 Madura 33—35.  
 Mahábalipur (7 pagod) 39.  
 Mahamandir 56.  
 Malabar Hill 43.  
 Malacca (półwysep) 161.  
 Maladiwy 10.  
 Malajczycy 163 i n.  
 Malajska cieśnina 160, 168.  
 Malvar (kraj) 53.  
 Malvar Junction 53.  
 Mandor 57.  
 Mardán 70, 73.  
 Marsylia 1, 2.  
 Maschelia 25.  
 Massachusetts (stan) 319, 320.  
 Massauah 5.  
  
 Mattala 13, 14, 22.  
 Me Khong (rzeka) 170.  
 Memphremagog (jezioro) 319.  
 Messyna 3.  
 Meksyk 277, 278.  
 Meksykańska zatoka 292, 294.  
 Michigan (stan) 300.  
 Michigan (jezioro) 295.  
 Mississippi 292, 294, 295.  
 Missouri 293.  
 Monterey 276, 286—288.  
 Montmorency (rzeka) 317.  
 Montreal 290, 301, 307—311.  
 Mont Royal (góra) 310.  
 Moraz 101.  
 Mount Abu 53.  
 Mount Lavinia 27, 28, 155, 156.  
 Mount Vernon 143.  
 Muttra 84—87.  
  
**N**  
 Nagahama 234.  
 Nagasaki 243.  
 Nagoya 233, 234.  
 Nandgam 49, 52.  
 Nantaisan (góra) 257, 263.  
 Narbada (rzeka) 53.  
 Natong 135.  
 Natural Steps 318.  
 Naushara 70, 76.  
 Nebraska 292, 293.  
 Needles (wyspy) 335.  
 Nepal (kraj) 126, 130.  
 Nevada (stan) 290, 291.  
 New-Hampshire (stan) 319.  
 Newhaven 328.  
 Newport 319, 321.  
 New-York (stan) 301.  
 New-York (miasto) 328—332.  
 Niagara 301—303.  
 Niigata 243.  
 Nikko 256, 263.  
 Nippon p. Japonia.

Novara Elia 26, 156.

Nubia 5.

**Oakland** 279, 288.

Ochsö (wyspa) 201.

Ofuna 219.

Ogden 291.

Ohio (stan) 301.

Omaha 293.

Ontario (jezioro) 300, 301, 304.

Orchã 105—107.

Orléans (wyspa) 318.

Oshima (wyspy Liu-Kiu) 202.

Oshima (wyspy Vriesyjskie)  
218, 255.

Otsu 235.

Ottawa (miasto) 307.

Ottawa (rzeka) 307, 310.

Ozaka 243, 250—255.

**Pachora** 45, 49.

Panjab 53, 66—79.

Pearlriver (Canton River) 178.

Pedong 131—134.

Pennsylvania 301.

Perenedia 24.

Peshawar 59, 66—68, 70, 72,  
145.

Peshawar - City 68.

Peshok 143.

Platte River 292.

Plymouth (Zjednoczone Stany)  
319—320.

Point de Galle 28, 154.

Polonnaruwa 20.

Pondichéry 38, 148, 149, 151,  
152.

Port Hope 306.

Port Saïd 4, 5.

Püna 42.

Pushkara (miejsowość) 58.

Pushkara (jezioro) 58.

**Quebec** 290, 312—319.

**Rajputana (kraj)** 52—65.

Ramnagar 110.

Ranjit (rzeka) 126, 128, 142,  
143.

Rasaka (przylądek) 161.

Ratnapura 28.

Raval-Pindi 67.

Ravi (rzeka) 67.

Reggio 3.

Rhenok (Rhena) (góra) 132,  
134.

Rhenok (miejsowość) 134.

Rilli (rzeka) 130, 141.

Ringpo (rzeka) 132.

Rivière de Saigon 170.

Rougemont (góra) 310.

Rozah 49—51.

Rushet (rzeka) 132.

**Sacramento (miasto)** 290.

Sacramento (rzeka) 279.

Sagar Island 149.

Saghalin (wyspa) 211.

Saigon 169—175.

Saikio p. Kioto.

Saltlake City 291.

San Francisco 275—286, 288.

San Francisco Bai (zatoka)  
279.

San Joaquin (rzeka) 279.

San Pablo (zatoka) 279.

Santa Clara 286.

Santa Cruz 286.

Sara Ghat 123, 146.

Sarnath 112.

Scilly-Islands 334

Shahbazgarhi 71, 72.

Shikoku (wyspa) 244, 254.

Shimonoseki 244.

Sholen 174, 175.

Siam 242.

- Siamska zatoka 169.  
 Sidhpur 52.  
 Sigiri 16.  
 Sikandra 88, 91.  
 Sikhowie (szczepek) 114—115.  
 Sikkim (kraj) 125—146.  
 Sikri 74.  
 Siliguri 123, 146.  
 Simla 119.  
 Sinai (góra) 4.  
 Sinajski półwysep 4.  
 Singapur 161—168.  
 Singalezi 10 i n.  
 Słone jezioro 291.  
 Sokotora (wyspa) 9.  
 Somali (szczepek) 7.  
 Southampton 338.  
 Spokojny Ocean 269—273,  
 280, 286, 287.  
 Springfield 328.  
 Srirangam 36.  
 Start Point 334.  
 St. Charles River 316, 317.  
 Steamerpoint 7.  
 Ste. Thérèse (góra) 310.  
 St. Jacques Cap (przylądek)  
 169.  
 Stromboli (wyspa) 3.  
 St. Thomas Mount (góra) 39.  
 Suakim 5.  
 Sueska zatoka 6.  
 Sueski Kanał 4.  
 Sumatra 160.  
 Sumidagawa (rzeka) 206.  
 Sutlej (rzeka) 67.  
 Sycylia 3.  
  
**Tadotsu** 244.  
 Tahoe (jezioro) 290.  
 Takht-i-Bahi 73, 74.  
 Tamilowie (szczepek) 17 i n.  
 Tanjore 36—38.  
 Taragarh (twierdza) 57.  
  
 Terai (kraj) 146.  
 Test-River 335.  
 Themse (Kanada) 301.  
 Thousand Islands 306.  
 Tista (rzeka) 128—130, 132,  
 142, 143.  
 Tokatori (góra) 249.  
 Tokijska zatoka 203, 255.  
 Tokio 204—212, 219—232,  
 255, 263.  
 Toronto 304, 305.  
 Toskański archipelag 2.  
 Toyama (góra) 262.  
 Trichinopoli 35, 36.  
 Trincomali 21, 153.  
 Trombay (wyspa) 64.  
 Truckee 290.  
 Tsukijima (wyspa) 245.  
 Tungabhadra (rzeka) 41.  
 Tuticorin 29, 30, 33.  
 Tybet 126, 130, 133—135.  
 Tyrreńskie morze 3.  
  
**Utah** (stan) 291.  
 Utsunomiya 255—256, 263.  
  
**Vagama** (kraj) 74.  
 Vagel (Vagora, rzeka) 46.  
 Vancouver (miasto) 290.  
 Vermont (stan) 319.  
 Victoria (miasto) 176, 198—  
 200.  
 Vijayanagar 40.  
 Vindhya (góry) 40, 53.  
 Vriesyjskie wyspy 218.  
  
**Wadsworth** 290.  
 Water Islands 161.  
 Wawrzyńca św. rzeka 301,  
 305—318.  
 Wight (wyspa) 334.  
 Winnipissoegee (jezioro) 320.

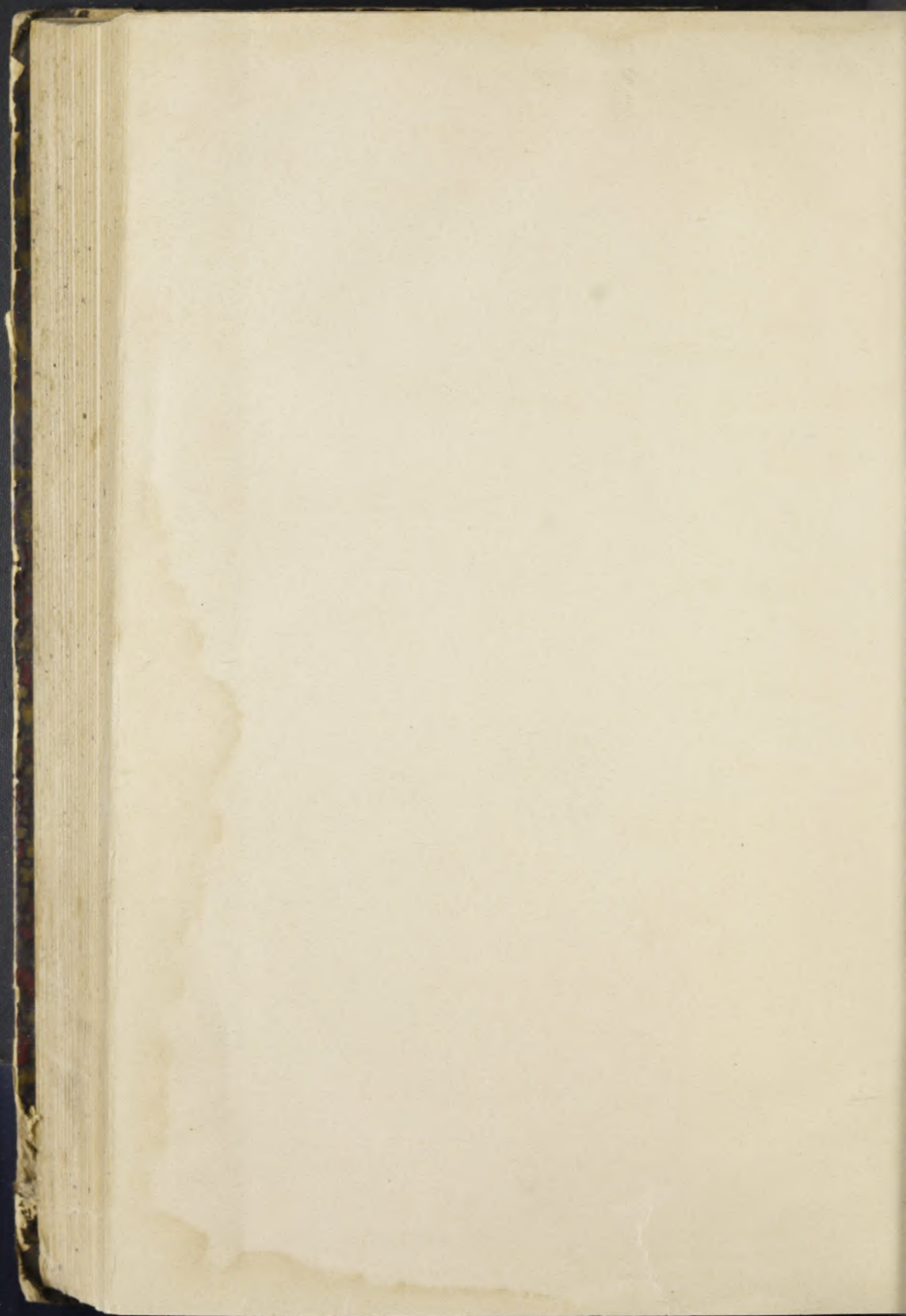
Włochy 2, 3.  
Worcester 328.  
Wschodnia rzeka 178.  
Wyoming (stan) 291.

Yedo p. Tokio.  
Yezo (wyspa) 211, 243.  
Yodogawa (rzeka) 250.

Yyokohama 203, 204, 212,  
219, 232, 243, 255, 263,  
269.  
Yumoto (jezioro) 257, 263.

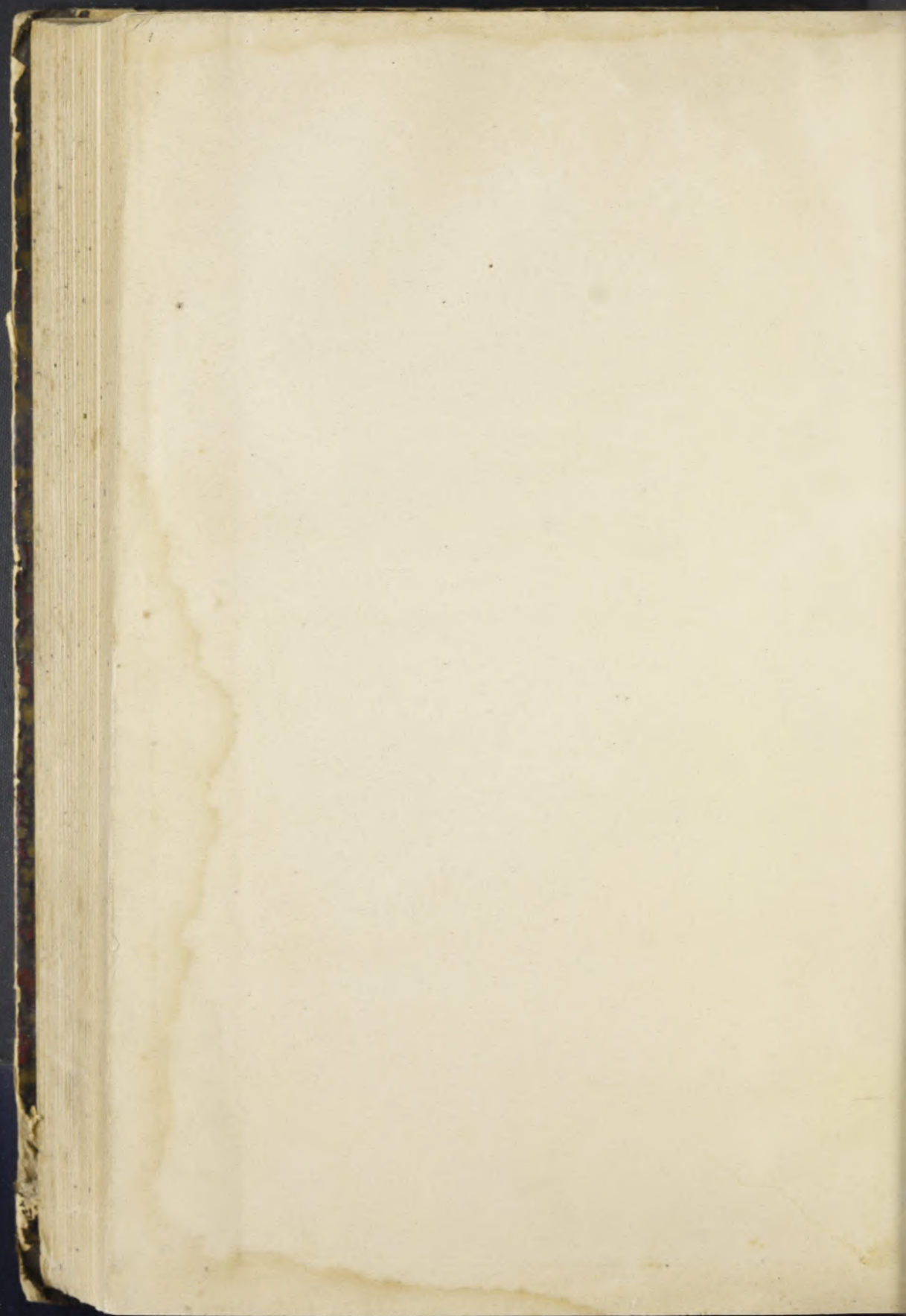
Zobaier (wyspy) 6.  
Zugurb (wyspa) 6.  
Zachodnia rzeka 178.  
Zjednoczone Stany 275—332.



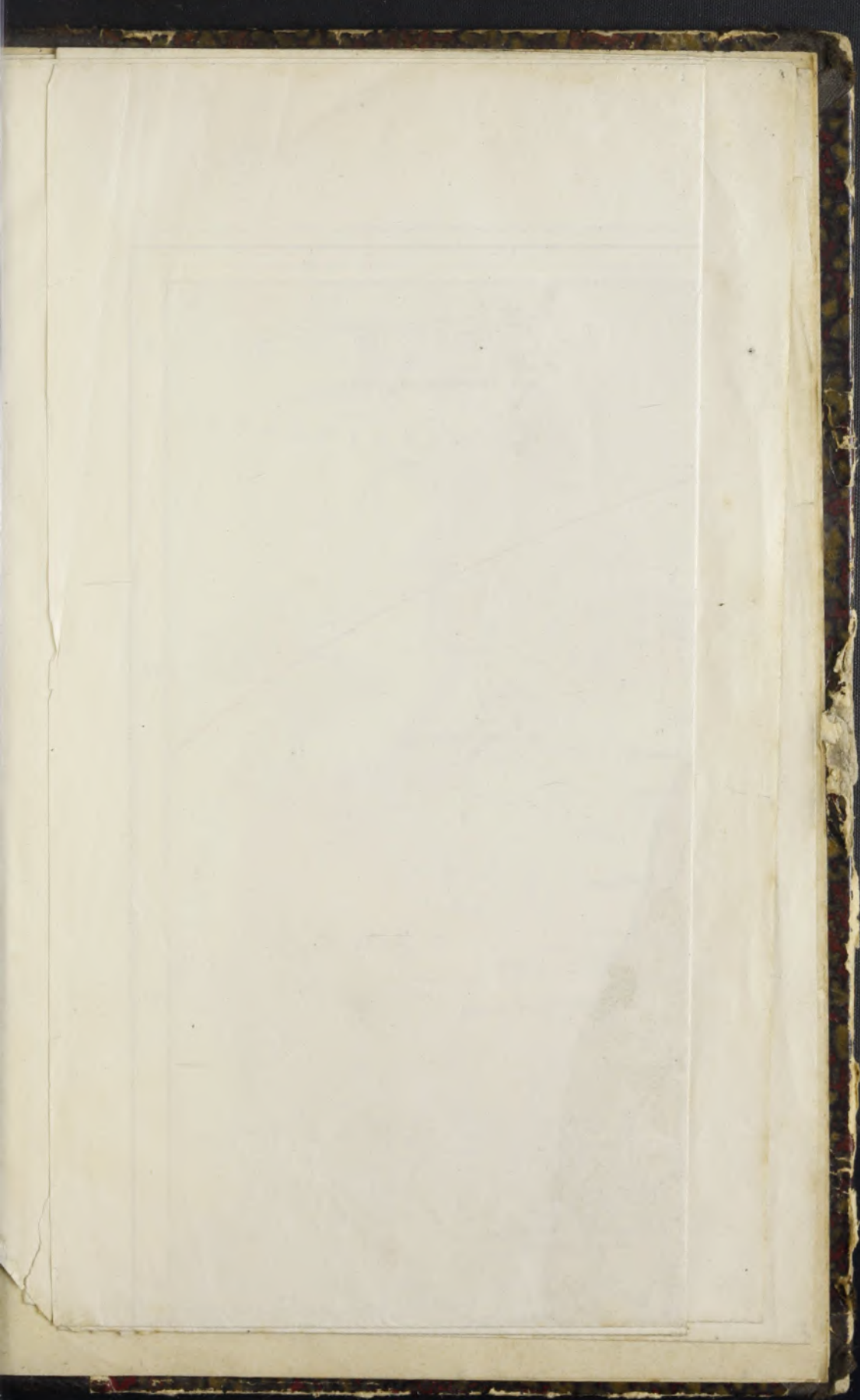


## POPRAWKI.

- Str. 1, w. 4 z g. zamiast: Méssagerie, czyt. Messagerie.  
» 4, » 11 i n. z g. » którą nie dawniej... an der Wien.  
czytaj: w której to roli widziałem sławną artystkę nie dawniej jak przed dwoma tygodniami w Theater an der Wien.  
» 10, » 3 z d. zamiast: high-landerzy, czyt.: highlanderzy.  
» 26, » 2 i n. z g. po wyrazie wrócić, umieść końcowe zdanie ustępu w tem brzmieniu: i nocujemy tylko w niezbyt ponętnych pokojach hotelu w Hatton; nazajutrz bowiem... do Indyi.  
» 40, » 11 i n. z d. i str. 42 w. 12 z g. zamiast: Kalamapur, czytaj: Kamalapur.  
» 42, » 20 z g. zamiast: oprócz Hiszpanii, czytaj: poza Hiszpanią.  
» 42, » 22 i n. z g. zamiast: jak Róża Ibrahima t. j. grobowiec, czyt.: jak Rosa t. j. grobowiec Ibrahima.  
» 46, » 9 z d. zamiast: Vegal, czyt.: Vagel.  
» 57, » 5—8 z g. zamiast: Państwo... angielskiem, czytaj: Ajmery i jego obszar stoją, mimo że je do koła państwa rajputańskie otaczają, pod bezpośredniem panowaniem angielskiem.  
» 57, » 18 z d. zamiast: używają, czytaj: używano.  
» 62, » 14 z g. » strojach, czytaj: zbrojach.  
» 62, » 15 z g. » XVIII wieku, czyt.: XVII wieku.  
» 81, podpis pod ryciną, zamiast: Akbary, czytaj: Akbara.  
» 91, w. 10 z d. zamiast: a także, czytaj: a czasem także.  
» 107, » 17 z g. » powozu, czytaj: pociągu.  
» 110, » 7 z g. » Gayá, czytaj: Gava.  
» 249, » 15 z d. » Takatori, czytaj: Tokatori.  
» 309, » 8 z g. » ściola, czytaj: kościoła.  
» 331, » 7 z d. » amerykaskim, czytaj: amerykańskim.







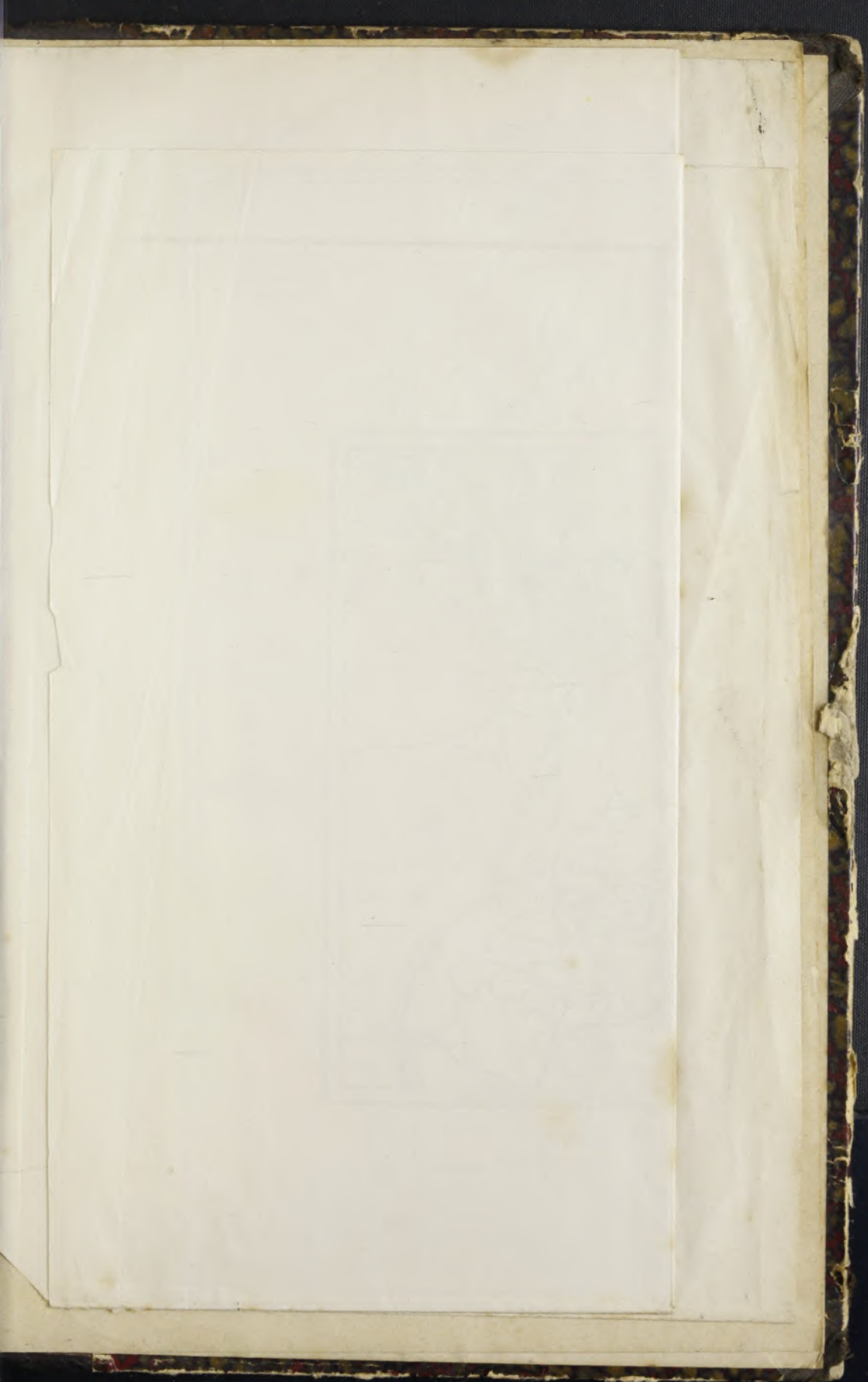


THE  
UNITED STATES  
OF AMERICA

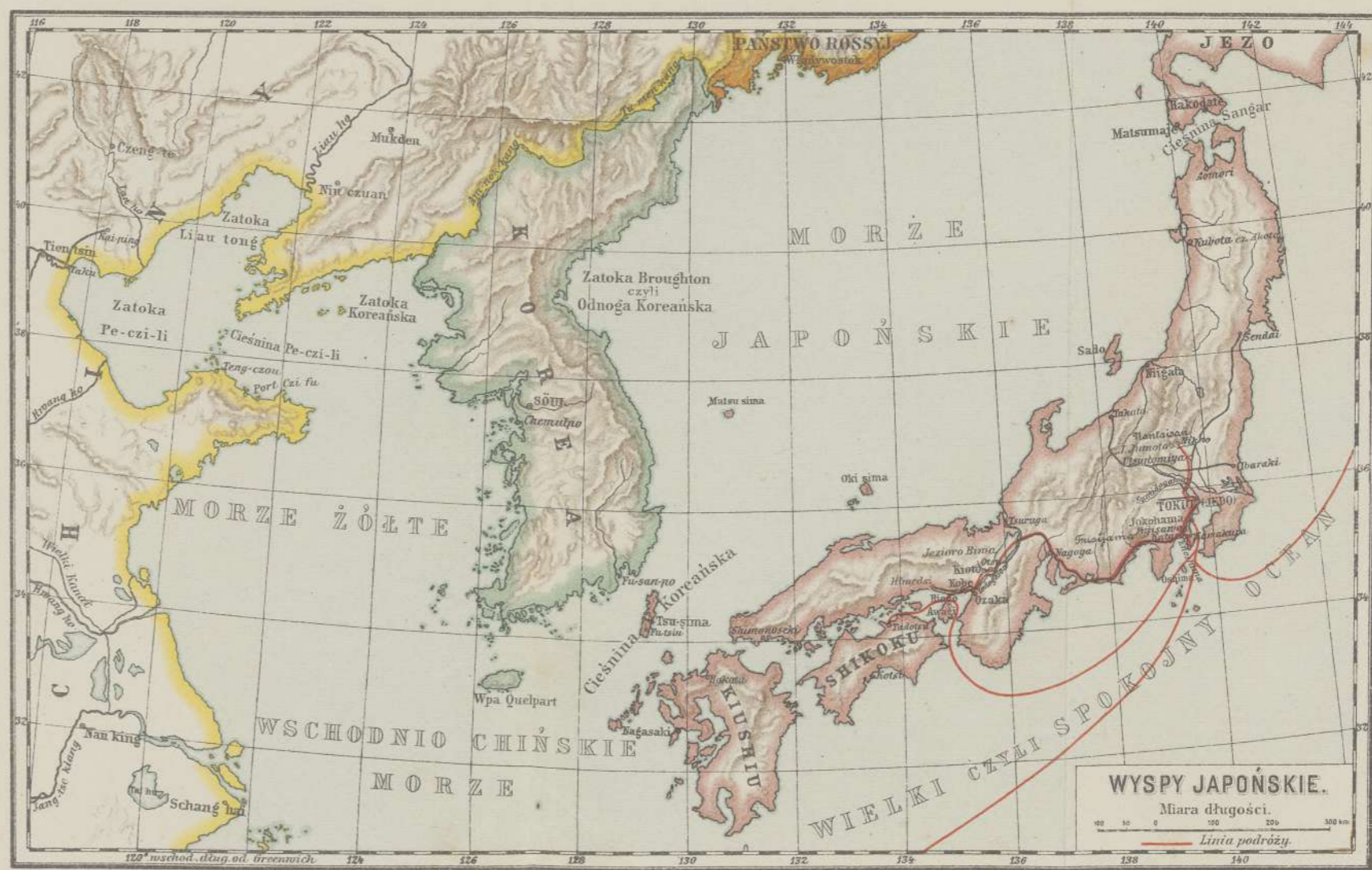
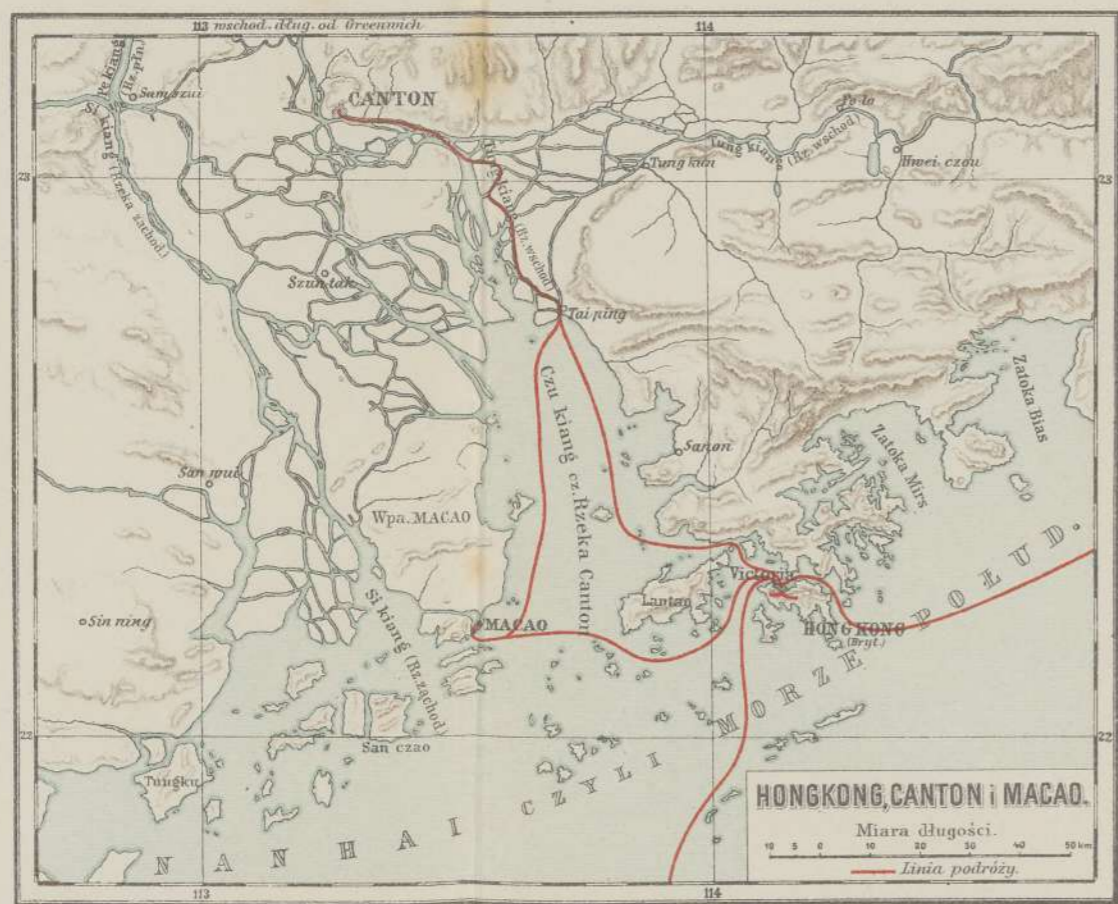


ATLAS  
OF THE  
UNITED STATES





KARTA do PODRÓŻY OKOŁO ZIEMI 1888-1889.

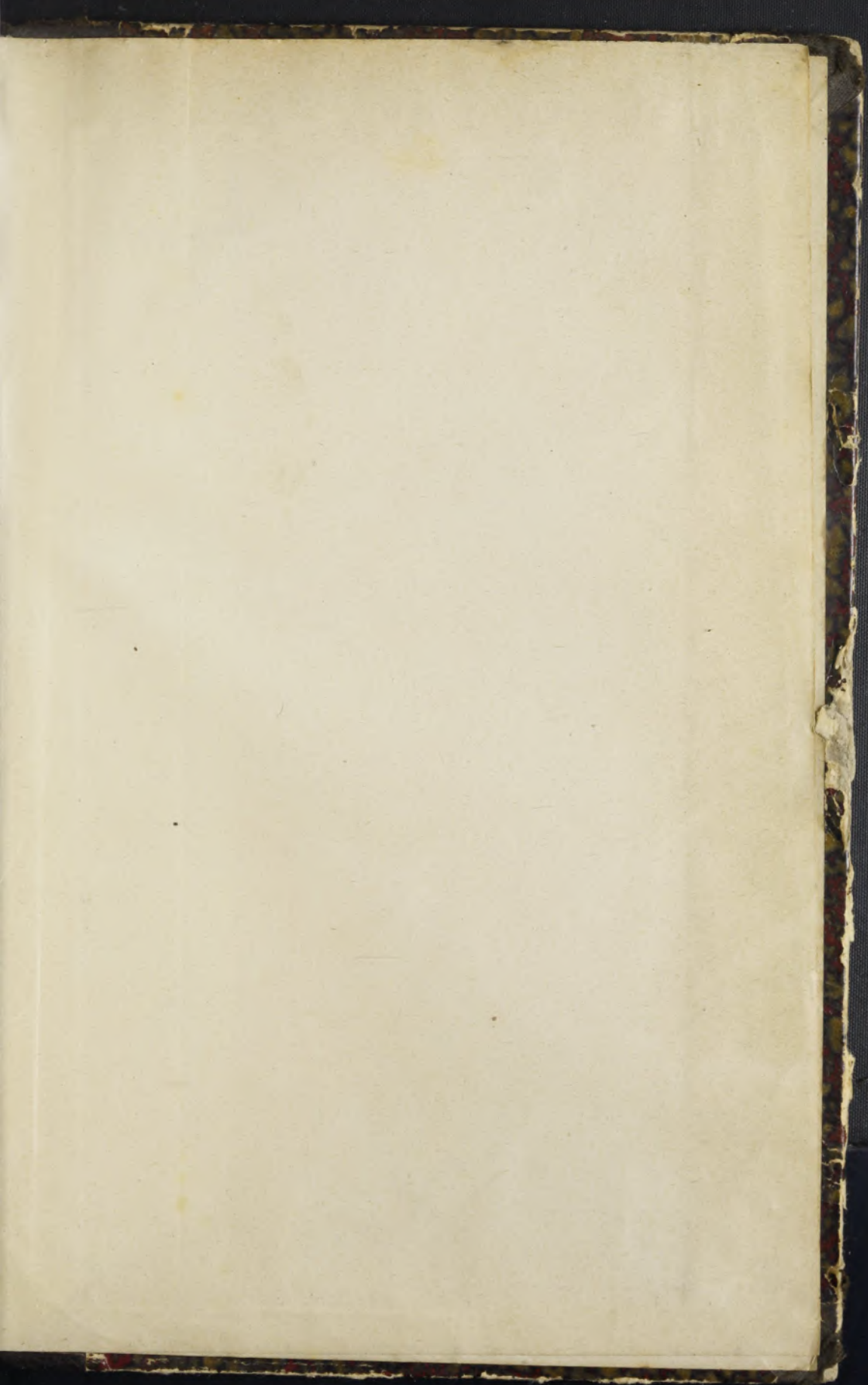


Wykonane w c.i.k. wojskowym zakładzie geograficznym we Wiedniu.  
Nieścisłości zastrzeżone









73

792.

E. Vacqueret  
26. XI. 49



91634

20j

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001013261342